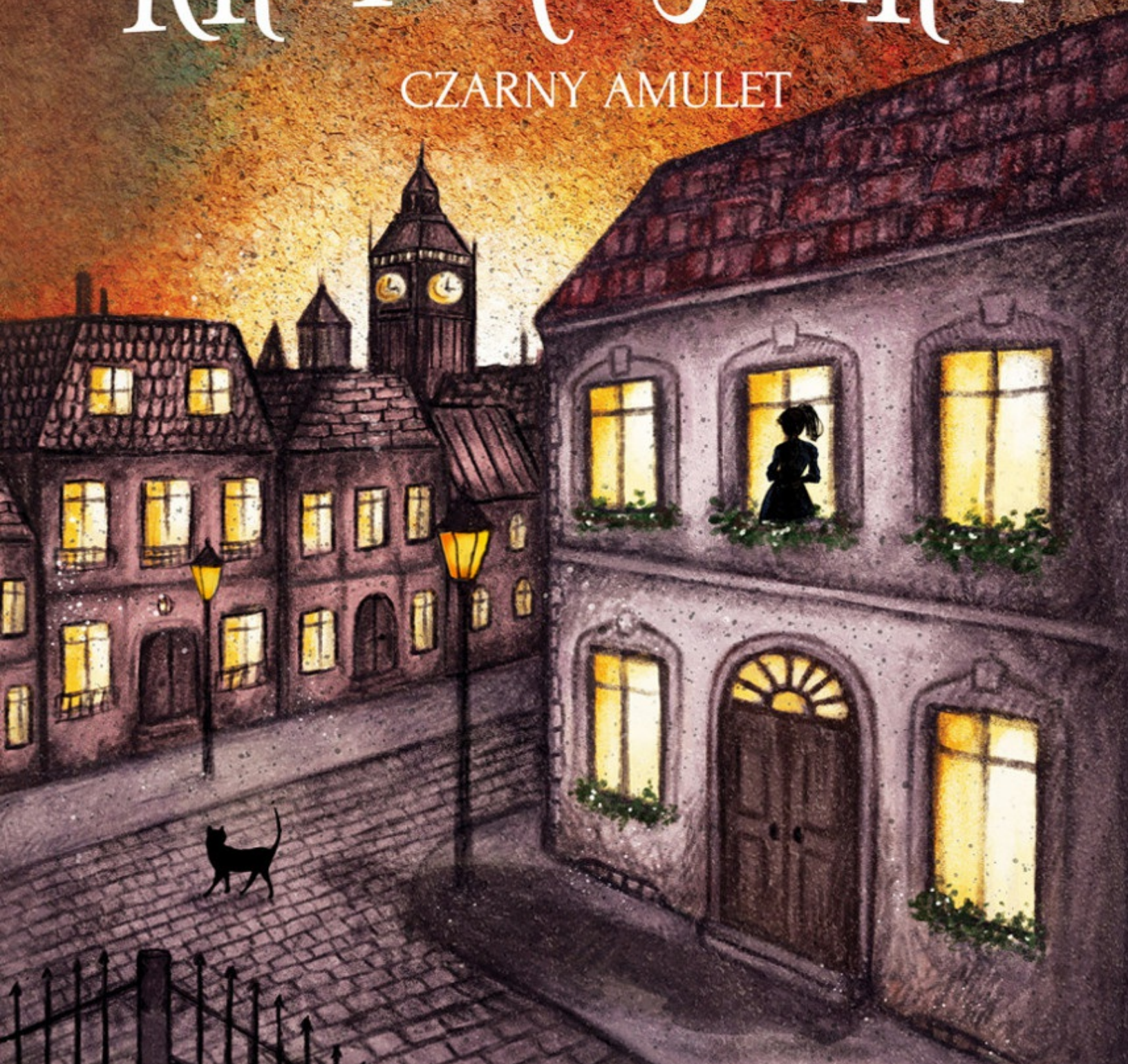


ADAM FABER

KRONIKI JAARU

CZARNY AMULET



ADAM FABER

KRONIKI JAARU

CZARNY AMULET

ADAM FABER

KRONIKI JAARU

CZARNY AMULET



 CZWARTA
STRO
NA

Copyright © A.G. Adam, 2017

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadząca: Milena Buszkiewicz

Redakcja: Dawid Wiktorski

Korekta: Joanna Pawłowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt ilustracji i stron tytułowych: Julia Boniecka

Przygotowanie okładki do druku: Dawid Czarczyński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2017

ISBN 978-83-7976-762-5

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl



Prolog

Ogień wystrzelił w górę i uformował się w kształt latawca. Tańczył po niebie, zataczając kręgi, jak gdyby próbował podpalić gwiazdy. W dole rozległy się okrzyki radości. Fery i czarownice zebrały się razem, by tańczyć do pieśni, którą znały od zawsze, pieśni o środku lata, która chyba sama nie miała początku.

– Przybądź, przybądź, duchu lata! – zawołał ktoś. – Zostań z nami!

Chóralne głosy zaczęły powtarzać słowa:

– Przybądź, przybądź, duchu lata, zostań z nami!

Kolejne fajerwerki, brzęk kufli uderzających jeden o drugi.

– Przybądź, przybądź, duchu lata, zostań z nami!

Ktoś zaczął się śmiać, ktoś inny wiwatował.

– Przybądź, przybądź, duchu lata, zostań z nami!

Gdzieś wybuchła kłótnia, rozległy się kolejne śmiechy...

I wrzask.

Nie dobiegał od tańczących, przybył z zewnątrz, przerywając radosną atmosferę. Nie był to wrzask radości, lecz strachu. Między tańczących wpadła młoda ferini w potarganej sukni.

– Tam! – krzyknęła. – Mężczyzna! Leży... martwy!

Muzyka natychmiast ucichła, a wszyscy zamilkli. Nasłuchiwali. W powietrzu, niczym lodowaty, zimowy podmuch, uniósł się czyjś oddech. Oddech kogoś wielkiego i niewidzialnego. Zaczął gasić po kolei wszystkie pochodnie, nie pozostawiając w całym lesie ani jednego światła.

Istotnie – duch lasu przybył, ale z wieścią inną niż ta, której się spodziewano. Nim potężne drzewa ścieśniły się w tajemniczy sposób, tworząc wokół lasu więzienie z gałęzi, każdy fer i czarownica zniknęła wraz z ulatującą magią.



Dzień był pochmurny, ale słońce pojawiała się raz po raz, rzucając na okolicę jaskrawe promienie i przypominając, że wysoko na niebie wciąż rządzi swoim królestwem. W dole rozciągał się las, obejmując prawie wszystkie horyzonty, miasto za nim, z przeciwnej strony otoczone morzem, nieśmiało podnosiło głowy budynków, by dojrzeć, co znajduje się za gęstwiną wielkich drzew.

W lesie trójka dzieci zatrzymała się przed jaskinią. Były zdziwione. Do tej pory sądziły, że dobrze znają las, który już dawno stał się miejscem ich zabaw. Jaskinia wyrosła jednak jakby z dnia na dzień, nie pamiętały, by była tu wcześniej. Skalne sople zwisające u wejścia przypominały smocze zęby.

Jeśli kiedykolwiek nimi były, to sądząc po ich niewielkiej ilości, smok musiał być bardzo stary, gdy zamienił się w kamień.

Dzieci spojrzały po sobie. Dobrze wiedziały, że historia z zaklętym smokiem mogła okazać się czymś znacznie więcej niż tylko wymysłem. A mimo to weszły do środka.

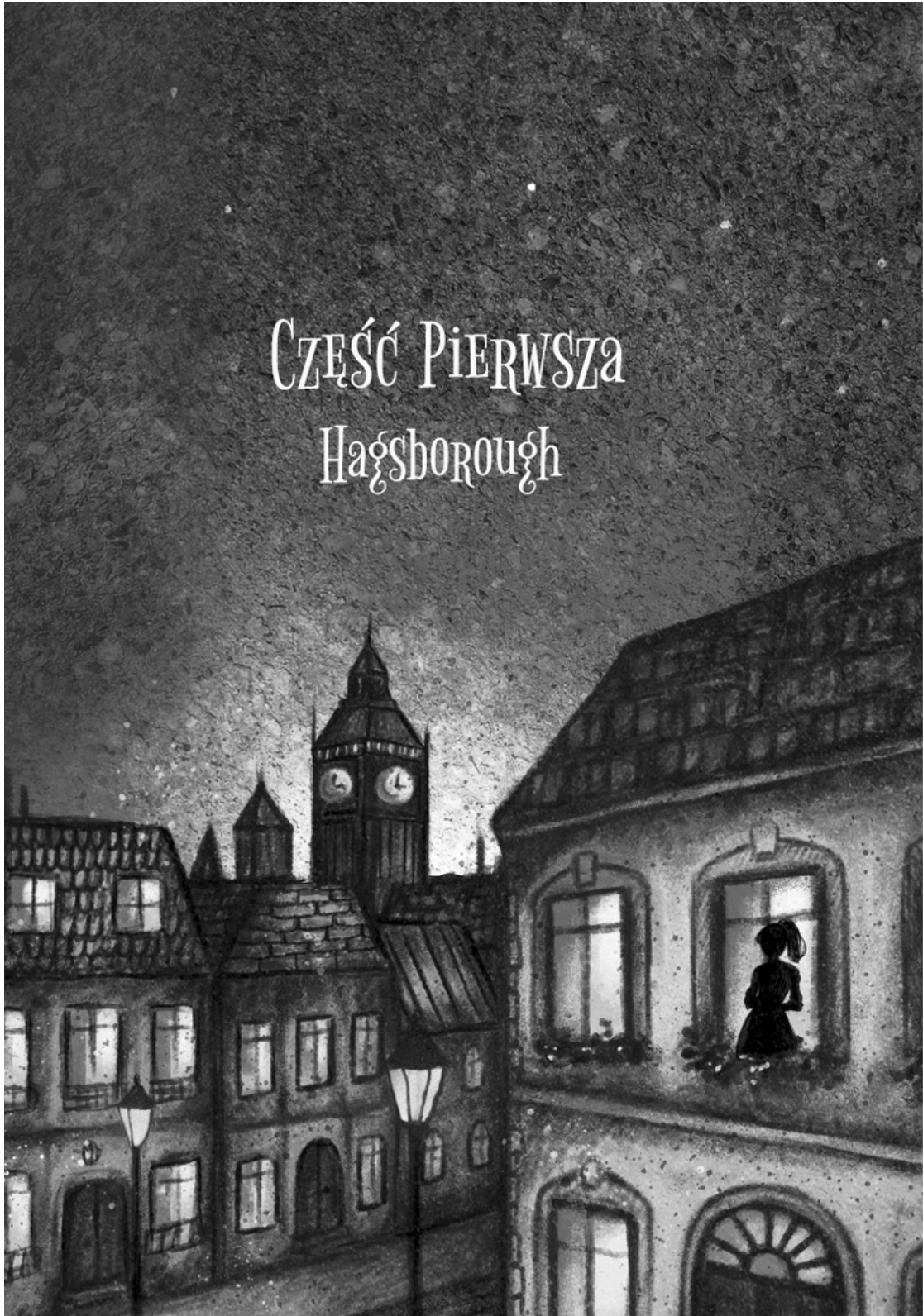


Szpilka za szpilką przebijały ciało glinianej laleczki. Palce, które ją trzymały, napotykały jednak opór. Nie fizyczny, bo igły wchodziły w miękką glinę z łatwością, jednak laleczkę otaczało silne pole ochronnej energii, które odbijało klątwy i sprawiało, że stawały się całkiem bezużyteczne.

Postać trzymająca laleczkę siedziała przy okrągłym stoliku, oświetlonym kilkoma wysokimi świecami. Oprócz nich i zestawu igieł stało tu jeszcze zdjęcie czarownicy, która miała stać się ofiarą uroku. Nawet na nim wydawała się słaba. Cienkie, zupełnie pozbawione blasku blond włosy opadały bezładnie na ramiona, oczy wyrażały naiwną radość. A jednak była w niej siła, która nie chciała się poddać, tak potężna, że rzucane w nią czary zdawały się pękać jak mydlane bańki.

Postać rzuciła laleczkę na stół i wstała. Rozumiała już, że to nie działało. Musiał jednak istnieć sposób, by dostać się do Kate Hallander. Trzeba było zdobyć coś, co do niej należało, albo jej samej dać coś przeklętego. Postać zastanawiała się przez chwilę, a potem jednym ruchem zgasła wszystkie świece. Chyba wiedziała już, co robić.

CZEŚĆ PIERWSZA
HĄSBOROUGH



„A przede wszystkim, patrz na otaczający cię świat urzeczonym wzrokiem, bo największe sekrety zawsze znajdują się w najmniej spodziewanych miejscach. Ci, którzy nie wierzą w magię, nigdy jej nie odkryją”.

Roald Dahl, *The Minpins*



Rozdział 1

Kafejka czarownic

Kate Hallander często zmieniała torebki – do czasu, aż została czarownicą. Teraz nosiła już tylko jedną, ciemnobrązową torbę, największą i najcięższą, jaką znalazła w szafie. Materiał musiał być twardy, żeby nie przebiło go ostrze athame, magicznego sztyletu, który zabierała ze sobą wszędzie już od dwóch miesięcy.

Tak na wszelki wypadek.

Torba nie była najgorsza. Ktoś z przeciętnym wyczuciem stylu mógłby nawet uznać ją za całkiem ładną. Miała mnóstwo większych i mniejszych kieszonek i wyglądała dość *oldschoolowo*, jakby Kate podkradła ją listonoszowi, a potem przerobiła. Problem z nią polegał jednak na tym, że nie pasowała do żadnego stroju, a ponieważ Kate nie uważała siebie za szczególnie ładną, sporą wagę przykładła do

ubrań.

Gdyby jednak zapytać przechodniów, którzy mijali teraz Kate na zatłoczonych ulicach Londynu, co sądzą o tej dziewczynie w czarnej bluzce, kraciastej spódnicy i popielatych podkolanówkach, mało który z nich wpadłby na to, że przed wyjściem musiała przez pół godziny polerować buty, żeby wyczyścić je z błota, które przykleiło się do nich po wizycie w innym świecie. Nie zgadliby też, że równo tydzień temu Kate ścięła włosy tak, żeby sięgały jej nieznacznie za ramiona, i przefarbowała je, mając nadzieję, że dzięki temu przestaną wydawać się takie cienkie.

Swoją drogą, jej zdaniem kolor był nieudany i przypominał raczej jajecznicę niż obiecany na opakowaniu miodowy blond.

Przechodnie powiedzieliby za to, że Kate wydaje im się bardzo zdenerwowana, zupełnie jakby ktoś ją gonił, bo bez przerwy rozglądała się na wszystkie strony.

Ale Kate Hallander miała powody, żeby się bać. Minęły już dwa miesiące, odkąd dowiedziała się, że więcej niż połowa członków jej rodziny praktykuje magię, a ich świat, ledwo Kate go odkryła, od razu nawiedził ją z całym dobrodziejstwem inwentarza. Mogła więc spodziewać się wszystkiego i nic by jej nie zdziwiło. Wilkopodobne stwory, które jednym kłapnięciem paszczy mogą cię rozerwać na pół? Naturalnie! Jednorożce chcące przebić cię rogiem na wylot? Proszę bardzo! Małe, kolorowe i skrzydlate stworzenia zwane ferami? Czemu nie? One przynajmniej nie były szkodliwe.

Zazwyczaj...

Choć wszystkie te istoty zamieszkują Jaar, świat

równoległy, i większości z nich nie uświadczy się już w Anglii, Kate wcale nie czuła się zwolniona z obowiązku zachowania wzmożonej czujności. Bo kiedy jest się wiedźmą, nigdy nic nie wiadomo. Wystarczy wspomnieć o dziwnym telefonie, który odebrała wczoraj wieczorem.

Kładła się już spać, gdy komórka zaczęła uporczywie dzwonić, wyświetlając nieznany numer.

– Halo? – powiedziała z wahaniem. Zdziwiła się jeszcze bardziej, gdy w głosie dobiegającym z telefonu rozpoznała swoją wychowawczynię.

– Och... Dobry wieczór, Kate... To ja, pani Blackout – odparła nauczycielka niepewnie. – Mam nadzieję, że jeszcze nie śpisz?

– Nie... Coś się stało?

W pierwszej chwili Kate przeraziła się, że chodzi o jakiś sprawdzian z fizyki, którego nie zdążyła zaliczyć przed końcem roku szkolnego. Szybko jednak przypomniała sobie, że Jean Blackout też jest czarownicą. I nagle wszystko stało się jasne.

– Wybacz, że dzwonię tak późno – powiedziała pani Blackout – ale nie chciałam, żeby twoja ciotka usłyszała naszą rozmowę, a wiem, że o tej porze powinna już spać albo zajmować się badaniami.

Pani Blackout niemająca zamiaru donieść ciotce o czymś, co wiązało się z Kate? To była nowość.

Ciotka Hillena była siostrą ojca Kate i jedną z najsurowszych, choć wcale nie najwredniejszych osób, jakie Kate знаła. W czasach studenckich ciotka i pani Blackout przyjaźniły się, a oprócz niezdrowego i niewytłumaczalnego zainteresowania naukami ścisłymi,

obie zajmowały się też magią. Zwykle nie działało to na korzyść Kate.

– Dlaczego ciotka miałyby nie wiedzieć o naszej rozmowie?

– zapytała Kate. W słuchawce na moment zapanowała cisza, a potem rozległo się przeciągłe westchnienie.

– Obawiam się, że mogłaby mnie źle zrozumieć – odparła pani Blackout.

– Co miałyby źle zrozumieć?

– Posłuchaj, Kate. Wolę nie rozmawiać o tym przez telefon. Czy mogłybyśmy spotkać się jutro po południu?

– No... dobrze – powiedziała bez przekonania Kate. – Ale o co chodzi?

Pani Blackout nie wytłumaczyła jej już nic więcej.

– Jutro o piętnastej, Kafejka Czarownic w Camden [\[11\]](#), stolik trzynasty – powiedziała tylko, po czym życzyła Kate dobrej nocy i się rozłączyła.

Jej prośba i domysły z nią związane skutecznie spędziły Kate sen z oczu, ale dopiero następnego dnia, około pierwszej, gdy Kate skończyła przygotowywać się do wyjścia, uświadomiła sobie najważniejszą rzecz: nie miała pojęcia, jak trafić do miejsca, o którym wspomniała pani Blackout, a nie mogła przecież pytać o nie przypadkowych przechodniów.

Błąkała się więc po Camden – co w pojedynekę i w sobotę groziło stratowaniem lub uduszeniem w tłumie – aż wreszcie, podążając za ubraną w czarną suknię kobietą, która podejrzenie przypominała jej czarownicę, trafiła na miejsce. Była już spóźniona ponad czterdzieści minut, a mimo to nie weszła od razu do środka. Najpierw zajrzała przez szybę w drzwiach.

Od razu zrozumiała, o co chodziło z nazwą. W kafejce aż roilo się od wiedźm i czarowników. Łatwo było ich poznać po tym, że każdy miał na sobie przynajmniej jeden amulet. Niektórzy chodzili w kolorowych szatach, zupełnie jakby dopiero co wrócili z sabatu. Za długim, drewnianym barem wysoki, łysy mężczyzna serwował piwo kobiecie z włosami obsypanymi brokatem i – co Kate przyjęła z wielkim zdumieniem – pomarańczowemu ferowi z szaro-czarnymi, motylimi skrzydłami.

Kate nie miała pojęcia, dlaczego nikt w kafejce nie przejmował się tym, że za drzwiami przechodzi mnóstwo zwykłych ludzi (których magiczni nazywali nieprzynależącymi). Zauważyła jednak, że żaden z nich nie zainteresował się budynkiem na tyle, by rzucić na niego choćby przelotne spojrzenie.

Nigdzie w tym tłumie nie było widać pani Blackout, ale Kate i tak weszła do środka, po czym zaczęła się rozglądać za nauczycielką. Przy okazji odganiała od siebie dym, choć po chwili zorientowała się, że wcale nie dobywał się z papierosów, tylko z zawieszonych u sufitu kadzideł. W ściany, z których odchodziła bordowa farba, wbite były mosiężne świeczniki. Kate ruszyła przed siebie, przytłoczona panującym tu gwarem.

– Hej! – Usłyszała nagle za sobą. – Zatrzymaj się!

Nie wiedziała skąd, ale miała pewność, że słowa są skierowane do niej. Odwróciła się. Tuż przed nią wyrósł potężny mężczyzna z długimi włosami i brodą spiętą obrączką.

– Jesteś tu stała? – zapytał, przyglądając się jej uważnie. Kate instynktownie cofnęła się w stronę wyjścia.

– Em... Ja... szukam stolika trzynaście.

– Pytam, czy znasz hasło. To impreza tematyczna.

Nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć, Kate sięgnęła do torby i wysunęła z niej athame, żeby mężczyzna mógł zobaczyć samą rękojeść. Wtedy pokręcił głową i pozwolił jej przejść.

– To jak dojść do tego stolika? – zapytała.

Mężczyzna bez słowa wskazał jej niewielkie schodki prowadzące w dół, do przejścia, nad którym wyginał się kamienny łuk.

Gdy tylko Kate zeszła po schodkach, zobaczyła przed sobą pomieszczenie tak odstające od baru, że wyglądało, jakby dobudowano je tu przez przypadek. Rozświetlały je jasne lampy, podłogę pokrywał ciemnozielony, wzorzysty dywan, wzdłuż białych ścian ciągnęły się rzędy masywnych, czerwonych kotar, a nad nimi wisiały złote tabliczki z wygrawerowanymi na czarno numerami.

Ledwo Kate zrobiła pierwszy krok, a wszystkie otaczające ją dźwięki ucichły. Miała wrażenie, że ludzie, których podniesione głosy dotąd słyszała, nagle znikli. Nawet jej własne kroki stały się bezszelestne. Dopiero po przejściu kilku metrów dostrzegła, że przy stolikach rozdzielonych czerwonymi kotarami siedzą fery i ludzie. Rozmawiali ze sobą, o czym świadczyły jedynie ruchy ich ust, bo nadal nie dało się usłyszeć żadnych słów. Kate przeszło przez myśl, że ogłuchła, ale zbyt wiele już widziała w kwestii magii, by uznać to za dobre wytłumaczenie. Gdy przyglądała się rozmawiającym, niektórzy odwracali się z obrażonymi minami. Speszona ruszyła w kierunku kotary, nad którą widniała tabliczka z trzynastką.

Pani Blackout siedziała już przy stoliku. Gdy tylko zobaczyła Kate, wstała i gestem ręki zaprosiła ją do środka. Wchodząc, Kate chciała się przywitać, ale jej głos stał się na powrót słyszalny dopiero, gdy weszła za kotarę, więc z jej ust dobyło się tylko coś, co brzmiało jak „Bry”.

– Dzień dobry, Kate. Kotary są obłożone specjalnym zaklęciem, by nikt nie słyszał rozmów gości i nie przeszkadzał im. Odbywają się tu poufne rozmowy i właśnie dlatego wybrałam to miejsce.

Kate rozumiała już, dlaczego rzucano jej obrażone spojrzenia.

– Nie wiedziałam, że takie miejsca istnieją – przyznała, zajmując miejsce przy stoliku. Był duży i lśniący, a na środku stała figurka z bóstwem, którego głowę zdobił skrzydlaty hełm. U jego stóp, z których również wyrastały skrzydła, leżała metalowa taca. Obok niej znajdował się talerzyk z okrągłymi, lukrowanymi ciastkami i niedopita kawa.

– Myślałam, że mnie stąd wyproszą – dodała Kate, gdy już dość się rozejrzała. – Jakiś facet... mężczyzna zażądał hasła i mówił coś o imprezie tematycznej.

Pani Blackout się roześmiała. Wyglądała całkiem zdrowo jak na kogoś, kto dopiero niedawno doszedł do siebie po starciu z namhajdem, czyli – mówiąc w skrócie – złośliwym stworem, którego główną rozrywką jest stawanie innym na drodze i zabijanie ich. Jej oczy były lekko podkrążone, ale policzki rumieniły się jak zwykle. Była też umalowana i starannie uczesana. Miała na sobie kremową garsonkę, a na stole leżał kapelusz.

– Tak – powiedziała pani Blackout. – Hasło to taki trik,

żeby zniechęcić nieprzynależących. Gdy to nie wystarcza, wmawiamy im, że potrzebują zaproszenia.

Kate westchnęła i postukała palcami w stół.

– O co chodzi?

– Pytasz, dlaczego chciałam się z tobą spotkać?

– To też – przyznała Kate. – Ale nie rozumiem, z jakiego powodu ta rozmowa ma być tak poufna? Z trudem znalazłam to miejsce.

– Och, tak. Kafajka jest dobrze zamaskowana. Sądziłam, że ciotka ci o niej powiedziała. Ciasteczko? – Pani Blackout podsunęła Kate pod nos talerz z ciastkami. Kate pokręciła głową, wlepiając w nią oczekujące spojrzenie. Ona natomiast najwyraźniej udawała, że go nie rozumie.

– Mają tu mnóstwo rzeczy z Jaaru – mówiła dalej. – Bardzo dobrych. Poczekaj na kelnera i będziesz mogła coś sobie zamówić.

– Rozumiem, tylko widzi pani... – zaczęła znów Kate, ale pani Blackout przerwała jej, wołając: – Och, jest! – Machnęła ręką w kierunku wysokiego blondyna, który przechadzał się między kotarami i dyskretnie spoglądał na klientów, wymieniając z nimi porozumiewawcze spojrzenia. Widząc uniesioną dłoń pani Blackout, podszedł do stolika i wyszczerzył zęby. Miał na sobie czerwony fartuch ze złotym kociołkiem wyszytym na piersi.

– Czym mogę służyć? – zapytał i zaczął przenosić wzrok z Kate na panią Blackout i z powrotem. Kate zrozumiała, że się nie wywinie i będzie musiała coś zamówić. Miała tylko nadzieję, że ceny nie będą równie magiczne co knajpa.

– Uhm... a co pan może polecić? – odparła z zakłopotaniem.

Kelner zastanawiał się przez chwilę.

– W tak upalny dzień polecam sok z jagód jadisu z dodatkiem czerwonych jarzębin z zaczarowanego drzewa ferów, Ainhring.

– Te jarzębiny są jadalne – szepnęła pani Blackout, a kelner natychmiast skierował swoje białe zęby w jej stronę.

– Dla pani?

– Hm, sama chętnie napiłabym się tego soku, ale miałam już kawę z dodatkiem ziaren kakaowca ogrów. To chyba się kłóci z jarzębiną ferów?

– Niestety – przyznał kelner. – Mogę zamiast tego polecić mrożoną wodę z przełęczu Nannal.

Pani Blackout wyglądała na usatysfakcjonowaną propozycją. Kelner spisał zamówienie i zniknął, ale pani Blackout nie przeszła do rzeczy aż do chwili, gdy mężczyzna wrócił z wodą i sokiem. Nim to się stało, zanudzała Kate pytaniami o szkołę, wybór studiów i inne nieciekawe sprawy. Potem, gdy już piły, zaczęła mówić o sposobach transportu wody i pożywienia z Jaaru do świata ludzi.

– No dobrze – przerwała jej wreszcie Kate. – Proszę mi powiedzieć, dlaczego chciała się pani ze mną spotkać i co to za tajemnica? Ciocia Hillena ma mi do powiedzenia coś ważnego i obiecałam być w domu przed kolacją.

Właściwie to dopiero teraz Kate przypomniała sobie, że oprócz zwyczajowych „Dokąd idziesz?”, „Kiedy wrócisz?” i „Nie zapomnij swojego athame”, ciotka Hillena wspomniała jej, że muszą porozmawiać.

Pani Blackout, która wyglądała teraz, jakby uszła z niej cała udawana radość, posłała Kate nieprzytomne spojrzenie. Zakryła twarz dłońmi i wyznała płaczącym głosem:

– Och, Kate, jestem już tym wszystkim zmęczona.

Kate, zdziwiona tą nagłą zmianą, zupełnie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Pani Blackout przesunęła ręce na głowę, burząc sobie fryzurę, i utkwiała wzrok w stoliku.

– A... czym konkretnie jest pani zmęczona? – zapytała Kate, mając nadzieję, że nie zabrzmie to zbyt obcesowo.

– Czarostwem. – Pani Blackout znów podniosła na nią wzrok. Była teraz blada. Wyglądała, jakby w ciągu minuty postarzała się o dziesięć lat. – Czy wiesz, dlaczego likantus mnie wtedy zaatakował?

Kate przecząco potrząsnęła głową. Wiedziała, że likantus, namhajd, który zaatakował panią Blackout pod koniec roku szkolnego, dostał się do szkoły przez portal w Księżde Luster, grimuar pełen zaklęć, czarów i inkantacji. Zresztą Kate sama niechcący otworzyła wtedy portal. Nie wiedziała jednak, dlaczego namhajd zaatakował panią Blackout. Dotychczas sądziła, że po prostu wyczuł magiczną energię i rzucił się na pierwszą napotkaną wiedźmę.

– Zaatakował mnie, bo myślał, że jestem tobą – odparła pani Blackout.

– Mną? – zapytała Kate, marszcząc czoło. Wiedziała oczywiście, że likantus śledził ją, ale... – Dlaczego pomylił panią ze mną?

Pani Blackout wyciągnęła rękę w stronę szyi Kate, na której wisiał amulet podarowany jej kiedyś przez ojca: biała, wygięta łezka z czarną kropką na środku.

– Mogę?

Kate się zawahała. Wprawdzie ciotka mówiła, że nie powinno się pozwalać innym dotykać swoich narzędzi magicznych, ale skoro to miało wyjaśnić sprawę...

– Proszę – powiedziała.

Pani Blackout chwyciła delikatnie wisiołek i przybliżyła się do Kate. Zza dekoltu wyciągnęła swój amulet. Wyglądał niemal identycznie jak amulet Kate, ale odwrócony dołem do góry. Łezka wyginała się w przeciwnym kierunku, była czarna, a kropka na niej – biała.

– Już na pierwszy rzut oka widać, że oba amulety mają ze sobą coś wspólnego – powiedziała. – Ale one nie są po prostu do siebie podobne. Jeśli je ze sobą zestawisz, o tak...

– Pani Blackout przybliżyła wisioriki do siebie w taki sposób, że połączyły się niczym puzzle. – Widzisz? To dwie części jednego amuletu, który, jak wszystkie magiczne przedmioty, emanuje właściwą sobie energią.

Zajawszy z powrotem swoje miejsce, mówiła dalej:

– Właśnie dlatego zostałam zaatakowana. Likantusy rozpoznają siebie nawzajem i inne istoty po zapachu, dotyku, smaku, a przede wszystkim po wydzielanej przez nie energii. Nie muszą rozpoznawać twarzy, ale świetnie *czują*, dlatego tak często wykorzystują je wiedźmy parające się mroczną magią. Likantus poszukiwał ciebie, a ponieważ nosimy siostrzane amulety, znalazł mnie.

– Ale dlaczego mamy siostrzane amulety? – zapytała Kate, nie mogąc nadziwić się niezwykłości tej sytuacji.

– Na to pytanie ci nie odpowiem – oznajmiła pani Blackout w taki sposób, że nie było wiadomo, czy nie zna odpowiedzi, czy może nie chce jej udzielić. – Powiem ci tylko tyle, że amulet ma w sobie jakąś niezwykłą moc. Jest ochronny w bardzo dosłownym znaczeniu tego słowa.

– Co to za moc? – Kate zamrugała. Zdawało jej się, że pani Blackout niczego nie wyjaśnia, a posługuje się samymi

zagadkami. – Skąd ją ma?

– Tego nie wiem. To znaczy nie mam pewności. Mogę się jedynie domyślać... Zresztą, odkrycie tego będzie teraz należeć do ciebie, bo... – pani Blackout zdjęła z szyi swój amulet i trzymając go na otwartej dłoni, wyciągnęła rękę w stronę Kate – ...teraz obie części będą należeć do ciebie.

Kate wbiła w nią pytające spojrzenie. Nie sięgnęła po amulet.

– Słucham? – wyjąkała.

– Weź go – zachęciła pani Blackout. – Będzie cię chronił.

– Ale... nie mogę! On należy do pani.

– Mnie już się nie przyda. – Twarz pani Blackout trochę się rozpozodziła, choć jej spojrzenie nadal było poważne. Zdawało się, że amulet stanowi dla niej jakiś ciężar, którego czym prędzej chce się pozbyć.

– Dlaczego pani to robi? – Kate nie udało się zamaskować nut podejrzliwości w głosie. – Jeśli chodzi o tamtego likantusa...

Pani Blackout się roześmiała.

– Nie – odparła. Położyła amulet obok filiżanki po kawie. – Nie chodzi o likantusa. Atak po prostu pomógł mi podjąć decyzję. Mam już dość magii, jestem nią zmęczona.

Kate pokręciła głową.

– Nie rozumiem – przyznała. Wiedziała dobrze, jak niebezpieczna bywa magia, ale sama nie umiałaby chyba z niej zrezygnować. Pani Blackout mówiła jednak z pełnym przekonaniem. To nie mógł być kaprys ani skutek załamania nerwowego.

– Proszę, Kate – powiedziała niemal błagalnym tonem. – Jeśli możesz coś dla mnie zrobić, weź ten amulet.

Kate wpatrywała się w czarną łożkę w milczeniu i z napięciem. Wreszcie sięgnęła po nią niechętnie i schowała do torebki. Wiedziała, że nie wpłynie na decyzję pani Blackout i nawet nie odważyłaby się próbować tego zrobić.

– Co teraz będzie? Straci pani swoją moc?

– Och, nie. – Pani Blackout pociągnęła nosem, jakby przed chwilą uroniła kilka niewidzialnych łez. – To tak nie działa. Po prostu przestanę praktykować magię, aż z czasem opuści mnie nadmiar mocy.

– I to wszystko? Nie będzie pani więcej rzucać zaklęć? Nie odwiedzi Jaaru?

Pani Blackout pokiwała głową. Widząc niezrozumienie w oczach Kate, dodała:

– Spróbuj mnie zrozumieć. Ja *naprawdę* tego chcę. Nie zmienię zdania.

Obie milczały jeszcze przez chwilę, aż pani Blackout uznała, że pora iść. Kate przyjęła propozycję z ulgą, bo czuła się coraz bardziej niezręcznie. Sięgnęła po torbę, żeby wyjąć portfel, ale pani Blackout ją powstrzymała.

– Zapłacę – powiedziała i rzuciła dwadzieścia funtów na tackę, która stała obok bóstwa. Pieniądze znikły, a po chwili pojawiła się reszta, jednak pani Blackout po nią nie sięgnęła.

– Co powiedziałaś ciotce? – zapytała, nakładając kapelusz.

– Że idę do Mel – odparła Kate. Mel, jej najlepsza przyjaciółka, była świetną wymówką, gdy trzeba było wyjść i załatwić sprawy, o których pani Hallander niekoniecznie powinna wiedzieć.

– Dobrze – uznała pani Blackout. Pochwalanie kłamstwa

brzmiało w jej ustach co najmniej dziwacznie. Pytanie, które po chwili zadała, było jeszcze dziwaczniejsze: – Nie potrafisz się jeszcze teleportować, prawda?

Kate uniosła brwi.

– No, chodzi mi o magiczne przenoszenie się – uściśliła pani Blackout.

– Wiem tylko, jak wyrysować portal za pomocą athame – odparła Kate. Do tej pory nie myślała o zaczarowanych portalach ani innych formach magicznego przenoszenia się jak o teleportacji, choć na dobrą sprawę właśnie o to w nich chodziło.

Pani Blackout przygryzła wargę.

– Tak – powiedziała jakby sama do siebie. – Mogę chyba zrobić jeden wyjątek...

– Wyjątek? – zapytała Kate.

– Użyję magii ostatni raz – oznajmiła pani Blackout. – Chodź. – Machnęła na Kate i poprowadziła ją w kierunku baru. Panujący tam hałas wydał się teraz jeszcze donioślejszy.

Pani Blackout skręciła w stronę toalet, a przynajmniej tak w pierwszej chwili pomyślała Kate, bo gdy zobaczyła rysunki na drzwiach, nie była już tego taka pewna. Bowiem zamiast zwyczajnych oznaczeń na drzwiach widniały miotły.

– To portale stałe – powiedziała pani Blackout, otwierając jedne z drzwi i przepuszczając Kate przodem. Pomieszczenie było duże i przyciemnione, bez okien, ale za to z jedną lampą zawieszoną pod sufitem. Ściany zostały pomalowane na brązowo i pokryte mnóstwem magicznych symboli. W pomieszczeniu było zupełnie pusto.

– Do publicznych miejsc dla czarownic nie można

teleportować się ot, tak – wyjaśniła pani Blackout. – To wprowadziłoby chaos, bo ludzie pojawialiby się nagle i gdzie popadnie. Właśnie dlatego powstały portale stałe, miejsca wydzielone do teleportacji. Takie portale znajdują się też w prywatnych domach, ale żeby przez nie przejść, trzeba uzyskać dostęp od mieszkających tam osób, bo dla obcych są zablokowane. Twoja ciotka ma w domu dwa takie miejsca. Jedno, bardziej oficjalne, w garderobie na piętrze, a drugie, przeznaczone tylko dla najbliższych przyjaciół, w ogrodzie.

– Ach... – Wyglądało na to, że pani Hallander nie uważała Kate ani za bliską przyjaciółkę ani nawet za ubogą krewną, bo nie wspomniała jej o żadnym z portali.

– Skoro Hillena ma o niczym nie wiedzieć, przeniosę cię właśnie do ogrodu – uznała pani Blackout i wyciągnęła rękę.

– Chwyć mnie i o niczym nie myśl.

Takie polecenia w przypadku Kate zwykle odnosiły przeciwny skutek. Mimo to zamknęła oczy i postarała się oczyścić umysł, zdając się całkowicie na panią Blackout, która zaczęła powoli odliczać.

– Raz, dwa...

Na „trzy” pani Blackout ścisnęła dłonie Kate. Siła, z jaką oderwały się od ziemi, sprawiła, że Kate omal jej nie puściła. Mimowolnie otworzyła oczy, odkrywając przy okazji, że już po wszystkim: stały w ogrodzie ciotki Hilleny między ciasno rosnącymi drzewami, które tworzyły dobrze ukryty przed oczami sąsiadów krąg. Kate, na nogach jak z waty, prawie upadła, jednak pani Blackout nadal mocno ją trzymała, w wyniku czego odprawiły coś w rodzaju bardzo skróconej wersji tańca kołowego.

– Ciągłe nie mogę się do tego przyzwyczaić – przyznała Kate, odzyskawszy równowagę. To przeniesienie i tak było lepsze od poprzednich. Teraz przynajmniej nie zbierało jej się na wymioty.

– Przywykniesz. – Pani Blackout uśmiechnęła się do niej raz jeszcze, a potem zrobiła poważniejszą minę. – Powinnam już zniknąć. Dziękuję ci, że przyjęłaś amulet. Ja... – Urwała w pół słowa, jakby nie była zdolna mówić dalej albo zwyczajnie nie wiedziała, co powiedzieć. Odwróciła się.

I wtedy, na sekundę przed tym, gdy pani Blackout się przeniosła, Kate uderzył pewien szczegół z ich rozmowy. Sama się zdziwiła, że dotarł do niej dopiero teraz, bo powinna była od razu zwrócić na niego uwagę.

– Chwilę! – zatrzymała panią Blackout.

– Tak? – Pani Blackout spojrzała na nią niepewnie, jakby bała się, że jeśli zacznie odpowiadać na kolejne pytania, opowie o wszystkim, co chciała zostawić dla siebie.

– Wspomniała pani, że namhajt pomylił nas ze sobą i ścigał mnie. Ale... Skąd pani wiedziała, że to mnie miał odszukać?

Do tej pory Kate była przekonana, że tylko ona i Fion, jej fer, znają całą historię.

Przez moment pani Blackout stała bez ruchu. W końcu wypowiedziała tylko jedno słowo:

– Eos.

Kate rozchyliła usta ze zdumieniem.

– Ale... Jak...?

– Widzimy się w szkole. – Ucięła pani Blackout i zaraz potem znikła. O tym, że przed chwilą tu stała, świadczyła tylko przydeptana trawa.

Dopiero po minucie wpatrywania się w gałęzie i próbie ułożenia myśli, które plątały się jej teraz po głowie, Kate doszła do siebie. Przeciskając się między drzewami i skradając do domu tak, by ciotka nie zauważyła, że idzie od strony ogrodu, wiedziała tylko jedno: musi natychmiast skontaktować się z Fionem.

[\[1\]](#) Dzielnica Londynu (przyp. autora).



Rozdział 2

Podpalacz

– Co? – Dean wytrzeszczył oczy. Teraz jego czarne, zmierzwione włosy wyglądały na jeszcze bardziej zburzone. – Wywalili cię za *podpalenia*?

Jonathan przytaknął.

– Dwa razy.

Dean pokręcił głową z niedowierzaniem. Jonathan lubił robić na nim wrażenie w podobny sposób, patrzeć, jak na jego twarz wpełzają zarazem podziw i strach, tak że nie było już wiadomo, co o tym wszystkim myśli. Pewnie było tak po części dlatego, że Jonathan poza Deanem nie miał żadnych bliższych znajomych, ani teraz, ani nigdy wcześniej. Kiedy to wreszcie się zmieniło, spodobało mu się imponowanie innym.

– Ale... serio? – zapytał Dean. – Naprawdę coś podpaliłeś

czy po prostu... no wiesz, miałeś pecha i oskarżyli cię niesłusznie?

– Hm... Trudno stwierdzić – odparł Jonathan. – To bardziej skomplikowane.

– Jak to skomplikowane?

– No bo wiesz, to nie tak, że używałem zapalek, saletry, czy czegoś w tym stylu. To się po prostu... *działo*.

Dean zmarszczył czoło.

– *Działo?* – powtórzył.

– Tak. Po raz pierwszy, kiedy byłem w przedszkolu. Nie pamiętam już, o co wtedy poszło. Pamiętam tylko, że się wściekłem, zacisnąłem pięści i... trach, zapaliła się zasłona.

– Nieee! – Dean się skrzywił. – Blefujesz.

– Mówię prawdę! – odparł Jonathan.

I faktycznie tak było.

Sam tego nie rozumiał, nie wiedział, skąd brała się ta zdolność. Bez wątplenia jednak ją posiadał. *Umiął* kontrolować ogień. Gdy wtedy, w przedszkolu, wykazał tę zdolność po raz pierwszy, nie miał jeszcze pojęcia, że to *jego* gniew doprowadził do zapłonu zasłon. Z czasem zrozumiał jednak, że ogień nie brał się znikąd. Jonathan zaczął się nim bawić. Zapalał świecę i kontrolował płomień.

– Zaczekaj – powiedział Dean. Wbił wzrok w ławkę, na której siedzieli. Już drugą godzinę włóczyli się po parku, ale dopiero teraz znaleźli naprawdę ciekawy temat do rozmowy.

– Chyba kiedyś czytałem o czymś podobnym, że niby takie zdolności do podpalania rzeczy umysłem zdarzają się u dzieci. Ale wiesz, to było na jakiejś stronie o UFO i poltergeistach. Nie wiedziałem, że to istnieje naprawdę.

Jonathan wzruszył ramionami.

– To już wiesz – powiedział.

– Ale chwilę, bo... Możesz to jakoś udowodnić? No, nie, żebym ci nie wierzył, ale chciałbym wiedzieć, czy nadal potrafisz to robić.

– Potrafię. Masz papierosy?

Jonathan dobrze wiedział, że Dean podkrada papierosy swojemu ojcu.

Dean sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej paczkę papierosów. W środku zostały jeszcze trzy. Podał jednego z nich Jonathanowi z miną, jakby nie był pewien, czy warto poświęcać tak skąpe zapasy na magiczne sztuczki.

Jonathan skupił się na końcówce papierosa i powędrował myślami w stronę pana Northernhama, nauczyciela, którego wyjątkowo nie lubił. Żeby wzniecić ogień, zawsze musiał trochę się zdenerwować. Nigdy przedtem nie zapalał papierosa w ten sposób. Uznał jednak, że nie powinno się to szczególnie różnić od podpalania knota świecy – wystarczy tylko niewielka ilość złości, którą wypuszczał z siebie jak oddech.

Nie mylił się. Poczuł w palcach lekkie mrowienie i końcówka papierosa zapłonęła. Jonathan zdmuchnął ogień i oddał go Deanowi. Ten przyglądał się przez chwilę ręką Jonathana i papierosowi, ale musiał zgodzić się wreszcie, że nie było w tym żadnego podstępu.

– Wow, to niesamowite – powiedział, po czym wyciągnął drugiego papierosa. – Zapalisz?

– Nie. – Jonathan trzymał się w tej kwestii żelaznych zasad. Nie przeszkadzało mu, że Dean pali, ale sam, mimo wielu namów z jego strony, nigdy tego nie robił. Ostatecznie Dean i tak zgasił papierosa i schował go do paczki.

– Myślisz, że można się tego nauczyć? – zapytał z nadzieją.

– Nie. To znaczy, nie sędzę.

– Dlaczego? – naciskał Dean. – Może jednak mógłbyś mnie poinstruować?

– Nie byłbym dobrym nauczycielem – stwierdził Jonathan.

– Dla mnie kontrola nie zawsze jest łatwa, a gdy się nad tym nie zapanuje, bywa naprawdę niebezpiecznie. Pamiętam jedną wredną nauczycielkę, która doprowadziła mnie do szału.

– Podpaliłeś ją? – Dean wstrzymał oddech. Widząc jego entuzjazm, Jonathan pożałował, że w ogóle o tym wspomniał.

Do dziś nie pozbył się z głowy obrazu pani Cartwright, która z jakiegoś powodu postanowiła się na niego wziąć. Już wtedy krążyła o nim opinia podpalacza, a pani Cartwright szczególnie w nią wierzyła i próbowała go usunąć ze szkoły. Uważała, że stanowił zagrożenie dla reszty uczniów. Wciąż go odpytywała, krytykowała jego umiejętności, nawet wygląd.

– W końcu nie mogłem już tego wytrzymać i kazałem się jej zamknąć.

– Co? – Dean omal się nie zakrztusił.

– Powiedziałem jej, żeby się zamknęła – powtórzył spokojnie Jonathan. – Ale to nie wszystko. Najgorsze stało się potem.

Powędrował wzrokiem w stronę wysokich drzew, za którymi przechadzali się spacerowicze. Wśród nich dostrzegł kilkuletniego chłopca. Klócił się ze swoją matką, która wciąż groziła mu szlabanem, jeśli nie przeprosi za jakiś drobny występki. Wydarzenia z przeszłości wróciły do Jonathana ze

wszystkimi szczegółami.

– Kiedy na nią wrzasnąłem – ciągnął – zatrzasnęło się okno. Szyba stłukła się w drobny mak i odłamki omal nie zmasakrowały twarzy którejś z dziewczyn. Wszyscy byli zszokowani, a ja chyba najbardziej. Ta nauczycielka, pani Cartwright, wstała. Jeszcze nie widziałem jej tak wściekłej jak wtedy. Kazała mi powtórzyć to, co powiedziałem. Cholernie się jej wtedy bałem, ale nie mogłem już nic zrobić.

– Niesamowite! – Dean westchnął, jakby marzył, że i on będzie kiedyś w stanie zdobyć się na coś podobnego.

– Mieliśmy wtedy zajęcia w klasie z jakimiś przyborami do chemii. Na szafce przy biurku ktoś zostawił słoik z jakąś substancją, nie pamiętam już, co to było. Ta Cartwright zahaczyła o nią łokciem i...

Krzyk pani Cartwright na nowo rozbrzmiał w głowie Jonathana. Znów widział, jak substancja ze słoika rozlewa się na jej ramię i zaczyna płonąć. Niektórzy uczniowie potrzebowali potem rozmowy z psychologiem, ale byli i tacy, których śmieszył widok wrzeszczącej z bólu nauczycielki. Jonathan nie był w stanie się śmiać, nigdy też nie odczuł satysfakcji z tego, co się wtedy stało. Wciąż miał wyrzuty sumienia, choć usilnie starał się sobie wytłumaczyć, że to nie jego wina.

– Znowu musiałem się przeprowadzić. Za każdym razem, gdy coś mi się przytrafiało, szukaliśmy z matką nowego mieszkania i nowej szkoły.

Dean nadal patrzył na niego z podziwem. Nie rozumiał, jak męczące były te wszystkie przeprowadzki. A mimo wszystko, z jakiegoś powodu, zmiany mieszkań i szkół wydawały się Jonathanowi gładkie. Nikt nie ciągał jego matki po sądach,

w żadnej z kolejnych szkół nie pytali o jego przeszłość. Może było tak dlatego, że nikt nie umiał w racjonalny sposób udowodnić mu winy? Zresztą on sam zrozumiał swoje zdolności bardzo późno...

– Myślisz, że więcej ludzi potrafi to robić? – zapytał Dean.

Jonathan przez chwilę przyglądał mu się nieprzytomnym wzrokiem, a potem szybko odparł:

– Nie.

– Skąd wiesz? Może... – Nim Dean skończył, rozdzwoniła się jego komórka. Chociaż przed odebraniem odszedł na bok, Jonathan i tak usłyszał dobiegający z głośnika huk. Domyślił się, że ojciec Deana wie już o podkradanych papierosach.

Miał rację. Po chwili Dean wrócił z miną jak zbity pies i ze wstydem oświadczył, że musi już iść.



Jonathan wracał do domu autobusem, opierając głowę o szybę, za którą świat rozmywał się w wodnistych smugach. Okłamał Deana, odpowiadając na jego ostatnie pytanie, i cieszył się, że nie mogli już dłużej rozmawiać. W przeciwnym wypadku musiałby wymyślić jeszcze niejedno kłamstwo.

Bo Jonathan dobrze wiedział, że nie był jedyną osobą, która posiadała *moc*. Wiedział o tym od czasu, gdy matka, po latach unikania tematu, postanowiła wreszcie go podjąć.

Byli już po kolejnej przeprowadzce, na razie dopiero drugiej w tym roku – bywały gorsze czasy. Ich rekord stanowiło pięć

przeprowadzek w ciągu zaledwie dziesięciu miesięcy. Jonathan zdążył już rozwiesić plakaty w pokoju, który wybrała mu matka. Zawsze tak robił, gdy wprowadzali się do nowego miejsca. To był mały rytuał, dający mu nadzieję, że wreszcie znajdą dom, w którym zostaną na lata. Matka wślizgnęła się do pokoju i stanęła wyprostowana przy drzwiach.

– Chcę z tobą porozmawiać – oznajmiła tonem łagodniejszym niż zwykle.

Jonathan uniósł na nią zdziwione spojrzenie. Ich rozmowy rzadko były *prawdziwymi* rozmowami. Częściej matka po prostu mówiła mu, co powinien zrobić i jaki powinien być. Tym razem wydawała się jednak zmieniona, może nawet czymś zmartwiona. Usiadła na łóżku i poprosiła go, żeby zrobił to samo.

– Co się stało? – zapytał.

Matka się zawahała. Unikała kontaktu wzrokowego.

– Długo z tym zwlekałam – przyznała powoli – ale chyba nie powinnam była. Muszę ci o czymś opowiedzieć.

– Chodzi o tatę? – zapytał. Jego ojciec był kolejnym tematem, którego unikała.

Odwróciła głowę, odetchnęła, a potem znów spojrzała wprost na Jonathana.

– Nie – odparła. – Chodzi o to, co potrafisz robić. Na pewno już od dawna domyślałeś się, że to nie jest... powszechne, że nie wszyscy to potrafią.

Jonathan pokiwał głową. Nie był już dzieckiem. Doskonale rozumiał, że jego zdolności nie są normalne.

– Że nie wszyscy mogą kontrolować ogień? – odpowiedział.
– Wiem.

– Chciałam cię przed tym ochronić – wyznała niemal desperackim głosem. – Nie chodzi o ciebie samego, ale raczej o tych, którzy mogliby chcieć wykorzystać twoją moc.

– Kto mógłby chcieć? – zdziwił się Jonathan. Nie był na tyle głupi, by publicznie chwalić się swoją mocą, choć zawsze uważał, że jedyne, co mu grozi, to zostanie obiektem doświadczalnym i głównym tematem brukowców.

– Istnieją pewni ludzie, którzy posiadają podobne umiejętności – zaczęła tłumaczyć matka. – Potrafią kontrolować ogień i inne żywioły, unosić się w powietrzu, przekląć kogoś, a nawet w mgnieniu oka przenosić się z miejsca na miejsce. Nazywają siebie czarownicami i czarownikami.

Jonathan zamrugał.

– Wiedźmami? Czarownicami? – odparł. Nie zdziwiło go to, że oprócz niego byli jeszcze inni ludzie z podobnymi mocami. Zawsze czuł, że nie może być jedyny. Ale skąd te dziwne określenia? Kto chciałby nazywać siebie w ten sposób?

– Tak, właśnie tak o sobie mówią. Twierdzą czasem, że ich zdolności są naturalne, ale w większości przypadków to kłamstwo. Wiedźmy potrafią wykraść moce innych ludzi. Gdyby któraś z nich dowiedziała się, że masz podobny... dar, mógłbyś stać się ich celem. Chciałam cię przed tym chronić, dlatego tak często powtarzałam ci, żebyś przed nikim nie ujawniał swoich zdolności.

Matka miała na tym punkcie obsesję. Potrafiła wypytywać go kilka razy dziennie, czy na pewno nikomu nie chwalił się swoimi mocami, ale mimo ciągłych zaprzeczeń nigdy do końca mu nie wierzyła.

– Jak mam bronić się przed czarownicami?

– Przede wszystkim musisz być dyskretny. Najlepiej byłoby, gdybyś wcale nie używał swojej mocy, ale to nie będzie łatwe. Taka zdolność jest jak żądza. Gdy się ją stłamsi, w końcu zniknie. To jednak mogłoby zabrać zbyt wiele czasu, dlatego mam dla ciebie coś innego.

Dopiero wtedy Jonathan zauważył, że matka ścisnęła w dłoni jakiś przedmiot. Gdy postawiła go na stole, dostrzegł, że to niewielka, kamienna figurka. Miała kolor grafitu i przedstawiała mężczyznę z długą brodą i wysoką czapką. Siedział na tronie, a głowę i ręce podpierał wysoką laską, chociaż sam był idealnie wyprostowany.

– Co to jest? – zapytał Jonathan. Figurka wzbudzała w nim dziwny strach, którego nie potrafił wytłumaczyć.

– To magiczny posążek – oznajmiła matka. – Nie liczy się zresztą, co to jest, ale jak działa. Czarownice wierzą w siłę przedmiotów. Według nich rzeczy mogą posiadać moc, podobnie jak ludzie. Ta figurka będzie cię chronić. Nie musisz w to wierzyć, wystarczy, że czarownice wierzą. Zawsze gdy będziesz czuł, że narasta w tobie moc, prześlij ją do figurki.

– Jak mam *prześłać* moc do figurki? – odparł Jonathan. – Poza tym wtedy chyba bym ją zniszczył.

– Nie, figurka się nie zniszczy – zapewniła matka. – Musisz po prostu nakładać na nią ręce i wyobrażać sobie, że twoja moc przechodzi na nią. To powinno przynieść ci ulgę.

Jonathan najpierw podchodził do tego sceptycznie. Posłuchał jednak matki, nawet, jeśli nie do końca jej wierzył. Zwykle jednak nie kwestionował jej poleceń. Z czasem przekonał się, że w figurce rzeczywiście coś było, bo gdy nakładał na nią dłonie, robiła się bardzo ciepła.

W chwilach, gdy był wściekły, mogła wręcz parzyć. Figurka wszędzie z nimi podróżowała i była pierwszą rzeczą, jaką wypakowywali z walizek. Teraz zajmowała miejsce na parapecie w jego nowym pokoju, ukryta za wielką donicą.

Minęły prawie trzy miesiące od ich ostatniej przeprowadzki. Matka zdecydowała, że powinni zamieszkać w Londynie.

– W miejscu, gdzie jest się tak anonimowym, nie powinieneś mieć żadnych kłopotów – stwierdziła – o ile sam ich na siebie nie ściągniesz.

A jednak się myliła, bo kłopoty ściągnęły się na Jonathana same już pierwszego dnia w nowej szkole. Przyszły razem z Melindą Gibbons i Kate Hallander. Tą pierwszą Jonathan niechcący uderzył drzwiami, po czym został przez nią oskarżony o usiłowanie zabójstwa. Ale ta druga przysporzyła mu jeszcze większych kłopotów.

Kate Hallander była chyba najdziwniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkał. Już w pierwszej chwili, gdy ją zobaczył, poczuł coś niezwykłego, zupełnie jakby już się znali. Potem było tylko gorzej. Nagle zakochał się w Mel i zaczął zachowywać, jakby przybył z innej planety, zupełnie zapominając, kim jest. W dodatku wszystko to trwało zaledwie dwa dni, a potem znikło jak zły sen.

Najpierw sądził, że Mel jest czarownicą, ale nie wyglądała na taką. Była raczej głupia i choć bez przerwy potrafiła gadać o astrologii, ani trochę się na niej nie znała. Wszystko wyjaśniło się, gdy pewnego dnia Kate odwiedziła Jonathana w domu. Zaczęła wtedy gadać o czarach i przypomniała mu, że spotkali się w sklepie dla czarownic, należącym do Selene, gdzie Jonathan usiłował zarobić na wakacje.

Na szczęście szybko udało mu się ją spławić. Wściekł się na nią głównie dlatego, że poruszała ten temat w jego domu, a przecież matka nie mogła się dowiedzieć. Jonathan dawno już postanowił, że nie chce całkowicie wyrzekać się swojej mocy, ale matce nigdy nie przeszła paranoja. Nie rozmawiał z Kate aż do końca roku szkolnego i wolał, żeby tak pozostało. A ze sklepu Selene się zwolnił, tak na wszelki wypadek. W rezultacie zarobił tylko na nową deskorolkę, ale lepsza taka przyjemność niż żadna.

Przypomniawszy sobie o deskorolce, Jonathan wyjął ją spod siedzenia i zaczął znów oglądać. Była żółto-czarna, już oklejona podobiznami idoli Jonathana: Micka Jaggera i The Smiths. Tak się w nią zapatrzył, że mało brakowało, a przegapiłby swój przystanek.

Deszcz zdążył już zamienić się w mżawkę, która ustała niedługo potem. Ostatni odcinek drogi do domu Jonathan pokonał na deskorolce. Gdy tylko otworzył drzwi, poczuł zapach curry i kurczaka.

– Jestem! – zawołał.

– Świetnie! – Dobiegł go głos matki, która wcale nie była w dobrym humorze. Gdy tylko stanął w progu kuchennych drzwi, wytknęła mu, że nie wrócił na lunch.

– Są wakacje...

– Wakacje, dobre sobie – ofuknęła go. – A ty zapomniałeś, że masz cukrzycę.

Rzuciła mu surowe spojrzenie. Śmieszyło go trochę, gdy to robiła, teraz, gdy przerósł ją o głowę. Nie bał się jej już tak jak kiedyś, a żyli bardziej obok siebie niż razem. Jonathan sądził, że wynikało to z różnicy charakterów. Matka lubiła mieć wszystko i wszystkich na oku, a on próbował zgarnąć

dla siebie jak najwięcej wolności i samotności. Fizycznie byli jednak bardzo do siebie podobni. Mieli takie same ciemnobrązowe włosy, oboje byli też szczupli i wysocy.

– Nie zapomniałem, zjadłem coś – odparł Jonathan, starając się mówić cierpliwie. – Co gotujesz? – zapytał, żeby sprowadzić rozmowę na inny tor. Uniósł pokrywkę i spróbował sosu.

– Zostaw, jeszcze niegotowe. – Matka zakryła patelnię z powrotem. – Naprawdę wolałabym, żebyś mówił mi, dokąd wychodzisz.

– Byłem z Deanem. To kolega z klasy.

– Po tym, jak umawiałeś się z tą rudą Gibbons, ani trochę nie ufam ludziom z twojej nowej szkoły.

Ponieważ zapowiadało się, że matka nie da za wygraną i będzie zarzucać go pretensjami, Jonathan musiał zmienić temat. Na szczęście miał coś w zanadrzu.

– Skoro już jesteśmy przy temacie wakacji – zaczął – to pomyślałem sobie, że może w tym roku moglibyśmy gdzieś pojechać?

Odkąd pamiętał, nigdy nie jeździli latem na wycieczki. Przez ciągłe wyprowadzki czuł się, jakby bez przerwy byli w drodze, ale to przecież nie to samo.

Matka zaczęła mieszać sos, nawet na moment nie unosząc wzroku znad patelni. Jonathan wiedział, dlaczego: nie miała dość pieniędzy na wyjazd i nie chciała przyznać tego wprost.

– Mógłbym znaleźć sobie znów jakąś dorywczą pracę – zaproponował. – No wiesz, tak jak ostatnio w tym... sklepie odzieżowym.

– Nie, nie wiem – odparła ostro. – Niewiele mi o nim mówiłeś.

– Daj spokój – zniecierpliwiał się Jonathan. – Przecież wiesz, że wcale nie było o czym. Poza tym nie musisz być złośliwa.

To wystarczyło, by wyprowadzić ją z równowagi. Trzasnęła pokrywką o patelnię.

– Nie jestem złośliwa. Raczej staram się zrozumieć, o co ci chodzi!

Jonathan zmarszczył czoło. Matka miała rację – wyjazd był tylko pretekstem do czegoś jeszcze. Mimo wszystko postanowił iść w zaparte:

– A niby o co miałyby mi chodzić?

– Nigdy nie zależało ci na wyjazdach. Skąd ta nagła zmiana?

– Bo może w końcu... – Jonathan zacisnął usta. Matka posłała mu przenikliwe spojrzenie. – No dobrze – powiedział. – Więc pomyślałem sobie, że może moglibyśmy... Hm... Właściwie to powinniśmy... pojechać do tego miasteczka, gdzie... Sama wiesz.

Zamarła z drewnianą łyżką w ręku. Jej twarz nagle pobladła. Można było spodziewać się właśnie takiej reakcji.

– Gdzie? – zapytała nieswoim głosem i odwróciła się. Zaczęła gorączkowo porządkować słoiczki z przyprawami.

– Tam, gdzie zginął tata.

Atmosfera w kuchni zrobiła się nieznośnie napięta, mimo że przez kilka kolejnych chwil panowała cisza przerywana tylko pobrząkiwaniem przestawianych słoiczków.

– Dlaczego nie mielibyśmy tam pojechać? – odezwał się znów Jonathan, czując, że skoro odważył się już złamać tabu, nakazujące im milczeć o ojcu, może mówić dalej. – Nie sądzisz, że powinniśmy raz na zawsze rozprawić się z przeszłością? Mój sen...

– Sen? – Matka zdawała się nie rozumieć, o czym mówił. *Udawała, że nie rozumie.*

– Mówiłem ci o nim wiele razy. Ten, który prześladowuje mnie od dzieciństwa. Myślę, że może mieć związek z ojcem.

– Niby dlaczego? – prychnęła.

– Sam nie wiem. Trudno powiedzieć... Zresztą nieważne. Po prostu czuję, że powinniśmy odwiedzić tamto miejsce.

Nic na to nie odpowiedziała. Wyjęła z szafki talerze i zaczęła rozlewać sos.

– Rozumiem, że to nadal sprawia ci ból – ciągnął Jonathan – ale może tak uda ci się od tego uwolnić? Mnie też. Nie mogę już znieść tego, że nie wiem prawie nic o swoim ojcu. To tak, jakby ktoś wyrwał mi kawałek życia. A ty nigdy nie chciałaś mi o nim opowiedzieć. Nie wiem nawet, jak wyglądał. Dlaczego nie mamy w domu jego zdjęć? Dlaczego milczysz, kiedy o niego pytam? Dlaczego...?

– Dość! – przerwała mu. Położyła talerz na stół tak gwałtownie, że ochlapała blat sosem. – Siadaj i jedz.

– Nie! – krzyknął Jonathan, zupełnie tracąc nad sobą panowanie. – Powiedz mi wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi! Czego się boisz? Mam dość modlenia się do idiotycznych figurek! Nie chcę pewnego dnia zacząć przypominać cienia samego siebie, tak jak ty!

Nawet nie zauważył, kiedy jej ręka powędrowała w górę. W kuchni rozległ się odgłos uderzenia, a Jonathan poczuł, jak nagle zapiekł go policzek.

Spojrzał na matkę zaszokowany. W jej oczach dostrzegł jedynie furję. Nic już nie powiedział. W kuchni zapanowała zupełna cisza, a w gardle Jonathana wyrosła nagle potężna gruda. Odwrócił się, nim oczy zasły mu łzami. Schody

prowadzące na górę pokonał tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Jonathan! – Usłyszał za sobą głos matki na chwilę przed tym, jak zamknął się w pokoju.

Usiadł na łóżku i zakrył twarz dłońmi. Cały się trząsał i nie mógł złapać tchu. Matka stanęła pod drzwiami i zaczęła uporczywie w nie pukać, ale on odpalił muzykę na cały regulator. Nie chciał teraz słyszeć jej głosu. I nie chciał, by ona usłyszała jego płacz.



Rozdział 3

Nieodwołalnie postanowione

Kate udało się dostać do domu tak, żeby ciotka jej nie zauważyła. Od razu przemknęła do swojego pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Oparła się o nie, wzięła kilka głębokich wdechów – które wcale nie pomogły jej się uspokoić – i przywołała Fiona.

Było to dość proste. Wystarczyło, że skupiła na nim myśli i głośno wypowiedziała jego imię, a on pojawiał się znikąd, gdziekolwiek by nie był. Miało to też swoje minusy, bo czasami zaskakiwał ją znienacka, zarzekając się, że wyczuł, że znalazła się w poważnych tarapatach. Później Kate skojarzyła fakty i odkryła, że dziwnie często wpadała w tarapaty akurat wtedy, gdy nadawano listę przebojów na MTV. Najwyraźniej Fion poważnie uzależnił się od telewizji.

Wyglądało na to, że tym razem Kate oderwała go od jakiegś

pracy. Fion miał na sobie fartuch umazany szarą mazią, a jego bujne, ciemne włosy pełne były odłamków czegoś, co przypominało skorupki. Na jego twarzy odmalowała się ulga.

– Och, Kate, nawet nie zdajesz sobie sprawy, od czego mnie wybawiłaś! – powiedział. – Badb zmusiła mnie do obierania łupek-pancerzanek. Ma ich chyba z dziesięć tuzinów i chce je wszystkie zamarynować przed Lughnasad^[2], bo sprosiła prawie całą rodzinę.

Kate nie wydawała się zainteresowana ani tym, co to są łupki-pancerzanki, ani dlaczego Fion mówił o Badb, swojej matce, używając jej imienia.

– Siadaj – powiedziała, a sama ruszyła w stronę okna i oparła się o parapet.

– A co to za mina? – Fion zdjął fartuch, pod którym miał czystą, białą przepaskę, i usiadł na łóżku, tyłem do lustra, w którym odbiły się jego niebieskie, motyle skrzydła.

– Musimy pogadać – odparła Kate. Narastał w niej coraz większy niepokój. Fion wpatrywał się w nią uważnie, a gdy skończyła zdawać mu relację ze spotkania z panią Blackout, szeroko otworzył swoje i tak duże oczy.

– A więc sądzisz, że ona o wszystkim wie? – zapytał z przerażeniem.

Jego reakcja była zrozumiała. Wydarzenia ostatnich miesięcy miały pozostać tajemnicą.

Wszystko zaczęło się od kamienia, kamienia z Księżyca. Erato, nimfa pragnąca zostać co najmniej władczynią Jaaru, postanowiła go wykraść. Ponieważ nie mogła zrobić tego samodzielnie, posłużyła się Kate. Wprawdzie plan Erato nie wypalił, ale kiedy było już po wszystkim, kamień uparł się, by nie wracać na swoje miejsce, i pozostał w ciele Kate.

I teraz zapowiadało się na to, że przysporzy jej jeszcze więcej kłopotów niż do tej pory.

Kate nie podobała się odpowiedź, której miała udzielić Fionowi, ale przecież nie mogła oszukiwać samej siebie.

– Tak – przyznała – jestem pewna, że ona wie. W przeciwnym wypadku nie wspomniałaby przecież o Eos.

Eos była królową księżycy i dotychczas Kate spotkała ją tylko raz. Do dziś nie była jednak pewna, czy to spotkanie naprawdę się odbyło. Świat Eos przypominał pogranicze jawy i snu, a ona sama wyglądała, jakby utkano ją z zupełnie innej materii niż wszystkie inne istoty. To ona poprosiła Kate, by została strażniczką kamienia.

Fion zaczął skubać wargę i myśleć.

– Zaczekaj, Kate. Przecież na dobrą sprawę nie wiesz, co Eos mogła powiedzieć pani Blackout. Jak rozumiem, z tobą wciąż się nie skontaktowała?

– Eos? Nie. – Kate pokręciła markotnie głową. Bolało ją to, że Eos zostawiła ją samej sobie, z wątpliwościami i poczuciem ciągłego zagrożenia. – Nie miałam żadnych wizji związanych z Eos, nie licząc dziwacznych snów.

– Snów? – Fion podniósł się z łóżka. – A więc Eos ci się śniła?

– No... tak. – Kate wzruszyła ramionami. – Ale to chyba nic szczególnego.

Fion tak się rozgniewał, że Kate niemal spodziewała się zobaczyć parę wychodzącą z jego uszu.

– Nic szczególnego?! – zawołał. – Eos jest *panią księżycy*, a sny to bramy do jej świata. Jak inaczej miałyby się z tobą kontaktować, jeśli nie przez nie? Od kiedy ci się śni?

– Ehm... – Kate aż bała się odpowiedzieć. – Właściwie to od

samego początku, gdy tylko ją poznałam.

– Zapisywałaś te sny? – zapytał Fion z nadzieją. Płoną nadzieją, bo przypuszczał, że Kate zaprzeczy. Wyglądał na naprawdę zawiedzionego. – Czyli to stracone. Teraz na pewno nie zdołasz sobie ich przypomnieć... Trudno, powinienem był kazać ci zapisywać sny od samego początku. Zawsze tak się robi, tylko że było to dla mnie zbyt oczywiste i znów zapomniałem, że to, co dla mnie jest normą, ciebie zaskakuje.

– Tak naprawdę to wcale nic straconego – stwierdziła Kate.
– Sen jest zawsze taki sam i wciąż go pamiętam, choć ani trochę nie rozumiem.

Fion się ożywił.

– Tak? Opowiedz mi, co ci się śni. Może będę umiał ci pomóc.

– Te sny pojawiają się zwykle nad ranem, o świcie. Zdaje mi się, że otwieram okno, siadam na parapecie i patrzę w niebo. Kiedy nabiera czerwonego koloru, chmury stają się jakby delikatniejsze, przypominają dym. Po pewnym czasie ten dym zaczyna przybierać kształt włosów Eos, aż wreszcie wyłania się z niego cała jej sylwetka. Czasem... czasem widzę też kształt Jawisa i słyszę jego rzenie.

Ostatnie zdanie Kate wypowiedziała szybko, chcąc uprzedzić ściśnięcie gardła, którego doświadczała za każdym razem, gdy przypominała sobie jednoroźca.

– On też ci się śni? – zapytał Fion, posyłając jej wyrozumiałe spojrzenie. Pokręciła głową.

Jawis był pierwszą istotą, którą Kate poznała w Jaarze. Zginął w jej obronie, gdy wraz z nią walczył z Erato.

– Wiesz, myślałam, że ten sen nawiedza mnie dlatego, że

nadal nie wzięłam jego rogu – powiedziała Kate, siląc się na swobodniejszy ton. Wciąż prześladowała ją myśl, że nie spełniła ostatej próśby Jawisa: chciał, żeby zabrała jego magiczny róg. Razem z Fionem próbowali to zrobić, ale się im nie udało i omal nie zginęli wtedy w starciu z o wiele większym i wrogo nastawionym jednorożcem. Wszystkich dziwił fakt, że Kate w ogóle potrafiła porozumiewać się z jednorożcami, bo – choć na początku wcale o tym nie wiedziała – okazało się, że to rzadka umiejętność. Według Fiona mogło ją wyjaśnić tylko to, że Kate była taliesinką, wiedźmą z praktycznie niewidoczną energią magiczną, ale za to z dużą mocą psychiczną.

– Ale dlaczego sny o Jawisie miałyby się wiązać ze snami o Eos? – zapytał Fion.

– Nie mówiłam ci tego, ale wtedy, gdy byłam w jej krainie... No, na księżycu... Rozmawiałam z nim. Wiem, że to brzmi dziwnie, bo przecież on już wtedy nie żył, ale tak było! Pamiętam, że widział Eos inaczej niż ja. Dla niego była zieloną jednorożnicą, a dla mnie po prostu niezwykle wysoką kobietą z seledynowymi włosami. – Westchnęła. – Wiem, to brzmi niedorzecznie.

– Wcale nie – odparł Fion całkiem poważnie. – Ja ci wierzę. To zupełnie naturalne, że tak się czułaś w jej królestwie. Zniekształcenia, wizje, niedopowiedzenia, to wszystko domena księżycy. Tak samo jak sny. Sęk w tym, że jeśli nie znajdziesz odpowiedniego klucza symboli, nie zrozumiemy ich.

– Klucza symboli?

– Dokładnie tak. To wszystkie rzeczy, które kojarzą ci się z danym symbolem. Na przykład kiedy śni ci się woda, może

to oznaczać wyprawę, jeśli jesteś żeglarką, ale jeśli nie potrafisz pływać, wtedy sen może wróżyć coś niebezpiecznego.

– To coś w rodzaju sennika? – odparła Kate. Fion jej nie zrozumiał, więc uściśliła: – To taka książka, w której są opisane znaczenia snów.

– Nieee, my nie używamy takich rzeczy. Chodzi o to, że każdy ma swoje własne skojarzenia i sam powinien je zrozumieć, chociaż ktoś bardziej doświadczony może pomóc. No, spróbujmy rozszyfrować twój sen. Kto wie, czy nie okaże się jakimś ostrzeżeniem albo przekazem związanym z panią Blackout.

– Dobrze, to co mam robić? – Kate zapaliła się do tego pomysłu.

– Najlepiej, żebyś przywołała sen w pamięci. Musimy mieć pewność, że nie umknął ci żaden szczegół. Spróbuj usiąść na parapecie tak, jak robisz to we śnie, a potem skup się na wspomnieniach.

Kate otworzyła okno, ale gdy tylko przypomniała sobie, że znajduje się na pierwszym piętrze, a dom ciotki jest wysoki, zawahała się.

– A jeśli spadnę?

Fion zrobił niewinną minę.

– Cóż, Kate, magia jest niebezpieczna i czasem wymaga poświęceń.

Kate zmrużyła oczy. Miała ochotę cisnąć czymś w Fiona.

– Nie zapomnę ci tego – zagroziła, gromiąc swojego fera wzrokiem, a potem wspięła się na parapet. Sąsiad z domu naprzeciwko, pan Challis, sam nieomal wypadł przez okno, kiedy ją zobaczył. Chyba sądził, że chciała skoczyć, ale

uspokoił się, widząc, że Kate tylko siedzi i patrzy w niebo. Życzyła mu nawet dobrego popołudnia, a dla niepoznaki – żeby nie myślał, że gada sama do siebie – wyjęła telefon.

– No i co teraz? Myślę o śnie, ale jakoś w głowie nie pojawiają mi się żadne związane z nim szczegóły. Pamiętam tylko to, o czym już ci opowiedziałam.

– Hmm... – mruknął Fion. – To wymaga czasu. Zastanów się nad każdą rzeczą, jaką widzisz w śnie. Oprócz Jawisa i Eos, były tam: jutrzienka, niebo, chmury i dym. Z czym ci się one kojarzą?

– Z powietrzem. – Kate odpowiedziała tak tylko dlatego, że знаła już tradycyjne skojarzenia tych rzeczy z żywiołami.

– A ściślej? Z czym kojarzy ci się, powiedzmy, dym?

Niemal od razu Kate przypomniała sobie, jak omal nie udusiła się w świątyni rodziców Fiona, gdy próbowała kontrolować dym unoszący się z kadzideł.

– Nie, to nie ma sensu – powiedziała, schodząc z parapetu.
– To wszystko wcale mi się z niczym nie kojarzy.

– Kate, ale to naprawdę może być istotne – zmartwił się Fion, jednak po chwili zrobił minę, jakby go olśniło. – Zaraz, zaraz... – powiedział i zaczął chodzić po całym pokoju, mruczając coś pod nosem. Kate wpatrywała się w niego z obawą. Jego pomysły już wiele razy przysporzyły jej więcej kłopotów niż pożytku.

– Co mówisz?

– Powtarzam słowa przepowiedni – odparł. – Wiesz, teraz znam ją już na pamięć.

– Przepo... Ach, tej przewodni! – zawołała Kate. Podeszła szybko do drzwi i wyjrzała przez dziurkę od klucza, żeby upewnić się, że w pobliżu nie ma ciotki. – I co w związku

z nią? – zapytała. Nie zdziwiło jej, że Fion znał ją na pamięć, skoro bez przerwy o niej myślał.

Przepowiednia została im podyktowana przez babcię Fiona, Annwynn, ale Kate nie zaprzętała sobie nią głowy, bo wciąż nic z niej nie rozumiała.

– No jak to co? – odparł Fion. – Przecież tam są zapisane nasze losy. Skąd, jeśli nie z przepowiedni, mamy dowiedzieć się, czy coś ci grozi?

– Tylko że nadal nie wiemy, czy ona dotyczyła nas – przypomniała mu Kate.

– Dla mnie to oczywiste. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem pewien, że chodziło o nas. Babcia wygłosiła ją trzy razy, za każdym razem dotykając kogoś z nas. Mnie, ciebie, a potem Jawisa. Ty też powinnaś lepiej przyjrzeć się przepowiedni. Posłuchaj.

I mimo zniechęconej miny Kate, Fion wyrecytował całą przepowiednię na nowo:

*Trzech wrogów na niebie odkryje noc
I na siły podwójnej jedno zawołanie
Pośrodku serca wielu światów
Trzech Proroków na ziemi powstanie.
I wtedy mroczna przebudzi się moc.*

*Pierwszy prowadzić będzie do wrót,
Drugi pięć potęg połączy w parę,
Z otchłani początku przyzwie je,
A trzeci najwyższą złoży ofiarę.
Lecz jeden cel tylko będzie ich wiódł.*

*A wraz z Jej oddechem powróci ten,
Którego pradawna słodka pieśń chwali.
Ten, co odzyskał skradziony skarb,
Przyjaciel, co nigdy się nie oddalił,
Który jest jawą, a zwali go snem.*

– Posłuchaj – powiedziała Kate. – Nawet jeśli to o nas, to nadal niewiele z tego rozumiem i o ile... – Urwała, bo w tym momencie zadzwonił jej telefon. Spojrzała na wyświetlacz i z przerażeniem odkryła, że to ciotka. Fion zaczął chciwie patrzeć na komórkę. Odkąd został ferem Kate, zaczął przejawiać niezdrową, jej zdaniem, fascynację technologią.

– Halo? – odebrała niepewnie. Miała nadzieję, że pani Hallander nie usłyszała dzwonka telefonu. Na szczęście wyglądało na to, że nie.

– Gdzie jesteś, Kate?

– Uhm... Już prawie w domu. Będę za chwilę.

– Dobrze. Czekam na ciebie.

Kate się rozłączyła i spojrzała na Fiona.

– Przykro mi, ale musisz już iść. I tak nakłamałam ciotce, żeby umówić się z panią Blackout i jeszcze znaleźć czas na rozmowę z tobą. Potem dokończymy. – Po sekundzie, nie chcąc odprawić Fiona tak bezpardonowo, dodała: – Wspomniałeś coś o jakichś pancernikach? – Powędrowała wzrokiem w kierunku brudnego fartucha, który Fion zakładał z powrotem.

– Ach, tak. Będę musiał wrócić do pracy – powiedział. – Organizujemy to całe przyjęcie z powodu Fione. – Zrobił skwaszoną minę. Fione była jego siostrą-bliźniaczką i nie znosili się z całego serca. – Zaręczyła się.

– Co? – zdziwiła się Kate. Fion i Fione byli mniej więcej w jej wieku, stanowczo zbyt wczesnym na zaręczyny. – Z kim?

– Tego jeszcze nie wiemy. Rodzice ogłoszą to podczas święta, ale założę się, że to będzie spora niespodzianka, skoro urządzają takie przyjęcie. – Urwał i zaczął się nad czymś zastanawiać. – Kate, jak sądzisz... Czy mógłbym przenieść się do lasu, wydłużyć sobie drogę do domu i powiedzieć Badb, że zatrzymałaś mnie na dłużej?

– Nie – odparła zdecydowanie Kate. – Po naszych przeprawach z Erato nie powinieneś się już narażać.

Fion westchnął i zniknął, nie pstrykając nawet palcami, co zwykle robił dla dodania efektu. Kate czuła się trochę lepiej, sprowadziwszy go na dobrą drogę, zwłaszcza że sama miała zamiar za chwilę oszukać ciotkę.

Tyle że powodzenie jej oszustwa wcale nie było takie pewne. Miała przed sobą pokonanie schodów i przejście przez salon tak, żeby pani Hallander niczego nie zauważyła. W dodatku musiała zrobić to dziś już po raz drugi. Od razu, gdy tylko ruszyła na dół, wydało się jej, że schody zrobiły się nagle wyjątkowo strome i zaczęły złośliwie skrzypieć – nie wspominając już o tym, że miała wrażenie, jakby liczba stopni co najmniej się potroiła.

Z każdym krokiem Kate denerwowała się coraz bardziej. Była już w połowie drogi do drzwi frontowych i ulgi, która miała przy nich czekać, gdy nagle usłyszała ciotkę.

– Och, jesteś!

Kate w mgnieniu oka się odwróciła, udając, że wcale nie szła do drzwi. Ciotka Hillena sprzątała salon i wyglądało na to, że jest w bardzo dobrym humorze.

– Taaak... jestem – odparła powoli Kate.

Ciotka, która dotąd wycierała kurz z telewizora, odwróciła się w jej stronę. Kate zauważyła, że jej fryzura jest nieco zburzona. Była skłonna uznać, że to nie przypadek: włosy pani Hallander nie śmiałyby sprzeciwić się jej woli.

– Nie słyszałam, jak wchodziłaś – powiedziała ciotka, marszcząc czoło. – I wydawało mi się, że zamknęłam drzwi na klucz.

Zapanowała chwila konsternacji, gdy ciotka i Kate wpatrywały się w siebie uważnie, przy czym ta druga niemal niezauważalnie zmieniła minę na taką, by wyglądać jak uosobienie niewinności. Wreszcie pani Hallander machnęła ręką.

– Nieważne – uznała i dopiero teraz Kate poczuła upragnioną ulgę. Westchnienie musiała jednak rozłożyć na raty, bo zbyt głośne wypuszczenie powietrza mogłoby wzbudzić wątpliwości ciotki. Postanowiła sama zacząć rozmowę:

– Wiedziałaś, że Fione bierze ślub? – zapytała.

– Tak – odparła ciotka, wracając do dalszego ścierania kurzu. – Bada coś mi wspominała.

– I nie dziwi cię to?

– Dlaczego miałoby?

– No bo... Ona jest dość młoda, prawda?

– Cóż, fery mają swoje zwyczaje dotyczące zaręczyn i zaślubin. Wszystko odbywa się dość szybko, ale to dlatego, że zgodnie z ich tradycją można wziąć ślub tylko na rok i jeden dzień, żeby spróbować ze sobą pożyć. Potem, jeśli małżonkowie nadal chcą być ze sobą, mogą związać się ślubem na całe życie lub nawet wieczność... No ale nie

musisz martwić się o Fione. Na pewno nie ma w tym żadnego przymusu.

– Ciekawe za kogo wyjdzie – zastanawiała się Kate. – Mam nadzieję, że nas zaproszą.

– Pewnie tak – stwierdziła ciotka bez większego zaangażowania.

– No, a ty? – zapytała Kate, zbyt późno zdając sobie sprawę, że brzmi to, jakby sugerowała ciotce zamążpójście czy inne podobne bzdury.

– Co ja? – Ciotka odskoczyła od telewizora tak gwałtownie, jakby czaił się za nim przyszły mąż, po czym wbiła wzrok w Kate.

– Chciałaś o czymś ze mną porozmawiać. – Kate szybko się zreflektowała.

– Ach, tak, racja. Ale to nic wielkiego. Chciałam powiedzieć ci wcześniej, ale tak szybko wyparowałaś z domu, że już nie zdążyłam.

Na wszelki wypadek Kate usiadła na sofie. W końcu z ciotką nigdy nic nie wiadomo, zwłaszcza kiedy chce ci coś powiedzieć.

Pani Hallander położyła miotełkę do kurzu na stoliku.

– Bo widzisz – zaczęła – zastanawiałam się ostatnio nad twoją magiczną praktyką.

– I co z nią nie tak? – odparła Kate, gotowa do obrony. Lub ataku, jeśli będzie trzeba.

– Och, nie chodzi o to, że coś z nią nie tak. Wykonujesz wszystkie ćwiczenia, znasz narzędzia, Fion oprowadza cię po Jaarze. Robisz całkiem sporo.

– Dobrze powiedziane – mruknęła Kate pod nosem. Odkąd tylko skończyła się szkoła, miała wrażenie, że nie ma

żadnych wakacji. Wstawiała rano, żeby medytować nad siłami żywiołów i ćwiczyć przesyłanie energii za pomocą athame, a w każdy wtorek i czwartek Fion zabierał ją do Jaaru. Nie żeby nie lubiła tych wycieczek. Jaar był piękny, tylko że oni wcale nie podziwiali widoków. Zamiast tego zamykali się w świątyni i na zabawkowych narzędziach ćwiczyli odprawianie rytuałów. Wieczorami z kolei Kate stawiała tarota, bo zarówno Fion jak i ciotka uważali, że jest w tym świetna. W rezultacie tego wszystkiego pod koniec dnia orientowała się, że właściwie wcale nie ma czasu na życie prywatne.

– Chciałabym, żeby to wszystko było dla ciebie bardziej naturalne – mówiła dalej ciotka. – Żebyś poznała więcej czarownic, najlepiej w swoim wieku. Takich, które miały kontakt z magią od dzieciństwa.

– Nie znam takich osób – odparła Kate, mając nadzieję, że to zakończy temat. Jednak ciotka Hillena z niezwykle zadowoloną miną oświadczyła:

– Właśnie dlatego już coś zaaranżowałam.

– Słucham? – Kate ani trochę nie podzielała jej entuzjazmu. Była raczej zaniepokojona.

– To świetny pomysł! – zawołała pani Hallander, jeszcze nim Kate dowiedziała się, przeciw czemu będzie protestować.

– A więc... – Ciotka dosiadła się do niej i spojrzała na nią jak na zwyciężczynię bardzo prestiżowego konkursu. – Selene zaprosiła nas na dwa tygodnie do swojego nadmorskiego domu w Hagsborough!

Oczekiwała chyba okrzyku radości; zamiast niego dostała tylko pełne niedowierzania spojrzenie.

– Gdzie? – zapytała Kate.

– To miasteczko na północnym wybrzeżu. Jest tam mnóstwo czarownic, a Selene proponuje nam wyjazd, żebyś się trochę obyla. Sama rozumiesz.

– I ty się zgodziłaś? – zapytała Kate, stwierdzając, że nie trzeba już dodawać: „Nie pytając mnie o zdanie?!”.

– Oczywiście! – zawołała pani Hallander tonem osoby, której w życiu nie przyszłoby przez myśl pytanie ludzi o zdanie w dotyczących ich kwestiach. – Słuchaj, Selene weźmie ze sobą swoją córkę, Dianę, a Diana zaprosiła swoich znajomych, bliźnięta Andrews: Toma i Lilian.

– Nie pomyślałaś o tym, że będę się tam źle czuła?! – krzyknęła Kate, wstając z sofy ze zdenerwowania. – Przecież oni wszyscy się znają, a ja będę zupełnie nowa!

Ciotka spojrzała na nią z oburzeniem.

– Pomyśl tylko, jak wiele będziesz mogła się od nich nauczyć – powiedziała, zdumiona, że można wzgardzić taką okazją.

– Tyle że *ja* mam już inne plany – powiedziała Kate. – Pod koniec lipca wybieram się z Mel pod namioty.

– Chyba zwariowałaś! – prychnęła ciotka.

– Zadzwońię do taty – zagroziła Kate. – On na pewno pozwoli mi jechać.

Właśnie dlatego została na wakacje w Londynie: żeby zaplanować je z Mel.

Ciotka również wstała.

– Nie kłopotz się. Rozmawiałam już z Bradem – oznajmiła obrażonym tonem. – On uważa wakacje z Selene za świetny pomysł.

Kate poczuła, jak fala gorącej wściekłości zmienia się w zimny gniew.

– No tak – wycedziła – mogłam się tego spodziewać. W końcu nie po raz pierwszy ustawiacie mi życie po swojemu. Nieważne. Mogę jeszcze pogadać z mamą.

Ciotka westchnęła z dezaprobatą.

– Nie sądzisz chyba, że to na miejscu, żeby jeszcze bardziej skłócać rodziców ledwo po tym, jak się rozwiedli – powiedziała. – Poza tym... Kate, powinnaś mieć do nas trochę więcej zaufania. A Hagsborough to naprawdę świetne miejsce.

– Chyba dla ciebie – odparowała Kate, za co ciotka zgromiła ją wzrokiem. – Jak w ogóle możesz mówić do mnie o zaufaniu? Jakoś o portalach stałych w domu wcale mi nie powiedziałaś!

– Portalach? Skąd o nich wiesz?

Kate zawahała się. Jedno słowo więcej, a wygadałaby się na temat dzisiejszej rozmowy. To, czego by nie dopowiedziała, ciotka z pewnością wyciągnęłaby z niej sama, umiejętnie ciągnąc ją za język.

– No... Fion coś wspominał o podobnych rzeczach, więc uznałam, że ty też musisz mieć coś takiego.

– A i owszem, mam. Przenośnia jest na piętrze.

– Przenośnia? – zapytała Kate z zażenowaniem. Kto nazwałby w ten sposób miejsce do teleportacji?

– To ja wymyśliłam tę nazwę – oznajmiła ciotka. – Nic ci o niej nie mówiłam, bo przecież i tak nie umiesz się jeszcze teleportować.

– Więc się nauczę. Sama. Tutaj. Albo pod namiotami. Przyjmij do wiadomości, że nigdzie z tobą nie jadę.

I nim ciotka zdążyła cokolwiek odpowiedzieć – a sądząc po tym, jak szeroko otwarła usta, próbowało się przez nie

przecisnąć mnóstwo słów – Kate uciekła na górę. Kolejnym, co usłyszała pani Hallander, było głośne trzaśnięcie drzwiami. Ze świeżo odkurzonych ścian posypał się tynk.

– Wielkie nieba – powiedziała pani Hallander sama do siebie. – Znowu trzeba będzie je przemalować.

[2] Święto Żniw obchodzone przez fery i czarownice.



Rozdział 4

Wycinki z gazet

Wiatrak zawieszony u sufitu w pokoju Jonathana kręcił się powoli, poruszając odklejającym się od ściany plakatem Nightwish. Jonathan leżał beczynn timer już od kilku godzin, obojętnie obserwując, jak w pokoju robi się coraz ciemniej. Nie zapalił światła, a laptopa wyłączył już dwie godziny temu, gdy matka przestała wreszcie pukać i prosić, by ją wpuścić. Nie zszedł na kolację.

Początkowo natłok myśli w jego głowie był tak wielki, że nie wiedział nawet, której z nich się uczepić. Potem chaos zaczął opanowywać się jakby sam, a gniew i ból, wraz z upokorzeniem, ustąpiły chłodnemu zacięciu. Nie miał zamiaru odzywać się do matki. Miał nadzieję, że w ten sposób uda mu się zranić ją choć trochę tak, jak ona zraniła jego.

Nie rozumiał, dlaczego to zrobiła. Zawsze była porywacza, to prawda, ale nigdy wcześniej go nie uderzyła. Dlaczego jego pomysł tak bardzo ją zdenerwował? Zresztą to nieważne. Jeśli nie chce wybrać się z nim do miejsca, gdzie zginął ojciec, nie musi. Jest już przecież dorosły, równie dobrze może pojechać tam sam. A na miejscu postara się dowiedzieć o ojcu wszystkiego, co przed nim ukryła.

Był niemal pewien, że sen, który prześladował go od dzieciństwa, miał coś wspólnego z ojcem. Wizja zawsze była taka sama – Jonathan stał samotnie na długiej, ciągnącej się aż po horyzont drodze i wpatrywał w gęsty las. Niebo było ciemne, ale w oddali dało się dostrzec jakieś światło. Jonathan zerkał na nie raz po raz, jakby bał się, że jeśli nie będzie tego robił, światło zgaśnie. Był małym chłopcem i czekał na kogoś, kto zostawił go tylko na chwilę.

Wreszcie spomiędzy drzew, zawsze z tego samego miejsca, wyłaniała się postać. W niemal całkowitym mroku Jonathan dostrzegał jedynie zarys sylwetki. Ktoś powoli zbliżał się w jego stronę. Każde uderzenie obcasów o asfalt odbijało się echem, które nikło w starciu z konarami drzew. W miarę jak obcy zbliżał się do Jonathana, padało na niego coraz więcej światła. Nigdy jednak nie oświetlało ono jego twarzy. Z pewnością był to jednak mężczyzna. Miał na sobie poszarpaną, brudną od krwi koszulę i dzinsy zakrywające ubłocone buty. Gdy stawał przed Jonathanem, zdawało się, że wilgoć unosząca się w powietrzu zaraz zamieni się w lód, zeszkli i pęknie.

Nieznajomy wyciągał dłoń i wskazywał las długim palcem. Mankiet jego koszuli był rozpięty.

Jonathan wiedział, że mężczyzna chce, by wszedł do lasu,

ale nie był w stanie tego zrobić. Za każdym razem, gdy tylko mógł się ruszyć, robił krok do tyłu, a wtedy ciemność rozpadała się jak domek z kart, a on, zbudzony ze snu, czuł tylko wszechogarniające przerażenie.

Prawie z nikim o tym nie rozmawiał, nie licząc matki – która twierdziła, że to wina horrorów – i pana Sandersa, jedyne go nauczyciela, z którym potrafił się porozumieć i któremu ufał. Pan Sanders zasugerował wizytę u psychologa, ale matka się nie zgodziła.

– To pan jest nienormalny! – krzyczała wtedy. – Mój syn jest całkowicie zdrowy!

Dochodziła już jedenasta. W ciszy, która wraz z mrokiem zapanowała w jego pokoju, usłyszał burczenie własnego żołądka. Jeśli matka miała dziś w czymś rację, to w tym, że powinien być coś zjeść. Już i tak źle się czuł, a jeśli pozwoli sobie na całodzienną głodówkę, cukier może mu spaść do naprawdę niebezpiecznego poziomu.

Skutki niezjedzenia kolacji pojawiły się od razu, gdy wstał z łóżka. Zakręciło mu się w głowie i czuł się o wiele słabiej, niż początkowo sądził. Po cichu przekręcił klucz i nie zapalając światła w korytarzu, które mogłoby zwabić matkę, ruszył przed siebie. Nie uszedł jednak daleko, bo już po zrobieniu dwóch kroków uderzył nogą o coś twardego.

– Aj! – syknął i złapał się za łydkę. Usłyszał brzęknięcie szkła.

Wyjął z kieszeni komórkę i wyświetlaczem rozjaśnił sobie podłogę. Tuż przed drzwiami jego pokoju stało niewielkie, zaklejone taśmą pudło. Na nim postawiony był talerz z kanapkami. Na szczęście się nie rozbił. Kanapki też wyglądały na całe.

Jonathan był pewien, że matka nie zastawiłaby mu drzwi bez powodu, ani tym bardziej przez złośliwość. Drugą opcję wykluczały zresztą jego ulubione kanapki: z łososiem i kurczakiem. Ściągnął talerz z pudła i postawił go na biurku, a potem ostrożnie wniósł pudło do pokoju. Zapalił światło, żeby móc lepiej mu się przyjrzeć.

Pudło było zakurzone, ale sądząc po śladach palców, matka próbowała je wyczyścić, nim je tu przyniosła. Nie wiadomo, od jak dawna zbierało kurz, ale wyglądało na to, że nikt go dotąd nie otwierał; pudełko i taśma były nienaruszone.

Nie mogąc zapomnieć o głodzie, Jonathan zaczął jeść, w jednej ręce trzymając kanapkę z łososiem, a drugą rozcinając taśmę zastruganym ołówkiem. Potem przez chwilę się z nią szarpał, aż wreszcie otworzył pudło.

To, co ukazało się jego oczom, wprawiło go w takie osłupienie, że przez chwilę nie wiedział, co robić.

W pudle znajdowało się pełno gazet, a Jonathan był pewien, że na okładce jednej z nich zobaczył samego siebie. Ale przecież to było niemożliwe, żeby stał się bohaterem jakiejś historii z tabloidu i nawet o tym nie wiedział. Gdy wziął gazetę do ręki i przeczytał nagłówek, wszystko stało się jasne. Bohaterem artykułu był jego ojciec, a wydanie pochodziło sprzed trzynastu lat.

Jonathan wpatrywał się w okładkę z przejęciem. Z bliska dostrzegł, że mężczyzna widniejący na zdjęciu nie był do niego aż tak łudząco podobny. Z całą pewnością można by jednak wziąć ich za braci. Ojciec miał równie pociągłą twarz i takie same oczy, ale jego spojrzenie było pogodniejsze. Obok zdjęcia napisano: „Śmiertelny wypadek

w Hagsborough”, a w tle widać było rozbity samochód.

Przyglądając się zdjęciu ojca, Jonathan doznał wrażenia, jakby znalazł się w innym miejscu i czasie. Nie wiedział, co ma myśleć, i nie był nawet pewien, czy w ogóle jest w stanie to robić. Jego dłonie zaciskały się na śliskiej okładce tak mocno, jak gdyby nagromadzone w nim uczucia próbowały wyjść przez opuszki palców. Zdawało mu się, że przeszłość wyszła z pudła, by zająć należne sobie miejsce, a on być może wcale nie był na to gotowy.

Mimo wszystko zaczął szybko wertować gazetę i znalazłszy odpowiednie strony, od razu wziął się za czytanie.

WYPADEK W HAGSBOROUGH. JEDNA OFIARA ŚMIERTELNA!

17 lipca miał miejsce poważny wypadek drogowy. Kierowca minivana uderzył w jedno z drzew rosnących przy leśnej drodze prowadzącej do miasta. Trzydziestojednoletni mężczyzna, mieszkaniec Nottingham, zginął na miejscu. Oprócz niego w samochodzie znajdowała się jego żona i czteroletni syn.

Jonathan wstrzymał oddech. A więc i on był wtedy w samochodzie? Ale w takim razie dlaczego o niczym nie pamiętał? I dlaczego matka nigdy mu o tym nie wspomniała? Zaczął szybko czytać dalej.

Po karetkę zadzwonił anonimowy przechodzień.

„Całe szczęście, że miał przy sobie telefon komórkowy” – powiedział pan Daniel Fox, rzecznik miejscowej policji. – „Sugerujemy ludziom, żeby zaopatrywali się w nie, ponieważ

komórki niejednokrotnie mogą przyczynić się do uratowania czyjegoś zdrowia lub życia”.

Tak właśnie było i tym razem. Mimo że żona ofiary znajdowała się w ciężkim stanie, w drodze do szpitala kilka razy odzyskała przytomność. Niestety, ani z tego, co mówiła wtedy, ani z jej późniejszej relacji nie udało się ustalić, co było przyczyną zdarzenia.

„Ustłyszałam nagły huk, a potem wszystko pociemniało” – stwierdziła kobieta i zamilkła. Prawdopodobnie szok po stracie męża sprawił, że nie jest w stanie przypomnieć sobie szczegółów zdarzenia. Jej czteroletni syn jest w dobrym stanie. Lekarzy niepokoi jednak to, że nie ma pojęcia o zdarzeniu i jest nadto spokojny. Podejrzewano nawet, że dziecko znalazło się pod wpływem środków odurzających, jednak badania niczego takiego nie stwierdziły.

Jonathan słyszał coraz głośniejsze bicie własnego serca. Kanapka, którą przeżuwał już raczej bezwiednie, niemal stanęła mu w gardle.

Ciało mężczyzny kierującego pojazdem także zostało poddane badaniom wykluczającym obecność alkoholu lub narkotyków. Wstępna analiza krwi nie stwierdziła obecności żadnego środka odurzającego.

„Przyczyną wypadku była najprawdopodobniej zła pogoda” – oznajmił pan Fox. „Licznik wskazuje na to, że kierowca prowadził przepisowo”.

„Na pewno nie jechał zbyt szybko” – oznajmiła jedna z mieszanek Hagsborough, pani Susanne Berkley (68). – „Trzeba być bardzo głupim albo bardzo pijanym, żeby

przekraczać tu prędkość. Wszyscy wiedzą, że od dawna narzekamy na tę drogę. Zresztą starczy tylko na nią spojrzeć: jest wąska i nieoświetlona. Szkoda, że trzeba było tak wielkiej tragedii, żeby rada miasta wreszcie postanowiła coś z tym zrobić”.

Inni mieszkańcy miasteczka, zapytani o zdanie, wskazują podobne powody.

„Mój syn też omal się tu nie rozbił” – komentuje pan Steven Rayson (51). – „Zresztą nie on jeden. Z pewnością będziemy teraz wywierać większy nacisk na władze miasta”.

Póki policja nie potwierdzi jednego scenariusza, wszystkie te zdania to jedynie domysły. Faktem jest jednak, że droga wiodąca przez gęsty las wygląda na bardzo niebezpieczną i że ktoś powinien się tym zająć.

Pod koniec artykułu Jonathan poczuł się już lepiej. A więc wykluczono alkohol lub narkotyki. Ojciec nie spowodował wypadku. Wziął do ręki kolejną gazetę. Artykuł w niej był znacznie krótszy, choć wydawał się treściwszy.

WYPADEK PRZY LEŚNEJ DRODZE

W dniu dzisiejszym przy drodze wiodącej przez las doszło do wypadku samochodowego, w którym ucierpiała rodzina: ojciec, matka i czteroletnie dziecko. Mężczyzna (31 lat) zginął na miejscu. Kobietę przewieziono do szpitala z ciężkimi obrażeniami głowy. Dziecko, chłopiec, nie odniósł obrażeń. Przyczyną wypadku był prawdopodobnie poślizg po nagłych opadach deszczu. Policja wciąż ustala szczegóły zdarzenia.

Reszta gazet opisywała sprawę podobnie. Część z nich

stanowiły wydania lokalne z Hagsborough i okolic, ale wzmianki o wypadku znajdowały się też w prasie ogólnokrajowej. Wyjąwszy wszystkie czasopisma, na dnie pudła Jonathan znalazł kilka zdjęć. Przeżuł ostatni kęs kanapki i sięgnął po nie z niepokojem.

Bał się tego, co zobaczy na zdjęciach, choć nie całkiem rozumiał dlaczego. Domyślał się jednak powodu, dla którego matka je ukryła. Przedstawiąły prawdopodobnie najszcześniejszy okres jej życia, a świadomość, że nie ma do niego powrotu, musiała boleć.

Na jednym ze zdjęć Jonathan zobaczył siebie jako małego chłopca. Siedział na kolanach ojca. Obaj się śmiali. Ojciec wyglądał, jakby był z czegoś dumny. Może właśnie tego dnia Jonathan zaczął chodzić, a może wypowiedział pierwsze słowo? Matka stała za nimi z założonymi rękami. Miała czarną sukienkę i sprawiała wrażenie niezadowolonej.

Inne zdjęcia ukazywały albo rozradowanego Jonathana, albo sceny z wakacji i życia rodzinnego. Na jednym z nich w tle widać było niewielki dom. Może w nim mieszkali? Jonathan znalazł też kilka fotografii ślubnych rodziców i na każdej z nich zobaczył coś, co tak rzadko dostrzegał u matki: szczery uśmiech.

Z bólem zdał sobie teraz sprawę – bardziej niż kiedykolwiek wcześniej – że śmierć ojca zniszczyła ich życie. Ale zobaczył go, czytał o nim. To tak jakby choć trochę go poznał. I wiedział, że byli sobie bliscy, że ojciec brał go na ręce i sadzał na kolanach. Nie był już odległym ojcem, przypominającym sen, którego nie da się przywołać z pamięci; był jego tatą, prawdziwym, takim, którego kiedyś znał i z którym rozdzielił go jedynie brutalny przypadek.

Przeglądając wszystkie artykuły ponownie, a potem jeszcze raz, i jeszcze, Jonathan położył się spać. Nie spodziewał się tego, ale zasnął o wiele szybciej niż zwykle.

Tej nocy nie nawiedził go żaden sen.



Tuż po przebudzeniu Jonathan upewnił się, że pudło z materiałami o wypadku wciąż jest na swoim miejscu. Wstał z mieszanymi uczuciami. Wreszcie dostał to, czego chciał, dowiedział się więcej o losie ojca, zobaczył jego twarz, ale nie był już pewien, czy naprawdę dobrze się stało. Miał wrażenie, jakby to wszystko otworzyło w nim rany, o których istnieniu nawet nie wiedział lub o których zdążył już zapomnieć. A teraz czas jakby się cofnął, a ojciec umarł ponownie.

Równie mieszane uczucia Jonathan miał w stosunku do matki. Nadal nie chciał się do niej odzywać. Nie był jednak pewien, czy zdoła wytrwać w tym postanowieniu, bo w jego głowie pojawiły się nowe pytania, które musiał jej zadać. Tylko czy można było zakładać, że skoro dała mu te materiały, będzie w końcu gotowa rozmawiać o wypadku?

Gdy zszedł na dół, matka siedziała już w kuchni. Wydawała się jeszcze bledsza niż zwykle. Popijała kawę, a jej podkrążone oczy wskazywały, że w ogóle nie zdołała zasnąć tej nocy. Jonathan jej nie współczuł. Z kamienną twarzą podszedł do kranu i nalał sobie wody, którą wypił jednym haustem. Gdy zaczął ponownie napełniać szklanę, matka odezwała się nieśmiało:

– Otworzyłeś karton, który zostawiłam ci pod drzwiami? – zapytała.

– Tak – odburknął. Nie odwrócił się w jej stronę i spokojnie wypił kolejną szklanekę wody.

– I...? – Matka odezwała się znowu po dłuższej chwili ciszy.

– Co *i*? – odparł powoli Jonathan. Przybrał gniewną minę i spojrzał na nią. – Najwyższy czas, żebyś mi to wszystko wyjaśniła. To, że trzymałaś te materiały w ukryciu, było podłe.

Wcale nie chciał się unosić; tak wyszło, ale ani trochę tego nie żałował. Sięgnął po patelnię z zamiarem zrobienia sobie jajecznicy, kiedy w kuchni rozległ się szloch. Matka zakryła twarz dłońmi, trzęsła się i łkała.

– Musisz... musisz mnie zrozumieć – mówiła przez łzy. – Wtedy, w Hagsborough, przeżywaliśmy wspaniałe wakacje. To... to stało się na dzień przed tym, jak mieliśmy wracać do domu.

Westchnęła, próbując się uspokoić. Jonathan stał nad nią, opierając się o zlew, i patrzył przed siebie. Patrząc na płaczącą matkę, nie czuł niczego, ani żalu, ani triumfu.

– Przemyślałam sobie to, co mi mówiłeś – mówiła dalej. Szybko otarła policzki i spojrzała na niego. Było to spojrzenie tak uporczywe, że w końcu musiał je odwzajemnić. – Trzeba uporać się z przeszłością. W zasadzie nieraz już myślałam, żeby pojechać do Hagsborough, ale zawsze coś mnie powstrzymywało. A potem ty dorosłeś i nie wiedziałam już, jak na to zareagujesz. Czy w ogóle będzie to mieć dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie...

– Znaczenie? – prychnął Jonathan. – To ma znaczenie dla całego mojego życia!

– Tak, ale przestałeś pytać o ojca...

– Bo mnie do tego zniechęcałaś! Ale teraz, skoro już o tym mowa, mam kilka pytań.

Dosiadł się do niej i uważnie przyjrzał jej twarzy. Jeszcze raz wytarła łzy.

– Tak. – Pokiwała głową. – Pytaj.

– Nigdy mi nie powiedziałaś, że byłem wtedy z wami. Dlaczego?

– To... To było dla mnie kolejne trudne wspomnienie. Trudno było uwierzyć, że przeżyłeś wypadek. Widziałeś przecież samochód.

Jonathan przez chwilę bił się z myślami, jakby tak naprawdę wcale nie chciał zadawać kolejnych pytań. Wreszcie wyrzucił je z siebie naraz, w obawie, że się rozmyśli.

– Opowiedz mi o wszystkim po kolei. Jak doszło do wypadku? Czy gazety mówią prawdę? Czy tata był... No, czy był pijany?

Matka się skrzywiła.

– To bzdury! Tak twierdził tylko jeden brukowiec.

– A ja?

– Co ty?

– No, czytałem o podejrzeniach, że ja też...

Oczy matki zaiskrzyły. Przez chwilę znów przypominała tę samą surową kobietę, którą była wczoraj.

– Powiedziałam ci już: to bzdury – powtórzyła z naciskiem.

To go uspokoiło. Nie dowierzał tym informacjom, ale gdyby o to nie zapytał, wciąż wracałyby do niego wątpliwości.

– Zawsze będę wspominać te wakacje jako najwspanialsze w swoim życiu – zaczęła znów matka, nabrawszy powietrza

jakby na zapas. – Pomimo tego, co się wydarzyło... Bo byliśmy wtedy tacy szczęśliwi. Ojciec musiał długo namawiać mnie do wyjazdu. Bałam się ze względu na ciebie. Trzy miesiące wcześniej zdiagnozowano u ciebie cukrzycę. Mimo wszystko byliśmy pełni nadziei na przyszłość. Tony dostał dobrą posadę w banku.

Zamilkła i powiodła wzrokiem po ścianie. Jej oczy nagle wydały się zupełnie puste.

– A potem wszystkie te marzenia prysły – powiedziała tonem, który zmroził powietrze. – Pękły jak bańka mydlana. – Zrobiła wymowny gest. – Przedostatniego dnia pobytu wybraliśmy się na wycieczkę do lasu. Zasiedzieliśmy się i przegnał nas deszcz. Była czwarta rano, gdy wracaliśmy do hotelu. Niewiele pamiętam z tego, co stało się potem, jedynie śliską jezdnię, drzewa i straszny huk, ciemność... Oprzytomniałam, słysząc twój płacz. Ktoś zadzwonił po karetkę. Koniec.

W kuchni zapanowało milczenie. Mimo że na zewnątrz w okno zaglądało już słońce, atmosfera w środku stała się ponura, jakby u sufitu zgromadziły się najciemniejsze chmury.

– Tata stracił panowanie nad kierownicą? Kto zadzwonił po pogotowie? – odezwał się po kilku chwilach Jonathan.

– Nie wiem, nie wiem. – Matka potrząsała głową. – Nic z tego nie pamiętam. Śledztwo nie wykazało konkretnej przyczyny wypadku, a tamta osoba znikła. Nigdy nie dowiedziałam się, kto to był.

– Dlaczego tego nie pamiętam? Miałem cztery lata. Powinienem mieć chyba jakieś... prześliski, cokolwiek?

– A naprawdę chciałbyś pamiętać? Teraz, gdy już się

o wszystkim dowiedziałeś?

Jonathan przygryzł wargę.

– Czy bym chciał? – odparł, poważnie zastanawiając się nad tym pytaniem. – Nie wiem, czy bym *chciał*. Wydaje mi się, że raczej *powinienem*.

Matka położyła dłoń na jego rękę, którą on natychmiast cofnął. Dobrze wiedziała, dlaczego.

– Wczoraj... – zaczęła. – Wczoraj mnie poniosło. Nie powinnam była.

– Tak, wiem – odparł szybko Jonathan, wstając od stołu. Ruszył w stronę drzwi, by uniknąć nieporadnych przeprosin.

– Muszę iść na górę.

– Pojedziemy tam – rzuciła za nim nieśmiało.

Zatrzymał się w progu.

– Co?

– Pojedziemy do Hagsborough.

Jonathan zamrugał oczami i podejrzliwie zmarszczył czoło.

– Mówisz poważnie? – odparł, na co matka pokręciła głową.

– Tak, ale nim się spakujemy, jest jeszcze coś, co musisz wiedzieć o tym miasteczku...



Rozdział 5

Księżycowy dom

Miasto wiedźm – myślała Kate. Dobre sobie, zupełnie jakby mała miała czarów w Londynie.

Walizki były już spakowane i piętrzyły się jedna na drugiej w salonie. Na samym szczycie stał błękitny, drewniany kufer z narzędziami magicznymi. Tak naprawdę Kate od samego początku wiedziała, że nic nie wskóra protestami. Nie miała jednak zamiaru rezygnować ze strajku, który teraz wyrażał się głównie tym, że prawie wcale nie odzywała się do ciotki, a jeśli już, to używała tylko oficjalnego tonu.

Oszczędzanie słów na później było całkiem praktyczne, bo miała przed sobą jeszcze jedno, najtrudniejsze zadanie: zadzwonić do Mel. Celowo zostawiła to sobie na sam koniec. Teraz, gdy była już przygotowana do wyjazdu i za pół godziny miała zjawić się Selene, nie było ryzyka, że Mel zrobi nalot

na dom ciotki, rozpakuje wszystkie walizki, a potem spakuje je znowu, wkładając do środka tylko to, co jej zdaniem mogłoby przydać się im pod namiotami: balsamy do ciała, strój kąpielowy i ostrą, czerwoną szminkę.

– Ale jak to nie możesz pojechać?! – zagrzmiała Mel, gdy tylko Kate powiedziała jej o przymusowej zmianie planów. Cieszyła się, że rozmawiały przez telefon, bo poważnie się obawiała, że w przeciwnym wypadku pobliskie ciężkie przedmioty mogłyby pójść w ruch.

– Ciotka zaplanowała dla nas coś innego – zaczęła tłumaczyć Kate. – A dobrze wiesz, jak ciężko coś jej wyperswadować.

– A co mnie to obchodzi, że ciotce nie można wyper... wypar... wyperwerować! Obiecałaś mi, Hallander!

– No to co mam twoim zdaniem zrobić? – Kate też się zniecierpliwiła. – Wypruć sobie żyły? Flaki? Zabić ciotkę albo przebić opony w aucie jej koleżanki?

Szybko urwała w obawie, że jeśli nie skończy tej wyliczanki, Mel w końcu każe jej wybrać którąś z opcji.

– Będę miała wolny sierpień – dodała spokojniejszym tonem. – O ile oczywiście moja mama nie będzie chciała gdzieś mnie zabrać... Ale raczej nie. Widziałyśmy się pod koniec czerwca, więc...

– W sierpniu wyjeżdżam nad morze z Marcusem – odparła Mel z wyższością.

– Z kim?

– Z moim nowym chłopakiem! – zawołała Mel, obrażona, że Kate mogła tego nie wiedzieć.

Przez chwilę Kate miała zamiar odpowiedzieć, że nie włączyła jeszcze wiadomości, a w gazetach też nic o tym nie

pisali, jednak sarkazm tylko pogorszyłby sytuację.

– Jeszcze w zeszłym tygodniu chodziłaś z Rodgerem – zauważyła.

Fakt, że Mel tak często zmieniała chłopaków, bywał kłopotliwy, bo nigdy nie było wiadomo, którego ze sobą przyprowadzi, kiedy umawiały się na pizzę.

– Dobrze, zgadamy się, jak wrócę do domu. – Kate postanowiła wreszcie skończyć tę rozmowę i odpocząć.

– Jasne, jak wrócisz. To niczego nie rozwiązuje. Wtedy ja będę już...

– AAAH! – krzyknęła Kate, momentalnie uciszając tym Mel. Dopiero po kilku sekundach ze słuchawki znów dobiegł jej głos.

– Kate, co się stało? – zapytała przerażonym szeptem.

– Uhm... Nie, to nic. Stłukłam szklanekę – skłamała Kate. Musiała to zrobić, bo tym, co naprawdę ją przerażyło, był odgłos towarzyszący pojawieniu się Fiona, który znów postanowił odwiedzić ją bez zapowiedzi. A Mel nie miała pojęcia o istnieniu niebieskich, latających ludzików.

– Muszę kończyć – powiedziała Kate. – Zadzwonię później i omówimy te namioty.

– Och, Kate, mówiłam ci już, że nie będę mogła...

Kate rozłączyła się, nie zauważywszy nawet, że Mel nadal coś mówiła, i zgromiła Fiona wzrokiem.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś mnie tak nie zaskakiwał?! – zawołała. – Co by było, gdybym nie była sama?

– Nie denerwuj się, Kate. Wyczuwam, kiedy są obok ciebie nieprzynależący – odparł Fion, znów przyglądając się jej komórce tak, jak gdyby stanowiła zaawansowaną wersję

jakiegoś narzędzia magicznego. W ręku trzymał plik kartek.

– Co tam masz? – Kate wskazała na nie.

– Znajdziesz tu podstawową wiedzę, jaką powinna posiadać każda wykwalifikowana czarownica – oznajmił Fion, wręczając jej plik. – Nie ma tego wiele. Trochę o wizualizacji, aurze, narzędziach, użyciu energii. Takie tam podstawy. Nie powinny stanowić dla ciebie problemu, bo wszystko to już robiłaś.

Kate pobieżnie przejrzała kartki. Nie było ich wiele, może ze trzydzieści, ale za to zadrukowanych bardzo drobną czcionką.

– Nie wiedziałam, że fery znają drukarki.

– Bo nie znamy. Mamy własne sposoby na kopiowanie. To materiały od twojej ciotki. Podobno wszyscy w waszej rodzinie się z nich uczą.

– I ciotka nie mogła dać mi ich osobiście?

Fion przybrał urażoną minę.

– Mogła – odparł – ale to nie ona cię prowadzi, tylko ja. À propos – dodał z niezgrabnym francuskim akcentem, którego najwyraźniej nauczył się z jakiegoś programu kulinarnego. – Czy zapisywałaś ostatnie sny, tak jak cię prosiłem?

– Nie – oznajmiła Kate bez cienia skruchy. Skoro ona miała zły humor, to postanowiła zepsuć go wszystkim dookoła.

Fion spuścił nieco z tonu.

– Och, Kate, mówiłem ci już, jakie to ważne. Musisz znaleźć swój klucz. On może rozwiązać wszystkie zagadki.

– Tyle że mnie ostatnio nic się nie śniło. No, nie licząc snów, w których zamykam ciotkę w piwnicy i każę jej tam

czekać do końca wakacji. Albo takich, w których wysyłam ją do Jaaru, żeby badała skład chemiczny waszej gleby. Albo takich, w których Selene mówi jej, że nigdy więcej nie zaprosi jej do swojego domu nad morzem.

– Kate! – zawołał Fion. – Przecież to wszystko jest bardzo symboliczne! Trzeba to natychmiast zapisać!

– Ale to wcale nie są żadne symbole. Chodzi po prostu o to, że ja nie chcę tam jechać.

Fion wydawał się zdziwiony tym wyznaniem.

– Naprawdę? Ale dlaczego?

Kate nie miała ochoty mu się tłumaczyć jak ciotce. Im bardziej zbliżał się dzień wyjazdu, tym obawy wydawały się realniejsze. Przez ostatnie dwa dni Diana, Tom i tamta dziewczyna, której imienia Kate nie umiała zapamiętać, stanowili dla niej tylko wyobrażenie, ale dzisiejszego poranka boleśnie zdała sobie sprawę z tego, że już niedługo nabierze ono bardzo realnych kształtów. Była pewna, że cała trójka wie o magii tyle samo, co ciotka i Selene, a ona okaże się magicznym wyrzutkiem. Jedyne rzeczy, jakimi mogła się pochwalić w kwestii czarów, musiała utrzymywać w tajemnicy, a te, o których mogła mówić – nieudane zaklęcie i domniemana próba przywołania demona – tylko by ją skompromitowały.

– Powiedzmy, że mam swoje powody – powiedziała dyplomatycznie.

– Daj spokój, Kate. Zobaczysz, że będzie wspaniale.

– Ta – ucięła, po czym szybko zmieniła temat: – I co z tymi materiałami? Mam nauczyć się tego wszystkiego na pamięć?

– Niekoniecznie na pamięć, ale i tak będę musiał cię z nich odpytać. Ile czasu potrzebujesz na zapoznanie się z nimi?

Wystarczą trzy dni?

– Trzy dni?! – przeraziła się. – Chyba żartujesz!

– Bez przesady! To wszystko jest bardzo ciekawe, a ty masz wakacje i mnóstwo czasu. To jak? Umawiamy się w domu Selene we wtorek? Obiecuję, że odpytam cię tylko z wizualizacji. Do zobaczenia.

– Nie ma mowy! – zawołała Kate, ale Fion już tego nie usłyszał, bo zniknął, ledwo otworzyła usta. Ze zdenerwowania kopnęła sofę, która zatrzeszczała i prawie się rozłożyła.

– Kate! – oburzyła się ciotka, która nagle pojawiła się w salonie. Doskoczyła do sofy i zaczęła gładzić ją jak zranione zwierzę. – Te meble kosztowały mnie połowę pensji!

W odpowiedzi Kate prychnęła i odwróciła się z założonymi rękami. Było jej wstyd, że tylko na tyle może sobie pozwolić: obrażać się jak małe dziecko. Może gdyby wyznała wreszcie, że jest strażniczką tamtego kamienia, byłoby inaczej?

– Spakowałaś Księgę? – Ciotka przerwała jej rozważania. – Kate? – dodała, nie usłyszawszy odpowiedzi.

– Tak! Tak, spakowałam! Niby jak miałam jej nie spakować, skoro od rana przypomniałaś mi o tym z pięćset razy?

– Tylko nie zaczynaj – ostrzegła ją ciotka. – Księga to bardzo cenny nabytek w naszej rodzinie. Powinnaś okazywać jej więcej szacunku, a nie trzymać na zagraconym biurku albo chować pod łóżkiem.

Kate przewróciła oczami. Pani Hallander zaczęła liczyć walizki.

– No, chyba mamy wszystkie potrzebne rzeczy – stwierdziła. – Byleby zmieściły się w samochodzie Selene.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możemy przenieść się do tego Hagsborough za pomocą czarów – odparła Kate.

– Wolne żarty! – Ciotka spojrzała na nią oburzona. – Hagsborough to nie Jaar. Poza tym nie myślisz chyba, że będę przenosić się z każdą walizką z osobna?

Kate miała już zamiar powiedzieć, że w swojej błyskotliwości ciotka powinna była już dawno wymyślić czar, który przeniósłby wszystkie walizki naraz, albo poprosić o pomoc dzina, którego zakorkowała pewnie w jakiejś butelce, ale nim zdążyła wywołać kolejną kłótnię, usłyszały klakson samochodu.

Pani Hallander podbiegła do okna.

– Och! – ucieszyła się. – Już są.

Kate również wyjrzała przez okno, ale to, co za nim zobaczyła, sprawiło, że była bardziej niż daleka od dzielenia entuzjazmu ciotki.

Przed domem stał van, ale poza nazwą w samochodzie nie było niczego, co można by uznać za normalne. Wyglądał na jasnozielony – przynajmniej ten kolor najczęściej przebijał się przez liczne wzory, do których należały fioletowe pentagramy, żółte i niebieskie słoneczniki i wielki, czerwony znak pokoju.

– Ehm... Czy *naprawdę* musimy tym jechać? – zapytała Kate. Nie miałyby nic przeciwko zostaniu przez całe te dwa tygodnie w domu, nawet gdyby miała je spędzić na stojąco w salonie.

– Nie pleć głupstw i rusz się! – ponagliła ją ciotka. Sama stała już pod drzwiami, dzierżąc dwie największe walizki i błękitny kufer.

Podnosząc swoje walizki, Kate poczuła znajome, nerwowe

sensacje w żołądku. Po raz kolejny przypomniała sobie, jak bardzo nie lubi poznawać nowych ludzi, a świadomość, że zaraz wsiądzie do dziwnego, ezoteryczno-wiedźmiarskiego samochodu, jedynie potęgowała ten stan. Miała tylko nadzieję, że żaden z jej znajomych nie będzie akurat przechodził ulicą. Co by było, gdyby zobaczyli ją w czymś takim? Może i od dwóch miesięcy nie była już całkiem normalna, ale miała zamiar stwarzać pozory tak długo, jak tylko będzie to możliwe. Jednak Selene w tym nie pomagała – właśnie wysiadła z samochodu, zamknęła z trzaskiem drzwi i zawołała:

– Hej, dziewczyny!

Miała na sobie długą, zwiewną spódnicę, ozdobioną wielkimi, uśmiechającymi się błogo pomarańczowymi słońcami, i bluzę w kolorach tęczy, wyglądającą na tkaną ręcznie przez kogoś o wątpliwych zdolnościach manualnych. Z jej szyi, jak zwykle, zwisał z tuzin wisiorków, a na nosie miała ogromne okulary przeciwsłoneczne, upodabiające ją do modliszki.

Tuż za nią z samochodu wysiadł wysoki blondyn. Ubrany był w dżinsy, jasnoniebieską koszulę z krótkimi ramionami i granatowe buty, a gdy był już wystarczająco blisko, Kate dostrzegła, że nawet oprawki w jego okularach przeciwsłonecznych były dopasowane kolorem do reszty stroju.

– No, dalej, pakujcie się do Stewiego. – Selene uśmiechnęła się, otwierając bagażnik.

– Jakiego znowu Stewiego? – rzuciła Kate półgębkiem w stronę ciotki.

– To nazwa samochodu – odparła pani Hallander. –

A właściwie to ducha, który się z nim zespolił.

Słyszając to, Kate omal nie zrzuciła sobie walizek na stopy. Przytrzymał je blondwłosy chłopak.

– Cześć, jestem Tom – przedstawił się i zdjął okulary. Początkowy uśmiech, którym Kate miała zamiar obdarzyć go w ramach grzeczności, spełznął z jej twarzy, ustępując zdziwieniu. Była pewna, że gdzieś już go widziała.

– To właśnie moja bratanica – powiedziała ciotka Hillena.

Tom pokręcił głową.

– Hillena sporo mi o tobie opowiadała – oznajmił.

– Uhm... Ach, naprawdę? – odparła Kate z zakłopotaniem, nie mogąc się powstrzymać od gapienia się na jego twarz. Tom pomógł jej zapakować walizki.

Wnętrze samochodu kojarzyło się jej nieco ze sklepem Selene. Z sufitu zwisały srebrne amulety i pęki ziół, a po podłodze wały się kufry ozdobione magicznymi symbolami. Siedzenia z tyłu rozłożone były po bokach, po trzy z każdej strony. Teraz oddzielała je od siebie sterta walizek, ułożonych pośrodku. Wbrew temu, czego spodziewała się Kate, w samochodzie nie było dwóch dziewczyn, ale jedna. *Musiła* być córką Selene – jej wygląd zdawał się wręcz o tym krzyczeć.

Pierwszym, co zwróciło uwagę Kate, były jej czarne włosy, których objętość znacznie zwiększały wplecione w nie cienkie dredy i kolorowe sznurki. Na część z nich nawleczone były koraliki, małe złote pentagramy i drewniane runy. Dziewczyna miała na sobie fioletową tunikę ze srebrnym symbolem ziemi: trójkątem skierowanym wierzchołkiem w dół i przecinającą go pośrodku poziomą linią. Podobnie jak matka, musiała

kochać łańcuszki, z tym, że ozdobiła nimi nie szyję, tylko wielkie glany. Na szyi natomiast nosiła tylko pentakl, ale za to wielki i drewniany – na pewno nie należała do tego gatunku wiedźm, które wolą nie rzucać się w oczy nieprzynależącym. Dziewczyna nie zwracała na nic uwagi – uszy zakrywały jej ogromne słuchawki.

– Poznajcie się – powiedziała Selene, szturchnąwszy dziewczynę w łokieć. – To Diana, moja córka – przedstawiła ją Kate, uśmiechając się. Ten uśmiech musiał wystarczyć Kate za dwie osoby, bo Diana z niechętną miną zdjęła tylko słuchawki, burknęła: „Cześć” i założyła je z powrotem.

– Cześć – odparła Kate. Daremnie, bo sądząc po dźwiękach dochodzących ze słuchawek, Diana i tak jej nie usłyszała. Z jej kwaśnej miny można było wywnioskować, że pomysł wyjazdu nad morze także przyjęła niezbyt entuzjastycznie, o ile nie gorzej niż Kate.

Kate zajęła miejsce naprzeciwko niej, pozwalając, żeby rozdzieliły je walizki. Zapinając pasy, kątem oka dostrzegła w wyglądzie Diany jeszcze jedną, naprawdę dziwną rzecz. Wokół jej szyi przemknęło coś, co przypominało długi, puszysty ogon. Nim jednak zdążyła lepiej mu się przyjrzeć, znikł, chowając się za włosami Diany.

– Co z Lilian? – zapytała pani Hallander, która usiadła z przodu.

– Ma dziś pokaz – odparł Tom, sadowiac się obok Diany. – Dołączy do nas wieczorem, jeśli tylko Selene otworzy portal stały.

Pokaz? – pomyślała Kate. O jaki pokaz mogło im chodzić? Może ta cała Lilian jest modelką? To brzmiało zachęcająco. Magią na pewno można sobie poprawić wygląd. Dlaczego

nigdy wcześniej nie przyszło jej to do głowy?

Ruszyli. Selene i ciotka pograżyły się w rozmowie o magicznych sprawach przy dobiegających z radia słowach Davida Bowiego. Tom włączył czytnik e-booków, chwając się, że czyta właśnie „Magię lewitacji dla zaawansowanych”.

– Myślałam, że z lewitacją nie masz żadnych problemów – zdumiała się Selene.

– Bo nie mam, ale trochę teorii nigdy nie zaszkodzi, prawda? – odparł, na co ciotka posłała mu porozumiewawcze spojrzenie.

Wiedząc, że nie znajdzie kompana do rozmowy, i zresztą wcale nie mając na nią ochoty, Kate wlepiła wzrok w dym unoszący się z kadzidła, a gdy to zaczęło się dopalać, zwróciła znudzone spojrzenie w stronę okna.

Zza szyi Diany jeszcze kilka razy wyłaniała się futrzasta istota. Ilekroć tak się działo, Kate dyskretnie odwracała wzrok w jej kierunku, ale wtedy istota znów zniknęła, jakby speszona jej zainteresowaniem. Gdy Kate była już gotowa uznać, że to zwykłe złudzenie, Diana sięgnęła pod tunikę. Po chwili jej dłoni uczepliły się dwie zakończone pazurami łapki, a spod fałdów materiału wychylił się pyszczek, z którego wyrastały długie wąsy. Wreszcie na rękę Diany wspięło się zwierzę. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że przypominało tchórzofretkę skrzyżowaną z miniaturowym marsem i wcale nie było fizyczne. No, przynajmniej nie do końca. Jego ciało, wraz z porastającym je futrem, było ukształtowane z jasnobrażowej poświaty. Zwierzę zakręciło się z gracją i przyjaźnie pogłaskało policzek Diany ogonem.

– Chodź, Scire – powiedziała Diana, po czym wyjęła z włosów okrągły medalion. Otworzyła go, a wtedy zwierzę

wsadziło do środka nos. Nagle jego ciało zamieniło się w strumień światła, który został wessany do medalionu. Diana zamknęła go i z powrotem wczepiła we włosy. Każdy jej ruch był teatralny – dobrze wiedziała, że Kate jej się przygląda, a mimo wszystko uniosła brwi w wyrazie udawanego zdziwienia i oświadczyła poważnym tonem:

– To Scire, mój chowaniec. One zawsze tak robią.

Nie musiała dodawać, że uważa to za zbyt oczywiste, by było warte wspomnienia. Doskonale dało się to wyczytać z jej miny.

Kate z powrotem wyjrzała przez okno, zastanawiając się, jak bardzo upokorzona zostanie przez te wakacje. By odpędzić od siebie przykre myśli, od czasu do czasu zerkała ukradkiem na Toma, usiłując sobie przypomnieć, gdzie mogła go spotkać. Bo na pewno już go widziała. Tylko gdzie? W szkole? Chyba nie chodzili do tej samej. Może na Facebooku? W końcu ciotka miała konto... A może mignął jej przed oczami w sklepie Selene? Pewna, że już sobie tego nie przypomni, odwróciła znów wzrok w stronę okna, pograżając się w hipnotycznym stanie, który nagle przerwała ciotka.

– Szlag! – zawołała, sprawiając, że wszyscy podskoczyli, a Selene chciała odruchowo zjechać na pobocze. – Zapomniałam zabrać mioteł.

– Ach, o to chodzi – odparła Selene z ulgą. – Jesteśmy już za daleko, żeby wrócić, ale nie martw się, mam w domu jakieś zapasowe. Na pewno Kate będzie miała na czym latać.

Przekonana, że Selene chciała zażartować, Kate zaśmiała się sztucznie. Ciotka odwróciła w jej stronę pytające spojrzenie.

– Co cię tak śmieszy?

– No... Te miotły. Właśnie sobie wyobraziłam, jak latam na jakimś kiju. To śmieszne, bo... No, to jakiś przesąd, prawda? Taki żart...?

Ciotka pokręciła głową.

– To nie jest żart, Kate – powiedziała poważnie.

Kate poczuła, jak rzednie jej mina, a żołądek podchodzi do gardła. Diana zmierzyła ją pogardliwym spojrzeniem. Tom też na nią popatrzył i choć jego wzrok był przyjacielski, zdawał się wyrażać coś w stylu: „Nie martw się, na początku wszyscy mówią żenujące rzeczy”.

Resztę drogi Kate postanowiła spędzić w milczeniu, nie licząc krótkich „Nie” za każdym razem, gdy ciotka pytała ją, czy chce coś do jedzenia, „Tak”, gdy proponowała jej picie, i „Tak, koniecznie”, gdy Selene zapytała, czy ma się zatrzymać, żeby mogli skorzystać z toalety.

To była najgorsza podróż jej życia. Wszystko bolało ją od siedzenia w tej samej pozycji przez kilka godzin, nie umiała skupić się na notatkach od Fiona, które próbowała czytać, i bez przerwy dręczyły ją myśli o miotle. Bała się, że jeśli pozwoli sobie na drzemkę, przyśni się jej, że spada, i zacznie krzyczeć.

Gdy Selene oświadczyła, że dotarli właśnie do Hagsborough, było już zbyt ciemno, by móc coś zobaczyć, a i sam widok przysłaniały ogromne drzewa. Ich rozłożyste gałęzie przypominały wielkie łapy, wychylające się z ciemności, żeby zatrzymać samochód. Potem droga wiodła ku pełnemu pustkowiu tuż przy brzegu morza. Na klifie wznosił się tylko jeden, malutki dom – dom Selene.

Pierwszym, co uderzyło Kate zaraz po wyjściu

z samochodu, był chłód, drugim – podmuch silnego wiatru, który w mgnieniu oka zburzył jej fryzurę i niemal zwałiłby ją z nóg, gdyby nie przytrzymał jej Tom.

– Dzięki – wymamrotała zawstydzona i ruszyła z walizkami za ciotką i Selene. Przystanęła tylko na chwilę, żeby rzucić okiem na dom Selene.

Powiedzieć, że był dziwny, to za mało. Jego czerwony dach wyginał się w łuk i kojarzył się Kate z liściem, który można by zdmuchnąć samym oddechem. Sam dom był okrągły. Przypominał wielką błękitną kulę do połowy zakopaną w ziemi. Wokół drzwi, do których prowadziły białe schody, wyrysowano usta ułożone w błogi uśmiech, a nad parą równo osadzonych okien znajdowały się długie, czarne brwi. Brakowało tylko nosa, choć Kate nie zdziwiłaby się, gdyby Selene oświadczyła, że niedługo go dobuduje.

Wspominając się po trzeszczących schodach, Kate była niemal pewna, że zaraz się załamie. Selene otworzyła drzwi. Umieszczony w nich witraż wyglądał tak, jakby mógł go zbić pierwszy lepszy złodziej-amator. Kate ostrożnie, dokładnie patrząc pod nogi, weszła do środka i z trudem wtaszczyła ciężkie walizki. Gdy wszyscy byli już wewnątrz, Selene zapaliła światło.

– Witajcie w Księżycowym Domu! – powiedziała.

Zaraz obok drzwi stał wysoki, granatowy zegar. Jego drzwi pokryte były magicznymi symbolami, a ze srebrzystej, pozbawionej cyfr i wskazówek tarczy uśmiechała się twarz, jak żywo przypominająca tę ułożoną z drzwi i okien. Minąwszy go, wchodziło się do wielkiego pomieszczenia, stanowiącego najwyraźniej salon i jadalnię w jednym. Na kamiennych ścianach rozciągały się rysunki. Po lewej lśnił

wizerunek srebrzystego księżyca. On też miał oczy i usta, a wokół niego zebrało się kilka żółtych gwiazd. Przeciwną stronę zdobiła postać kobiety w białej sukni. W rękach trzymała kociołek, z którego na całą ścianę rozlewała się świetlista woda.

Podłoga wyłożona była srebrnymi panelami. Przy ścianie z księżycem znajdował się długi, kamienny stół; stojące przy nim wysokie krzesła były jednak drewniane. Po prawej stronie widniał duży kominek z kilkoma polanami obok. Kate zniesmaczyła się, widząc, że część opału stanowiły rozrąbane nogi krzesel. Na kominku stał niewielki, stary telewizor, a przed kominkiem rozłożony był okrągły dywan, wyglądający, jakby zrobiono go z sierści popielatego kota.

Zresztą, kto wie, czy faktycznie to nie była kocia sierść?

– Zostawcie rzeczy przed drzwiami – poprosiła Selene. – Zaraz się rozpakujemy, ale najpierw coś zjedzmy. Kate, Hillena, usiądźcie... Tom, Diana, wy pomożecie mi w kuchni.

– Jasne – odparł Tom i szybko ruszył za Selene do niewielkiego pomieszczenia znajdującego się w głębi jadalnio-salonu. Diana powlekła się za nim niechętnie, mrużąc coś pod nosem, tymczasem Kate i pani Hallander zajęły miejsca przy stole. Kate poczuła, że jej krzesło niedługo dołączy do materiałów na rozpałkę – jedna z jego nóg niebezpiecznie się chwiała.

– No, i jak ci się podoba? – zapytała ciotka Hillena. W pierwszej chwili Kate miała ochotę powiedzieć prawdę, ale widząc jej pełne radości oczy, stwierdziła, że nie ma serca tego robić, chociaż nadal miała do niej pretensje o tę wycieczkę.

– Jest... ciekawie – odparła. Chwyciła się mocno stołu

i poruszyła kilka razy na krześle, żeby sprawdzić, ile jeszcze wytrzyma mebel. Stwierdziła, że chyba nie będzie tak źle i do końca kolacji nie powinno się rozpaść.



Tuż przy drodze stała tablica upamiętniająca wypadek. Na żywo jezdnia wydawała się jeszcze węższa niż na zdjęciach z gazet. Ciągnęła się niczym nierówno rozłożona wstęga, której początku i końca nie sposób było uchwycić wzrokiem. Napis na tabliczce głosił:

*Pamięci Anthony'ego Charmlinga,
który zginął tu 17 lipca 1997 roku*

Jonathanowi trudno było zrozumieć, że tylko tyle zostało po tamtym człowieku, zupełnie jakby można było zamknąć czyjeś życie w przydrożnym znaku i kilku słowach. Dopóki tu nie przyjechał, sądził, że zobaczenie tego miejsca przyniesie mu ulgę. Mylił się. Teraz – gdy stał już na tej niekończącej się, ponurej drodze, a niebo nad nim czerniało, zaś okolicę spowijała mgła – czuł tylko pustkę.

Drzewa w lesie rosły tak gęsto, że przejście między nimi było chyba niemożliwe. Zza najmniejszych, stojących tuż przy jezdni, wyglądały wyższe. Zdawało się, że próbują na nie natrzeć i ruszyć do przodu, by zniszczyć wszelkie przejawy cywilizacji i zagarnąć cały teren dla siebie.

Może przyjazd tutaj wcale nie był dobrym pomysłem? Jonathan zaczął się obawiać, że wyjedzie z Hagsborough

z nowymi pytaniami i bez żadnej odpowiedzi.

– Jonathan? – Usłyszał głos matki. Stała przy samochodzie, który wynajęli, by się tutaj dostać. Jonathan prowadził. Wsiadł pod pretekstem odpoczynku, mimo że byli prawie na miejscu. Od hotelu dzieliły ich tylko dwie mile, dalej tą drogą i w górę, gdzie miasto wygrywało już z mrocznym lasem.

Matka nie chciała podchodzić do tablicy. Przez całą drogę oboje czuli się niezręcznie. Jonathan poprosił ją, żeby opowiedziała mu więcej o Hagsborough. Chciał dać jej okazję do mówienia, a sobie – do milczenia. Nie zapamiętał wiele z tego, co powiedziała. Tylko tyle, że wiedźmy zaczęły osiadać w miasteczku właśnie z powodu tego lasu, ale choć mieszka ich tutaj tak wiele, oficjalnie nadal muszą się ukrywać.

– Jonathan? – powtórzyła matka. Ścisnęła w rękę ich figurkę. Podczas podróży przypomniała mu z pięćdziesiąt razy, że tutaj będą musieli szczególnie dbać o bezpieczeństwo. – Jest już późno, a musimy jeszcze zameldować się w hotelu. Chciałabym też się trochę przespać, o ile w tym miejscu to w ogóle będzie możliwe...

– Jeszcze chwilę – poprosił. Nadal przyglądał się tabliczce. Nie był pewien, po co właściwie to robi. W niczym mu to nie pomogło i ani trochę nie zmieniło jego uczuć.

Ponownie ogarnął wzrokiem całą okolicę, a potem ruszył w stronę samochodu.

– W porządku? – zapytała matka.

– W porządku – odparł i przekręcił kluczyki.



Zadźwiewały sztuce. Kolacja, choć złożona z tego, co zostało w zamrażarce po ostatnich wakacjach, krokietów i pieczonych ziemniaków, była bardzo dobra. Kate zdążyła zapomnieć o tym, jak bardzo nie chciała tu przyjeżdżać i prawie bez przerwy brała dokładki.

W pewnym momencie zrobiło jej się nawet wstyd, bo wyglądało na to, że zjadła najwięcej ze wszystkich, jednak zauważyła, że nikt nie zwracał na nią uwagi. Wszyscy, za wyjątkiem Diany, która wlepiała wzrok w pusty talerz, pograżyli się w rozmowie o magii. Gdy skończyli, nikomu nie chciało się już rozpakowywać, więc tylko wnieśli walizki na górę.

Całe piętro zajmował długi korytarz wyłożony złocistym dywanem. Wzdłuż każdej z niebieskich ścian ciągnął się rząd drewnianych drzwi i lamp w kształcie półksiężyca. Selene nacisnęła włącznik i lampy zaświeciły.

– Gdyby elektryczność się popsuła – uprzedziła – mamy oświetlenie awaryjne. Oczywiście jest oparte na magii.

Selene zgasiła lampy i podeszła do przeciwnej ściany. Znajdował się w niej drugi włącznik. Wyglądał prawie tak samo jak pierwszy z tą różnicą, że ten był srebrny. Selene nacisnęła go, demonstrując Kate jego działanie. Lampy zaświeciły ponownie, jednak tym razem na błękitno. Jedna z nich pękła, a wtedy w powietrze wzbił się błękitny pył, który – niczym rój owadów – zygzakowatym ruchem powędrował ku sufitowi, po czym znikł.

– Ups, będzie trzeba wymienić nawóz – powiedziała Selene

i z powrotem zapaliła zwykłe światło. Poprowadziła Kate do końca korytarza i wskazała jej drzwi. – To twój pokój – oznajmiła.

– Ktoś będzie ze mną? – zapytała Kate, gdy weszły do środka. Pokój był chłodny i duży, z dwoma łózkami i wielkim oknem.

– Tak. Pomyślałam, że będzie ci rażniej, jeśli Lilian będzie dzielić z tobą pokój. Nie masz nic przeciwko?

– Nie. – Właściwie to cieszyła się, że nie będzie mieć osobnej sypialni. Przez całą tę magię dom wydawał jej się dość niebezpieczny. Miała tylko nadzieję, że Lilian okaże się mniej gburowata od Diany.

– Dobrze – powiedziała Selene. – Musimy jeszcze pomyśleć nad jutrem. Zrobić przegląd mioteł i takie tam... Idziesz z nami?

Na myśl o lataniu Kate znów poczuła ucisk w żołądku.

– Ehm... – zawahała się. – Jeśli to nie problem, to wolałabym chyba... – Zaczęła gorączkowo szukać wymówki. – Chcę obejrzeć coś w telewizji. Jeśli telewizor na dole działa...

Selene wyglądała na zdziwioną. Sądziła chyba, że Kate sama będzie palić się do rozmowy o miotłach, ale nie nalegała, tym bardziej że – jak się okazało – Diana też nie była chętna na pogawędki o lataniu.

Wszyscy zajęli się więc sobą i zamknęli w pokojach, a Kate, pozostawiona sama sobie, zeszła na dół.

Telewizor zadziałał dopiero po trzecim uderzeniu, a na dodatek odbierał tylko dwa kanały. Co gorsza, na obu leciały reklamy. Kate usiadła na dywanie przypominającym kocią sierść i próbowała wmówić sobie, że reklama szamponu

pochłania ją bardziej niż nerwy wywołane tym, co ją czeka. Dziewczyna z reklamy wyglądała całkiem nieźle. Miała grube, jasne włosy – może gdyby Kate kupiła sobie coś takiego, to i jej włosy by tak wyglądały? Warto spróbować. I może ta beznadziejna farba szybciej by zeszła...

Jeszcze nim skończyła się przerwa reklamowa, zegar wydał dziwny, rechoczący odgłos, równocześnie ktoś zapukał do drzwi. W pierwszej chwili Kate znieruchomiała. Przecież w okolicy nikt nie mieszkał!

Pukanie rozległo się ponownie. Kate drgnęła lekko, ale nie wstała, jakby coś przykleiło ją do podłogi. Ktoś mógłby zejść... Dlaczego właśnie *ona* miała otwierać?

Za trzecim razem pukanie było już naprawdę gwałtowne i zdradzało zniecierpliwienie. Poza tym rozległ się głos:

– Tom?! Diana?! Jest tam ktoś?!

I dopiero wtedy Kate przypomniała sobie o Lilian. Przekonana, że to ona, natychmiast ruszyła ku drzwiom. Nie otworzyła ich jednak, bo nim sięgnęła do klamki, zdała sobie sprawę z czegoś jeszcze – pukanie wcale nie dochodziło zza drzwi. Ono dochodziło z zegara.

Uderzona tą myślą, Kate obróciła się w prawo. Nagle rysunki na drzwiach zegara wydały się jej bardzo złowieszcze i przerażające.

– No dalej, chcecie, żebym się udusiła?! – zawołał ktoś.

Zdając się na zdrowy rozsądek, który podpowiadał jej, że zegar jest portalem stałym, Kate przekręciła włożony w jego drzwi srebrny kluczyk i pociągnęła za uchwyt. Do salonu natychmiast wparowała wysoka dziewczyna w czarnej sukience, płaszczu i z wielką walizką w ręku.

– No, wreszcie! – zawołała. – Już myślałam, że o mnie

zapomnieliście. Miałam być wcześniej, ale odwiedziłam najpierw Merlina i jak zwykle się zasiedziałam. Jesteście już pewnie po kolacji? Mam nadzieję, że coś dla mnie zostało, bo prawie nic dziś nie zjadłam. Najchętniej zrezygnowałabym już z tych pokazów. Cały dzień w biegu! Po prostu muszę wreszcie usiąść, tylko, Selene, uprzedź mnie, które krzesła są rozklekotane, bo nie chcę się znów poobijać.

Mówiąc, dziewczyna nie zwracała najmniejszej uwagi na to, do kogo mówi. Dopiero gdy zdjęła płaszcz, poprawiła sukienkę i wtaszczyła swoją walizkę pod kominę, z uśmiechem spojrzała na wciąż przyglądającą się jej Kate.

A Kate zaniemówiła.



Rozdział 6

Wzloty i upadki

– Yyyh... aaah... eehh...

To była *ta* dziewczyna; dziewczyna z reklamy.

– Och – powiedziała. – Ty pewnie jesteś Kate?

Kate, nadal nie mogąc nic powiedzieć, pokiwała tylko głową.

– Wybacz, że tak wparowałam – ciągnęła dziewczyna. – Nie wiedziałam, kto otwiera drzwi. Myślałam, że to Tom albo Diana. Hillena wspominała mi o tobie. Jesteś nowa, prawda? Jestem Lilian, siostra bliźniaczka Toma, ale wbrew tym głupim stereotypom o bliźniętach, nie jesteśmy szczególnie do siebie podobni, no i mamy różne charaktery.

Rozglądnęła się dookoła, jakby w poszukiwaniu wszystkich, o których przed chwilą wspomniała, ale nikogo nie zobaczywszy, mówiła dalej do Kate:

– Wybacz mi ten potok słów. Jestem strasznie podekscytowana, choć prawdę mówiąc, zapomniałam już czym... – Zastanowiła się, po czym zawołała: – Ach, chyba chodzi o to, że mamy jutro nauczyć cię latać! Nigdy jeszcze nikogo nie uczyłam. Mam nadzieję, że nie spadniesz z miotły i się nie zabijesz! – Zachichotała. – No, już, przepraszam. Koniec gadania.

Kate była jej wdzięczna, że tyle mówiła, bo sama próbowała sobie przypomnieć, jak artykułować słowa. Teraz, gdy widziała Lilian na żywo, czuła się onieśmielona. Dziewczyna była od niej wyższa o głowę, a jej włosy i makijaż wyglądały jeszcze lepiej niż w reklamie. Miała też szpilki od Louboutina.

– Dostałam je za udział w jakiejś reklamie – oznajmiła, widząc, że Kate się im przygląda. Chyba sama poczuła się onieśmielona, że ktoś tak się w nie wpatruje, ale Kate nic nie mogła na to poradzić. Robiła to bezwiednie. – Pracuję dorywczo jako modelka... Tylko dorywczo, nic wielkiego.

– Wiem – wyjąkała wreszcie Kate. – To znaczy...

To chyba nie był dobry pomysł, żeby powiedzieć: „W końcu przed chwilą byłaś w telewizorze”.

– Och, macie jedzenie! – ucieszyła się Lilian, patrząc na stół. Usiadła i od razu wzięła sobie dwa krokiety. – No, powiedz mi, Kate, jak się czujesz jako nowa wiedźma? – zapytała z pełnymi ustami.

– No cóż...

– Usiądź przy mnie – poprosiła Lilian, co Kate przyjęła z ulgą. Nogi trochę się jej trzęsły. – Opowiadaj, jak ci się tu podoba? Selene jest bardzo fajna, prawda? Udostępnia nam swój dom, sprowadza na zamówienie rzeczy do magicznego

sklepu.

Do tej pory Kate nie myślała w ten sposób o Selene, ale chyba mogła przyznać, że coś w tym było.

– Przyjechaliśmy dopiero jakąś godzinę temu – odparła.

– Ach, to niewiele mnie ominęło! – ucieszyła się Lilian. – Bardzo dobrze... No, ale nie odpowiedziałas na moje pytanie. Podoba ci się? – Obrzuciła Kate badawczym wzrokiem, który był jednak bardziej pogodny niż poważny.

W kwestii gadatliwości Lilian przypominała Mel, ale poza tym było w niej też coś zupełnie innego. Była mniej skupiona na sobie i bardziej otwarta na rozmowę niż tylko monologi, o czym świadczyło to, że naprawdę czekała teraz na odpowiedź Kate.

– Dowiedziałam się o magii mniej więcej dwa miesiące temu – powiedziała Kate. – Trochę przypadkowo. Wcześniej nie miałam o niczym pojęcia... Absolutnie o niczym.

– Rozumiem – odparła Lilian. W tonie jej głosu było jednak coś więcej niż zwykle zrozumienie. Nagle Kate zdała sobie sprawę, dlaczego Lilian jej przerywała. Nie robiła tego dlatego, że nie chciała słuchać. Ona po prostu z góry umiała odczytać czyjeś uczucia – wystarczyło jej jedno spojrzenie. Była empatką.

Ta myśl zmroziła Kate. Znała już kogoś, kto posiadał moc empatii. Erato. Ale przecież moc jest tylko mocą, niczym innym. Każdy może ją posiadać i wykorzystywać zgodnie ze swoją wolą.

– Stresuję się przed jutrzejszymi lekcjami latania – wyznała Kate.

– Nie ma czym! – zawołała Lilian. – Latanie jest świetne. Oczywiście wiesz, że żartowałam z tym spadaniem z miotły?

– No... tak – odparła ostrożnie Kate.

– Nie musisz się niczym martwić – oznajmiła Lilian i wepchnąwszy sobie do ust ostatni wielki kawałek kromki, wstała od stołu. – Pójdę przywitać się z resztą – powiedziała.

– Są na...

– Wiem. – Uśmiechnęła się i pobiegła na górę. Zrobiła to tak szybko, że przez chwilę Kate zdawało się, że wcale jej tu nie było, a cała ta rozmowa się jej przyśniła. Spojrzała jednak na stół, na którym nie zostało już prawie nic do jedzenia.

Przynajmniej nie miała już wyrzutów sumienia – Lilian zjadła więcej od niej.



Kate położyła się najwcześniej ze wszystkich, a i tak prawie wcale nie spała. Najpierw obudziło ją wejście Lilian do pokoju, a potem zaczęła śnić, że spada z miotły i za każdym razem, gdy już miała uderzyć o ziemię, gwałtownie zrywała się z łóżka. W końcu noc zaczęła wymieniać się z dniem. W miarę, jak niebo jaśniało, Kate coraz bardziej się denerwowała. To było dziwne doznanie. W dzieciństwie nie lubiła ciemności i zdarzało się jej w strachu czekać na świt – dopiero wtedy mogła spokojnie zasnąć. Teraz, po raz pierwszy w życiu, było odwrotnie.

Niestety! Pogoda dopisała – tak przynajmniej stwierdziła ciotka Hillena, gdy Kate zeszła na dół, gdzie wszyscy czekali na nią ze śniadaniem. Każdy miał na sobie dres i bejsbolówkę. Jedynie Diana ubrała żółtą bluzkę na

ramiączkach i zielone szorty. Za każdym razem, gdy w rozmowie padało słowo „miotła”, prychała głośno i odwracała głowę. Odeszła od stołu jeszcze zanim Selene zdążyła postawić na nim wielki talerz z grzankami.

Kate nic nie zjadła. Próbowwała posmarować grzankę dżemem, ale nóż dwukrotnie wypadł jej z dłoni. W końcu zaczęła z rezygnacją skubać suchy chleb. Ciotka, udając, że niczego nie zauważyła, zaczekała, aż Kate odłoży niedojedzoną kromkę, po czym wręczyła jej paczkę. W środku był nowy dres i taka sama czapka, jaką mieli wszyscy wokół stołu.

– Leć się przygotować – powiedziała śpiewająco. Kate bez słowa powłóczyła nogami do łazienki. Nawet tam wszystko było dostosowane do nazwy domu. Nad prysznicem wisiały gwiazdki, a na ramę lustra składały się dwa połączone ze sobą półksiężyce.

Kate miała zamiar spędzić w łazience jak najwięcej czasu, żeby odroczyć moment wejścia na miotłę, który wisiał nad nią jak wyrok. Obliczyła jednak, że jeśli ma nie wzbudzać żadnych podejrzeń, nie może poświęcić toalecie więcej niż pół godziny.

Obejrzała się ze wszystkich stron. Nie wyglądała najlepiej w tym dresie, nie wspominając już o bejsbolówce. Po co komu czapka do latania na miotle? Czyżby mieli za bardzo zbliżyć się do słońca?

Kiedy z powrotem zeszła na dół, wszyscy czekali już przed drzwiami. Brakowało tylko Diany.

– Ciekawa lotu? – zapytała uśmiechnięta Selene.

– Och... tak, bardzo – skłamała Kate i żeby uniknąć rozmowy o tym, jak to cudownie jest być początkującą

wiedźmą, zapytała: – Diana nie zejdzie?

Selene skwasiła się, słysząc to pytanie.

– Nie, ona nie lubi latać – odparła zdawkowo i tak szybko, że Kate z trudem ją zrozumiała. – No, idziemy!

Dzień był pogodny. Ani jedna chmura nie zakrywała błękitnego nieba, więc promienie słońca mogły spokojnie rozstrzelić się po całej okolicy. Rześka, poranna atmosfera jeszcze nie opadła i musiała zderzyć się z zapachem stęchlizny, gdy Selene otworzyła komórkę pod schodami, gdzie trzymała miotły. Wyjęła pięć – Lilian dostała najdłuższą, Tom i ciotka Hillena średnie, a Selene – najmniejszą. Kate pozostała stara, drewniana miotła, z której sypały się już witki. Bała się nawet brać ją do ręki, ale Selene powiedziała, że „to najsolidniejsza z jej mioteł i jeszcze nigdy nie zawiodła”.

Gdy wszyscy ustawili się w szeregu przed Selene i ciotką Hilleną, ta pierwsza zaczęła rozdawać im niewielkie słoiki po dżemie, w których znajdowała się jakaś bezbarwna maść, a ciotka Hillena udzielała instrukcji, które kierowała chyba głównie do Kate.

– Dom i cała okolica są obłożone czarami, więc nikt postronny nie powinien was zobaczyć – mówiła. – Maść będzie jednak potrzebna, by uczynić was niewidzialnymi, w razie gdybyście niechcący przekroczyli zaklęty obszar. Nie latajcie zbyt wysoko. Pamiętajcie, że Kate robi to po raz pierwszy. Miotły są bezpieczne i były już często używane.

To „często używane” nie brzmiało wprawdzie najlepiej, ale Kate przypomniała sobie, jak ciotka mówiła jej, że narzędzia magiczne są tym silniejsze, im częściej się ich używa.

– Tom i Lilian, proszę was, zajmijcie się Kate. My z Selene

mamy zamiar urządzić sobie małą przejażdżkę. – Spojrzała z rozmarzeniem w niebo. – Dobrze. Możemy zaczynać się smarować.

– Czyli jeśli nasmaruję się tą maścią, to nikt mnie nie zobaczy? – zapytała Kate, patrząc na Lilian i Toma. – Myślałam, że to maść na latanie.

– Bo tak jest – odparł Tom. – To maść na latanie, taka nazwa się przyjęła, ale tak naprawdę nie potrzebujemy jej, żeby latać. Do tego wystarczy nam zaczarowana miotła albo dywan. Maść służy temu, żeby nie zobaczyli nas nieprzynależący. Sprawia, że jesteśmy niewidzialni, ale tylko dla tych, którzy sami nie są nasmarowani.

Kate odetchnęła z ulgą. Dobrze było wiedzieć, że nie straci ich z widoku, a jeszcze lepiej – że oni nie stracą jej. To dawało cię szansy, że gdyby jednak zaczęła spadać lub uniosła się za wysoko, ktoś pospieszy jej z pomocą.

– Nie spadniesz – pocieszała ją Lilian. – To się bardzo rzadko zdarza i tylko z nowymi, źle zaklętymi miotłami. Te stare są już sprawdzone. Można ich używać do zderzenia.

Kate posłała jej blady uśmiech i zaczęła smarować ręce maścią.

– Nie tak! – Lilian się roześmiała. – Spójrz, musisz wziąć trochę maści na palce i posmarować nią małżowiny, potem lekko nasmarować nos i usta.

– Chodzi o to, żeby maść szybko wchłonęła się w ciało poprzez śluzówki – wyjaśnił Tom. – Wsmarowujemy je w różne części ciała. Nie tylko nos i uszy, ale też oczy, usta...

– Skończ, nim dojdiesz do rzeczy, o których nie mamy teraz ochoty słuchać – ostrzegła go Lilian.

Wsmarowywanie maści w nos i usta było dziwne. Całe szczęście, że jej zapach nie był zbyt intensywny. Przypominał wazelinę połączoną z jakimiś ziołami. Za to w smaku była gorzka i nieprzyjemna.

– Jeśli nasmarowałaś siebie, zrób to samo z miotłą – polecił Tom. – Spójrz. – Wziął do ręki swoją własną miotłę i zaczął dokładnie rozsmarowywać po niej maść. – Od góry do dołu. Nie musisz nakładać grubej warstwy, wystarczy tylko trochę. Za każdym razem maść się wchłania i wzmacnia magiczną, energetyczną strukturę miotły.

Kate zaczęła zastanawiać się, czy tak samo robi się z dywanami, i choć wcale o to nie zapytała, Tom odpowiedział:

– Nie, do nich używa się specjalnego proszku.

Kate spojrzała na niego ze zdumieniem. Wiedziała, że można przesyłać komuś myśli. Sama tak robiła, ale tylko wtedy, gdy chciała. Tym razem nie próbowała jednak niczego wysłać. Tom sprawiał wrażenie, jakby nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

– Tom! – zawołała Lilian.

– No co jest? – obruszył się.

– Miałeś tego nie robić bez ostrzeżenia!

Przez chwilę patrzyli na siebie tak, jakby rozmawiali przy użyciu myśli.

– Ach... – westchnął Tom, jakby nagle dotarło do niego, co się stało. – Przepraszam, nie wiedziałem, że ona to *pomyślała*. Wyraźnie usłyszałem głos.

Lilian przybrała taką minę, jakby mu nie wierzyła, ale Kate była skłonna to zrobić. Kiedy rozmawiała z Jawisem, jego głos odzywał się w jej głowie tak, jakby słyszała kogoś

przemawiającego obok siebie. Ale skąd taka zdolność u Toma? Może był talesinem, jak ona?

– Dobrze, przejdźmy teraz do tego, jak właściwie usiąść na miotle – kontynuował nieco speszony Tom. Najpierw omówił ogólnie budowę miotły, co Kate uznała za niepotrzebne. Nie trzeba przecież wielkiej filozofii, by odróżnić trzonek od witek. Zdziwiła się jednak, gdy Tom usiadł już na miotłę. Zrobił to w taki sposób, że witki były z przodu.

– Wiem, co pokazują w filmach – powiedział, najwyraźniej tym razem odczytując jej zdziwienie z twarzy. – Najstarsze podania, pochodzące jeszcze z czasów, gdy istniał jeden świat, mówią, że witki powinny znajdować się z przodu. I podania są oczywiście słuszne. Nie chodzi tylko o tradycję. Witki rozganiają powietrze w taki sposób, że nie uderza w nas, kiedy lecimy. To trochę jak z szybą w samochodzie.

– Och, zamiast słuchać tego wszystkiego, spójrz po prostu na Selene – powiedziała Lilian. – Zaraz będzie startować.

Miotła Selene wisiała już w powietrzu, gdy Kate odwróciła wzrok w jej stronę. Selene nie usiadła na niej okrakiem, ale tak, jakby chciała zrobić z niej ławkę. Po chwili miotła zaczęła unosić się coraz wyżej, a Selene z uśmiechem patrzyła przed siebie. Powoli zataczała w powietrzu kółka i wreszcie zniknęła gdzieś za dachem Księżycowego Domu. Szybko dołączyła do niej pani Hallander, która jednak dosiadła miotły przepisowo. Leciła przed siebie, mocno trzymając trzonek i nie wykonując żadnych manewrów. Musiała bardzo wziąć sobie do serca rolę mentorki Kate i najwyraźniej nie chciała robić niczego niebezpiecznego.

– Nie bierz przykładu z Selene. – Tom sprowadził myśli Kate na ziemię. – Żeby latać na miotle w ten sposób, trzeba

wiele doświadczenia i niezwykłego zmysłu równowagi.

– Nawet nie przyszłoby mi to do głowy – odparła Kate. Na widok Selene czuła raczej przerażenie niż podziw.

– Najlepiej usiąść na miotle tak, jak twoja ciotka – mówił dalej Tom. – Spójrz na mnie i powtarzaj. – Podniósł miotłę i włożył ją sobie między nogi, które zacisnął tak, żeby nie spadała. Ręce ustawił jak najbliższej witek. Kate czuła się dziwnie, powtarzając te ruchy. Lilian patrzyła na nich i chichotała.

– Trzymaj się mocno – powiedział Tom. – To bardzo ważne, w razie gdybyś zjechała, co jest oczywiście mało prawdopodobne. Gdy już będziesz gotowa, po prostu odbij się nogami od ziemi tak, jakbyś chciała skoczyć do przodu. Miotła powinna zareagować i zacząć się unosić. Nim ruszysz, przyglądaj się mnie.

– I podziwiał – dodała uszczypliwie Lilian. Tom spojrzał na nią z ukosa.

– Radziłbym uważać. Miotły są śliskie, a moje ręce mogą nagle zrobić się nieporadne i niechcący walnąć kogoś w głowę.

Lilian zamilkła i sama zaczęła dosiadać miotły, jakby przygotowując się do ucieczki, w razie gdyby Tom jednak nie żartował.

– Zobacz, Kate, to łatwe – powiedział Tom i lekko odbił się stopami od ziemi. Nie opadł jednak z powrotem, tylko zawisł kilka stóp nad chodnikiem. – Spróbuj.

Kate, która już od kilku minut mocno ścisnęła trzonek miotły, poczuła, jak nagle pocą się jej ręce. A może to była wina maści? Nie chcąc wyjść na tchórzliwą, zamknęła oczy, policzyła szybko do trzech i skoczyła.

Poczuła dziwną lekkość, jakby nagle znacznie straciła na wadze i mógł ją unieść najmniejszy podmuch wiatru. Nawet najdelikatniejszy ruch palcem sprawiał, że miotła lekko się przekręcała.

– Udało się! – krzyknęła i w tym samym momencie poczucie dumy sprowadziło ją na ziemię. Chodnik przed domem wyłożony był niewielkimi, kamiennymi płytami, więc lądowanie nie było najprzyjemniejsze.

Lilian pomogła jej się pozbierać, a Tom spojrzął na nią z góry – dość dosłownie – i beznamiętnym tonem oznajmił:

– Do lądowania jeszcze przejdziemy.

Udając, że nie słyszy ironii w jego głosie, Kate z determinacją znów dosiadła miotły i odbiła się od ziemi. O ile za pierwszym razem udało się jej wytrzymać w powietrzu jakieś pięć sekund, teraz dobiła do dziesięciu, jednak upadek był równie bolesny. Przy trzecim podejściu unosiła się nad ziemią trochę dłużej, ale trzęsła się i chybotwała. Lilian za każdym razem pomagała jej wstać, a Tom patrzył na to bezlitosnym okiem nauczyciela, wciąż siedząc na swojej miotle.

– Mówiliście, że powinna dobrze działać – narzekała Kate, gdy zbierała się z ziemi po raz czwarty.

– Z miotłą wszystko jest w porządku – odparła Lilian. – Chodzi raczej o twoją pewność. Musisz uwierzyć, że możesz polecieć, i nie bać się, że spadniesz.

– Kiedy jest się już w górze, trudno pozbyć się strachu przed upadkiem – zauważyła Kate.

– Ale nie chodzi o to, żeby nie bać się upadku – powiedziała Lilian – tylko żeby wiedzieć, że nie ma w nim nic złego. No dalej, wskakuj na miotłę.

Nie musiała jej nakłaniać. Kate nie miała zamiaru kończyć, dopóki nie wzbije się przynajmniej w okolice dachu. Spadła jeszcze kilka razy i czuła, że już mocno obija sobie pośladki. Z drugiej strony miała też satysfakcję, bo przy każdym podejściu osiągała coraz lepszą równowagę i dłużej utrzymywała się w powietrzu.

– Bądź stanowcza – radził jej Tom. – Panuj nad miotłą za pomocą umysłu. Jesteś jej panią.

Rady Lilian były trochę inne.

– Wyobraź sobie, że to część ciebie – mówiła. – Poczuj ją jak swoją rękę czy nogę, naturalną i żywą.

Kate postanowiła znaleźć własny sposób na skontaktowanie się z miotłą. Jeszcze raz chwyciła trzonek, tym razem nie tak silnie, żeby nie zdradzać strachu, i szepnęła: „Leć”, po czym skoczyła i... wzbija się aż nad głowę Toma, który spojrzał na nią z zadowoleniem.

– Brawo! – zawołała Lilian i po chwili sama wskoczyła na miotłę. – A teraz leć za mną... Albo nie, lepiej leć za Tomem. Ja lubię dać się ponieść szaleństwu.

Po tych słowach odleciała, krzycząc i wykonując szalone piruety.

– Wariactwo – obruszył się Tom, po czym zrównał wysokość z Kate i skinął na nią głową. – Lecimy.

Zaczął powoli, lecąc prosto przed siebie. Kate uważnie śledziła jego ruchy. Wciąż jeszcze czuła się niepewnie, ale wiedziała, że nie może już pozwolić sobie na upadek. Była zbyt wysoko.

Tom, jako nauczyciel, był wyjątkowo ostrożny. Nie wykonywał żadnych manewrów, a przez pierwsze pół godziny okrążali tylko dom. Zmodyfikował lot dopiero, gdy Kate

poczuła się swobodniej. Najpierw skierował miotłę w górę i wzbil się wysoko ponad dach Księżycowego Domu, a potem zanurkował, zatrzymując się na wysokości schodów. Po kilku takich próbach powiedział:

– Chyba możemy już zwiedzić okolicę. Ale pamiętaj, żeby trzymać się jak najbliżej.

Wzbili się wysoko i ruszyli ku wirującym na niebie punktom, którymi były Selene, pani Hallander i Lilian. Okolica była pusta. Najbliższa droga znajdowała się jakieś dwie mile dalej. Patrząc w dół, można było zobaczyć plażę, hotele i morze rozciągające się aż po horyzont. Jak na miasto czarownic, Hagsborough wcale nie wyglądało nadzwyczajnie.

Latali długo. O tym, że nastąpiło południe, Kate zorientowała się dopiero, gdy Tom powiedział, że chce mu się pić. Zaczęli powoli obniżać lot. Selene, ciotka Hillena i Lilian czekały już na schodach przed domem. Żeby wylądować, Kate musiała uważnie obserwować Toma, który, nim sięgnął ziemi, jeszcze przez chwilę delikatnie się unosił. Oczywiście jej lądowanie nie było tak delikatne. Nie przewróciła się, ale mocno zaszurała podszwami o chodnik.

– No i jak? – zapytała ciotka.

– Może być. – Kate udała obojętność. W rzeczywistości, choć sama się temu dziwiła, chciała jak najszybciej znaleźć się z powrotem w górze. Latanie było o wiele przyjemniejsze, niż sądziła.

– Powinniśmy wracać – stwierdziła Selene. – Znosi się na burzę.

– Chcę spróbować wzbic się jeszcze raz – poprosiła Kate. – Tym razem bez niczyjej pomocy. Żeby... no, żebym

wiedziała, że na pewno się tego nauczyłam i żebyś już mnie nie męczyła miotłami – dodała do ciotki.

Pani Hallander rozłożyła tylko ręce w odpowiedzi.

Kate wzbiła się ponownie, tym razem bez większych kłopotów. Zatrzymała się na wysokości piętra i zaczęła okrążyć dom, zaglądając po kolei w każde z okien. Pokoje wyglądały różnie. Niektóre były zaniedbane – farba schodziła ze ścian, a nad wielkimi łózkami widniały dziury po obrazach. Większość pomieszczeń była jednak utrzymana w czymś, co można by nazwać pewną formą porządku. Zagracwały je wprawdzie magiczne sprzęty, a ściany przypominały płótna malarzy, którzy postanowili sobie za bardzo pofolgować, ale z pewnością był w tym wszystkim konkretny zamiar, artystyczno-ezoteryczna wizja Selene.

W jednym z okien Kate spostrzegła Dianę. Siedziała na podłodze przed biurkiem i mruzczała pod nosem, trzymając w ręku jakiś przedmiot. Na biurku łasił się Scire, chodząc tam i z powrotem, wyglądając, jakby bardzo chciał pomóc w rytuale. Kate podleciała bliżej, żeby przyjrzeć się przedmiotowi. Szybko jednak pożałowała tej decyzji, bo to, co zobaczyła, przyprawiło ją o dreszcze.

W dłoniach Diany spoczywała szara, brzydka lalka. Zamiast oczu miała dwa czarne guziki, a jej nogi i przydługie ręce wyglądały na zdeformowane. Diana zaszywała coś w jej wnętrzu.

Kate zagapiła się. Diana, czując chyba, że jest obserwowana, wstała gwałtownie i podeszła do okna z lalką dyndającą teraz na przyszytej do serca nici. Na moment ich spojrzenia spotkały się. Diana nienawistnie zmrużyła oczy i zasłoniła okno z taką złością, że żaluzje aż zatrzeszczały.

Nagle gdzieś niedaleko uderzył piorun. Kate ze zdziwieniem spojrzała na niebo, które zaczęło gwałtownie zachodzić ciemnymi chmurami. Szybko wylądowała i uciekła do domu na kilka chwil przed tym, jak lunęło.



Dlaczego Diana miałaby szyć magiczne laleczki? Chciała kogoś przekląć? – Kate bez przerwy zadawała sobie te pytania, siedząc samotnie w pokoju. Wpatrywała się w okno, za którym burza rozpętała się na dobre. Błyskawice rozdzierały niebo na całej długości, a ciemne morze trzęsło się, jakby jakaś potężna niewidzialna siła próbowała przelewać je z jednego krańca na drugi.

Kate próbowała czytać książkę o miotłach, którą pożyczył jej Tom, ale nie umiała się na niej skupić. Przed oczami wciąż miała tamtą laleczkę, wstrętą i ohydą. Z drugiej strony być może wygląd lalki to zwyczajnie wina Diany? W rękach kogoś, kto bez przerwy chodzi z marszem na czole, nawet zajac wyglądałby jak buldog.

Zajac... Zważywszy na zaszłości, jakie Kate miała z pewnym wyjątkowo wrednym zajacem, nie było to najlepsze porównanie. A może jednak właściwe? Może intuicja chciała w ten sposób powiedzieć jej, że Diana może być tak samo niebezpieczna jak Erato?

Nie mogła już znieść tych wątpliwości. Wstała i zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem. Musiała porozmawiać z kimś o tej laleczce. Tylko z kim? W pierwszej chwili przyszło jej do głowy, żeby przywołać Fiona, ale

zrezygnowała z tego zamiaru. Pewnie znów trułby jej głowę nauką, a może nawet dodatkowo kazał zapoznać się z laleczkami. Na to nie miała ochoty.

Lilian też odpadała. Ostatecznie była przecież empatką. Kate nie udałoby się jej oszukać, mówiąc, że pyta o lalkę ot, tak. Lilian na pewno domyśliłaby się, o co chodzi, a w końcu ona i Diana są przyjaciółkami...

Wzięła do ręki książkę od Toma i zaczęła ją kartkować, jakby w poszukiwaniu pomocy. Nieoczekiwanie ją otrzymała.

– Tom – wyszeptała.

No tak, to przecież oczywiste! – pomyślała. Taki mądrała jak on... No, może i całkiem sympatyczny, ale jednak mądrała... Na pewno wie o magii wszystko. I na pewno tak zapali się do odpowiedzi, że nawet nie będzie się zastanawiał, skąd wzięło się pytanie.

Uznawszy, że to jedyna droga, żeby rozwiązać swoje wątpliwości, Kate natychmiast ruszyła do Toma. Jego pokój znajdował się naprzeciwko schodów. Drzwi były uchylone, dlatego, sądząc, że Tom jest w środku, Kate nie zapukała, tylko lekko je pchnęła. Natychmiast tego pożałowała, bo wyglądało na to, że w czymś mu przeszkodziła.

Tom siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, był odwrócony plecami do drzwi, a przed nim, na okrągłym stoliku, płonęły dwie wysokie, złote świece. Między nimi umieszczona była figurka mężczyzny o kremowym ciele. Na stopach miał złote sandały, a w ręku dzierżył łuk.

– Przyjdź do mnie, odpowiedz na moje wezwanie – szeptał Tom. Nie zorientował się chyba, że Kate stoi tuż za nim. Na szczęście. Byłoby jej strasznie głupio, gdyby przeszkodziła mu w jakimś ważnym rytuale.

Cofnęła się powoli i przymknęła drzwi, zostawiając je uchylone tak samo, jak przedtem. Chciała bezszelestnie wrócić do swojego pokoju, ale gdy tylko się odwróciła, nagle wyrosła przed nią Diana. Nie wiadomo jak i skąd. Tyle szczęścia, że bez lalki.

– Ile osób masz jeszcze zamiar dziś szpiegować, co? – zapytała, posyłając jej gniewne spojrzenie.

Kate zamarła.

– Ja... ehm... nikogo nie szpieguję – wyjąkała. – Byłam tylko... oddać książkę. – Na dowód swoich słów, zamachała jej przed oczami „Historią i zastosowaniem miotły”, którą wciąż miała w ręce. Diana prychnęła, nawet nie patrząc na książkę.

– Jasne – powiedziała. – A przed moim oknem obserwowałeś ptaki, tak?

– Nie. Ćwiczyłam tylko latanie.

– Posłuchaj. – Diana groźnie wystąpiła do przodu. – Jeśli jeszcze raz przyłapię cię na węszeniu, przekonasz się, że znam się nie tylko na laleczkach. Chcesz zobaczyć magię? Sama ją sobie stwórz, o ile tylko potrafisz.

Tuż po wypowiedzeniu tych słów, Diana ruszyła do swojego pokoju. Kate pewnie powinno teraz zamurować, ale w końcu walczyła już z gorszymi istotami od wiedzy z nadmuchanym ego. Musiała ją zatrzymać.

– Wiesz – powiedziała. – Wcale nie obchodzą mnie twoje *wielkie* czary. Bądź co bądź, ja nie muszę sobie przyklejać sznurków do włosów, żeby zyskać czyjś szacunek. I wcale mi nie zależy, żebyś mnie lubiła.

Diana zatrzymała się w progu i posłała jej nieco zdziwione, ale chłodne spojrzenie. Scire owinęła się wokół jej szyi, a jej

przyjazny dotąd pyszczek wykrzywił ostrzegawczy grymas.

– No i bardzo dobrze – powiedziała Diana – bo nie polubię.



Rozdział 7

Echa i sny

Pająk opuszczał się po srebrzystej nici. Robił to niepewnie, jakby w obawie, że roztaczająca się wokół cisza mogłaby go obserwować. Zatrzymał się kilka cali nad podłogą, zwlekając z ostateczną decyzją, czy powinien na nią zejść. Wszystkimi nogami kurczowo trzymał się swojej sieci. Wreszcie opuścił się niżej, a gdy tylko dotknął zimnych płyt, pospieszył przed siebie.

Pająk przebiegł obok ogromnego stołu, którego nogi przypominały z tej perspektywy kolumny. Po obu stronach rozciągał się rząd pustych krzeseł. U końca stołu znajdował się za to tron. On jako jedyny był zajęty, ale to, co na nim siedziało, nie wyglądało na całkiem żywe. Ciało było ludzkie, ale nie oddychało ani nie poruszało się. Pająk zbliżył się do niego i dotknął bosych stóp, które były wysuszone i prawie

tak samo zimne jak pierścienie zdobiące ich palce.

Ciało oblekała fioletowa szata. Pająk uczeplił się jej i zaczął wspinać. Kilkakrotnie omal nie utonął w fałdach delikatnego materiału, w końcu jednak udało mu się sięgnąć kolan, na których przez chwilę odpoczywał.

Z podłokietników zwisały dłonie. Ich palce, również ozdobione pierścieniami, wskazywały podłogę. Były lekko ugięte i naprężone, jakby przygotowane do zaciśnięcia się na czyjejsz szyi. Pająk nie zwrócił na nie większej uwagi i zaczął wspinać się wyżej. Z szyi postaci zwisał złoty naszyjnik. Przy większym świetle, zatopione w nim klejnoty byłyby oślepiające. Pomieszczenie rozświetlały jednak tylko dwie wbite w ściany pochodnie.

Pająk okrążył naszyjnik i znalazł się na szyi postaci. Przez cienką skórę wyraźnie przebijały się żyły. Nie dochodził z nich żaden szum; krew nie przepływała przez nie, jednak nie była też całkiem zastygła. Pająk czuł, że kryje się w niej jeszcze jakieś życie, pobudzane czymś starszym; mocą, którą wyczuwało się zawsze i wszędzie, ale w którą nigdy nie dało się wgryźć.

By dostać się do otwartych ust postaci, pająk musiał przejść obok ucha. Potem dotknął spierzchniętych warg. Usta nie zabierały i nie oddawały krążącego w powietrzu życia, a jednak nim pająk zrobił kolejny krok, zacisnęły się, miażdżąc go. Przez chwilę jego nogi wierzgały jeszcze przy wargach, a potem znikły, wciągnięte przez siedzącego. Nie było to jednak życie, którym mógł posilić się na długo.

W oddali głuchym echem odbił się dźwięk otwieranych wrót. Po chwili rozległ się odgłos kroków. Do pomieszczenia weszły trzy postacie w długich, czarnych szatach. Jedna

z nich szła na przedzie zdecydowanym, dumnym krokiem, dwie kolejne zmierzały za nią nieco ściśnięte, jakby czegoś się obawiały. Nieznajomi zatrzymali się przed tronem i spojrzeli na niego z nabożnością. Zdawało się, że zaraz odśpiewają pochwalną pieśń, ale nic takiego się nie stało. Zamiast tego zaczęli po prostu rozmawiać.

– Nadal nic? – odezwała się najniższa z postaci. Jej głos był kobiecy, a twarz skryta pod kapturem.

– Niestety – głębokim, męskim głosem odparła postać, która kroczyła na przedzie. – Jednak wciąż wierzę w powodzenie naszego planu. Czasami wydaje mi się, że Wielki Pan naprawdę się porusza.

– Ja też tak sądziłem – odparła ostatnia z postaci. Jej głos również był męski, choć wydawał się młodszy niż głos poprzedniej. – Boję się jednak, że to tylko iluzja...

– Wielki Pan jest nieśmiertelny – zauważył z zacięciem starszy mężczyzna.

– Wiemy o tym – odpowiedziała spokojnie kobieta. – Ale już... – zawahała się. – Już dawno chcieliśmy ci powiedzieć o naszych obawach. – Jej głos robił się tym bardziej niepewny, im bardziej narastała cisza wokół. Starszy mężczyzna odwrócił się w jej stronę, co sprawiło, że na chwilę musiała przerwać, jakby chcąc się przygotować na ostrą reakcję. Dokończyła jednak: – Sądzimy po prostu, że skoro Wielki Pan przez tysiące lat pozostawał w takim stanie, to dlaczego mamy sądzić, że teraz zdoła go obudzić kilka... myszy i szczurów. Może spać jeszcze długo.

Starszy mężczyzna spoglądał spod swojego kaptura na spuszczoną głowę kobiety. Powoli podszedł do stołu.

– Wielkie Rzeczy miały miejsce, to nie ulega wątpliwości –

powiedział. – Wiemy, że moc kamienia Danu dała o sobie znać. Gdy ona to robi, nasz władca budzi się wraz z nią. Nie ma innej możliwości.

Młodszy mężczyzna znów zabrał głos:

– Wezwałeś nas, zapewniając, że istnieje siła, która jest w stanie przywrócić Wielkiemu Panu pełnię życia – powiedział. – Ufam, że dziś nam o niej opowiesz.

– Zrobię to – odparł starszy mężczyzna, gestem przyzywając pozostałych do stołu.

W pomieszczeniu zapanowała atmosfera niepokoju. Mimo szacunku, jaki każda z zakapturzonych postaci czuła do zajmującego tron ciała, nikt nie usiadł na tyle blisko niego, by czuć jego szaty, roztaczające wokół zapach olejków z roślin, których na próżno było już szukać w Jaarze. Czas i historia poruszały się pod skórą starego ciała, jakby próbowały wypełznąć którymś z więzących je porów.

Starszy mężczyzna sięgnął do obszernej kieszeni swej szaty i wyjął z niej grubą księgę, którą następnie położył na stole. Jej okładka była zniszczona i sprawiała wrażenie, jakby ktoś bardzo długo trzymał ją pod wodą, potem próbował spalić, aż wreszcie wystawił na działanie ziemi i wiatru.

– Spośród setek skarbów i magicznych artefaktów, które udało się zgromadzić naszemu zakonowi, ta księga jest najcenniejsza – oznajmił mężczyzna. – Nie skłamałbym, mówiąc, że mógłbym oddać za nią wszystko, co mamy. Spisano ją w czasach, gdy ludzie wciąż pamiętali o Wielkim Panu, choć już wtedy mieli o nim mgliste pojęcie. Wiedza zawarta tutaj może okazać się jednak ziarnem, które przyniesie nam obfity plon.

– Co to za księga? – zapytała kobieta. – Skąd ją masz?

Wyciągnęła chciwie ręce, ale mężczyzna odsunął księgę.

– To niewłaściwe pytania – powiedział. – I zupełnie niepotrzebne. Właściwe pytanie brzmi: co zawiera księga i jak możemy to wykorzystać.

– A więc...? – odparł młodszy mężczyzna z opanowaniem, którym, być może celowo, odróżniał się od kobiety.

Starszy mężczyzna otworzył księgę tak delikatnie, jakby bał się, że okładka odpadnie. Kruche strony rozsypywały się w jego dłoniach, gdy zaczął je kartkować.

– To opowieść o tym, jak Wielki Pan zdołał sięgnąć po władzę, a także wskazówka, jak odnaleźć jego rozproszoną moc. Nie ma sensu, żebym opowiadał wam o wszystkim, co zawiera księga, najważniejszy jest sens tej historii.

Mężczyzna przerwał na chwilę, nieprzejęty niecierpliwością, jaką wyczuwał w swoich rozmówcach. Spokojnie przewracał dalej stronicę, aż dotarł do połowy. Był tam wyrysowany znak czterogłowego smoka, który okrążał swym cielskiem niewielki diament – ten sam znak zakon przyjął jako swój symbol. Mężczyzna zaczął opowiadać:

– Gdy Wielki Pan był u szczytu swej władzy, towarzyszyli mu czterej wierni słudzy. Ich imiona nie zachowały się w żadnych podaniach. Nie są zapisane nawet w tej księdze, chociaż to ona jako jedyna o nich wspomina. Nasi wrogowie spuścili na historię zasłonę własnych kłamstw, grzebiąc w odmętach niepamięci wszystkie dokonania Wielkiego Pana. Kiedy tylko znalazłem się w posiadaniu tej księgi, zacząłem dokładnie ją studiować, nikomu o tym nie mówiąc. Musiałem najpierw sam ją zbadać. Nie ulega wątpliwości, że jest stara, a jej tekst stanowił dla mnie zagadkę.

Mężczyzna przesunął dłonią po pozółkłej stronie, gładząc

sylwetkę smoka.

– O ile informacja o czterech sługach była zrozumiała, o tyle miejsce, w którym można znaleźć ich szczątki, nie było podane wprost. „Ich grobowce znajdują się na północ od miejsca, gdzie Gęsty Mech przeradza się w brzeg, a Srebrzysta Rzeka wpada do najpotężniejszego z mórz”.

Kobieta i młodszy mężczyzna spojrzeli na siebie pytająco. Starszy mężczyzna uśmiechnął się.

– Wystarczy znać starą geografie Jaaru, by rozwiązać tę zagadkę. Gęsty Mech to Kuldenthaal. Tak fery z Tir-na-Nog nazywają swoją krainę. Srebrzysta Rzeka za to już nie istnieje. Dawniej nazywano ją Ayesminn, ale od czasu, gdy napisano księgę, poziom wód znacznie opadł i podzieliła się, przecinając Las Wielu licznymi strumieniami. Najpotężniejsze z mórz to Gartha. Jest pokryte lodem od tak dawna, że nikt nie pamięta już, by kiedykolwiek było wodą. Oznacza to, że trzeba dotrzeć do granicy Tir-na-Nog i ruszyć dalej w morze.

– Ale... – zaczęła niepewnie kobieta. Kolejne słowa przysły jej z trudem, zupełnie, jakby miała się nimi udusić: – Ale to przecież... przeklęte miejsce!

Wszyscy o tym wiedzieli. Nikt nigdy nie zapuszczał się w tamte tereny, nawet sami Tirnanie je omijali.

– Jak sądzisz, dlaczego tak je nazwano? – zapytał starszy mężczyzna. – Dlaczego chciano wierzyć, że to miejsce jest przeklęte? Czyż to nie oczywiste? Za tym morzem znajdują się pozostałości królestwa Wielkiego Pana i wszystkie ukryte w nich skarby. Nasi wrogowie nie mogli pozwolić, byśmy się tam dostali.

– Jesteś pewien, że możemy zaufać tym podaniom? –

odparł młodszy mężczyzna. – Zanim trafiły w twoje ręce, mogły już zostać wielokrotnie zmienione.

– Nie sądzę. Zresztą tak czy inaczej musimy spróbować. Jedno z nas musi wybrać się, by wskrzesić uśpionych.

Starszy mężczyzna przeniósł wzrok z księgi na siedzących przed nim. Utkwił spojrzenie w młodszym mężczyźnie.

– Uznałem, że to będziesz ty.

Młodszy mężczyzna niespokojnie poruszył się na krześle.

– Ja? – wyjąkał. – Ja...

– Musisz pamiętać, że to nie kara, lecz zaszczyt, wielki honor. Wiele już zrobiłeś, by zdobyć kamień, i wciąż może ci się to udać. Pomyśl tylko, jak zostaniesz wynagrodzony, gdy ostatecznie przyczynisz się do wskrzeszenia Wielkiego Pana. Wiem, że starczy ci odwagi, by podołać tej misji.

– Dlaczego nie ja? – odezwała się znów kobieta. – Ja równie dobrze mogłabym wykonać to zadanie!

– Najpierw dokończ to, co zaczęłaś wiele lat temu – odparł starszy mężczyzna, sprawiając, że poczuła się nieswojo. Wciąż jej o tym przypominał. Za każdym razem, nawet gdy wyrывała się do nowych zadań, wskazywał na tę jedną, niedokończoną rzecz.

– Poczyliłam już pewne plany. Zaczęłam... – próbowała się usprawiedliwić, jednak mężczyzna uciszył ją gestem.

– Nie chcę słuchać o twoich planach – powiedział. – Chcę usłyszeć o rezultatach. Ale nie martw się. W swoim czasie każdy dostanie wiele zadań do wypełnienia, ty również. Do tego potrzebna ci będzie jednak moc, której na razie nie masz...

Kobieta spuściła głowę w obawie, że w przeciwnym wypadku ujawni swoją złość. Czy miała uznać się za gorszą

członkinię ich zakonu tylko dlatego, że nie dysponowała jeszcze własną mocą magiczną? Była już wiedźmą, *czuła się* nią całym sercem i tylko kilka kroków dzieliło ją od pozyskania niezbędnej siły.

– Musimy poświęcić nowemu zadaniu wszystkie swe siły – oznajmił starszy mężczyzna. – Być może to już nasza ostatnia szansa, a jeśli ją zaprzepaścimy, będziemy mogli oficjalnie uznać się za przegranych. Jesteście gotowi?

Młodszy mężczyzna i kobieta skinęli głowami. Gdzieś w oddali uderzył piorun.



Grzmot sprawił, że Jonathan niespokojnie rzucił się na łóżku. Za oknem zgromadziły się ciemne chmury, które zaczęły szturmować szybę, jakby próbując zajrzeć do środka. Z szarego nieba trudno było odczytać, że jest już popołudnie. Jonathan spał od kilku godzin. Gdy dotarli wczoraj do hotelu, była już prawie północ. Położyli się niemal natychmiast. Jedyłą rzeczą, jaką matka wypakowała z torby, była ich figurka, mimo że Jonathan wcale nie musiał jej użyć.

Odkąd zobaczył miejsce wypadku, niemal się nie odzywał. Na próby rozpoczęcia rozmowy podejmowane przez matkę odpowiadał zdawkowo, udając zbyt zmęczonego na konwersację. Ale to nie on zasnął pierwszy, gdy byli już w łóżkach.

Wpatrywał się w ciemność. Piekły go oczy, ale z jakiegoś powodu, gdy je zamykał, natychmiast czuł, że musi znowu

je otworzyć.

Motel był niewielki i dość obskurny. Matka nie mogła pozwolić sobie na nic innego. Z uwagi na sezon nawet tutaj ceny były wysokie. Przynajmniej mieli łazienkę i wielkie okno z widokiem na morze. Jonathan długo się w nie wpatrywał, aż wreszcie niebo zaczęło się rozjaśniać. Na tle ściany stopniowo uwydatniały się kontury figurki, stojącej teraz na parapecie. Wreszcie na horyzoncie pojawiło się bladoczerwone słońce.

Potem w sąsiednim pokoju ktoś zaczął się krzątać, najwyraźniej przygotowując się do wczesnego wyjścia nad morze. Dopiero przy tych odgłosach, niezaprzeczalnie zdradzających czyjąś obecność, Jonathanowi udało się wreszcie zasnąć.

Obraz lasu, który dziś zobaczył, powoli wkraczał w jego sny. Kołdra i ściany motelowego pokoju się oddalały, a liście i gałęzie stawały coraz bardziej rzeczywiste.

Jonathan zaczął śnić ten sam sen. Wszystko było w nim takie samo jak zwykle. Spojrzał na swoje ręce, swoje niewielkie, dziecięce dłonie. Znów był chłopcem, znów śmiertelnie się bał, ale w jakiś sposób w tym śnie był bardziej świadom niż dotychczas.

I znowu zaczął zbliżać się do niego tamten mężczyzna. Szedł tym samym, miarowym krokiem. Jonathan czekał na niego, miotając się na łóżku, ale nie mogąc otworzyć oczu. Wreszcie dał za wygraną i czekał spokojnie. Usłyszał szum deszczu, chociaż we śnie wcale nie padało.

Mężczyzna stanął przed nim, a Jonathan, jak zawsze, uniósł głowę, by spojrzeć na jego twarz. Tym razem stało się jednak coś niezwykłego. Światło dochodzące z za pleców

Jonathana padło na twarz mężczyzny inaczej niż zwykle i zamiast cienia, Jonathan zobaczył nos, oczy, policzki, czoło... Całą twarz.

To był on. Anthony Charmling, jego ojciec.

Jonathan nagle przestał się bać. Miał wrażenie, że urósł o kilka stóp. Nie był już chłopcem, a sen zupełnie stopił się z rzeczywistością, być może nawet z nią zamienił.

Ojciec uniósł dłoń. Jego palec wskazujący kierował się w stronę lasu. Jonathan powiódł za nim wzrokiem, a potem znów spojrzał na ojca.

Muszę tam iść – pomyślał. Chcesz, żebym tam poszedł.

Ojciec skinął głową. Twarz miał równie zmizerowaną, co strój, ale teraz pojawił się na niej również cień ulgi, niemal niezauważalnej wśród przejmującej troski i smutku.

Kolejny rozbłysk za oknem stopił się ze światłem latarni. Gdy rozległ się kolejny grzmot, Jonathan zerwał się ze snu. Szeroko otwartymi oczami spojrzał na pustą ścianę. Serce biło mu tak gwałtownie, że musiał złapać się za pierś i przez chwilę głęboko oddychać.

Co to wszystko miało znaczyć? Skąd ojciec wziął się w jego snach? Wcześniej Jonathan zaledwie przypuszczał, że sny miały z nim związek, nie miał jednak pojęcia, że odwiedzający go w nich mężczyzna *jest* jego ojcem. Czego mógł od niego chcieć?

Nie, to było niedorzeczne! Ojciec nie żył, nie mógł niczego chcieć. Tylko w takim razie skąd te sny? Dlaczego prześladowały go od tylu lat? A może tylko sobie to wmówił, tak bardzo uwierzył, że sny odnoszą się do jego przeszłości, że teraz, gdy zobaczył zdjęcia ojca i przyjechał tutaj, jego umysł sam stworzył to wyobrażenie?

Było jednak coś, co niepokoiło go nawet bardziej niż twarz ojca. Ją mógł sobie jakoś wytłumaczyć. Patrząc jednak na ścianę i słuchając bębniącego o szyby deszczu, Jonathan nie mógł pozbyć się z głowy jednego obrazu.

– Droga – wyszeptał.

I złapał się za głowę.

No tak! – pomyślał, zrywając się z łóżka. Dlaczego wpadł na to dopiero teraz? Przecież droga, którą tu jechali, była dokładnie tą samą, jaką widział w śnie. Światło, które dobywało się z oddali, należało do tej jedynej, samotnej latarni, którą tam postawiono.

Jonathan zaczął szybko się ubierać, sam jeszcze nie wiedząc, co właściwie chce zrobić. Spojrzał na komórkę. Dochodziła czwarta. Wysłał do matki krótką wiadomość.

„Wychodzę. Będę wieczorem”.

Za oknem ulewa rozszalała się na dobre. Deszcz walił w okna, jakby krzyczał, by go wpuścić, ale grzmoty już się nie powtórzyły. Wzburzone morze falowało groźnie. Zdawało się, że w każdej chwili może się wylać i zatopić całe Hagsborough. Wiatr wyginał wielkie parasole w kurorcie.

Jonathan nieszczęśliwie przejął się pogodą. Założył płaszcz przeciwdeszczowy i ruszył na dół. Chciał jak najszybciej wyjść z hotelu. Może tylko po to, by się przewietrzyć, a może by wrócić do lasu i spełnić niewypowiedzianą wolę ojca, nawet jeśli była tylko majakiem.

– Niebezpiecznie wychodzić w taką pogodę – powiedziała recepcjonistka, przyjmując od niego klucz. Jej słowa zagłuszał deszcz, który tutaj atakował drzwi. Recepcjonistka miała na sobie koc i popijała herbatę z ogromnego kubka. Najwyraźniej ogrzewanie na dole było zepsute.

– Nic mi nie będzie – odparł Jonathan.

– Ludzie różnie mówią o Hagsborough – wystrzeżiła recepcjonistka, nim ruszył do drzwi. Sprawiała wrażenie, jakby musiała to powiedzieć i jak najszybciej dodać jeszcze kilka rzeczy. – Zwłaszcza w taką pogodę dzieją się tu dziwne rzeczy.

– Dziwne? – podchwycił Jonathan. – Jakie *dziwne* rzeczy?

Kobieta wzruszyła ramionami i szybko poprawiła koc, który nieomal z nich spadł.

– Nie wiem – powiedziała. – Po prostu dziwne.

Ta odpowiedź nie satysfakcjonowała Jonathana. Skinął więc głową na pożegnanie i ruszył przed siebie. Wichura nagle wdarła się do środka i Jonathan musiał przez chwilę się z nią siłować, by móc z powrotem zamknąć drzwi.

Ludzie chyba nieszczególnie przejmowali się „dziwnymi rzeczami” w Hagsborough, bo ulice wcale nie były puste. Wszyscy jednak bardzo się spieszyli. Przechodnie potrącali się nawzajem ogromnymi parasolami i gnali przed siebie, wyraźnie niezadowoleni z wakacji.

Nogi Jonathana same kierowały go w stronę drogi biegnącej przez las. Był chyba jedyną osobą, która – zamiast szukać schronienia – wychodziła wprost na spotkanie burzy. Ustrzegł się jednak zdziwionych spojrzeń, bo mijający go ludzie byli zbyt zajęci sobą, a potem, gdy dotarł już do granicy Hagsborough, nie spotkał nikogo więcej.

Droga majaczyła niczym zły sen. Zalewająca ją woda sprawiała, że stawała się jakby mniej rzeczywista. Wstępując na nią, Jonathan czuł się, jakby szedł po bardzo grząskiej, niepewnej powierzchni, która zaraz mogła zniknąć jak wtedy, gdy o niej śnił.

A jeśli jego sny wcale niczego nie oznaczały? Jeśli robił teraz jedną z największych głupot swojego życia?

Te podszyte niepokojem pytania bez przerwy nawiedzały jego myśli, gdy szybkim krokiem zmierzał w stronę tablicy upamiętniającej śmierć ojca. Szare niebo ciemniało coraz bardziej, a deszcz zacinał coraz mocniej. Mimo to Jonathan się nie zatrzymywał, zupełnie jakby coś gnało go do przodu. Jego peleryna była tak przemoczona, że gdyby ją teraz ściągnął, nie zrobiłoby mu to żadnej różnicy.

Tak, to mogły być omamy. Musiał jednak tu przyjść, by się o tym przekonać. Bo być może sen *miał* jakieś znaczenie. Jego moc wzniecania ognia była prawdziwa, czarownice były prawdziwe. Dlaczego więc nie miałyby istnieć duchy wkradające się do ludzkich snów?

Gdy stanął wreszcie przed tablicą, wyczuł w powietrzu dziwną zmianę. Deszcz przestał zacinać tak wściekle, jakby ktoś u góry obraził się na ziemię. A może to tylko do uszu Jonathana przestały dochodzić jego dźwięki? Wszystko wokół wydało się spokojniejsze. Pomarańczowa latarnia wciąż rzucała światło na pustą ścieżkę, cierpliwie czekając na przechodniów.

Jonathan spojrział w gęsty las. Dopiero teraz przypomniał sobie, jak gęsto rosły tu drzewa, i zaczął się obawiać, czy w ogóle zdoła się przecisnąć. Nie miał jednak wyboru, skoro w środku coś mogło na niego czekać.

Wziął głęboki oddech.

– Pora ruszać – rzucił. Zdziwiło go, że właściwie wcale się nie bał, chociaż nagle zrobiło się niemal tak ciemno jak w nocy. Jednak ciekawość wygrywała ze strachem. Przynajmniej na razie.

Zrobił krok do przodu i wszedł w gałęzie, które zdawały się go oplatać, jak gdyby chciały zagrodzić mu drogę. Przez chwilę miał wrażenie, że ktoś specjalnie sprawił, by tak rosły. Próbował jednak przedzierać się do przodu. Suche, martwe gałęzie trzaskały pod jego stopami. Szybko zwątpił w sens dalszej wędrówki. Wydawała się nie tylko trudna, ale i bezcelowa. Bo niby co się stanie, gdy przejdzie przez tę gęstwinę? Gdzie pójdzie dalej? Las był ogromny. Znalezienie w nim celu, o którym nie miał pojęcia i którego nie potrafił sobie nawet wyobrazić, graniczyło z cudem.

Walcząc ze zniechęceniem, starał się iść dalej. Utkwił jednak między gałęziami, które teraz przypominały macki blokujące mu drogę. Zacisnął zęby z bezsilności i dał za wygraną.

Deszcz znowu runął, tnąc ciało Jonathana niczym lodowe brzytwy. Teraz, zupełnie nie wiedząc już, co robić, odważył się na najbardziej niedorzeczną rzecz. Taką, której sam się wstydził.

– Tato? – odezwał się ledwie słyszalnym, zachrypniętym z zimna głosem. Był pewien, że zaraz się rozplacze. Miał ochotę uderzyć samego siebie za taką głupotę. A mimo to odezwał się znowu, tym razem głośniejszym głosem:

– Tato?

Nic się nie wydarzyło. Nie zobaczył żadnej poświaty, spomiędzy gałęzi nie wyłoniła się żadna postać, w powietrzu nie rozległ się żaden dźwięk ani głos. Jonathan słyszał tylko echo, echo swoich własnych słów, niesione po lesie i odpowiadające samemu sobie.

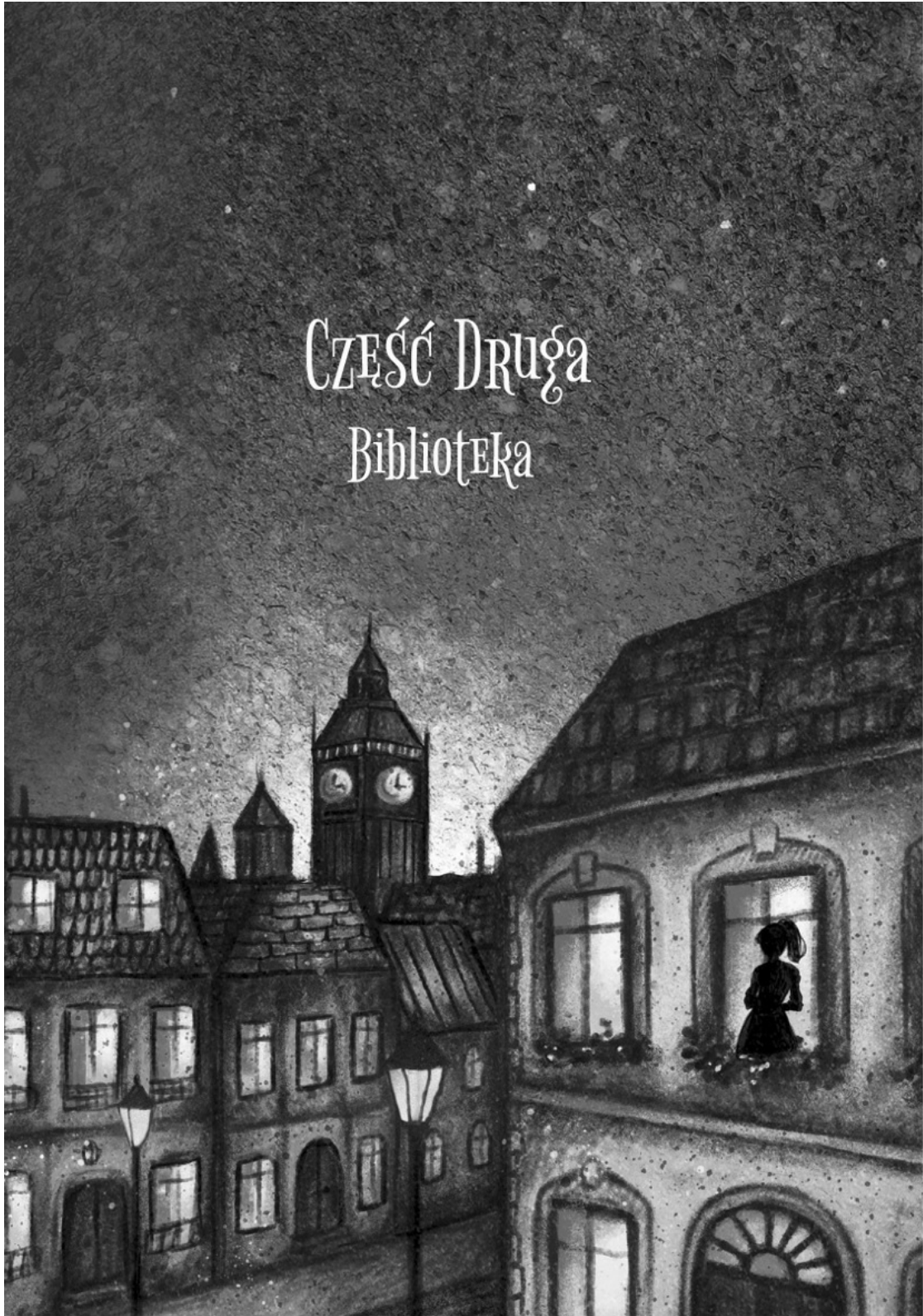
– TATO! – krzyknął.

Nic.

Rozgoryczony cofnął się, łamiąc kilka gałęzi i rozdzierając swoją pelerynę. Wszedł z powrotem na jezdnię.

Tablica i latarnia – tylko te dwie rzeczy wydawały mu się teraz prawdziwe i niepodważalne. Burzowe chmury zakryły każdy skrawek nieba. Teraz z każdego miejsca spoglądała ciemność. Noc zaczęła się na dobre.

CZEŚĆ DRUGA
Biblioteka



„Jako historyk nauczyłam się, że nie każdy, kto sięga wstecz do historii, może wyjść z niej cało. I nie tylko sięganie wstecz naraża nas na niebezpieczeństwo; bywa, że sama historia zajadle wyciąga w naszą stronę swoje cieniste szpony”.

Elizabeth Kostova, „Historyk”



Rozdział 8

Głód Merlina

– Kate, obudź się!

Olbrzymi namhajt ciągnął ją za rękę. Zdawało się, że zaraz wyrwie ją ze stawu. Musiała walczyć. Ale co miała robić? Gdzie było jej athame?

– Słyszysz mnie?

Zaczęła się wierzgać.

– Nie, zostaw mnie – mruzczała pod nosem. – Fion... Gdzie jest Fion?

Oczywiście go tu nie było. Jak zwykle zniknął na chwilę przed tym, gdy miała zginąć. Ręka namhajda, dziwnie ciepła i wypielęgowana, już kładła się na jej twarzy. Jeszcze chwila, a palce zacisną się na szyi.

– Kate! – Usłyszała znów, tym razem o wiele głośniejsze i wyraźniejsze. – Wstawaj zaraz, bo wyjmę różdżkę i ci przyłożę!

Zerwała się gwałtownie. Zamiast ślepi namhajda wpatrywały się w nią wielkie, zielone oczy Lilian, która pochylała się nad nią i łaskotała jej policzek swoimi długimi włosami.

– Ach, to ty! – Kate odetchnęła z ulgą. – Co jest? – Stęknęła i poruszyła się na łóżku. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo była obolała po wczorajszych upadkach z miotły. Najchętniej wcale by dziś nie wstawała, szczególnie że pogoda – sądząc po odgłosach deszczu uderzającego w okna – nie była zachęcająca.

– Musisz się ubrać – oznajmiła Lilian, uśmiechając się od ucha do ucha. – Idziemy dziś do Merlina.

– Gdzie? – Kate posłała jej nieprzytomne, zaspane spojrzenie. Była pewna, że się przesłyszała.

Lilian wstała, a materac na łóżku podskoczył, wywołując kolejną falę bólu w plecach Kate.

– Nie mówiłam ci o tym wczoraj? – zapytała. – Najwyraźniej wypadło mi z głowy. W każdym razie twoja ciotka prosiła, żebyśmy pokazali ci Merlina.

Kate podniosła się lekko na łokciach, które zresztą też ją bolały.

– Ale on... – zaczęła, gramoląc się z łóżka. Musiała trochę się rozciągnąć, nim była w stanie całkiem się wyprostować. – Ale on chyba nie żyje, prawda?

Pytała całkiem poważnie, ale Lilian parsknęła śmiechem.

– Dobrze, muszę to zapisać – powiedziała, po czym dodała rzeczowym tonem: – Merlin to biblioteka. Właściwie nazywa się Głód Merlina. Myślałam, że o tym wiesz. Oprócz zwykłych książek mają tam pełno pozycji dla czarownic.

Podeszła do Kate i nic sobie nie robiąc z jej obolałych

pleców, złapała ją za ramiona.

– Głód Merlina jest wspaniały! – zawołała, a w jej oczach zaśniły iskierki. – To chyba najbardziej magiczne miejsce, w jakim byłam, poza Jaarem oczywiście... Ale, Kate... – Obrzuciła ją krytycznym spojrzeniem. – Nie zapomnij się przebrać.

Kate poczuła, jak na twarz wpełza jej rumieniec. Miała na sobie kremowe spodnie od piżamy w niebieskie słoniki. To była jedyna rzecz, którą spakowała za nią ciotka.

– Jasne, daj mi pięć minut – wyjąkała.

– Nawet piętnaście – odparła Lilian. – Ale potem od razu ruszamy.

Nieszczególnie zadowolona z perspektywy chodzenia po bibliotece przeznaczanej dla wiedźm, Kate ruszyła do łazienki. Ochlapała twarz chłodną wodą. To nie była dobra noc. Wiedziała o tym, choć nie miała pojęcia, dlaczego. Pamiętała tylko, że w snach prześladowały ją namhajdy, gorsze nawet od tych, które można było spotkać w Jaarze. Ale czego od niej chciały? Tego już nie pamiętała. Fion znów będzie zły, bo w ciągu ostatnich dwóch dni nie zapisała żadnych snów, a przecież jutro mieli się zobaczyć. Jedynym sposobem, żeby go ugłaskać, było wykucie teorii, której prawie wcale nie poświęciła czasu. Może więc pomysł z pójściem do biblioteki nie był taki zły? Tam przynajmniej będzie miała czas na naukę.

Kiedy wróciła do pokoju, oprócz Lilian był w nim jeszcze Tom. Na nosie miał wielkie okulary, w których wyglądał cokolwiek dziwnie. Wyglądały jak skrzyżowanie gogli z lornetką.

– Oh... nie wiedziałam, że nosisz okulary – powiedziała

szybko Kate, żeby ukryć zdziwienie.

– Tylko do biblioteki – odparł. – Są zaklęte i łatwiej wyszukać w nich odpowiednie tytuły. Zresztą sama zobaczysz. No i o wiele zdrowiej w nich czytać.

– Skoro już musi się iść do biblioteki, żeby czytać – prychnęła Lilian, na co Tom posłał jej zdumione spojrzenie.

– A niby po co innego tam chodzić? No, chyba że ostrzy się zęby na bibliotekarza.

– *Lubię czytać książki* – syknęła Lilian.

– Co nie zmienia faktu, że lubisz je bardziej, kiedy on ci je podaje.

– Co nie zmienia faktu, że to nie twoja sprawa. A swoją drogą, skoro już się uparłeś, żeby z nami pójść, to zajmij się tylko czytaniem. Płoszysz wszystkich moich chłopaków!

– A to dobre! Musiałbym nieźle się nabiegać, żeby móc ich wszystkich dogonić.

Kate z zaciekawieniem patrzyła to na Toma, to na Lilian. Ich rozmowa nie tylko mówiła co nieco na temat życia osobistego Lilian, ale przy okazji przypominała Kate, wywołując raczej pochmurny nastrój, że ona sama nigdy nie miała chłopaka. W zasadzie zresztą wcale ich szczególnie nie poszukiwała – ten raz, gdy próbowała jednego uwieść przy pomocy magii – wystarczy jej chyba na resztę życia.

– Idziemy? – przerwała bliźniakom kłótnię. Za nic w świecie nie miała teraz zamiaru myśleć o Jonathanie.

– Idziemy – odparła Lilian – ale najpierw kilka uwag o teleportacji. Przenosiłaś się już kiedyś?

Kate pokręciła głową.

– Czyli wiesz, że musisz się mocno nas trzymać i o niczym nie myśleć?

– Tak, wiem.

– Upewniłaś się, że Kate nie jest zablokowana w Merlinie?
– rzucił Tom.

– Nie jestem głupia – ofuknęła go. – Hillena założyła jej już kartę w obu częściach biblioteki. Kate jest członkinią i może wypożyczać, co chce.

– No to ruszamy – zdecydował Tom i chwycił Kate za rękę.
– Nie martw się – powiedział, zaciskając palce na jej dłoni. Miał zamknięte oczy. – Postaramy się, żeby za bardzo nie trzęsło. Raz... dwa... TRZY!

Na TRZY Kate poczuła lekkie szturchnięcie. Podłoga pod jej stopami zmieniła się, jakby ktoś nagle wymienił panele na coś twardszego. Tym razem nawet się nie zachwiała. Może to dlatego, że Lilian i Tom tak mocno ją trzymali. Dopiero gdy poruszyła głową, uderzyła w coś czołem.

Podczas teleportacji jak zwykle miała zamknięte oczy. Teraz, gdy je otworzyła, uświadomiła sobie, że stoi w kamiennej wnęce z bardzo nisko zawieszonym sufitem. Tom musiał znacznie się pochylić, by w niego nie uderzyć. Lilian wyszła z wnęki jako pierwsza, Tom ruszył za nią, a Kate szła na końcu, chcąc dobrze rozejrzeć się po bibliotece.

– No i jak ci się podoba? – zapytała Lilian.

– Jest... obłędnie – przyznała Kate ściszone głosem. Nie umiała znaleźć żadnych lepszych słów, by opisać to, na co właśnie patrzyła.

Biblioteka czarownic była wielka, ale na pierwszy rzut oka wcale się taka nie wydawała ze względu na mnóstwo rzeczy dookoła, które tworzyły przytulną atmosferę. Na miękkim czerwonym dywanie ustawione były okrągłe drewniane

stoliki. Każdy z nich oświetlały przypominające świece lampy. Dawały dość blasku, by oświetlić stół, ale nie tyle, by zalać światłem całą bibliotekę. Kate miała wrażenie, że jest w czyjejs sypialni albo w pokoju z kominkiem, gdzie ludzie czytają sobie przed snem. Regały, również drewniane, były niewysokie, więc dało się wygodnie sięgnąć po każdą pozycję.

– Nie musisz szeptać – powiedziała Lilian. – Stoliki są zaklęte. Czytający i tak cię nie usłyszą.

– Co nie znaczy, że trzeba tak głośno gadać – odparł Tom z przekąsem. – Chodź, Kate, dajmy jej pouganiać się za nowym chłopakiem, a my zajmiemy się czymś pożytecznym. Wypróbujesz moje okulary.

Właściwie to Kate chętnie zobaczyłaby tego bibliotekarza, o którym rozmawiali, ale Tom stanowczo, choć niezbyt mocno, złapał ją za ramię i odciągnął w stronę regałów.

– Co cię interesuje? – zapytał. – A może wolisz poszukać informacji, których polecił ci się nauczyć twój fer? Jak on się nazywa? Fion, prawda?

– Tak, skąd wiedziałeś?

– Ładne imię. – Tom zignorował pytanie. – Mój to Hiacinthus... No, to czego szukamy?

Kate żałośnie zdała sobie sprawę z tego, że nie ma takiej dziedziny magii, która by ją specjalnie interesowała.

– Jestem taliesinką – powiedziała. – Może znajdziemy coś na ten temat?

Tom zdjął okulary i przyjrzał się jej uważnie.

– Taliesinką? – zapytał. – Naprawdę? To bardzo rzadki dar.

– Wiem – odparła Kate – ale nie zauważyłam u siebie żadnych niezwykłych zdolności. Może mogłabym poczytać

o tym coś więcej?

– Dobry pomysł. Sprawdźmy tutaj. – Tom poprowadził ją do jednego z regałów. – Weź moje okulary i pomyśl o tym, co cię interesuje. Wtedy będzie ci łatwiej znaleźć te rzeczy.

Tom wcisnął jej na nos swoje okulary. W pierwszej chwili omal nie dostała oczopłasu. Gdy tylko pomyślała „taliesinka”, książki zaczęły jakby wysuwać się z półek, a ich grzbiety powiększały się tak, że Kate była w stanie przeczytać całe tytuły. „Jak opanować umiejętności Taliesina?”, „Fioletowa Magia. Poznaj niewidzialną moc umysłu”, „Wszystkie dzieci Taliesina. Niezwykły dar magiczny”, „O taliesinizmie słów kilka. Studia kognitywne dotyczące taliesinizmu na podstawie badań nad niewerbalnymi formami manipulacyjnymi”.

– Chodzi o zaklęcia bez użycia słów – wyjaśnił Tom, jakby wiedział, na co Kate właśnie patrzy. Szybko odchrząknął i dodał po cichu: – Przepraszam.

Wtedy Kate zrozumiała, że znowu niechcący czytał w jej myślach. Przeniosła wzrok z półek na niego. Wydawał się zdenerwowany, ale nic więcej nie powiedział, a ona o nic nie zapytała.

Zaczęli przeszukiwać kolejne regały. Kate podążała za Tomem, który sunął palcem po grzbietach książek. Zatrzymywał się rzadko, ale gdy już to robił, uważnie przyglądał się wybranym pozycjom. Sporadycznie z półek wyskakiwały kolejne książki, mimo że Kate wcale nie myślała teraz o niczym konkretnym. „Dwa i pół tysiąca ziół na różne okazje”, „Samouczek mediumistyczny. Jak skutecznie skontaktować się z duchami?”, „Historia magii”. Ta ostatnia była tak wielka, że i bez zaklętych okularów

z daleka dało się zauważyć jej tytuł – w dodatku był to tylko pierwszy tom. Kate miała w końcu dość tego powiększania i oddała okulary Tomowi.

– Dzięki – powiedział, od razu zakładając je na nos. – Szukam czegoś o zastosowaniu magicznego uzdrawiania we współczesnej medycynie. W Merlinie są chyba wszystkie możliwe książki o magii, więc chyba powinienem coś znaleźć... – Zamyślił się. – Ale najpierw chcę ci coś pokazać – dodał po chwili. – Chodź, to powinno cię zainteresować.

Pokonał szybko kilka kolejnych regałów i zatrzymał się przy półce pełnej kolorowych książek. Wryty nad nią napis głosił:

MAGIA KAMIENI SZLACHETNYCH

– No i co o tym myślisz? – zapytał Tom, posyłając Kate kolejne badawcze spojrzenie. Zmarszczył czoło, jakby próbował wyczytać coś tym razem nie z jej myśli, ale z samego wyrazu twarzy. Kate znów uderzyła ta sama pewność, że już go gdzieś widziała.

– Uhm... a dlaczego miałyby mnie interesować kamienie szlachetne? – odparła, przełknąwszy ślinę. Dobrze wiedziała, dlaczego miałyby się interesować kamieniami. W końcu jeden nosiła w sobie. Tylko czy Tom mógł o tym wiedzieć? Nie miała pojęcia, jak to zrobić, ale ze wszystkich sił starała się zamknąć przed nim umysł. Wlepiła wzrok w regał, który widziała za jego głową.

– No wiesz, pomyślałem sobie, że kamienie to taki magiczny standard – powiedział Tom. – Wiedzmy lubią je nosić... Nieważne, rozejrzyj się tu trochę, a ja lecę zająć się

swoją medycyną. Do zobaczenia później.

Kate powiodła za nim wzrokiem, gdy oddalał się w stronę sąsiedniego regału. Starła się nie panikować. Czuła, że ją zbył. Tylko o co mogło mu chodzić, co mógł wiedzieć? Nie przypominała sobie, żeby w jego obecności myślała o kamieniu albo Eos. W ogóle niewiele o tym myślała, będąc w Hagsborough.

Zaczęła oglądać książki. Prawie wszystkie dotyczyły jednak magicznego zastosowania zwykłych kryształów. Nie było żadnych pozycji o kamieniach posiadających nadzwyczajną moc. Dopiero na samym końcu regału Kate znalazła coś, co ją zainteresowało: wielką, obitą skórą księgę, której okładkę zdobił diament otoczony kręgiem. Gdy przyjrzała się bliżej, zauważyła, że krąg stanowi tak naprawdę długie ciało smoka z czterema głowami. Widziała już ten symbol – i dobrze pamiętała, gdzie.

Serce zabiło jej mocniej. To było w tamtym pałacu, gdzie Erato rozmawiała z mężczyzną, którego twarzy Kate nigdy nie ujrzała. Szpiegowała ich wtedy i podsłuchiwała, o czym rozmawiali. Mężczyzna siedział na tronie, na którym wyryty był właśnie ten znak.

Ściągnęła księgę z półki. Oprócz symbolu na okładce nie było już nic innego, żadnego tytułu, żadnego autora. Dopiero na pierwszej stronie umieszczono napis:

TAJNE ORGANIZACJE MAGICZNE

Kate zaczęła od razu czytać, ale nim przebrnęła przez wstęp, z którego prawie niczego się nie dowiedziała, jej uwagę przykuł czyjś szept. Głos dochodził z niedaleka, ale

nie rozumiała słów, które wypowiadał. Nie dlatego, że były stłumione, lecz dlatego, że najwyraźniej były wypowiedane w jakimś obcym języku. Po dłuższym przysłuchiwaniu się mu uznała, że to łacina, co oznaczało prawdopodobnie, że ktoś rzucał zaklęcie. Stwierdziwszy, że jakoś przeboleje ewentualne oskarżenia o wścibstwo, podążyła za głosem.

Rozglądnęła się między regałami, ale nikogo tam nie było. Głos wydawał się jednak wyraźniejszy, gdy szła wzdłuż wnęk w ścianie. Zaczęła więc ostrożnie je badać. Wychylała głowę, narażając się na kilka niewybrednych spojrzeń, rzucanych przez ludzi, których widocznie niewystarczająco pochłonęły ich lektury. W końcu dotarła jednak do swojego celu i gdy zobaczyła, co się dzieje, ze zdumieniem uniosła brwi.

Jedna z wnęk była zasłonięta czarnym materiałem, ale można było zajrzeć do środka, stając z boku. Ta wnęka była większa od pozostałych, przypominała rozmiarem niewielki pokój. Na środku stało biurko z dostawionym do niego niskim krzesłem. Siedziała na nim Lilian. Nos utkwiała w książce i wciąż odgarniała opadające na jej strony włosy. Mamrotała pod nosem jakieś zaklęcie, a z książki odklejały się słowa i zdania, które wędrowały w górę i wnikały w jej czoło.

Nie mogąc powstrzymać ciekawości, Kate odchyliła zasłonę jeszcze trochę. I wtedy Lilian ją zobaczyła.

– Aj! – pisnęła, natychmiast odsuwając się od książki. Kilka słów z powrotem wpadło w kartki. – Przestraszyłaś mnie. Myślałam, że to Tom.

– Przepraszam, nie chciałam. To po prostu było... *niesamowite*.

Wprawdzie Kate trochę już widziała, jeśli chodzi o magię,

ale podobne rzeczy zawsze robiły na niej wrażenie. No i trochę zazdrościła Lilian, bo – sama będąc taliesinką – nie była w stanie zmanifestować takiej mocy, zwłaszcza w świecie ludzi, gdzie magia jest słabiej widzialna.

– To rzeczywiście trochę skomplikowane zaklęcie – przyznała Lilian. – Jest ceremonialne, stąd ta łacina. Widzisz, mam trochę z Toma, ale tak czy inaczej on nie może się dowiedzieć, że je rzuciłam. Nie pochwała takich metod, a ja przecież muszę zaliczyć egzaminy, sama rozumiesz... A nie mam czasu na *normalną* naukę.

– Bez obaw, nic mu nie powiem – obiecała Kate. – Ale będziesz musiała mnie tego nauczyć.

Lilian w odpowiedzi tylko się uśmiechnęła, co chyba oznaczało zgodę. Nagle zasłona rozsunęła się i do środka zaglądnął wysoki chłopak w białej koszuli. Miał krótkie, kędzierzawe włosy. Posłał Lilian pogodne spojrzenie.

– Gotowe? – zapytał, a potem spojrzał w stronę Kate.

Lilian wstała od biurka.

– Gotowe – powiedziała. – Kate, to jest Joe – przedstawiła jej chłopaka. – Pracuje tutaj.

Och, a więc to ten bibliotekarz. Zdaniem Kate pasował do Lilian jak ulał. Oboje wyglądali świetnie. Gdyby tylko nie była zaaferowana zaklęciami, pewnie od razu by się ulotniła, żeby im nie przeszkadzać.

– Więc ty jesteś Kate! – zawołał Joe. – Pamiętam, że miałaś dziś przyjść. Twoja ciotka założyła ci kartę.

– Tak, wiem – wyjąkała Kate. – Lubi załatwiać magiczne sprawy za mnie – dodała cicho.

– Masz już na oku coś do wypożyczenia? – Joe spojrzał na książkę, którą trzymała w ręce.

– Sama nie wiem – przyznała Kate. Okładka księgi ją odstraszała, ale chyba warto będzie zapoznać się z jej treścią. Tak na wszelki wypadek.

Joe sięgnął po książkę.

– To raczej... no wiesz, bzdury – oznajmił z rozbijającą szczerością. – Trochę teorii spiskowych. Dużo ciekawiej się na nią patrzy, niż czyta, ale jeśli chcesz, to dopiszę ją potem do twojej karty. Możesz od razu ją zabrać.

We wnęce, jakby zwabiony ich głosami, pojawił się Tom. Lilian szybko obróciła stronę książki na taką, z której nie wykradła jeszcze słów, i udała pogrążoną w lekturze.

– Niestety znalazłem tylko tyle – oznajmił Tom, kładąc na biurku książki, które niósł pod pachą. Kate zdumiała się. Myślała raczej, że *tylko tyle* był w stanie unieść. Książek było chyba z dwadzieścia.

– Wszystkie do wypożyczenia? – zapytał Joe.

– Tak, ale wygląda na to, że jeśli mam zamiar znaleźć informacje, które naprawdę mnie interesują, sam będę musiał zająć się badaniami.

Joe zaczął spisywać tytuły książek wybranych przez Toma. Zajęło mu to chwilę.

– Dzięki – powiedział Tom, odbierając je od niego. – Idziemy? – zwrócił się do Lilian, która spojrzała na niego tak, jakby czytanie naprawdę bez reszty ją pochłonęło. I była w tym całkiem przekonująca.

– Nie – powiedziała. – Jeszcze chwilę tu zostanę.

I natychmiast znów utkwiała nos w książce. Tom i Kate pożegnali się więc z Joem i ruszyli z powrotem do wnęki, w której wylądowali.

– Dobrze wiem, że czytała znów te durne komiksy o ferze

Barthumnusie. Nie musiała się z tym tak kryć – oznajmił Tom półgębkiem, nim się przenieśli. – Naprawdę, czy ja kiedykolwiek krytykowałem czyjeś upodobania literackie?

I chwyciwszy Kate za dłoń, bez uprzedzenia przeniósł ich z powrotem do Księżycowego Domu.



Wieczorem Kate znów próbowała zająć się lekturą, ale ciągle coś jej w tym przeszkadzało. Najpierw Lilian z zachwytem opowiadała jej o wrażeniach ze spotkania z Joem – „Chyba coś z tego będzie, Kate, mówię ci, jestem absolutnie podekscytowana!” – potem ciotka Hillena postanowiła przypomnieć jej o notatkach od Fiona, a wreszcie zadzwoniła Mel, żeby poskarżyć się na Marcusa – „Czy też sądzisz, że powinnam z nim zerwać? Cała klasa tak twierdzi!”.

W rezultacie tego wszystkiego, gdy tylko Kate dobrnęła do końca pierwszego rozdziału, z którego dowiedziała się, że „tajemne magiczne zakony być może wcale nie istnieją, ale i tak wpływają na całą społeczność wiedźm i magów”, zrobiła się głodna i postanowiła zejść na dół. W tym też jej przeszkadzono, bo z pokoju Toma znów doszły ją jakieś głosy. Tym razem przeszłaby wobec nich obojętnie, gdyby nie to, że zdawało jej się, że wśród szeptów usłyszała swoje imię. Światło w korytarzu było zgaszone, więc najpierw rozglądnęła się, czy na pewno nikogo w nim nie ma, a potem na palcach ruszyła w stronę drzwi.

Tom nie był sam. Rozpoznała też przyciszone głosy Lilian i Diany.

– Gdyby nie ja, nigdy nie udałoby się nam sprawdzić tylu osób. – Lilian była wyraźnie oburzona. Diana syknęła:

– Jasne. Trudno się temu dziwić, skoro upierałaś się, żeby sprawdzać każdą ledwie poznaną osobę. Szkoda tylko, że ani trochę nie przybliżyło nas to do celu.

– Och, nie bądź znowu na nie – zachnął się Tom. – Dlaczego nie dać jej szansy?

Diana jęknęła.

– Nie wierzę, że właśnie ty to mówisz – powiedziała. – Przecież ta dziewczyna nic sobą nie reprezentuje nawet na najmniejszym poziomie magicznym, a już na pewno nie ma żadnej wielkiej mocy.

Kate mocniej przywarła do drzwi. O czym oni mówili? Czy mogło chodzić im o nią?

– Mówisz tak, bo jej nie lubisz – stwierdziła Lilian.

– Nie. Mówię tak, bo mam jeszcze trochę zdrowego rozsądku, którego wam najwyraźniej brakuje. Ciebie, Lilian, rozumiem. Zawsze za bardzo się ekscytowałaś...

Lilian prychnęła oburzona.

– Ale tobie, Tom, naprawdę się dziwię – mówiła dalej Diana, nie zwróciwszy na nią uwagi. – Zawsze działałeś rozważnie, a teraz mam wrażenie, że tak ci się spieszy, bo chcesz po prostu przywołać Darrina.

Wszyscy zamilkli. Nietrudno było wyczuć, że to raczej cisza pełna napięcia, zupełnie jakby słowa Diany były obraźliwe. Kate prawie przykleiła się do drzwi, chcąc wyłapać każdy szczegół z ich rozmowy.

– To było poniżej pasa – mruknęła karcąco Lilian.

– Przepraszam – wymamrotała Diana. – Jestem po prostu zła, że tak długo się to ciągnie i że on nie odpowiada...

– Jeśli nie chce, niech nie odpowiada – oburzyła się Lilian.
– Musimy poradzić sobie bez niego. Zawsze zgrywał strasznego waśniaka! A ty, Tom, przestań już zawracać sobie tym głowę.

Ktoś się poruszył, więc Kate odeszła od drzwi, żeby w razie czego odskoczyć w stronę schodów. Klamka pozostała jednak nieruchoma.

– No, koniec tego przytulania – powiedział Tom, jakby próbował zdjąć z siebie jakiś ciasny kombinezon, który uparcie nie chciał zejść. Kate domyśliła się, że to była Lilian.
– Wcale się nim nie przejmuję – dodał szybko, jakby zupełnie nie swoim głosem.

Kate ponownie przystawiła ucho do drzwi. Próbowwała nawet zajrzeć przez dziurkę od klucza, ale był włożony w zamek, więc niczego nie zauważyła. Na swoje nieszczęście, unosząc głowę, uderzyła o klamkę.

W pokoju zapanowała nagła cisza. Kate zamarła na ułamek sekundy, a potem zaczęła po cichu się cofać, ale było już za późno. Ktoś przekręcił klucz w zamku, drzwi otworzyły się i stanęła w nich Lilian.

– Kate, co tu robisz? – zapytała. Zza jej głowy wychylali się Tom i Diana, przy czym ta druga miała taką minę, że Kate miała ochotę od razu stąd uciec.

– Ja... ehm... – zaczęła się tłumaczyć. – Schodziłam na dół... po schodach... kanapki... sama rozumiesz. – Podrapała się po głowie z zakłopotaniem.

– Uhm... w porządku – powiedziała powoli Lilian. – Chcesz do nas dołączyć?

– Nie, nie. – Kate niemalże zaczęła wzbraniać się rękami przed tą propozycją, i to nie tylko dlatego, że w pokoju,

niczym przyczajony smok, czyhała na nią Diana. – Chyba zaraz się położę.

– Jak wolisz.

Być może Kate odniosła mylne wrażenie, ale była niemal pewna, że w głosie Lilian pobrzmiwała ulga.

– Ach, Kate. – Lilian zatrzymała ją jeszcze i ściszone głosem dodała: – Zakłęcie dla ciebie... To... *No wiesz...* Jest na moim biurku w sypialni.

Mrugnęła porozumiewawczo, na co Kate odpowiedziała jedynie bladym uśmiechem. Gdy tylko za Lilian zamknęły się drzwi, korytarz na powrót pogrążył się w mroku, który teraz wydawał się jeszcze gęstszy. Kate jeszcze przez chwilę stała przed drzwiami, ale nie miała już ochoty podsłuchiwać. Zresztą teraz z pokoju nie dochodziły już żadne, nawet najcichsze odgłosy, zupełnie jakby ktoś rzucił na ściany zakłęcie.

Zapomniawszy zupełnie o głodzie, Kate wróciła do sypialni, gdzie natychmiast zaczęła odtwarzać w myślach posłyszana rozmowę. O czym oni mówili? Czy miało to jakikolwiek związek z nią? Czuła się, jakby ktoś wywiercił jej dziurę w brzuchu i próbował ścisnąć żołądek. Tyle wątpliwości... Tom nie przypadkiem zaprowadził ją dziś do działu z magicznymi kamieniami. Oni *muszą* coś podejrzewać. A może nawet wiedzą...

– Nie, to paranoja – powiedziała sama do siebie tak poważnym tonem, jak gdyby próbowała wytłumaczyć tę sprawę komuś innemu. Po prostu jest przewrażliwiona z powodu kamienia, a oni wcale nie musieli mówić o niej. W końcu Kate to popularne imię, a zresztą nie była pewna, czy w ogóle je usłyszała.

Mówisz tak, bo jej nie lubisz – zadźwięczały jej znów w głowie słowa Lilian.

Tak, to prawda, że Diana jej nie znosiła, ale przecież z takim charakterem nienawidziła pewnie połowy świata.

– Nieważne. – Kate westchnęła, zrywając się z łóżka, na którym przesiadywała w ciemności dobre pół godziny. Ostatecznie to, o czym rozmawiali, nie było jej sprawą, po co więc miała dodawać sobie kłopotów?

Musiała zająć myśli czymś innym. Zapaliła światło i podeszła do biurka Lilian. Zakłęcie od niej leżało na wierzchu, a pod nim położona była jeszcze jedna kartka. Starczyło jedno spojrzenie na nią, by wszystkie obawy, którym tak dzielnie stawiała przed chwilą czoło, wróciły ze zdwojoną siłą. Wzięła kartkę i zaczęła czytać.

Imię i nazwisko: Kate Hallander

Wiek: 17 lat

Fer: Fion y`l Maas

Moce: ?

Zastygła z kartą w dłoni, ze wzrokiem wpatrzonym w swoje imię i nazwisko. Przez chwilę czuła się, jakby ktoś ją ogłuszył. A więc jednak rozmawiali o niej. To ją chcieli *sprawdzić*. Ale czego mogli od niej chcieć? Po co były im te wszystkie dane?

I nagle, zupełnie się tego nie spodziewając, Kate przypomniała sobie, gdzie widziała już Toma. To było krótko po tym, jak rzuciła swoje pierwsze zakłęcie. Spotkała go wtedy, wchodząc do swojej szkoły. Minęli się w drzwiach, a on dziwnie wpatrywał się w jej czoło.

Nowa fala silnego deszczu uderzyła w okno. Kate odłożyła kartkę i na dziwnie miękkich nogach ruszyła w stronę łóżka. Nakryła się kołdrą po uszy jak małe dziecko. Wiedziała, że nie ma mowy, by tej nocy zdołała zasnąć, i aż bała się pomyśleć, w jakie nowe tarapaty się wpakowała.



Rozdział 9

Nieposłuszne różdżki

W ciągu nocy Kate wpadła na tak wiele pomysłów co do wczorajszych odkryć, że sama dziwiła się temu, jak bardzo wybujała ma wyobraźnię. Gdy wreszcie zasnęła, śniły jej się spoglądające złowrogo laleczki z guzikami zamiast oczu. Diana trzymała je za sznurki i chichotała. „Darrin, Darrin” – powtarzał Tom, a oczy całkiem zaszyły mu krwią. Lilian próbowała za to zerwać z szyi Kate wisiołek i kiedy w końcu się jej to udało, Kate dostrzegła, że nie był to ten, który dostała od ojca, lecz czarny amulet od pani Blackout.

Już nad ranem, gdy niebo było jeszcze całkiem szare, Kate zapaliła lampkę i próbowała analizować sny tak, jak uczył ją tego Fion. Niczego z nich jednak nie zrozumiała. Była pewna tylko jednej rzeczy: Tom, Diana i Lilian dobrze wiedzieli, że ich wczoraj podsłuchiwała. Musieli się tego domyślić, a jej

poplątane tłumaczenie tylko ich w tym utwierdziło.

W nadziei, że amulet od pani Blackout może uchronić ją przed zagrożeniem, którego jeszcze nie знаła, Kate po raz pierwszy założyła go na szyję. Nie poczuła nic szczególnego, ale udało jej się zasnąć. Gdy się obudziła, Lilian była już na nogach, nuciała pod nosem i przygotowywała się do wyjścia.

– Dzień dobry, Kate – powiedziała śpiwnym głosem, nim Kate zdążyła na powrót zamknąć oczy, by udąć, że śpi.

– Dzień dobry – odpowiedziała i już po chwili usłyszała deszcz bębniący o dach. – Albo i niedobry – mruknęła.

– Idealny – stwierdziła Lilian. Zdawało się, że nic sobie nie robiła z wczorajszej sytuacji. A może faktycznie już o niej zapomniała? – Idziesz z nami do Merlina?

– Ehm... – Kate zaczęła szukać wymówki. Dla własnego bezpieczeństwa miała teraz zamiar unikać całej tej trójki. – Prawdę mówiąc, mam trochę do roboty. Muszę się pouczyć.

Lilian machnęła ręką.

– Ach, faktycznie. Hillena wspominała, że dziś przychodzi twój fer.

Te słowa zadziały na Kate jak kubeł zimnej wody.

– Co?! – zawołała, zrywając się z łóżka. – To dziś jest wtorek?!

Omali nie zaplątała się w pościel, biegnąc do łazienki. Zupełnie zapomniała o spotkaniu z Fionem, mimo że jeszcze wczoraj postanowiła się na nie przygotować. Z materiałów, które jej dał, wiedziała tylko trochę więcej niż nic, a nie miała już czasu na zapoznanie się z nimi. Szorując zęby, przypomniała sobie o zaklęciu od Lilian, ale czy naprawdę miała ochotę go użyć? Skoro nie ufała samej Lilian, to jak mogła zaufać jej zaklęciom?

Gdy wróciła do pokoju, nikogo już w nim nie było. Rozłożyła kartki od Fiona na stole i przeliczyła je dokładnie, co tylko utwierdziło ją boleśnie we wcześniejszym przekonaniu: nie miała szans, żeby to teraz ogarnąć. W dodatku z dołu wołała ją ciotka:

– Kate, zejdz na śniadanie! Nie podoba mi się, że ostatnio prawie nic nie jesz!

Rzeczywiście w ciągu ostatnich dni zdarzało jej się zapominać o istnieniu czegoś takiego jak jedzenie, ale teraz, gdy ciotka jej o tym przypomniała, uznała, że nie zdoła nauczyć się nawet akapitu, jeśli nie zje choć jednej kanapki.

W jadalni nie było nikogo oprócz ciotki Hilleny i Selene. Kate, dla uprzejmości, spytała o Dianę.

– Jest na targu zielnym w Elphame – powiedziała Selene. Wyglądała dziś na wyjątkowo zadowoloną, jakby cieszyła się, że pozbyła się Diany z domu.

– Targu zielnym? – zapytała Kate. – Nie wiedziałam, że fery mają coś takiego.

– Bo też nie czytałaś nic o historii Elphame – odparła z wyrzutem ciotka. – Targ zielny jest organizowany zawsze przed Świętem Zbiorów.

– Och, do czasu Święta Zbiorów Kate zdąży się jeszcze wiele nauczyć, prawda? – wtrąciła się Selene. – Nie męcz jej, Hilleno, są wakacje. Niech wypoczywa. Kate, mam nadzieję, że dobrze spałaś? Stevie szalał tej nocy.

Kate spojrzała na nią zdumiona.

– Hillena nie wspominała ci o Steviem? – zdziwiła się Selene.

– Coś napomknęła... – odparła Kate.

– To duch, który przyplątał się do nas w któreś wakacje –

ciągnęła Selene. – Właśnie tu, w Hagsborough! Dasz wiarę?
– Wyszczrzyła zęby, na co Kate tylko cicho jęknęła.

– Nawet mi o tym nie przypominaj. – Ciotka przewróciła oczami.

– Był raczej przygnębiony, ale trochę mu pomogliśmy – uzupełniła Selene. – Potem zespolił się z samochodem. To dość skomplikowany proces i czasem widać tego efekty. Zwłaszcza podczas pełni Stevie lubi się sam odpalać. Zdarza mu się nawet wybrać na samotną przejażdżkę. To nigdy nie jest bezpieczne, gdy jesteśmy w Londynie.

– Swoją drogą to dziwne, że odpalił się tej nocy – stwierdziła pani Hallander. – W końcu nie było pełni.

– Bez przesady, duch to nie wilkołak – powiedziała Selene.
– Może robić co chce i kiedy chce, byle jeździł bezpiecznie. Kate, powiedz mi, proszę, czy ty też masz zamiar spędzić dzień poza domem?

Nim Kate otworzyła usta, ciotka odpowiedziała za nią:

– Nie. Dzisiaj przychodzi Fion i będą się razem uczyć.

– No właśnie – przytaknęła niechętnie Kate. – A więc postanowione.

Z jakiegoś powodu Selene zmarkotniała.

Kate zaczęła smarować tosty. Była w połowie, gdy uznała, że nie może dłużej ignorować wlepionego w siebie spojrzenia ciotki, która nigdy do tej pory nie patrzyła na nią tak uporczywie podczas śniadania.

– Co znowu? – zapytała.

Ciotka tym razem nawet nie upomniała jej za niegrzeczny ton.

– Co ty masz na szyi? – zapytała tylko. Selene również spojrzała z zaciekawieniem. Wyglądała na jeszcze bardziej

zszokowaną niż ciotka.

Kate przełknęła ślinę razem z wielkim kęsem tostu, przez co omal się nie zadławiła. Chwyła amulet od pani Blackout. Dlaczego musiała zapomnieć o schowaniu go?!

– To? – odparła. – To nic. To... to amulet od Fiona!

– Od Fiona? – Ciotka zmarszczyła czoło.

– Tak, od Fiona. – Kate zerwała się na równe nogi. – Tego samego Fiona, który ma tu dziś przyjść, by mnie przepytac, więc jeśli nie masz nic przeciwko, wolałabym skończyć już to bezsensowne przesłuchanie.

Porwała tosty ze stołu i pobiegła z nimi na górę. Była na siebie wściekła. Dobrze wiedziała, że nagły wybuch złości nie odwiedzie ciotki od pytań; dopiero teraz stanie się naprawdę dociekliwa.



– Kate, po prostu zwizualizuj tę głupią cytrynę i miejmy to wreszcie z głowy.

Fion niecierpliwił się coraz bardziej. Zgodnie z zapowiedzią, pojawił się tuż po lunchu. Przytaszczył ze sobą ładną, drewnianą skrzynię, niemal tak wielką, jak on sam. Postawił ją w progu, ale ani słowem nie odezwał się na temat tego, co w niej jest. Od razu kazał Kate usiąść przy kominku w salonie i zaczęli ćwiczenia.

– Daj mi się skupić. Staram się – odparła. Nie powiedziała mu jeszcze o swoich podejrzeniach co do Lilian, Toma i Diany. Nic więc dziwnego, że się denerwował, gdy już od pół godziny nie umiała poczuć smaku cytryny, której obraz

miała jedynie w głowie, za zamkniętymi powiekami. Niczego nie czuła, mimo że przykładała sobie wyobrażony owoc do ust i próbowała go ugryźć, przez co kilka razy omal nie poraniła sobie palców. Fion doskonale wiedział, czy wizualizowała cytrynę prawidłowo. W końcu jeszcze ani razu się nie skrzywiła.

– Kate, proszę cię, skup się – powtarzał. – Jeszcze dwa miesiące temu szło ci tak dobrze. Pamiętasz? Z dymem i z... z *wychodzeniem z ciała* – szepnął na wypadek, gdyby ciotka była w salonie.

– No i może to mnie blokuje? – stwierdziła Kate. – Przez ten dym omal się nie udusiliśmy, a wyjście z ciała, jeśli pamiętasz, poszło mi aż za dobrze.

Fion puścił tę uwagę mimo uszu.

– Zamknij oczy... – zaczął znów. – No dalej, zamknij je. Tak, dobrze. A teraz jeszcze raz i po kolei. Unieś dłoń i wyobraź sobie, że trzymasz w niej cytrynę. Powoli unieś drugą dłoń, w której masz nóż. Odkrój kawałek cytryny... Nie, nie trafiłaś. Przecież ta cytryna nie może być aż tak wielka!

– To moja cytryna, tak?! – zdenerwowała się Kate, rzucając niewidzialną cytryną w Fiona. – Nie rozumiem, dlaczego musimy robić akurat to. Nie moglibyśmy na początek zająć się czymś innym?

Fion westchnął.

– Błagam cię, Kate. W ogóle przeczytałaś materiały, które ci dałem?

– Tak. – Kate energicznie pokiwała głową. Po śniadaniu miała na to jeszcze dwie godziny. Przeczytała je więc, nawet jeśli z lektury wyniosła niewiele.

– I co jest tam napisane o wizualizacji? – zapytał zaczepnie Fion.

To akurat pamiętała.

– Że to podstawa magii i służy w zaklęciach. Żeby wytworzyć magię, trzeba sobie ją najpierw wyobrazić, stworzyć w głowie obraz tego, co chcesz osiągnąć, a potem użyć energii, żeby uzyskać to fizycznie – wyrecytowała. No, prawie. Materiały były trochę bardziej skomplikowane. – Ale ja przecież nie zmateriałizowałam tej cytryny – zauważyła.

– Oczywiście, że nie. Nie chodzi tu o materializację, ale *kształtowanie* już istniejącej materii. W każdym razie wizualizacja jest bardzo potrzebna w magii. No, może z wyjątkiem eliksirów, wróżb i czarów, w których używa się składników.

– To poćwiczmy czary – zaproponowała Kate. Na eliksiry nie mieli chyba dość miejsca i czasu, a wróżby już ją nudziły.

Fion spojrzał na nią surowo.

– Już kiedyś próbowałaś rzucać czary. Pamiętasz, jak to się skończyło?

Kate poczerwieniała.

– No dobra, to spróbujmy znowu tej wizualizacji.

– Nie, dziś już nic z tego nie wyjdzie – stwierdził Fion. – Widzę, że nie nauczyłaś się wystarczająco dobrze teorii. Zajmiemy się jednak czymś innym.

Po tych słowach odleciał w stronę drzwi i po chwili wrócił ze swoją skrzynią.

– Co tam jest? – zapytała Kate, gdy położył ją na okrągłym dywaniku. W środku coś pobrzękiwało.

– To różne magiczne klamoty – odparł Fion, otwierając

wieko. Zaczął wyciągać na podłogę zawartość skrzyni. – Większość z nich zrobiłem sam – pochwalił się, szybko odzyskując dobry humor. – Czekają na czarownicę, którą będę mógł nauczać... Nawet taką, która wcale *nie chce* się uczyć – dodał, mrużąc oczy. – Uznałem, że pora ci je pokazać, żebyś wybrała sobie te, które ci się spodobają.

Kate spojrzała na przedmioty. Były wśród nich zwykłe magiczne sprzęty, jakie widziała już u ciotki i w świątyni rodziny Fiona w Jaarze: athame, różdżki, kielichy, pentakle, kociołki i amulety.

– Nie wiem, od czego zacząć – powiedziała. – Athame już mam...

– Amulet też. A nawet dwa amulety.

– To może zacznę od różdżki?

Fion pokręcił głową.

– Nie. Z różdżkami jest ten problem, że trzeba je *poczuć*. Rozumiesz, wypróbować. Zostawmy to sobie na koniec. Zaczynaj od kociołka. Masz do wyboru tylko trzy i wszystkie są podobne.

Rzeczywiście, kociołki prawie wcale się nie różniły. Kate wybrała najmniejszy z nich, uznawszy, że i tak nie będzie pewnie gotować eliksirów, i przeszła do kielichów. Było ich pięć. Trzy wyglądały na wykonane ze złota i nie miały żadnych dekoracji – Kate odrzuciła je od razu i spojrzała na dwa kolejne. Oba były wyrzeźbione w kryształ, ale jeden był całkiem przejrzysty, a drugi fioletowy. Zdecydowała się na fioletowy, choć uważała, że miał brzydszy kształt.

– To dobry wybór – pochwalił Fion. – Jesteś taliesinką, więc fiolet to twój kolor. Teraz wybierz pentakl.

Większość pentakli była drewniana, ale jeden wyglądał na

wykonany ze złota. Kate uznała, że musi mieć jakiś podświadomy uraz do złota, bo odrzuciła go jako pierwszy. Z pozostałych, po dłuższym zastanowieniu, wybrała najładniejszy, najprościej wykonany i średniej wielkości.

– Praktycznie – mruknął Fion. – Masz do tego wyczucie. Niepokoiłbym się, gdybyś od razu wzięła złoty. Facet, którego prowadził mój znajomy, wziął wszystkie złote przedmioty, a potem okazało się, że opchnął je na eBayu.

Kate parsknęła śmiechem, ale Fion nie wyglądał na rozbawionego.

– Niektórzy ludzie przejawiają ogromny brak szacunku do magii – powiedział poważnie. – Dobra, to chyba pora na różdżkę. Ale najpierw spakuję resztę narzędzi, żeby nas nie rozpraszały.

Kate nie mogła się oprzeć wrażeniu, że tak naprawdę chce zabezpieczyć je przed nią. Już kiedyś próbowała machać różdżką i wtedy ofiarą jej eksperymentów stał się ojciec Fiona, Harold.

Różdżek było najwięcej. Miały chyba wszelkie możliwe rozmiary i kształty. Część była ozdobiona zygzakowatym wzorem i właśnie te podobały się Kate najbardziej.

– Zacznijmy od najłżejszej – zaproponował Fion. – Jest wykonana z chochliczego domu. To bardzo rozłożyste drzewo z cienkimi gałązkami. Trudno je jednak zerwać, bo chochliki dobrze pilnują swojego drewna i są gotowe wydłubać ci oczy, gdy się za bardzo do nich zbliżysz. Zresztą jego gałązki potrafią się bronić, jeśli trzeba. Podobno wielu czarownicom spuściły już taki łomot, że miały potem długi uraz do parków i lasów.

– Co mam z nią zrobić? – zapytała Kate, ostrożnie

odbierając od Fiona różdżkę. Miała nadzieję, że ociosanie pozbauiło drzewo jego wojowniczych właściwości.

– Nic szczególnego. Po prostu wyobraź sobie, że z twojej ręki wypływa energia, która wnika w różdżkę. Skieruj ją w stronę płomieni w kominku. Pamiętasz, ćwiczyliśmy to w mojej świątyni.

Kate przytaknęła i odwróciła się w stronę kominka. Zrobiła tak, jak kazał jej Fion, ale nie poczuła niczego szczególnego.

– I co? – Fion spojrział na nią niepewnie.

– Nic – odparła. – Daj kolejną.

Fion przyjrzał się uważnie różdżkom. Tym razem wybrał taką, która wydawała się przeciwieństwem pierwszej: była długa i gruba, choć zaskakująco lekka. Wyglądało na to, że jest pusta w środku.

– To różdżka z baobabu pustynnego. Te drzewa nazywa się czasem Milczącymi Eremitami, bo rosną bardzo powoli i cierpliwie, zwykle samotnie. Często można spotkać pod nim medytujących mędrców.

Opis brzmiał ciekawie, ale Kate nie pokładała w tej różdżce większych nadziei. Trzymając ją, miała wrażenie, że to kij bejsbolowy.

– I jak się z nią czujesz? – zapytał Fion.

– Dziwnie – przyznała Kate, nie mając pojęcia, czy to przez rozmiar różdżki, czy przez jej energię.

– Czyli to nie ta. – Fion westchnął. – Gdyby to była właściwa, od razu coś byś poczuła. Weź inną.

Kate wypróbowała wszystkie różdżki, które przyniósł Fion: długie i krótkie, grube i cienkie, ozdobione wzorami i pokryte jedynie korą, z kamieniami u czubka lub bez. Żadna nie pasowała.

– No dobrze – zniecierpliwiła się, odkładając ostatnią z nich. – Czy nie mogłabym po prostu wziąć którejkolwiek? Choćby tej długiej we wzorki? Przecież sam kiedyś mi mówiłeś, że energię można przesyłać nawet przez chochlę do zupy.

– Może i tak, ale lepiej by było, gdyby różdżka, na której będziesz ćwiczyć, całkowicie ci pasowała.

– W takim razie w ogóle nie będę pracować z różdżką. Mam w końcu athame i...

Ktoś zapukał w drzwi zegara. Była to jedyna od dłuższego czasu okazja, żeby odsapnąć i rozprostować nogi, więc Kate zerwała się bez słowa i pobiegła otworzyć.

Za drzwiami stały... kwiaty. A właściwie osoba, która je trzymała, tyle że ogromny bukiet zasłaniał jej twarz.

– Selene? – dobiegło zza kwiatów.

– Nie – odparła Kate.

Kwiaty opadły i jej oczom ukazał się zakłopotany młody mężczyzna.

– Robert! – zawołała ze zdziwieniem. Robert był policjantem i czarownikiem. Należał do Społeczności. Dwa miesiące temu uratował ją przed trafieniem za kratki.

– Och! Cześć, Kate – powiedział. – Przyniosłem ten bukiet na esbat. Podoba ci się?

– Esbat?

– Święto pełni księżyca.

– Wiem, co to esbat, ale... nie spodziewałam się ciebie tutaj – wymamrotała zaskoczona i odebrała od niego bukiet. Był śliczny, pełen czerwonych, różowych i białych kwiatów, których nazw nawet nie znała. Pewnie pochodziły z Jaaru. – Wejdiesz?

Robert sprawiał wrażenie nieco zakłopotanego. Biorąc pod uwagę, że stał właśnie w zegarze, a Kate zapraszała go do środka, wyglądało to jeszcze dziwniej.

– Właściwie to trochę się spieszę – powiedział. – Mam rezerwację w hotelu obok Merlina. Mają tam pokoje specjalnie dla czarownic... No wiesz.

Kate nie wiedziała, ale brzmiało to fascynująco. Robert uznał chyba jej zaciekawioną minę za powtórne zaproszenie, bo stwierdził:

– No dobrze, może jednak wejdę na chwilę. Wniosę tylko walizkę, a ty weź te kwiaty i znajdź dla nich jakiś wazon.

Kate posłusznie ruszyła z bukietem do salonu, uważając, żeby nie wpaść na ścianę. Kwiaty niemal całkowicie przysłaniały jej widok.

– Co ciekawego robicie? – zapytał Robert, wchodząc za nią do środka. Podeszedł do kominka i zaczął przyglądać się różdżkom, ale nie wziął do ręki żadnej z nich, zgodnie z zasadą zabraniającą dotykania cudzych sprzętów magicznych bez pozwolenia.

– Próbujemy znaleźć różdżkę dla Kate – odparł zmarkotniały Fion – ale żadna nie pasuje.

Robert zmarszczył czoło.

– Może nie działają dlatego, że nie zerwałaś ich sama? – zasugerował.

– A powinnam?

– No cóż, stara magiczna zasada mówi, że czarownica sama powinna odszukać gałąź do stworzenia różdżki.

Kate spojrzała na Fiona, szukając potwierdzenia tych słów.

– Niby tak – westchnął – ale najpierw chciałem wypróbować te, które sam zrobiłem. Po co miałem ciągać

Kate po lasach Jaaru?

– Niekoniecznie musicie iść do Jaaru – stwierdził Robert. – Możecie spróbować w Jęczącym Lesie.

– Gdzie? – zapytała Kate.

– To las w Hagsborough – odparł Robert. – Kiedyś stanowił potężny portal do Jaaru, ale dziś jest raczej opuszczony.

Fion wyglądał, jakby zabrakło mu tchu.

– O nie, nie ma mowy! – powiedział. – W życiu nie odważę się tam pójść. W Jaarze krąży mnóstwo legend o tym miejscu. Podobnie jest przeklęte i kręcą się tam Tirnanie.

– Kto?

– Fery z Tir-na-Nog – wytłumaczył Fion. – Wiesz, Kate, nie wszystkie fery są tak miłe jak my. To już wolę szukać różdżki w Jaarze. Możemy nawet wybrać się tam dziś wieczorem.

Robert zmrużył oczy i spojrzał w płomienie.

– Z drugiej strony – powiedział powoli – może wcale nie musicie szukać nowej różdżki. Może problem leży gdzie indziej?

– Czyli? – Kate spojrzała na niego pytająco. Robert odwrócił się w jej stronę i zapytał:

– Mogę zobaczyć twoją Księgę?

– Ehm... – Kate posłała Fionowi ukradkowe, pytające spojrzenie, ale on tylko wzruszył ramionami. – Jasne – powiedziała więc i skinęła na Roberta, żeby poszedł za nią na górę. – Tylko nie przeraż się bałaganem. Nie miałam ostatnio głowy do sprzątanania.

Prawdę mówiąc, Kate nie była pewna, czy w ogóle kiedykolwiek miała do tego głowy – zwykle sprzątanie spadało u niej na ostatnie miejsce listy priorytetów, do

którego raczej nie docierała, chyba że od święta. Robert nie wyglądał jednak na szczególnie przejętego bałaganem w sypialni. Nie przeraził się nawet, gdy Kate zaczęła dokopywać się do Księgi przez stertę zalegających na niej ubrań. Moment, w którym zdjęła z okładki czerwone slipy, przyjął bez mrugnięcia okiem.

– Wybacz – mruknęła zakłopotana i szybko wymyśliła coś na swoje usprawiedliwienie: – Ciotka uważa to za świętokradztwo, ale mnie się wydaje, że w bałaganie najłatwiej coś ukryć.

Podawała Robertowi Księgę, a on zaczął w niej czegoś szukać.

– Mam! – powiedział wreszcie. – Wiedziałem, że jest gdzieś w środku.

Usiedli na łóżku, a Robert podsunął Księgę pod nos Kate. Na kartkach narysowana była unosząca się w powietrzu czarownica. Nie siedziała na miotle i wyglądało na to, że wzbija się w powietrze jedynie za pomocą własnej woli.

– Na tym właśnie polega cała magia – wyjaśnił Robert. – Wszystkie magiczne narzędzia są takie same. Moc nie znajduje się *w* nich, ale przepływa *przez* nie. *Twoja* moc.

– W takim razie, teoretycznie, każda różdżka powinna działać dla mnie w ten sam sposób? – zapytała Kate, pewna, że wnioskuje całkiem logicznie.

Robert przytaknął.

– Ale tak nie jest – zauważyła Kate. – Dlaczego?

– Tego nie wiem. Sama musisz na to wpaść.

Kate wpatrywała się w niego uważnie, ale już po chwili wstała, jakby nagle sobie o czymś przypominając.

– Wpadnę na to, ale później – oznajmiła. – Teraz muszę wrócić do Fiona.

– Jasne – odparł Robert i dodał niepewnie: – Nie obrazisz się, jeśli zostanę tu jeszcze i trochę poczytam? Widziałem już Księgę. Twoja ciotka mi ją pokazywała, więc nie macie tam chyba żadnych tajemnic?

Patrzył na nią tak, jak gdyby prosił o ogromną przysługę. Kate nie przypominała sobie, żeby w Księdze było coś, czego nie wolno oglądać innym czarownicom. Co prawda opisała w niej swoje ostatnie przeżycia, ale wszystkie wsiąknęły w papier i znikły. Tylko ona mogła je odczytać, gdyby dotknęła odpowiednich stron.

– Nie ma sprawy – odparła. Nie chcąc tracić więcej czasu, zostawiła Roberta i zbiegła z powrotem na dół, gdzie Fion machał swoimi różdżkami, jakby chciał sprawdzić, czy nie miały jakiejś wady fabrycznej.

– Musimy pogadać – oświadczyła Kate.

– No ba. Powinnaś dostać naganę, reprimendację, czy jak wy to nazywacie.

– Nie o tym! – zniecierpliwiła się. – I na pewno nie tutaj.

Fion patrzył na nią zdumionym wzrokiem, gdy zaczęła ciągnąć go w stronę drzwi wyjściowych. Bez zbędnego tłumaczenia i ignorując wszystkie jego „O co chodzi?” i „Co ty wyprawiasz, Kate?!”, wyprowadziła go na zewnątrz. Najpierw chciała schować się przed deszczem pod schodami, ale kiedy zobaczyła, że drzwi do schowka są otwarte, weszła tam.

Wreszcie miała chwilę, żeby porozmawiać z Fionem o tym, co ją niepokoiło.



Rozdział 10

Dociekliwość pani Hollander

– Co jest, Kate? O co chodzi? – zapytał Fion, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi schowka. Mimo półmroku panującego w pomieszczeniu, z jego miny można było wyczytać, że jest oburzony, że Kate tak obcesowo wypchnęła go z domu.

– Posłuchaj mnie uważnie – powiedziała Kate, patrząc mu prosto w oczy. – Naprawdę, naprawdę uważnie.

Fion zmarszczył czoło.

– Słucham – odparł.

– Sądzę, że musimy uważać na Dianę, Toma i Lilian.

– Co? – zmieszał się Fion. – Niby dlaczego? Nie rozumiem.

– No to posłuchaj – odparła Kate i zaczęła opowiadać mu o wszystkim, czego była ostatnio świadkiem. Mówiła szeptem, tak cicho, że dźwięki deszczu zniekształcały

niektóre jej słowa. Najpierw opisała Fionowi laleczkę, którą widziała w ręku Diany, potem dziwny rytuał odprawiany przez Toma, a wreszcie powtórzyła mu wszystko, co zapamiętała z podsłuchanej wczoraj rozmowy. Naprawdę Fion zmartwił się jednak dopiero wtedy, gdy usłyszał o kartce leżącej na biurku Lilian.

– Nie gadaj! – zawołał. – Niby po co by jej to było?

– Ciszej – syknęła Kate. – Skąd wiesz, że któreś z nich nas nie szpieguje?

– Racja. – Fion ściszył głos. – Myślisz, że... że oni wiedzą o kamieniu?

Wydawał się przerażony samą myślą o tym.

– Nie wiem – przyznała Kate – ale skoro Eos rozmawiała z panią Blackout, czemu nie miałyby skontaktować się i z nimi? Zresztą, gdyby chodziło o kamień, wszystko wydawałoby się prostsze. Jest jednak pewien szkopuł.

– Jaki szkopuł?

– Bo widzisz, wczoraj przypomniałam sobie coś ważnego. Od początku, gdy zobaczyłam Toma, byłam pewna, że skądś go znam. I miałam rację. Już go kiedyś widziałam, w szkole, dzień po tym, jak rzuciłam zaklęcie miłosne na Jonathana. A przecież wtedy nie miałam jeszcze kamienia. I jak to wytłumaczysz?

Fion zastanawiał się przez chwilę.

– No – powiedział – nie miałas kamienia, ale to wszystko było już zaplanowane, prawda? Przez Erato i tamtego mężczyznę.

Kate gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Myślisz, że tamten mężczyzna to Tom? – zapytała ze strachem. Nie umiałyby rozpoznać mężczyzny po głosie.

W pałacu wydawał się zbyt zniekształcony.

– Nie, tego nie twierdzę – uspokoił ją szybko Fion. – Chodzi mi tylko o to, że *ktoś z jakiegoś* powodu mógł wiedzieć...

– Hm... i być może wyjaśniłoby to zagadkowe zachowanie pani Blackout? – zaczęła dedukować Kate. Gdy teraz o tym wszystkim myślała, sprawy zaczynały się rozjaśniać.

– Pamiętasz – powiedziała – że Eos wspominała coś o istotach, które kontrolują Jaar? Mówiła niby o sobie, a używała ciągle słowa *my*.

– No tak, pamiętam, ale co to ma wspólnego z...?

– Być może wszystko. Eos mówiła, że te istoty ciągle sprawują pieczę nad światem magicznym. Od samego początku wiedziały, co ma się stać z kamieniem. Być może to one kazały pani Blackout dać mi ten amulet? – Kate wzięła do ręki czarną łązkę. Chyba jednak nie bez powodu amulet śnił jej się tej nocy. Widząc, że Fion pogubił się już w jej toku rozumowania, opowiedziała mu o śnie.

Od razu zabrał się za interpretację.

– Z jednej strony ten sen mógł oznaczać wiele rzeczy, ale z drugiej możliwe, że był tylko wynikiem twojego niepokoju. Zastanawia mnie tylko, dlaczego zakładasz, że na pewno możesz ufać pani Blackout, a reszcie nie?

– No... – Kate zaczęła się zastanawiać. – To jedna z dobrych znajomych mojej ciotki, tak samo jak Selene. Nie sądzę, żeby chciała coś mi zrobić.

– Po prostu głośno myślę – odparł Fion. – Przekonaliśmy się już, że ci, którzy chcą wykraść kamień, działają w grupie. Skąd możemy wiedzieć, kto do niej należy?

Te słowa dały Kate do myślenia.

– Zaczekaj – powiedziała i wybiegła ze schowka. Popędziła

z powrotem do domu, a potem schodami w górę. Wpadła do pokoju, uśmiechnęła się lekko do Roberta, który wciąż zajęty był czytaniem, i zabrała książkę o magicznych zakonach. Zbiegając z powrotem, minęła ciotkę, która o coś ją zapytała. Na odczepnego Kate odparła „Tak”, choć nie miała pojęcia, czemu przytakuje lub na co się zgadza. Zdyszana wpadła znów do schowka.

– Co to jest? – Fion wskazał na książkę.

– Wypożyczyłam ją z Merlina – odparła Kate, z trudem łapiąc oddech. Zaczęła kartkować książkę, a gdy znalazła odpowiednią stronę, przeczytała:

Ze wszystkich magicznych stowarzyszeń najbardziej niebezpieczny i tajemny jest Zakon Szmaragdowego Klejnotu. Jego członkowie od stuleci poszukują kamienia, którego pierwotną właścicielką miała być Danu, Ferza Matka. Nie wiadomo, ilu członków liczy sobie zakon, ale pewnym jest, że – jeśli istnieje – poszukiwacze magicznego kamienia nie cofną się przed niczym i odważą się na każdą zbrodnię, byle osiąść to, na czym tak im zależy.

– No i... co z tego wynika? – zapytał Fion, gdy tylko Kate skończyła czytać i zamknęła książkę.

Kate spojrzała na niego poważnie.

– Tak sobie myślę, że... – zaczęła. – Hm... Czy sądzisz, że oni wszyscy mogą być w zмовie i próbują wykraść kamień?

Nachylili się, posyłając sobie głębokie spojrzenia. Po chwili Fion jakby otrzeźwiał i złapał się za głowę.

– Nie, nie – powiedział. – Dość tego. Nie dam się w to wciągnąć. Za dużo teorii spiskowych. Jak tak dalej pójdzie,

zostaniesz magiczną hipochondryczką.

– Kim?

– To osoba, która wszędzie widzi zagrożenie czarami i uważa, że wszyscy chcą ją przekląć.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – zdenerwowała się Kate. – Uważasz, że nie mam wystarczających podstaw, żeby się bać?

– Niestety, Kate. Sęk w tym, że nie masz. Tom mógł przywoływać kogokolwiek, na przykład swojego fera.

– Jego fer nazywa się Hiacinthus, a nie Darrin – odpowiedziała natychmiast Kate.

– No to może chodziło o kogoś innego, na przykład o chowańca. Co do tamtej kartki... Być może oni chcieli po prostu sprawdzić, kim jesteś, skoro mieli spędzić z tobą wakacje. Wspominałaś, że mieli cię trochę podszkolić. W takich wypadkach podobne rzeczy się przydają. Czasami kolor oczu czy włosów może powiedzieć coś o kolorze magii.

– No a Diana? – zapytała Kate. – Ona na pewno jest zła. Te lalki mówią same za siebie.

Złapała się na tym, że mówiąc o Dianie, gniewnie zaciskała pięści.

– Nie, Kate, nie rozumiesz – zaśmiał się Fion. – Te lalki wcale nie służą negatywnej magii, choć mogą. Zwykle jednak używa się ich w czarach uzdrawiających i ochronnych, dlatego może się zdarzyć, że odstraszą już samym swoim wyglądem.

Kate wypuściła powietrze i zapatrzyła się w ścianę.

– No dobrze – powiedziała powoli, nie czując się wcale uspokojona, ale bardzo chcąc, żeby tak było. – Pewnie masz rację, ale... co jeśli oni *naprawdę* są niebezpieczni?

Dopiero teraz poczuła, jak wielki zawód by ją spotkał, gdyby Tom i Lilian trzymali z Erato. Pal licha Dianę, ale ich zdążyła już polubić.

– Niece – odparł Fion, wcale nie wyglądając na przekonanego. – Pewnie okaże się, że to nic takiego... Ale wiesz, skoro już o tym rozmawiamy, to...

– No?

– Ja też mam ci coś do powiedzenia. Kiedy rozmawiałaś z Robertem, spacerowałem trochę po domu. Byłem w łazience, bo wy macie takie fajne kurki i spłuczkę. W Jaarze nie działa to w ten sam sposób...

– Do rzeczy – westchnęła Kate.

– Chodzi o to, że ja też kogoś podsłuchałem. Hillenę i Selene. Wygląda na to, że nadal szukają kamienia, i obawiam się, że w końcu mogą go znaleźć. To znaczy, dowiedzieć się, że ty go masz.

– Chętnie sama bym im o tym powiedziała – przyznała Kate, wywołując u Fiona kolejny wytrzeszcz oczu. – No co? Przynajmniej ulżyłabym Selene w jej zmartwieniach. Ale nie bój się, nie zrobię tego. Pewnie przyniosłoby nam to więcej kłopotów niż pożytku.

– Otóż to – podchwycił Fion i w razie, gdyby Kate miała jeszcze raz to przemyśleć, szybko zmienił temat. – Musimy skupić się teraz na twojej różdżce. Dziś po kolacji zaprowadzę cię w pewne miejsce, gdzie być może coś dla siebie znajdziesz.

Kate przytaknęła od niechcienia. Nie miała zamiaru ustępować ze swoim pytaniem, dopóki Fion jakoś jej nie uspokoi.

– Co będzie, jeśli ten zakon istnieje, a oni do niego należą?

– zapytała znowu.

Fion westchnął i odparł:

– Wtedy mamy przechlapane...

Szybko się jednak uśmiechnął i poklepał ją po ramieniu, dodając:

– Ale nie martw się, Kate, przecież nie po raz pierwszy.



Po swojej rozmowie z Fionem Kate doszła tylko do jednego wniosku: tym razem jej fer okazał się całkiem bezużyteczny. Mógł zapewniać ją, ile chciał, że tamta trójka nie miała zamiaru zrobić jej krzywdy, ale ani trochę jej to nie uspokajało. Skoro jednak nie chciał pomóc jej w sprawdzeniu ich, uznała, że poradzi sobie sama. Do głowy wpadł jej zresztą pewien pomysł, ale gdy patrzyła na chaos panujący na łóżku Lilian, kompletnie nie wiedziała, jak wdroić go w życie.

Cóż, musiała przeszukać jej rzeczy. Miała nadzieję, że znajdzie w nich coś, co albo rozwieje, albo potwierdzi jej obawy. Tylko że nie mogła od tak przekopać wszystkiego, co zalegało na łóżku, bo Lilian szybko by się o tym zorientowała. Wprawdzie i tak zrobiła tu już niezły bałagan, ale zrobienie jeszcze większego nie umknęłoby jej uwadze. Mogłaby zresztą wpaść do pokoju w trakcie przeszukiwania, a wtedy czym wykręciłaby się Kate? Sprzątaniem?

Na szczęście *Księga Luster* okazała się pomocna. Kartkując ją powoli i dokładnie sprawdzając każde zakłęcie, Kate znalazła kilka czarów na znalezienie zagubionych rzeczy.

Właściwie nie o to jej chodziło, gdyby jednak zmodyfikowała trochę czar...

– *Saturn lodem objął ziemię, śniegiem wstrzymał przesilenie, ogniem stopię lód i śnieg, co zgubione, znajdzie się* – wymamrotała pod nosem, zdając sobie przy okazji sprawę, że po pewnym czasie czytania zaklęć mózg sam zaczyna ignorować ich żenujące rymy. Tak czy inaczej, ten czar nawet się nadawał. Nie trzeba było zmieniać wielu słów. Wystarczyłoby zamienić ostatnią linijkę.

– Co schowane, znajdzie się... Czego szukam, znajdzie się... – Kate zaczęła zastanawiać się nad opcjami. Mogłaby sprawdzić obie.

Doczytała instrukcje podane na stronie z czarem. Był wyjątkowo łatwy. Starczyło wziąć athame, przesłać przez nie nieco energii i nad przeszukiwaną rzeczą wykonywać ostrzem w powietrzu pentagramy.

Kate upewniła się, że nikogo nie ma na korytarzu, po czym stanęła z athame nad łóżkiem Lilian. Wizualizując wchodzącą w nie energię, zaczęła, trochę koślawo, rysować pentagram. Zamiast słów „co zgubione”, powiedziała: „co schowane”. Wystarczyło, że wypowiedziała te słowa raz, a nagle ubrania Lilian uniosły się w górę, wszystkie kieszenie wywróciły się na drugą stronę i po chwili Kate dostała w twarz opakowaniami po cukierkach, drobnymi monetami i paczką prezerwatyw.

– Fuj! – Wyciągnęła z włosów klejący się papierek. A więc te słowa nie były najlepszym wyborem. Z obrzydzeniem powkładała do kieszeni wszystko, co z nich wypadło. Powtarzając zaklęcie po raz kolejny, tym razem ze słowami „czego szukam”, skupiła się tylko na tych sekretach Kate,

które mogły jej dotyczyć. Jednak tym razem jedyną rzeczą, jaka wzbiła się w powietrze, była ta sama kartka, którą już widziała.

– Świetnie – westchnęła z rezygnacją. Jedyne, co jej zostawało, to sprawdzić jeszcze pokoje Toma i Diany. Mogło to się okazać dużo bardziej niebezpieczne, zwłaszcza w przypadku tej drugiej, ale na razie była to przynajmniej jakaś opcja.

Próbując niepostrzeżenie przemknąć się najpierw do pokoju Toma, Kate natrafiła na ciotkę Hillenę i natychmiast zatrzymała się z miną zdradzającą, że planowała coś niewłaściwego.

– Kate – powiedziała pani Hallander – wejź na chwilę.

Skinęła na nią ręką, a Kate, z grzecznością i posłuszeństwem, które coraz mniej w sobie lubiła, weszła za nią do jej pokoju. Była tu po raz pierwszy od dnia przyjazdu. Pokój, który Selene przeznaczyła dla ciotki, był wielki i prawie całkiem pusty. Na drewnianej podłodze leżał okrągły dywan z misternie wykonanymi wzorami, w których można by się zatracić, gdyby odpowiednio długo się im przyglądać. Pod ścianą stały stare meble. Za witryną długiej szafki znajdowało się mnóstwo figurek ze słoniogłowym bóstwem. Przy oknie stało spore łóżko, które – sądząc po złamanych belkach i opadłej kurtynie – posiadało kiedyś baldachim. Oprócz tych rzeczy w pokoju były jeszcze tylko walizka ciotki i kilka książek.

– Usiądź – poprosiła pani Hallander, wskazując Kate łóżko. Sama stała i wpatrywała się w nią przenikliwie.

Kate zamknęła drzwi i niepewnie zajęła wskazane miejsce. Łóżko zapadało się nieco, ale było wygodnie miękkie.

– Coś się stało? – Posłała ciotce niewinne spojrzenie.

– Musimy porozmawiać – oświadczyła pani Hallander, zupełnie jakby Kate sama się tego nie domyśliła.

– Yhm... ale chyba nie masz zamiaru mnie przeświecić ani nic w tym stylu? – zapytała Kate, bo ciotka nadal nie spuszczała z niej wzroku, a jej spojrzenie stawało się coraz bardziej natarczywe.

– Nie – odparła. – Chodzi mi tylko o pewną... ehm... rodzinną pogawędkę.

Kate wysoko uniosła brwi. Pogawędka nie brzmiała zbyt wzniosłe. Ciotka od razu przeszła do rzeczy.

– Ten amulet... – powiedziała. Od początku było dość oczywiste, że właśnie o to jej chodzi. Szukała wzrokiem amuletu od pani Blackout, ale nie znalazła go, bo Kate włożyła go już za bluzkę.

– Tak? Co w związku z nim? – zapytała Kate. Ciotka przybrała zniecierpliwioną minę.

– Nie udawaj – odparła. – Dobrze wiesz, o co mi chodzi, a ja wiem, że wcale nie dostałaś tego amuletu od Fiona. To amulet Jean Blackout.

– To mój amulet – oznajmiła Kate z przekonaniem, uświadomiwszy sobie, że nawet nie musi kłamać. W końcu teraz amulet naprawdę należał do niej.

– Przyznaj się, dlaczego Jean ci go oddała – nalegała ciotka.

Przez chwilę Kate zastanawiała się, co właściwie jej odpowiedzieć. Może gdyby wyznała prawdę, ciotka umiałaby jakoś rozwiązać jej wątpliwości. Cała ta niepewność wreszcie by się skończyła... Ale nie, nie mogła tego zrobić. W końcu dała pani Blackout słowo.

– Już ci powiedziałam – odparła z determinacją. – Dostałam go od Fiona.

Mimo że, sądząc po zmarszczonym czole ciotki, zanosilo się na to, że będzie drążyć temat, pani Hallander rozluźniła się nieco i spytała spokojniej:

– Nie okłamujesz mnie, Kate?

Nie trzeba było długo się jej przyglądać, by dostrzec, że zna już odpowiedź. Ale przecież to od początku nie miała być szczerą rozmowa; raczej rodzaj gry.

– A ty? – odparła Kate.

– Co ja?

– Dlaczego o to pytasz? Dlaczego tak bardzo cię to interesuje? Zaczynam myśleć, że to ty coś ukrywasz.

Ciotka zmieszała się.

– Ja? – wyjąkała. – Skąd, nie mam nic do ukrycia. Pytam, bo... bo to ważne, bo mnie interesujesz... Obiecałam twojemu ojcu mieć na ciebie oko.

– A co on ma z tym wspólnego? – Teraz to Kate utkwiała w ciotce ostre spojrzenie.

– Twój ojciec? Z Jean Blackout? – odparowała pani Hallander niemal z oburzeniem. – Absolutnie nie mają ze sobą nic wspólnego.

Kate pokręciła głową.

– Tak samo jak ty nie masz żadnych innych powodów, żeby ciągle mnie o to wypytywać? I nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

– Nie. – Ciotka obruszyła się jeszcze bardziej. Najwyraźniej ta zmiana ról niezbyt się jej spodobała. Zdawało się, że Kate wypchnęła ją z bezpiecznego gruntu.

– Więc ja też nie mam ci już nic więcej do powiedzenia –

oznajmiła Kate hardym tonem, po czym szybko wyszła z pokoju ciotki, nim ta zdążyła przygwoździć ją wzrokiem do ściany.

Mimo że Kate miała w sobie mnóstwo determinacji, by nie dać się ponownie wziąć na spytki, wolała nie wystawiać jej na próbę i starała się unikać ciotki jak tylko mogła. Wcale nie było to łatwe. Przed każdym wyjściem z pokoju musiała sprawdzać, czy pani Hallander nie kręci się po korytarzu. Starła się też chodzić jak najciszej umiała, żeby ciotka przypadkiem nie usłyszała jej kroków. „Albo nie przypadkiem” – pomyślała. Nie zdziwiłaby się, gdyby ciotka stała pod drzwiami swojej sypialni i bez przerwy nasłuchiwała odgłosów z domu, żeby znów wciągnąć ją w tę rozmowę. Na szczęście Lilian wyjątkowo postanowiła dziś nie wychodzić, co powstrzymało panią Hallander przed wtargnięciem do ich pokoju bez pukania.

Było jasne, że z jakiegoś powodu ciotka traktowała sprawę z naszyjnikami jako coś bardzo osobistego, więc kolacja wydawała się Kate w miarę bezpieczna – pani Hallander nie poruszyłaby tematu przy innych. Mimo to Kate i tak chciała jak najszybciej odejść od stołu. Zjadła tylko kilka łyżek pieczonych warzyw i od razu pobiegła z powrotem do pokoju, wykręcając się spotkaniem z Fionem.

Tym razem przynajmniej nie musiała kłamać. Fion pewnie już na nią czekał.

Myśl o różdżce sprawiała, że nawet ta niewielka ilość kolacji, jaką Kate zjadła, boleśnie przemieszczała się w jej żołądku w górę i w dół. Gdyby tylko mogła mieć to już za sobą... To poszukiwanie odpowiedniej różdżki, a najlepiej całe te nieudane wakacje.

Korzystając z nieobecności Lilian, która wciąż jeszcze była w jadalni, Kate zaczęła tworzyć magiczne drzwi. Była to jedna z pierwszych rzeczy, jakich nauczyła się w Jaarze i od tego czasu, z uwagi na to, że nie zaczęła jeszcze ćwiczyć teleportacji, robiła to już wiele razy. Wprawdzie mogła w tym celu użyć także Księgi, ale ciotka przestrzegła ją, że znajdujący się w niej portal lubi czasem sam wybierać sobie kierunki. Poza tym tworzenie przejścia wcale nie było trudne. Starczyło po prostu wyrysować w powietrzu spore drzwi i wypowiedzieć zaklęcie, myśląc o miejscu, do którego chciało się przenieść lub osobie, którą miało się zobaczyć. Kate przywołała więc w umyśle twarz Fiona i zaczęła mówić:

*Sztyletem mocy tworzę te drzwi
Niech świat równoległy ukażą mi
Konkretne miejsce, konkretny czas
Chcę się tam znaleźć, przenieś mnie tam*

Tworząc drzwi, Kate zawsze stała jak najbliżej ściany. Nie mogła zobaczyć swojej magii i zdążyła się już do tego przyzwyczaić, a trzymając się blisko portalu, orientowała się przynajmniej, gdzie dokładnie go umieściła. Do wchodzenia w ściany też już przywykła. Zrobiła krok naprzód i, jak zwykle, wessał ją zdający się ciągnąć w nieskończoność tunel, który przemierzyła w zaledwie kilka sekund, po czym wylądowała w...

No właśnie. Gdzie?



Rozdział 11

Alsea

Ciemność była tak nieprzenikniona, że Kate miała wrażenie, jakby ktoś zasłonił jej oczy. Zewsząd dochodziły do niej jakieś dźwięki, przypominające przesuwanie śliskiego materiału po twardej powierzchni. Powietrze było duszne i zatęchłe.

Kate bała się nawet poruszyć. Ze wszystkich sił starała się nie zacząć krzyczeć. Gdy jej oczy przywykły już do ciemności, w oddali dostrzegła niewielkie, migotliwe światełko. Przypominało cienką, poprutą chustę unoszącą się na wietrze. Postanowiła nie iść w jego stronę. Nie była skłonna wierzyć stereotypom na temat światła i ciemności. Dobrze wiedziała, że to drugie bywa często o wiele bezpieczniejsze od pierwszego.

Poruszyła się, nie chcąc trwać w bezruchu. Wyczuła za

sobą ścianę. Przejechała po niej ręką. Natychmiast cofnęła dłoń, wzdrygając się z obrzydzeniem, gdy pod palcami wyczuła coś lepkiego. Odsunęła się machinalnie, uderzając nogą o twardy przedmiot. Mimowolnie syknęła z bólu.

– Kto tu jest? – Usłyszała znajomy głos.

– Fion? – odparła z nadzieją.

Rozległ się odgłos, jakby coś skądś się ześlizgiwało i po chwili w smudze światła Kate dostrzegła sylwetkę Fiona. Trzymał przed sobą jakiś srebrny, kręcący się wisior oświetlający drogę.

– Co się dzieje? – wyjąkała Kate z przerażeniem. Przyjrzała się bliżej wisiorowi. Jego obracająca się tarcza, umieszczona w metalowej obwolucie, przypominała zegar. Jednak była pokryta astrologicznymi symbolami, nie cyframi.

– Ciszej, Kate! – syknął Fion. – Jesteśmy w wylęgarni, a motyle potrzebują spokoju.

– Gdzie jesteśmy?

– W wylęgarni – powtórzył Fion. – Tutaj larwy zmieniają się w motyle, przepoczwarczają się. Nie wiesz, co to znaczy?

A więc stąd wszystkie te odgłosy! Kate natychmiast pozbyła się obrzydzenia; teraz była już tylko ciekawa. Nigdy wcześniej nie słyszała o czymś takim jak wylęgarnia.– Można zapalić tu gdzieś światło? – zapytała. – Chciałabym zobaczyć, jak to wszystko wygląda.

Fion mruknął coś gniewnie.

– Powiedziałem ci już, że motylom potrzeba spokoju. I ciemności. Jeśli mają być silne, muszą przepoczwarczać się w mroku. No dalej, idziemy.

Ujął Kate za dłoń i zaczął prowadzić ją wśród oślizgłych ścian w stronę wyjścia, gdziekolwiek się ono znajdowało.

– Skoro potrzeba im spokoju, to po co tu siedzisz i w dodatku ściągasz mnie? – wyszeptała Kate, ślizgając się po podłodze, która w pewnej chwili zaczęła robić się pochyła. – Myślałam, że umrę ze strachu.

– Nie musisz być taka strachliwa – westchnął Fion. – Zapomniałem, że mieliśmy się spotkać, i przyszedłem tu pomedytować. Kiedy medytuję, nie przeszkadzam motylom.

I to te nieliczne momenty, w których nie jesteś denerwujący – dodała Kate w myślach, choć pewnie nie był to całkiem sprawiedliwy osąd. Zaś głośno powiedziała:

– Gdybyś zapomniał, to ciągle mam powody do strachu! – warknęła Kate.

Fion kazał jej się zatrzymać i schylić głowę. Potem skrzypnęły małe, drewniane drzwiczki i wyszli na zewnątrz. Dopiero gdy Kate uderzył wieczorny chłód, zdała sobie sprawę, jak ciepło było w środku. Na niebie jasno świecił księżycowy sierp. To jego światło wpadało do wylęgarni, tworząc niesamowitą srebrną poświatę.

Wylęgarnia znajdowała się pod ziemią, nad którą wystawał jedynie kawałek dachu. Kate rozejrzała się dookoła. Znajdowali się gdzieś na obrzeżach Elphame. W oddali widać było wysokie, potężne łodygi i ogromne, teraz już zwinięte płatki domów ferów. Daleko za nimi rozciągał się Las Wielu.

– To gdzie będziemy szukać tej różdżki? – zapytała. – Macie jakieś otwarte sklepy magiczne o tej porze?

– Nie idziemy tam – oznajmił Fion, widząc, że Kate kieruje wzrok w stronę kwiatów. – Idziemy w zupełnie innym kierunku.

– Czyli?

Fion uniósł się trochę, złapał ją za ramiona i delikatnie

zmusił do spojrzenia w lewo.

– Tam – powiedział.

Widok, który ukazał się oczom Kate, niewątpliwie był piękny, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że przede wszystkim dziwny. Patrzyła na coś, co wyglądało jak płot olbrzymiego ogrodu. Potężne ściany z żywopłotu wznosiły się wysoko ku niebu, a bramę stanowiły tu dwa drzewa, których konary opadały nisko ku ziemi, tworząc baldachim w roślinnej ścianie. Za nim widać było jasnobłękitną poświatę, która zdawała się chować wewnątrz żywopłotu, jakby świat poza nim ją płoszył.

– Co to za miejsce? – zapytała Kate.

– My nazywamy je Zagajnikiem Świetlików – odparł Fion – ale nie ma żadnej oficjalnej nazwy. Fery przychodzą tu po drewno do robienia różdżek albo innych magicznych przedmiotów, lub po prostu by zaczerpnąć trochę magii. Niektórzy sadzą tutaj własne drzewa, gdy mają ku temu jakąś okazję. Stąd tego nie widać, ale ogrodzenie ma kształt symbolu *olan*, znaku Danu.

Gdy stanęli tuż przed żywopłotem, Kate, mimo że była sporo wyższa od każdego przeciętnego fera, nagle poczuła się wyjątkowo mała. Z bliska zagajnik wydawał się jeszcze potężniejszy, zaś żywopłot był gruby i poruszał się. Wystawało z niego wiele pnączy, często przypominających mysie ogony, przemykające między liśćmi.

– To zwyczajne bawiródki – oznajmił Fion. – Bajki i kołysanki są ich pełne. Gdybyś od początku wychowywała się z wiedzą o czarownictwie...

Urwał, zorientowawszy się, że jego słowa mogły wywołać niezręczny nastrój. Gdyby Kate wychowywano na wiedźmę,

uniknęłaby pewnie każdego problemu, jaki sobie napytała. Lub jaki napytał się sam.

– Ale tak nie było – odparła szybko, ucinając temat. – No, chodźmy tam wreszcie. Nie mam całej nocy na poszukiwania różdżki, szczególnie jeśli będę musiała od rana wkuwać twoje materiały.

Gdy tylko przeszli pod baldachimem z drzew, Kate zorientowała się, że tym, co wcześniej wzięła za światło, były tak naprawdę niezliczone drobne świetliki unoszące się w powietrzu. Gdy przyjrzała się im dokładniej, zauważyła, że to nie owady, a raczej malutkie, błękitne ogniki. Przypomniała sobie ostatnią rozmowę, jaką odbyła z Jawisem, tuż przed jego odejściem z tego świata. Wtedy przywoływały go latające światełka, podobne do tych tutaj.

Kate szybko spostrzegła, że ogniki odtwarzają w powietrzu skomplikowane układy. Przywodziły jej na myśl pszczoły tańczące w dzień godów królowej. Ogniki unosiły się nad głowami przechodzących w dole ferów i czarownic, ale zdawało się, że próbują skupić uwagę tylko na samych sobie, i udawało im się to. Dopiero po dłuższej chwili Kate zwróciła uwagę na wszystko dookoła.

Z każdej strony wychylały się drzewa. Nie rosły rzędami ani gatunkami, nie miały żadnego określonego porządku. Wyglądało to tak, jakby każde z nich wybrało sobie miejsce, w którym wyrośnie.

– Czym są te świetliki? – zapytała Kate, na powrót patrząc w stronę ogników.

– To hekasehr, nocne lampki. O nich też można usłyszeć w dziecięcych opowiadaniach. Są płochliwe i potrafią niezłe piszczeć, gdy coś im grozi. Za dnia śpią, zostawiając na ziemi

śluz, którego potem używa się do wyrobu naszyjników takich jak mój. – Fion chwycił swój kompas obiema dłońmi. Coś takiego przydałoby się Kate, gdyby znowu sama trafiła do Jaaru nocą. – Nie tylko oświetla drogę, ale pokazuje przy okazji, gdzie jesteś, zgodnie z rozstawieniem gwiazd i planet.

– Lampy w Księżycowym Domu działają chyba podobnie – stwierdziła Kate. – To znaczy, że nawóz do nich też czerpie się od tych światełek?

– Tak, ale w formie proszku.

– A te hekse-sehse... Czy one mają coś wspólnego z duchami księżycowymi?

– Z czym?

– No, z takimi światełkami, które unoszą się wokół księżyca, gdy ktoś umiera.

Fion spojrzał niepewnie na Kate.

– Przykro mi, ale nie mam pojęcia, o czym mówisz. Hekasehr są oczywiście mocno związane z magią. Uważa się, że zamieszkują magiczne miejsca i przedmioty. Są nawet tacy, którzy twierdzą, że to one kryją się za całą mocą magii i że w rzeczywistości są ożywioną energią. Nie wiadomo, jak dokładnie powstały, pewnie stąd te historie.

Kate pokręciła głową. Może w ogóle nie powinna była o to pytać.

– No dobrze, to gdzie mam szukać tej różdżki?

– Proponuję znaleźć jakieś ustronne miejsce. Przy wejściu zawsze kręci się pełno osób.

Fion ruszył w głąb zagajnika, a Kate starała się dotrzymać mu kroku, rozglądając się dokładnie dookoła. Niektóre gatunki drzew wydawały jej się całkiem znajome, inne widziała po raz pierwszy. Każde jednak, bez wyjątku,

wydawało jej się bardzo żywe, jakby posiadało własny, odrębny charakter.

– Nawet tam nie patrz – ostrzegł Fion, widząc, że Kate spogląda w stronę niewielkich czerwonych krzaczków, nad którymi unosiła się ognista łuna. Wyglądało to tak, jakby liście krzaków płonęły.

– Dlaczego? – zapytała.

Za krzakami rosły wysokie drzewa z licznymi gałęziami, które wyglądały na całkiem solidne, idealne na różdżkę. Nim jednak Fion zdążył jej odpowiedzieć, zobaczyła nad ognistymi liśćmi zbłąkanego ptaka. Czerwone krzaki zaszeleściły, a z jednego z nich wysunął się długi język, który zacisnął się wokół ptaka i wciągnął go w zarośla. Po chwili dał się słyszeć odgłos przypominający mlaskanie.

– Właśnie dlatego – skwitował Fion i chciał prowadzić Kate dalej, ale wtedy przed oczami mignęły jej czyjeś brązowe, sięgające ramion włosy. Ich właścicielka szła szybko, nieco schylona, jakby bardzo nie chciała, by ktoś ją zauważył. A Kate, nawet w panującym tu półmroku, bez trudu ją rozpoznała.

– Pani Blackout? – powiedziała głośno i od razu do niej podeszła.

– Och, Kate! – Nauczycielka udawała zdziwioną, ale wydawała się raczej zmieszana. Z pewnością dostrzegła ją jako pierwsza, a teraz z jakiegoś powodu usiłowała czmychnąć. – Dobry wieczór. – Uśmiechnęła się też do Fiona, który był równie zdumiony co Kate. – Cudowna pogoda, prawda?

– Co pani tu robi? – zapytała bez ogródek Kate. – Sądziłam, że postanowiła pani zrezygnować z magii.

Nie chciała użyć tego oskarżycielskiego tonu, ale... jakoś tak wyszło.

– Och, no cóż... Chciałam oddać tutaj swoje narzędzia – odparła pani Blackout, co zabrzmiało jak wymyślona naprędce wymówka. – No... I kto nie chciałby chociaż raz jeszcze spojrzeć na Zagajnik Świetlików? To chyba najpiękniejsze miejsce w Jaarze. Byłaś tu już wcześniej?

– Nie, ale...

Kate postanowiła nie dać zbić się z tropu. Niestety pani Blackout równie mocno postanowiła nie mówić nic więcej poza „Do zobaczenia”, po którym niezwykle energicznie oddaliła się w stronę wyjścia. Kate chciała za nią zawołać, ale Fion pociągnął ją za rękę.

– Nie bądź zbyt natarczywa – syknął. – Bo jeszcze domyśli się, że o coś ją podejrzewasz!

– Chyba lepiej wyłożyć karty na stół? – zdziwiła się Kate.

– Żartujesz?! Jedyne karty, jakie wykłada się w takich sytuacjach, to karty tarota. Nie możesz przecież zapytać jej wprost, czy chce cię zabić.

– A więc zgadzasz się ze mną, że to podejrzane? – Kate za bardzo podniosła głos. Kilka osób spojrzało w jej stronę z zaciekawieniem.

– Oczywiście, że się zgadzam – wyszeptał Fion. – Ale na pewno nie dowiemy się tego, przyciskając ją do ściany. To stara wiedźma... No, to znaczy taka, która praktykuje o wiele dłużej od ciebie. Jeśli ma jakiś plan, będzie się go trzymać do upadłego. Chodź, idziemy szukać różdżki.

Kate stała jak słup soli.

– Chcesz, żebym *teraz* szukała różdżki? – odparła z niedowierzaniem.

– Oczywiście! Jesteś wiedźmą, więc powinnaś zgromadzić wszystkie potrzebne narzędzia. Wtedy o wiele lepiej się myśli.

Bez dalszych słów Fion pociągnął Kate za rękę i poprowadził ją do miejsca, w którym zagajnik zaczął przypominać las. Drzewa tutaj wydawały się starsze od pozostałych, ale miejsce nie było całkiem dzikie. Sprawiało wrażenie, jakby ktoś się nim opiekował. Wyraźnie dało się odczuć dotyk jakiejś ręki, która pomagała naturze obrać właściwy tor.

Na ścieżce wybrzuszały się niewielkie kopce. Była też ułana kamieniami. Nie szło się po niej najwygodniej, ale przynajmniej było tu cicho i spokojnie. A Kate potrzebowała teraz naprawdę dużo spokoju, jeśli nie miała zaprzętać sobie głowy panią Blackout, tylko szukaniem różdżki.

– No, to zaczynaj – powiedział Fion, zatrzymawszy się.

– Jak to *zaczynaj*? – Kate nie kryła zdumienia. – Myślałam, że mi pomożesz. Przecież ja ani trochę nie znam się na drzewach Jaaru. W ogóle na żadnych się nie znam!

– Tym lepiej – stwierdził Fion. – Będziesz mogła dać się prowadzić samej intuicji.

– Tyle że ja nie wiem, jak wybiera się różdżkę! – Kate miała dość ciągłego uświadamiania Fionowi, że ciągle jest początkująca. Skąd mogła wiedzieć, jak wybrać odpowiednie narzędzia? Wszystkie te gadki o intuicji wydawały jej się raczej bzdurne.

Fion westchnął i zaklął, unosząc wzrok ku niebu. To znaczy... chyba zaklął. Powiedział w języku ferów coś, co brzmiało jeszcze gorzej od ich normalnych słów, zwykle twardych i pokrętnych, jakby do ich wypowiedzienia trzeba

było ćwiczyć język na siłowni.

– Podchodzisz do drzewa, które cię przyciągnie, i pytasz je, czy możesz oderwać gałąź.

– Mam gadać z drzewem?!

– Masz do niego podejść i nawiązać kontakt mentalny. Jeśli przeczytałaś coś więcej na temat magicznej teorii, to powinnaś wiedzieć, co to jest. Czasem jestem naprawdę zdruzgotowany twoją ignorancją. Jeśli chcesz być wiedźmą, powinnaś znać się na tych sprawach.

– A ty, jeśli chcesz używać słów ze świata ludzi, powinieneś przeczytać nasz słownik – odgryzła się Kate. Fion, co do niego niepodobne, puścił tę złośliwość mimo uszu.

– Już kiedyś nawiązałaś taki kontakt – przypomniał.

A przynajmniej usiłował przypomnieć, bo Kate nic takiego nie pamiętała.

Zmarszczyła czoło.

– No, kiedy rozmawiałaś z jednorożcami – dodał Fion, jakby była to najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

– Och... Nie wiedziałam, że to się tak nazywa.

– To teraz już wiesz – rzucił Fion, po czym wyjął z sakwy mały sierp. – Przy jego pomocy ostrożnie i delikatnie zetniesz gałąź. Jakieś pytania?

Kate wzięła sierp i obróciła go w dłoniach. Zawahała się.

– No... nie wiem, czy będę umiała...

– Kate – przerwał jej Fion. – Czy myślisz, że gdybym teraz kopnął cię z całej siły w tyłek, to już byś wszystko wiedziała?

Rezygnując z próby dosadniejszego odpyskowania i w obawie, że Fion mógłby spełnić swą groźbę, Kate ruszyła między drzewa. Wypatrując takich, które najbardziej by się jej spodobały, potykała się o kamienie. Na szczęście,

nauczona doświadczeniem, wybrała do Jaaru najwygodniejsze buty, jakie miała pod ręką.

Jej wzrok padł wreszcie na jedno z najzwyczajniej wyglądających drzew, dzięki czemu miała względną pewność, że nie pożre jej ani nie otruje. Stało trochę na uboczu, rosnąc obok sporej, płaskiej skały. Wyglądało na stare. Jego konary, niezbyt obficie pokryte liśćmi, wyginały się, jakby próbowały wskazać na coś w ciemności. Położyła dłoń na korze. Gałęzie wyglądały solidnie; chyba nadawały się na różdżkę.

Kate zamknęła oczy i zaczęła sunąć dłonią wzdłuż pnia. Przypomniała sobie, jak zaczęła się jej pierwsza rozmowa z Jawisem. Po prostu coś pomyślała, a on ją usłyszał. Tylko czy z drzewem mogło być tak samo?

Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko spróbować.

– Uhm... cześć – postarała się jakoś przesłać drzewu myśl, choć nie wyczuwała w nim żadnej myślącej istoty, która mogłaby ją zrozumieć. – Czy pozwolisz mi zerwać jedną ze swoich gałązek?

Żadnej odpowiedzi. Wszystko wewnątrz Kate zdawało się protestować przeciwko tej bezsensownej sytuacji. Mimo to postanowiła spróbować jeszcze raz, używając bardziej kwiecistego języka:

– Piękne drzewo, czy zechcesz użyczyć mi swej gałęzi, bym mogła stworzyć z niej magiczne narzędzie?

Wydało jej się to wzniosłe aż do przesady. Drzewu chyba szczególnie się spodobało, bo wciąż milczało. Jedyne, co przychodziło Kate do głowy, to zapytać po raz trzeci, ale tym razem na głos. Rozejrzała się dookoła, żeby sprawdzić, czy na pewno nikt jej nie widzi, zapominając na chwilę, że

najprawdopodobniej w Jaarze gadanie do drzew traktowano na równi z pogaduszkami z ferami z sąsiednich kwiatów mieszkalnych. Oprócz Fiona, który stał daleko i zupełnie nie zwracał na nią uwagi, nadal nikogo tu nie było. Zamknęła oczy ponownie i głośno powtórzyła swoje pytanie.

– Nie. – Usłyszała w odpowiedzi i natychmiast otworzyła oczy. Głos nie dochodził z drzewa, ale zza jej pleców.

Odwróciła się. Tuż przed nią stała kobieta w tak cienkiej sukni, jakby wykonano ją z pajęczyny. Z pewnością oblepiono ją też śluzem z tych latających wszędzie świetlików, bo świeciła w ciemności na niebiesko. Twarz nieznanym była okrągła, z zaciśniętymi ustami i wyłupiastymi oczami skierowanymi w stronę nieba. Włosy miała rude i ułożone w kok po prawej stronie głowy. Kobieta była niższa od Kate i gdyby nie to, że nie miała skrzydeł, mogłaby uchodzić za nieco przerośniętego fera. Cała jej postać wydawała się Kate nieco komiczna, ale i tak jej nagłe pojawienie się było trochę straszne.

– N-nie? – wyjąkała ze zdziwieniem.

Kobieta pokręciła głową.

– Nie – powtórzyła pewnym i trochę odległym głosem, jakby tak naprawdę wcale jej tu nie było lub przybyła na krótką chwilę, tylko po to, by przekazać Kate tę informację.

– Jesteś duchem tego drzewa? – zapytała Kate. To było jedyne wytłumaczenie, na jakie wpadła.

– Jestem Alsea – odparła kobieta. – Opiekuję się tym zagajnikiem.

Nadal patrzyła przed siebie, mimo że Kate próbowała, trochę z grzeczności, uchwycić jej spojrzenie.

– Ale dlaczego drzewo miałoby nie dać mi swojej gałązki?

Od razu, gdy tylko o to zapytała, wróciły do niej wątpliwości. Może wcale nie nadawała się na wiedźmę? Zawsze, gdy coś jej magicznie nie wyszło, spodziewała się to usłyszeć, jak gdyby każda porażka była kolejnym krokiem do poznania tej strasznej prawdy. A może i nie tak strasznej, gdyby równała się pozbyciu z życia namhajdów i wiedźm-psychochopatek.

Alsea wreszcie skupiła wzrok na Kate i od razu przestała wydawać się tak odległa.

– A więc nie powiedziało ci? – zapytała ze zdumieniem.

– Nic nie mówiło – odparła powoli Kate. Jej odpowiedź wydawała się równie kłopotliwa, co zadane pytanie.

Alsea uśmiechnęła się kwaśno. Mogła być w tym drwina, ale możliwe też, że próbowała posłać jej szczery uśmiech, tylko nie do końca jej wyszedł.

– Jestem pewna, że ci powiedziało, ale trzeba nauczyć się czuć drzewa, by móc je usłyszeć – oznajmiła, po czym znów spojrzała w niebo i dodała głosem, jakby wygłaszała przepowiednię: – Musisz jednak wiedzieć, że żadne z tych drzew nie nada się na różdżkę dla ciebie.

Czyżby chciała jej coś tym zasugerować? Może była to subtelna aluzja, by Kate sobie poszła?

– Dobrze – odparła Kate, unosząc się honorem. – W takim razie pójdę gdzie indziej.

– Żadne drzewo – powtórzyła Alsea z naciskiem i z powrotem, po krótkiej chwili kręcenia gałkami ocznymi we wszystkie strony, skupiła swoje spojrzenie na Kate. Ono też wywoływało nacisk, niemal fizyczny. Alsea okręciła się niczym balerina i schowała za jednym z grubych pni. Gdy Kate tam spojrzała, już jej nie było.

Pozostała sama ze swoimi wątpliwościami. O co mogło chodzić? Może Alsea po prostu nie chciała dać jej tej gałązki? A może wiedziała o niej coś więcej? I dlaczego magiczne istoty muszą zawsze porozumiewać się przy pomocy zagadek? To nienormalne, zupełnie nienormalne.

Natychmiast pobiegła z tą wiadomością do Fiona. Jej słowa nie zrobiły na nim wrażenia. Siedział na kamieniu i bawił się swoim świecznikiem.

– Co za bzdury! – prychnął. – Alsea to wstrętna oszustka. Chętnie bym się z nią rozmówił.

– Ale kim ona właściwie jest?

– Egregorem tego miejsca. – Wiedząc aż za dobrze, że Kate nie będzie mieć pojęcia, kim jest egregor, Fion szybko zaczął tłumaczyć: – To byt wytworzony przez magię, uczucia i myśli wielu osób. Łączy ich charaktery i poglądy, a potem oddziela się, napełniony ich mocą, i staje się niezależny. To zbyt skomplikowane do wytłumaczenia w kilku zdaniach. W każdym razie Alsea nie powinna była tak cię nastraszyć. Widać, że płynie w niej złośliwość ferów.

– Skoro powiedziała, że żadna różdżka...

– Nonsens! Czarować można nawet patyczkiem do uszu.

Fion wstał i zaczął się rozglądać po ziemi. Wreszcie zabrał z niej jakiś patyk, złamał go na dwie części i jedną z nich wręczył Kate.

– Różdżkę już masz – powiedział, a ona, widząc jego znużoną minę, nie protestowała. Była jednak daleka od dzielenia jego zdania co do różdżek. Słowa Alsei poważnie ją zmartwiły. I głowiłaby się nad nimi jeszcze bardziej, gdyby nie to, że musiała jeszcze znaleźć w myślach miejsce dla obaw związanych z panią Blackout.

Tej nocy, już leżąc w łóżku, wciąż na nowo odtwarzała wszystko, co się wydarzyło, szukając ukrytego sensu nawet w najbardziej błahych słowach i gestach. Zdawało jej się, że owalne ściany Księżycowego Domu zaciskają się wokół niej, coraz bardziej przygważdżając ją do obsesji, które kręciły się gdzieś po zakurzonych kątach.

Nie jestem dobrą wiedźmą, nie jestem dobrą wiedźmą – te myśli krążyły wciąż w jej umyśle, jakby wypowiedziane nie przez nią, ale przez kogoś innego, inną, złośliwą Kate, Kate-bliźniaczkę, która zagnieździła się w jej głowie.

Jeśli jednak nie jestem dobrą wiedźmą to dlaczego Eos miałyby powierzyć mi kamień Danu?

Może właśnie dlatego? – odezwały się znów wątpliwości. *Może Eos uznała, że tak beznadziejnej czarownicy nikt nigdy nie będzie podejrzewał o posiadanie czegoś tak potężnego? Ale przecież Eos nie sugerowała niczego w tym stylu...*

A może nie chciała mnie zranić?

Nie – powiedziała sobie rozsądna część Kate. *To nieprawda. Eos musiała mieć inne powody.*

Ale mogła się mylić. Nawet istoty takie jak ona mogą się mylić!

Poza tym Eos wciąż się do niej nie odzywała, a kamień stał się brzemieniem, które Kate musiała nosić samotnie.



Rozdział 12

Umarłe miejsce

Pośród dziwnie nagich jak na tę porę roku drzew rozległ się tętent kopyt. Postać w długiej pelerynie pędziła przed siebie na koniu, nadając temu miejscu niepasującej do niego żywotności. Spierzchnięta ziemia nie pamiętała już dotyku stóp i na każde uderzenie kopyt zdawała się odpowiadać bólem. Pędzący nie miał jednak dla niej litości. Wciąż nie był przekonany do misji, którą mu powierzono, ale teraz, gdy już ją wykonywał, wcale o tym nie myślał. Był dumny, że to właśnie jemu udało się wzbudzić moc, przed którą niegdyś drżały potęgi Jaaru, i że być może będzie mógł jeszcze bardziej się jej przysłużyć.

Jeździec nie wiedział jak, ale mistrzowi zakonu, do którego należał, udało się przenieść go od razu poza tereny Tir-na-Nog, dzięki czemu mógł rozpocząć swą podróż bliżej granicy,

o której wspominała stara księga. Tym samym nie groziły mu podejrzliwe spojrzenia Tirnanów.

Im bliżej był celu swej wędrówki, tym bardziej martwa wydawała mu się ta kraina. W Elphame i Tir-na-Nog panowało teraz lato, podobnie zresztą jak przez cały rok. Magiczne istoty już dawno temu zawarły pakt z siłami natury. To one wybierały, jakiej pory roku i pogody najbardziej im potrzeba. W Elphame lato przypominało późną wiosnę, a w Tir-na-Nog mieszało się z atmosferą jesieni, ale liście na drzewach nigdy nie usychały. Jednak po przekroczeniu żyznych ziem przylegających do krainy ferów Jeździec dostrzegł pierwsze oznaki jesieni. Drzewa nie zdążyły się jeszcze dość zażółcić w jego oczach, gdy w pewnym momencie nagle stawały się nagie. Ich spróchniałe gałęzie chyliły się ku ziemi i kładły obok zupełnie wysuszonej trawy, którą z kolei najpierw zaczął pokrywać szron, a potem coraz grubsze warstwy śniegu. Ani na niebie, ani na ziemi nie było żadnego życia, zupełnie jakby nawet nierozumne istoty znały historię tych przeklętych terenów i opuściły je, by nigdy już nie wrócić.

Potężne niegdyś morze Gartha nie znikło zupełnie. Zamieniło się w potężne pokrywy lodu, który zaczął wreszcie prześwitywać spod zaśnieżonej powierzchni. Jeździec długo badał białe pustkowie, wyęzając wzrok, by zobaczyć coś więcej niż tylko potężne wzniesienia przypominające zamrożone chmury. W końcu dostrzegł wyrwę w lodzie, długą niczym rzeka. Z pewnością musiała gdzieś prowadzić, tym bardziej że obok stała łódź i coś jeszcze, jakiś przedmiot wyglądający jak chorągiew. Czarny materiał powiewał na wbitym w ziemię drągu.

Jeździec zszedł z konia i ruszył przed siebie, spowalniany targaną wiatrem peleryną. Będąc już dość blisko łodzi, dostrzegł, że to, co przed chwilą wziął za starą chorągiew, w rzeczywistości było pierwszą żywą istotą, jaką tu spotkał. Lecz mimo to postać nie wyglądała, jakby miała coś wspólnego z życiem.

To był starzec, choć nie przypominał zwykłego starego człowieka. Był chyba najstarszą istotą, jaką jeździec kiedykolwiek widział. Ledwo trzymał się na nogach, wyglądając, jakby zaraz miał unieść się na wietrze. Każdy jego najmniejszy ruch sprawiał wrażenie, jakby starzec musiał włożyć wiele wysiłku, by pobudzić zeszywniałe kości. Musiała trzymać go tu jakaś niezwykła moc, która być może dała mu coś na wzór wiecznego życia, ale nie ofiarowała młodości.

Jeździec nie pamiętał, kiedy ostatnio szedł tak powoli. Wszystkie obawy towarzyszące mu do tej pory wydawały się niczym na samą myśl, że będzie musiał stanąć przed tajemniczym mężczyzną. Zrobił to jednak, a wtedy starzec zaczął przewracać małymi, czarnymi oczami. Gdy natrafił nimi na jeźdźca, jego usta wygięły się w bezzębny uśmiech.

– Kim jesteś? – Jeździec przemówił jako pierwszy, nadając swojemu tonowi odwagi, której brakowało mu w głębi siebie.

– Moje imię jest tajemnicą zapomnienia – odparł niewzruszony starzec. Jego głos nie łamał się i nie było nawet wiadomo, czy naprawdę dochodzi z jego ust. – Strzegę grobowców przeklętych.

Jeździec obnażył przed starcem athame. Było długie i ostre, z rękojeścią wysadzaną złotem. Jednak broń nie

zrobiła na starcu wrażenia.

– Jesteś wrogiem czy przyjacielem? – zapytał znów jeździec.

– Wrogiem dla wrogów, a przyjacielem dla przyjaciół. Od dawna nie mam jednych ani drugich. Obcuję samotnie z duszami przeklętych.

– Przychodzę w imieniu Wielkiego Pana – oznajmił jeździec, wiedząc, że ryzykuje, jeśli to druga strona ustawiła strażnika.

Starzec poruszył się znów lekko.

– Nie ma już Wielkiego Pana – odparł.

– On powrócił. – Jeździec dumnie wysunął pierś, jakby chcąc dać do zrozumienia, że to, o czym mówi, jest jego zasługą.

Starzec zmrużył oczy.

– Powrócił? – wyszeptał.

– Tak! Ja zaś przyszedłem tu po tych, którzy wiernie mu służyli, by na nowo mogli połączyć się ze swym władcą.

– Stare potęgi śpią. Obudzić może je tylko...

– Część wroga, wiem. – Jeździec przerwał starcowi, natychmiast czując, że być może było to formą świętokradztwa. Nie mógł już jednak dłużej czekać. Sięgnął pod pelerynę i wyjął z niej niewielką fiolkę. W fiolce znajdował się niemal niezauważalny jasny włos.

– Ty... to... – Przez chwilę starzec nie był w stanie wykrztusić słowa. Jego wzrok zatrzymał się na fiolce. Patrzył na nią chciwie, jakby lepiej, o wiele lepiej od jeźdźca rozumiał jej potęgę.

– Podążaj za mną – odezwał się znowu. – I wiedz, że droga, która się przed nami rozciąga, jest mroczna.

Po tych słowach jednym ruchem chudej dłoni zrzucił

z siebie czarną szatę i stanął przed jeźdźcem nago. Na jego głowie kłębiły się resztki siwych, brudnych włosów, spod których prześwitywała wyblakła skóra. Jego kruche ciało było zgarbione, jakby krzywy kręgosłup próbował przygwoździć je do ziemi. Ręce, które teraz wydały się jeźdźcowi za długie, wskazały najpierw na niego, a potem na przykutą do lodu łódź.

– Czy i ja mam ściągnąć szaty? – zapytał jeździec.

– Tu oczekują wyłącznie życia, nie szczerości – odparł wymijająco starzec.

Obaj weszli do łodzi. Potem starzec wypowiedział kolejne słowa, tym razem w obcym, zapewne wymarłym języku, i łódź ruszyła sama, krusząc gruby lód niczym najdelikatniejsze szkło.

Jeździec i starzec nie odzywali się do siebie podczas tej podróży. Łódź płynęła spokojnie. Od czasu do czasu trzeszczała, gdy przepływały pod nią bryły lodu. Im bliżej byli celu, którego jeździec nie znał ani którego nie mógł jeszcze zobaczyć, tym cisza stawała się bardziej przytłaczająca. Wreszcie na horyzoncie zamajaczył jakiś kształt, samotna wyspa na lodowym oceanie. Jeździec wskazał ją ręką i zapytał:

– Czy to tam?

Starzec skinął głową i wydał z siebie krótkie westchnięcie.

– Co to jest? – wyszeptał jeździec, nie spodziewając się otrzymać odpowiedzi. Dostał ją jednak.

– To samo serce mroku, najciemniejsza ze wszystkich ciemni i najzimniejsza ze wszystkich zim. Ci, którzy tu są, zostali skazani na wieczną śmierć, taką, której życie nigdy nie miało już podać ręki. Aż zjawiłeś się ty, śmiertelny, by

rzucić wyzwanie potężnym siłom. Igrasz z losem i z czasem, ale... być może... wyjdzie ci to na dobre.

Początkowo jeździec myślał, że to górzysta wyspa, ale gdy łódź dobijała już brzegu, dostrzegł wysokie kamienne wieże. A więc musiał to być zamek, wznoszący się na wyspie, pokrytej teraz lodem. Niewiele już z niego zostało. Wieże były w większości zburzone, jednak ich pozostałości wznosiły się dumnie ku niebu. Zakłęty w ruinach duch pamiętał pewnie stare, lepsze czasy. Kamienie wysuwały się niebezpiecznie z silnych konstrukcji, grożąc im całkowitym zawaleniem. Rozkład był jednak stopniowy i jeśli nie miał trwać w nieskończoność, to przynajmniej czas odroczył go na długie lata. Ściany zamku osnuwała gęsta, mroczna mgła, wijąca się wokół niego jak żywa wstęga.

Lód zatrzeszczał po raz ostatni i łódź dobiła do miejsca, gdzie, jakby z trudem wiecznego zmęczenia, pięły się schody.

– Za mną – powiedział starzec, wstając. – Bądź gotów na to, że jeśli powierzona ci misja się nie powiedzie, twoje imię wraz z przeklętymi zostanie skazane na zapomnienie.

Jeździec milczał. Szedł za wolno wspinającym się starcem, aż weszli na płaski teren wyłożony ogromnymi kamieniami. Gdzieniedzie przecinały je zrujnowane resztki ścian. Z ciemności wyłaniały się jakieś kształty. Były ludzkie, ale puste i martwe. Jeździec zgadywał, że to figury tych, którzy za życia przysłużyli się Wielkiemu Panu. Próbował lepiej im się przyjrzeć, ale im dalej szli, tym więcej napotykali zachowanych ścian, zaś ciemność rosła w siłę. Wreszcie jeździec przestał widzieć starca i by wciąż móc za nim podążać, musiał zdać się na własny słuch.

Gdy wyszli na światło, stało się to tak nagle

i niespodziewanie, że jeździec miał wrażenie, jakby znalazł się w zupełnie innym świecie. Ale to był po prostu dziedziniec, na który padała księżycowa łuna. Sam księżyc wydawał się jednak mroźny i odległy, jakby wcale nie chciał oświetlać tego miejsca i dawno na nie zubożył.

Dziedziniec miał formę kręgu. Dawniej ze wszystkich stron musiały otaczać go mury, z których pozostały tylko ruiny. Na wschodzie, południu, zachodzie i północy stały jakieś figury. Na środku dziedzińca widać było pozostałości po czymś, co niegdyś stanowiło zapewne labirynt.

– Oto miejsce, do którego pragnąłeś dotrzeć – oznajmił starzec.

Jeździec spojrzął na figurę stojącą najbliżej. Przedstawiała człowieka na koniu, w jednej ręce trzymającego lancę, w drugiej tarczę z symbolem Wielkiego Pana. Na sobie miał kolczugę, a głowę chronił hełm. Uprząż konia zdobiły dwa szpikulce w kształcie ostrych kłów.

– A więc to oni – powiedział jeździec. – Czterej słudzy...

Choć od początku był skłonny wierzyć w tę opowieść, dopiero teraz dotarła do niego jej prawdziwość. Ruszył wzdłuż kręgu, by przyjrzeć się pozostałym figurom.

Kolejna, stojąca na południu, była kobieca. Miała na sobie zbyt szeroką suknię, której fałdy i tak nie były w stanie zakryć jej obwisłych piersi. Była chuda i prawie całkiem łysa – z jej głowy opadało tylko kilka kosmyków włosów. U jej stóp kładł się kościsty pies. Jego żebra wyglądały, jakby lada moment mogły przebić skórę. Poprzednia postać wzbudzała w jeźdźcu podziw – tej zaczął się bać.

Na zachodzie też stała kobieta. Miała potargane włosy, a do głowy przykładła dłonie z rozczapierzonymi i dziwnie

zdeformowanymi palcami. Klęczała przed sporym kotłem. Obok niej siedziały dwa nienaturalnie duże szczury. Jeździec wzdrygnął się i szybko ruszył dalej.

Na północy stała ostatnia z figur. Przedstawiała mężczyznę. Był łysy, pomarszczony i ubrany w prostą szatę. Obok niego nie było żadnych zwierząt, stał zupełnie sam. Jego oczy i usta były całkiem pozbawione wyrazu, wydawały się jeszcze bardziej martwe niż u innych posągów. Zupełnie jakby duszy brakowało nie tylko samej figurze, ale także temu, kto posłużył za jej pierwowzór.

Starzec czekał cierpliwie, aż jeździec obejrzy wszystkie posągi. Gdy to się stało, przemówił znowu:

– Musisz złożyć swój dar w samym sercu labiryntu. Nie wolno ci jednak skracać sobie drogi. Kto chce przywrócić stare prawa, zawsze musi pozostawać im wierny.

– Pamiętasz drogę? – zapytał z obawą jeździec. Z ruin, które pozostały po labiryncie, trudno byłoby ją odczytać.

– Jak odległy sen... Mapa jest wewnątrz mnie. Chodź.

Starzec, nie wyjaśniając, co miał na myśli, ruszył przed siebie. Jeździec podążał za nim. Niewielkie kamienie ustawione po obu stronach ścieżki wyznaczały drogę. Jeździec uważał, by nie wykroczyć stopą za wzór, który tworzyły. Wyobrażał sobie, że labirynt okalają ściany. Przeniósł się myślami do dawnych czasów. Kamienne ściany wznosiły się wysoko, prawie ku szaremu niebu. Niemal słyszał echa minionych dni świetności Wielkiego Pana, echa, które wracały, by na nowo się tu zagnieździć.

Wraz ze światłem księżyca na ścieżkę padała cisza. Jeździec zanurzał się w niej coraz głębiej. Mimo że starzec wciąż szedł przed nim i słychać było, jak jego bose stopy

szurają po kamieniach, jeźdźcowi zdawało się, że jest sam. Gdy dotarli do serca labiryntu, spojrzął z czcią na stojące tam niewielkie wzniesienie, stary ołtarz.

– Co mam teraz zrobić? – zapytał szeptem. Nie był pewien, czy wolno mu się odzywać w takim miejscu.

– Złóż ofiarę – odparł starzec.

Mimo że jeździec rozumiał, o jaką ofiarę chodzi, nie wiedział, jak ją złożyć. Czy wymagało to specjalnych ruchów?

Nie pytał już o nic więcej i zdając się na własne wyczucie, uklękął i sięgnął po fiolkę. Starzec śledził wzrokiem jego ruchy. Gdy dostrzegł fiolkę, jego oczy rozbłyły żądzą. Ręka mężczyzny zawisała nad ołtarzem, nim jednak fiolka dotknęła zimnego kamienia, starzec rzucił się nagle na jeźdźca, powalając go na ziemię, jakby nagle wstąpiła w niego nowa moc. Nie był już wątpy ani słaby. Zaciekle siłował się z zaskoczonym jeźdźcem. Starzec skupiony był tylko na jednym celu: fiolce. Szarpał, uderzał na oślep i drapał swoimi długimi paznokciami.

Jeździec próbował wyciągnąć athame, jednak gdy tylko po nie sięgnął, starzec wytracił mu je z ręki kolaniem. Wreszcie chwycił jakiś kamień. Nie był może dość ciężki, ale za to wydawał się ostry. Zdzielił nim starca po głowie, a ten osunął się na ziemię ze zdziwioną miną.

Jeździec, wciąż w szoku, podniósł się i otrzepał. Najpierw spojrzął na fiolkę. Na szczęście była cała. Potem wzrok jeźdźca powędrował w stronę starca. Prawdopodobnie żył, jedynie stracił przytomność. Jeździec ukląkł z kamieniem w rękę i zaczął uderzać nim o głowę starca, dopóki nie zmiażdżył mu czaszki. Potem odwrócił się znów w stronę

ołtarza, otworzył fioletową i wyjął z niej włos. Położył go na kamiennej płycie i zaczął wpatrywać się w niego z oczekiwaniem. Nagle usłyszał za sobą cichy głos, który wyszeptał tylko jedno słowo:

– Wolny.

Głos z całą pewnością należał do starca. Jeździec, sądząc, że nie dobił go do końca, sięgnął po athame. Ciało starca zaczęło jednak dziwnie blaknąć, jakby się rozpadać. Skóra całkiem sflaczała, szerniała i – wraz z kośćmi – zamieniła się w proch, jakby dotąd spajała ją jedynie tajemnicza moc nieśmiertelności.

Jeździec wstał i znów spojrzał na ołtarz. Wszystko wyglądało tak, jak przedtem. Jedyne, co się zmieniło, to powietrze. Do tej pory wydawało się martwe, jakby zastygłe. Teraz jednak odezwał się ożywczy wiatr. Najpierw rozwiął proch pozostały po ciele starca, a potem stopniowo zaczął przybierać na sile. W końcu uderzył wprost ze wschodu i zaczął krążyć po dziedzińcu. Zdawało się, że dotyka ustawionych w kręgu figur, każdej po kolei. Nagle z miejsca, w którym stał rycerz, rozległ się głos:

– *Jestem Arloch, sprawca wojny* – przemówił cicho, ale wyraźnie, głosem rozchodzącym się po całym dziedzińcu. – *Nęcę młode serca i ciągnę je za sobą. Niszczę kwiat w chwili wzrastania, odbieram życie, gdy sięga szczytu. Wirywam dachy i zabieram dzieci od ich matek. Jestem tym, który pluje ogniem z niebios.*

Jeździec rozejrzał się, ale nikogo nie dostrzegł. Figura rycerza nawet się nie poruszyła. Po chwili powietrze przeszył czyjś krzyk, najbardziej przeraźliwy, jaki jeździec kiedykolwiek słyszał, zdający się wyłaniać z niemającej dna

otchłani.

– *Kitlik... głód... głód... – zaczął powtarzać kolejny głos, wyrzucając z siebie słowa niczym jad. – Daj mi jeść. Pochłonę wszystko, całe morze, kontynenty, światy. Jest we mnie pustka, której nie zdołam zaspokoić! Nie jestem matką, jestem brzuchem napętnionym niczym. Więcej, daj mi więcej! Aaach! Kitlik! Kitlik!*

Kolejna fala wiatru nadciągnęła z zachodu. Uderzyła w stojący tam posąg tak mocno, że ten aż zatrzeszczał.

– *Chodź – rozległ się znów jakiś głos. Gdyby nie był tak przerażający, jego ton mógłby nawet nęcić. – Chodź do mnie, do Sakit. Podaj mi rękę, dotknij tylko, a dam ci truciznę na twoje oczy, uszy, usta i serce. Nie dam ci lekarstwa, o nie! Jestem skrytobójcą. Chcę dziesiątkować, złóż mi ofiarę, daj mi ją!*

Jeździec zaczął się cofać, gdy z północy dobiegły kolejne słowa. Głos, który je wypowiedział, był spokojny, a mimo to mroził najbardziej ze wszystkich:

– *Jestem Urbat. Nic. Nie żyję. Nie ma mnie, a nikt przede mną nie ucieknie. Doślę każdego. Zimną dłońią ściągnę ciepło z ich ciał jak nakrycie i opatulę się nim jak żywą skórą.*

Wiatr nie ustał. Teraz wypełniły go szepty, w których wciąż niosły się cztery imiona. Wsiąkały w czaszkę jeźdźca przez uszy i odbijały się w niej szaleńczym echem.

– *Arloch... Kitlik... Sakit... Urbat... wojna... głód... zaraza... śmierć... Arloch... Kitlik... Sakit... Urbat...*

Jeździec nie czekał już dłużej. Potęgi, które obudził, przepelniały go przerażeniem. Zaczął biec przez ruiny zamku, potykając się o wszechobecne kamienie i gruzy. Zrobił to. Wykonał swoje zadanie. Teraz musiał stąd uciec.

Wreszcie przestał słyszeć szepty, znów przemierzał ciszę, w której przerażały go odgłosy jego własnych kroków. Zbiegł ze schodów i wskoczył do łodzi, gotów wiosłować choćby rękami, byle tylko płynęła szybciej.

Lód się roztapiał. Nastaly nowe czasy.



Rozdział 13

Przeszłość

Ostatni sen nie dawał Jonathanowi spokoju. Nadal nie wiedział, czy pojawiająca się w nim twarz ojca była wynikiem majaków, czy też mogła stanowić jakąś istotną wskazówkę. Wiedział tylko, że żadne racjonalne wyjaśnienia nie będą w stanie go uspokoić. Snuł się po pokoju hotelowym i wciąż na nowo przeglądał materiały o ojcu, szukając w nich czegoś, co mogłoby wiązać się z jego senną wizją. Znał je już na pamięć.

Nie powiedział o niczym matce. Nie miał nawet do tego okazji, bo niewiele rozmawiali. Ona większość czasu spędzała poza hotelem i z trudem udało jej się go namówić na wyjście na spacer. Gdy przechadzali się ponurymi, zalanymi deszczem ulicami, Jonathan dostrzegł wielki, biały budynek, który wyrastał jakby znikąd ponad małymi

straganami i domkami letniskowymi.

„GŁÓD MERLINA. Naprawdę magiczna biblioteka” – głosił szyld umieszczony na gzymsie. Napisy upchnięto między wizerunki twarzy, wyglądających na wyjęte z greckiego teatru.

Przyglądał się budynkowi przez chwilę i wtedy coś go uderzyło, coś, co powinno uderzyć go zresztą dużo wcześniej. *Biblioteka*. Biblioteka w Hagsborough. To było przecież jedyne miejsce, w którym mógłby znaleźć pewnie wszystko, co dotyczyło miasteczka, a potrzebował więcej, dużo więcej materiałów o ojcu.

Ale wieczorem biblioteka była już zamknięta, a następnego ranka Jonathan nie był już pewien, czy nadal chce ją odwiedzić. Za każdym razem, gdy wstawał z zamiarem włożenia płaszcza przeciwdeszczowego i wyjścia, niewidzialna siła zatrzymywała go w miejscu. Czuł ucisk w żołądku, który kazał mu na nowo siadać. To było tak, jakby zarazem chciał i bał się poznać prawdę, jaka mogła na niego czekać na którymś z regałów Głodu Merlina.

Wreszcie podjął decyzję. We wtorek po raz pierwszy słońce wyszło na moment zza chmur, jakby próbowało go w niej utwierdzić i utorować drogę. Wyszedł z hotelu i ruszył prosto do biblioteki. Nie poinformował o tym matki. Zresztą i tak już jej nie było.

Droga wciąż była mokra po ostatnich ulewach. Od czasu do czasu Jonathan napotykał na niej płytkie kałuże. Przeskakiwał je, jakby znów był dzieckiem. Dzieckiem, które wyruszyło, by lepiej poznać historię swojej rodziny, a tym samym również własną. Przed drzwiami Głodu Merlina stanął już jednak z twarzą doroślejszą niż kiedykolwiek

wcześniej. Zatrzymał się na moment i przyjrzał twarzom na gzymsie. Teraz widział, że ich wyrażające szaleństwo miny i długie języki to tylko maski. Coś się za nimi skrywało.

Wszedł do środka i stanął przed kolejnymi, tym razem oszklonymi drzwiami. Wisiała nad nimi figura przedstawiająca jakiegoś gada, który wyglądał jak połączenie żółwia z jaszczurką. Spod jego skorupy wystawał długi ogon, sześć łap i dwie głowy.

Mimo że biblioteka stała obok pubu i domków letniskowych, będąc tutaj, Jonathan czuł, że po głowie tłucze mu się tylko: „Miejsce na uboczu”. Bo w Głódzie Merlina było coś, co sprawiało, że wyróżniał się na tle otaczających go budynków.

Coś musiało być na rzeczy, nie tylko ze względu na tę żółwiową jaszczurkę; po przekroczeniu kolejnych drzwi Jonathanowi wydawało się, że cała biblioteka jest absolutnie dziwaczna. W białych ścianach nie było żadnych okien – jedyna ogromna szyba była wstawiona w sufit. Miała formę źrenicy, wokół której czarną farbą wyrysowano oko. Regały były w kształcie łuku, rozmieszczone dookoła biurka. By się do niego dostać, Jonathan musiał przejść coś w rodzaju labiryntu.

Za biurkiem stał wysoki chłopak w białej koszuli. Układał książki w pokaźny stosik i narzekał na coś pod nosem. Jonathan stanął przed nim, ale wciąż patrzył na oko w suficie. Smugi, jakie pozostawił na nim deszcz, sprawiały, że wyglądało na zażawione.

– Cześć. – Chłopak wytrącił go z zamyślenia. Z niesmakiem patrzył na jego zabłocone buty, wokół których utworzyła się niewielka kałuża. – Mogę ci w czymś pomóc?

– Och... tak... Szukam czegoś o... o Hagsborough...
Właściwie to... o wypadku...

– Wypadku samochodowym z dziewięćdziesiątego szóstego? – odpowiedział chłopak, jakby była to jedyna rzecz, o którą ludzie tu pytali i jakby od tamtego czasu już nic się tu nie wydarzyło.

Jonathan pokiwał głową.

– A więc interesuje cię sprawa Charmlinga.

Jonathana ubodło takie suche wyrażanie się o jego ojcu. Chłopak nie mógł jednak tego zauważyć, bo wziął z biurka ścierkę – której, Jonathan mógłby przysiąc, wcześniej tam nie było – i zaczął wycierać podłogę.

– Jestem Joe – przedstawił się, przyciskając butem ścierkę do podłogi. – Znam tę bibliotekę jak własną kieszeń. Powiedz mi tylko, co cię interesuje. Jak doszło do wypadku, różne teorie na jego temat, informacje z przewodników...?

– No... właściwie to wszystko – odparł Jonathan.

Joe uśmiechnął się.

– Więc zaczniemy od początku – powiedział, wracając do biurka. Otworzył laptopa i zaczął stukać w klawisze. – Muszę założyć ci kartę. Podaj mi swoje dane.

– Jonathan... Jonathan Charmling.

W tym momencie Joe zatrzymał palce nad klawiaturą i uniósł na niego wzrok. Jonathan właśnie tego się obawiał.

– A więc ty...? – zaczął Joe.

– Tak – odparł Jonathan. – On... On był moim wujkiem.
Dalszym.

Uznał, że przyznanie się do prawdy byłoby zbyt dramatyczne i osobiste.

– Dlatego właśnie chcę dowiedzieć się więcej o tej sprawie –

dodał, udając nieporuszonego rozmową.

Joe poprosił go o resztę danych. Wydawał się zakłopotany. Gdy skończył zapisywać to, co podyktował mu Jonathan, przygryzł wargę, jakby siłował się z jakąś natrętną myślą. Wreszcie zapytał:

– Właściwie to w której części biblioteki chcesz szukać?

Utkwił w Jonathanie uważne spojrzenie. On tylko wzruszył ramionami.

– Nie wiem – mruknął. – Nie znam biblioteki.

Joe westchnął i odszedł od biurka. Zrobił jednak tylko trzy kroki i błyskawicznie się odwrócił.

– Bo widzisz – zaczął znowu niezgrabnie. – Mógłbyś usiąść tutaj i poczytać coś z... ale nie sądzę, że... – Urwał i nachylił się nieco, po czym wyszeptał: – No, chyba że swędzi cię broda Merlina...?

– Co? – Jonathan wytrzeszczył oczy. Zdawało mu się, że czegoś nie dosłyszał.

– No wiesz... broda Merlina – powtórzył Joe, rozglądając się dookoła, a potem podrapał się po swojej brodzie. Nieistniejącej. Jonathan był już prawie całkiem pewien, że to jakieś określenie z tutejszego slangu.

– Nie rozumiem – powiedział powoli.

Zdawało się, że Joe gmatwa się coraz bardziej, ale zapędził się w pułapkę, z której nie miał już chyba wyjścia.

– Chodzi mi tylko o to, że skoro on... on był... to ty też...?

– Był kim?

W odpowiedzi Joe poruszył tylko lekko ustami. Jonathan odczytał to nieme słowo jako „czarownik”.

– No, ale skoro nie swędzi cię broda Merlina, to... – zaczął znów Joe.

– Zaczekaj – przerwał mu zirytowany Jonathan. Z trudem powstrzymywał się przed pociągnięciem chłopaka za kołnierz jego starannie wyprasowanej koszuli. – Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że mój ojciec był...?

Urwał, ale było już za późno. Joe rozchylił szerzej usta i wlepił w niego zszokowane spojrzenie.

– Ojciec? – wyjąkał.

– Tak, ojciec – powtórzył Jonathan i mimo że było mu zimno, poczuł, że jego policzki płoną.

– Skoro tak, to zmienia postać rzeczy. W takim razie musisz wiedzieć, że twój ojciec był czarownikiem.

– On nie był... – zaprotestował Jonathan, szybko uznał jednak, że to bez sensu. – Skąd możesz to wiedzieć? – zapytał nieco spokojniej.

– Wszyscy to wiedzą – odpowiedział Joe z przekonaniem. – Wszyscy w środowisku. Sprawa jego morderstwa była bardzo głośna.

Pod Jonathanem ugięły się nogi. Nie miał na czym usiąść, więc chwycił się rękami biurka.

– Morderstwa? – wyjąkał łamiącym się głosem. Joe złapał go za ramiona i poprowadził między regały, gdzie usadowił go na wygodnym fotelu. Potem oddalił się i po chwili wrócił ze szklanką i butelką wody. Jonathan od razu zaczął pić.

– Wielkie nieba – wyszeptał Joe, kucając przed nim. – Gdybym wiedział, że nie miałeś o tym pojęcia, rozmawiałbym z tobą inaczej. Nie chciałem być pierwszym, który ci to powie. Przykro mi.

Jonathan słyszał dźwięki dobywające się z ust Joego, ale nie rozumiał słów. Jego ojciec zamordowany? Przez kogo? Dlaczego? To musiał być sen, kolejny okropny koszmar.

– Dlaczego twierdzisz, że ktoś go zabił? – zapytał niemal oskarżycielskim tonem, jakby to Joe był winny temu, że przeszłość, którą dopiero zaczynał sklejać, znowu rozpadła się w drobny mak.

Joe wydał się zaniepokojony tym pytaniem.

– Twierdzę? Przecież to nie mój wymysł. Słyszałem o tym, podobnie jak wszyscy.

Jonathan nie miał sił, by dłużej zaprzeczać.

– Jest ci już choć trochę lepiej? – zapytał Joe. – Chcesz jeszcze wody?

– Nie. – To była odpowiedź na oba pytania. Woda nie mogła sprawić, że Jonathanowi będzie lepiej. Przecież już nigdy nie mogło być lepiej. Patrzył na Joego niewidzącym wzrokiem, a on ciężko westchnął. Wyglądał, jakby właśnie podjął jakąś trudną decyzję.

– Jeżeli o niczym nie wiesz, mogę pokazać ci więcej materiałów – zaproponował. – Nie tych fałszywych, spreparowanych przez Społeczność... Bo wiesz, są wiedźmy i czarownicy tuszujący podobne sprawy dla nieprzynależących... Ale w drugiej części biblioteki mamy informacje pochodzące ze śledztwa wiedźm. Mogę cię tam zaprowadzić, o ile oczywiście jesteś na to gotowy.

Jonathan podniósł się z krzesła. Czuł, jakby nogi, na których stał, nie należały do niego. Joe wyciągał rękę, aby w razie czego móc go podtrzymać. Wyglądał na naprawdę przygnębionego.

– Chodźmy – zdecydował Jonathan. Zapomniał już o wszystkim, co na temat czarownic mówiła mu matka. Nie pamiętał, że nie powinien im ufać. Czy to była pułapka? Nawet jeśli, musiał pójść za Joem, nie mógł dłużej

odmawiać sobie dostępu do prawdy.

– Molly! – zawołał Joe.

Zza jednego z regałów wychyliła się kobieta w czerwonej spódnicy, z włosami wyglądającymi, jakby od wielu tygodni nie widziały grzebienia. Ciągnęła za sobą wózek wypełniony książkami. Posłała Joemu pytające spojrzenie.

– Zmień mnie przy biurku – poprosił Joe. W odpowiedzi kobieta wzruszyła tylko beznamiętnie ramionami.

Tymczasem Joe poprowadził Jonathana do najbardziej zacienionego i największego z regałów. Zdjął z niego największą, złoconą księgę i otworzył ją mniej więcej pośrodku.

Zamiast stron w księdze znajdowało się coś w rodzaju okienka, przez które prześwietlało zupełnie inne pomieszczenie. Nie zwlekając, Joe wepchnął twarz Jonathana w portal. Po chwili obaj byli już w drugiej części biblioteki.

Części tak niezwyklej, że Jonathan na moment zapomniał, po co tu przyszedł.

Zamiast białych ścian widział kamienne mury, a całe miejsce wypełnione było migotliwymi światełkami ustawionymi na drewnianych stolikach. Wszędzie ciągnęły się długie półki z książkami, a przy każdej z nich widniały opisy, z których wszystkie wiązały się jakoś z magią.

– Jesteśmy w drugiej części Merlina – oznajmił Joe. – W tej przeznaczonej tylko dla czarownic. Dlatego pytałem o hasło. Rozumiesz, broda Merlina to taki szyfr, którym się porozumiewamy... Lepiej, żebyś nikomu nie mówił, że cię tu przyprowadziłem, chociaż go nie znałeś.

Dopiero po chwili Jonathan zorientował się, że to prośba.

- Jasne - odpowiedział, wywołując tym ulgę na twarzy Joego, który od razu wskazał mu jeden ze stolików.

- Zaczekaj tu na mnie, zaraz przeszukam archiwa i przyniosę coś, co mogłoby cię zainteresować.

Gdy tylko zniknął, Jonathan znów zaczął rozglądać się po bibliotece. Starał się ukryć zdumienie, ale trudno było mu uwierzyć, że to działo się naprawdę. Stroje niektórych odwiedzających utwierdzały go jednak w przekonaniu, że Merlin nie mógł być niczym innym, jak tylko biblioteką dla użytkowników magii. Jakaś niska, tęga kobieta w błękitnej szacie miała na głowie spiczasty kapelusz tak wielki, że dodawał jej dobre drugie tyle wzrostu. Obok jej nóg kręciła się wielka, włochata kulka, barwą niewiele różniąca się od szaty czarownicy. Dopiero gdy zamruczała, Jonathan zorientował się, że to kot.

Między regałami przechadzał się też bardzo wysoki i chudy mężczyzna w czarnym golfie. Jego ręce były obwieszane mnóstwem pobrzękujących bransoletek, a na szyi miał zawieszony ogromny pentagram. Rozglądał się na wszystkie strony, jakby ktoś go szpiegował. Widząc ciekawski wzrok Jonathana, odskoczył jak poparzony i zniknął za innym regałem.

Po kilku chwilach Joe wrócił ze stertą gazet.

- Zebrałem wszystko, co ukazało się w naszej prasie na temat twojego ojca od czasu wypadku aż do teraz - powiedział, kładąc gazety na stoliku. Już pobieżny rzut oka na tytuły upewnił Jonathana co do ich niezwykłości. „Świat czarownicy”, „Wiedźmik”, „Witchcraft Times”... Czegoś takiego na pewno nie dostałby w zwykłym kiosku. - Jak widzisz, bardzo interesowaliśmy się sprawą. Nie znajdziesz

tu jednak wielu odpowiedzi, bo do teraz jej nie wyjaśniono.

– Rozumiem, dzięki – odparł szybko Jonathan i chwycił pierwszą z gazet. Nieważne, ile miał się z nich dowiedzieć; ważne, że w ogóle mógł je przeczytać.

Gdy tylko zaczął wertować gazetę, przestał zwracać uwagę na bibliotekę, w której pojawiali się wciąż nowi ludzie: kobieta z dwójką dzieci, które besztła za to, że stłukły pamiątkową szklaną kulę, mężczyzna w fioletowym komplecie przypominającym piżamę, poważna dama w okularach ozdobionych łańcuszkiem, która wyglądała, jakby właśnie wyszła z wielkiego laboratorium, by poradzić się magii tam, gdzie być może nie wystarczała sama nauka.

Wreszcie w jednej z ciągnących się wzdłuż ściany wnęk pojawił się wysoki blondyn i dziewczyna w ciężkim, czarnym płaszczu. Najpierw chłopak pomógł jej go zdjąć, a potem oboje zaczęli rozglądać się po bibliotece.

Kate posłuchała Fiona i przez ostatnie dni zachowywała się w towarzystwie Toma i Lilian normalnie. Jeśli chodziło o Dianę, starała się nie okazywać jej większej niechęci, niż było to wskazane. Dziś Tom uparł się wyciągnąć ją znów do Merlina i – aby nie wzbudzać żadnych niepotrzebnych podejrzeń – zgodziła się. Powoli zaczynała zresztą wierzyć, że ostatnio przesadziła, wpadając w panikę, bo nie wydarzyło się nic niepokojącego. Gdyby któreś z nich chciało wykraść kamień, pewnie już by spróbowali. W ciągu ostatnich dni mieli przecież do tego mnóstwo okazji, zwłaszcza Lilian, która każdą noc spędzała w pokoju z Kate.

No, prawie każdą... Wczoraj zniknęła i wróciła dopiero nad ranem.

– To czego chciał Fiona? – zapytał Tom, badając regały

swoimi okularami.

– Żebyś poczytała coś na temat różdżek – odparła Kate. – A właściwie to o zastosowaniu energii.

Prowizoryczna różdżka, którą dał jej Fion, nie działała lepiej od poprzedniczek. Na początku Kate udało się wykrzesać z niej kilka iskier, ale potem różdżka jakby zamilkła i stała się po prostu niezgrabnym kawałkiem drewna. Podczas walki mogłaby takim czymś co najwyżej wydlubać przeciwnikowi oko, a i to przy sporej dozie szczęścia.

– No, to chodźmy najpierw do działu z magicznymi drzewami – zaproponował Tom. – Potem poszukasz czegoś o energii, choć tak naprawdę wszystkie pozycje tutaj powinny o niej mówić. Jeśli nie mówią, wtedy coś z nimi nie tak. W końcu magia polega na energii, prawda?

– Umh... no tak – potwierdziła Kate, udając, że jest tego bardziej pewna niż była w rzeczywistości. Wiedziała oczywiście, że w magii energia jest ważna, ale jej czary kojarzyły się też z amuletami, kociołkami, miotłami i nawet, czasami, z czarnymi kotami. Kilka tygodni temu w sklepie Seline nadepnęła jednemu na ogon i mogłaby przysiąc, że kiedy później omal nie zwałił się na nią regał z magicznymi mieczami, ten sam kot maczał w tym łapy. Albo żółte ślepie, którymi ją śledził.

Zdając się znów na idealne rozeznanie Toma w tym, co i gdzie można znaleźć w Merlinie, Kate dała mu się poprowadzić do części o magicznych drzewach. A gdy już sobie poszedł, westchnęła ciężko. Wielkie, opasłe tomy zalegające na półkach nie wyglądały zachęcająco. Im dłużej Kate uprawiała magię, tym bardziej łączyła ją z ciągłym

siedzeniem, myśleniem albo czytaniem. Z drugiej strony, gdy myślała o praktyce, od razu przypominała sobie skaczące jej do gardła likantusy i pozbawione potencjału różdżki. Widziała też groźne spojrzenie Fiona, który, gdy chciał, umiał świetnie marszczyć brwi, tak że zlepiały się w jedną, straszną, karcącą krechę.

– Weź się do roboty. I przestań narzekać. I nie udawaj, że się kwasisz. Wcale nie zwizualizowałaś cytryny.

Czasem zdawało jej się, że i on wyszedł z jednego z jej koszmarów, które ostatnio tak ją męczyły.

Westchnęła jeszcze raz, ostatni raz przed tym, jak postanowiła wziąć się w garść i obiema rękami ściągnąć z półki ważącą chyba z pięćdziesiąt funtów księgę o zastosowaniu drzew w magii. Jeszcze nim zaczęła ją czytać, już czuła się zmęczona.

Kilka regałów dalej Jonathan, którego nie dostrzegła, cierpliwie przewracał kolejne strony gazet. Miał wrażenie, że z każdą z nich przenosił się do innego świata, a myśl, że był to świat realny, o czym musiał wciąż sobie przypominać, za każdym razem działała na niego jak kubeł zimnej wody.

Był to też świat dość osobisty. W końcu żył w nim jego ojciec. Czy robił wszystkie te rzeczy, które tutaj opisano? Używał magicznego sztyletu, rysował kręgi, czy kiedykolwiek odwiedził tę bibliotekę? Pewnie tak. Musiał tu być. Może nawet siedział przy tym samym stoliku...

Jonathan przesunął delikatnie palcami po gładkim blacie, jakby spodziewał się wyczuć pod nimi wyryte imię „Tony”.

Gdyby nie to, że szukał tylko informacji o ojcu, chętnie poczytałby też inne artykuły, które znalazł w magazynach. „Wiedźmi codziennik” z 1997 roku informował na przykład

o ataku goblinów, które jakimś cudem wydostały się spod ziemi w Miami i pogryzły przerażonych turystów, a w „Zielniku z innego świata” pisano o miksturach, które zmieniały w kogoś innego, „by urozmaicić i wzbogacić życie intymne”.

Przesuwał palcem po kolejnym artykule, który powtarzał te same informacje: ojciec został zabity w lesie, w jego plecach utkwiło ostrze magicznego sztyletu, athame, ale poza tym nie miał żadnych obrażeń, mordercy do dziś nie odnaleziono i wszystkich to dziwiło. Ludzie magiczni dysponowali niezwykłymi środkami do rozwiązywania takich spraw, a jednak ktoś zdołał przechytrzyć całą Społeczność. Wreszcie zaczął czytać wszystko machinalnie, gdy nagle natrafił na dwa słowa, które nim wstrząsnęły.

Brat ofiary.

Przyjrzał się im uważnie, każdej literze z osobna, jakby spodziewał się, że źle je przeczytał. Ale to była prawda. Na jednym ze zdjęć dodanych do artykułu widniał ojciec z niskim, dość podobnym do niego mężczyzną.

Brat ofiary twierdzi, że Charmling nie miał żadnych wrogów. Obaj należeli do kowenu Czarnego Lotosu w hrabstwie North Yorkshire, jednak Anthony opuścił zgromadzenie przed dwoma miesiącami. Randolph ciągle do niego należy. Jak przyznaje, nie utrzymuje kontaktu z żoną brata, Evą Charmling.

Nazwa kowenu brzmiała dość złowieszczo, ale te informacje dawały Jonathanowi nadzieję na odnalezienie pozostałych członków rodziny. Tylko dlaczego nie próbowali

sami go znaleźć, dlaczego nie obeszła ich jego przyszłość?

A może... może jednak próbowali? Może chcieli nauczyć go magii, ale na drodze stanęła im matka? Wszystkie te tajemnice, które teraz wychodziły na jaw, zdawały się skupiać wokół niej i jej kłamstw. Teraz, siedząc tu spokojnie, Jonathan podskórnie czuł, jak narasta w nim wściekłość. Dobrze jednak wiedział, że czeka go kolejna awantura, i że to on sam ją wznieci.

Kowen Czarnego Lotosu... Kowen Czarnego Lotosu... Wciąż na nowo odczytywał tę nazwę, zastanawiając się, co mogła oznaczać. Wreszcie wstał. Chciał odszukać Joego i zapytać o to.

W tym samym czasie Kate, która wciąż stała przy regale i zasypiała na stojąco, próbując przebrnąć przez tabelkę z magicznymi właściwościami angielskich drzew, usłyszała szept. Szept Lilian – była tego pewna; wyraźnie rozpoznała jej chichot.

Odłożyła książkę na półkę i ruszyła w stronę kanciapy Joego, ciekawa, czy znów będzie świadkiem jakichś interesujących czarów. Uchyliła delikatnie zasłonę oddzielającą kanciapę od reszty biblioteki, ale nie zobaczyła za nią żadnej magii. No, przynajmniej nie takiej, jakiej się spodziewała.

Lilian i Joe przylgnęli do siebie, całując się namiętnie i napierając na ścianę z taką siłą, jakby próbowali wyłobić w niej dziurę.

Kate poczerwieniała z zakłopotania.

– Przepraszam – wymamrotała odruchowo, choć wątpiła, że byli w stanie ją usłyszeć. Zasłoniła z powrotem kanciapę i szybko ruszyła przed siebie. Nie uszła jednak zbyt daleko,

bo nagle jakaś siła zwała ją z nóg. Upadając, Kate uderzyła głową o regał, jednak lądowanie było zadziwiająco miękkie. Jęknęła i podniosła się na rękach ze skwaszoną z bólu miną.

Miną, której natychmiast pożałowała.

– Jonathan?! – zawołała.



Rozdział 14

Cienie i odbicia

– Kate?!

Niewątpliwie Kate i Jonathan leżeli teraz na sobie, a ściślej mówiąc, to ona leżała na nim. Wciąż podpierała się rękami i patrzyła zszokowana na jego twarz, nie mogąc uwierzyć, że naprawdę go widzi. I wcale nie przypominało to snu – raczej koszmar.

Jonathan stęknął, sugerując jej, że pora zejść. Gdy to zrobiła – dość nieudolnie, opierając się o regał i przewracając kilka książek – Jonathan wstał.

– Cześć – rzucił ze złością, jak gdyby to ona była winna temu, że wpadł jej pod nogi. Otrzepał spodnie. *Świetnie* – pomyślał. Teraz nie miał już żadnych szans, by udawać, że nie jest czarownikiem. Hallander jak nic weźmie go za głupka.

– Cześć – odparła Kate. Także starała się wyglądać na obrażoną, ale w jej głosie zabrzmiało tylko zdumienie. *Wspaniale! Nie ma to jak upaść na kogoś, do kogo miałam się już nigdy nie odzywać!* A jeśli Jonathan pomyśli, że go śledziła? Dawała mu do tego mnóstwo powodów.

Milczeli dłuższą chwilę.

– No więc... co tu robisz? – zapytała Kate niby bez większego zainteresowania. Jednak miała rację, sądząc, że Jonathan jest czarownikiem, tylko dlaczego tak bardzo to ukrywał?

Jonathan postanowił udawać, że nic się nie stało, ani dwa miesiące temu, ani teraz.

– Przyjechałem na wakacje – odparł wymijająco. Kate czekała, aż powie coś więcej. Liczyła na jakieś wyjaśnienia, kto wie, może nawet przeprosiny. Ale on milczał, całą odpowiedzialność za prowadzenie rozmowy zrzucając na jej barki.

– Aha – powiedziała powoli, zabierając się do zadania kolejnego, najlepiej jakiegoś dobrze przemyślanego pytania. Jonathan jednak nie dał jej na to szansy:

– To do zobaczenia – powiedział takim tonem, jakby ponowne spotkanie z nią było ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, po czym odwrócił się na pięcie.

Kate patrzyła, jak oddalał się w stronę regałów, a myśli pełne pytań wirowały jej w głowie. Dopiero gdy Jonathan zniknął jej z oczu, zdała sobie sprawę, jak bardzo boli ją czoło.

Co to było za uczucie? I wcale nie chodziło tu o ból głowy, ale to dziwne klucie w klatce piersiowej. Czyżby znowu zareagowała na Jonathana tak, jak nie powinna? Przecież

wyzbyła się już wszelkich uczuć do niego... Prawda? Tylko w takim razie po co chciała go zatrzymać i z nim rozmawiać? Dlaczego w ogóle miałby ją obchodzić? Na dodatek nakryła Lilian i Joego na robieniu rzeczy sprawiających, że teraz jej myśli krążyły tylko wokół jednego tematu.

– Róźdzki – mruknęła pod nosem i żeby opędzić się od uczuć i bólu, ruszyła z powrotem w stronę regału z magicznymi drzewami. Miała zamiar znaleźć jak najgrubsze i jak najnudniejsze tomiszcze. Jedyne, czego potrzebowała, to dobrze się uziemić.



Jonathan zatrzymał się dopiero dziesięć regałów dalej. Sam nie rozumiał, dlaczego tak uciekał przed Hallander, zupełnie jakby się jej bał. Chyba po prostu źle ją kojarzył, bo przecież od zawsze dziwacznie się na niego gapiła. Teraz domyślał się dlaczego, skoro w świecie czarownic było tak głośno o jego ojcu.

Rozejrzał się. Stał przed ścianą wyłożoną marmurowymi płytami. Panująca tu cisza była niepokojąca, prawie namacalna, jak gdyby utkana z tkaniny cieńszej niż pajęczyna, a jednak ciężko opadającej na podłogę i regały. Ciemność, która zalegała u końca ostatniego z regałów, nieskutecznie próbowało rozświetlić jedno malutkie światło. Wyglądało jak unosząca się w powietrzu świeca.

W tej ciemności rozbrzmiał czyjś szept:

– Nie, nie *mogłabym* tego zrobić – kobiecy głos syczał jak wąż. – Przecież ci mówiłam... Powinieneś już zostawić tę

sprawę, ja... Nie, nie, powiedziałam ci, żebyś przestał nalegać... – Światełko zamigotało. – I zostaw tę świecę. Dobrze wiesz, że takie sztuczki na mnie nie działają.

Dopóki kobieta nie wspomniała o świecy, Jonathan był pewien, że rozmawiała przez telefon. Mimo że wyraźnie prowadziła z kimś konwersację, nie słyszał drugiego głosu. Może mówiła sama do siebie? Nie, to byłoby zbyt proste.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi, którego zresztą słuchał w dość ograniczonym stopniu, Jonathan ruszył w stronę głosu. Wyciągnął z kieszeni komórkę, którą rozświetlił sobie drogę. Widząc dodatkowe światło, kobieta natychmiast zamilkła. Po chwili Jonathan zobaczył jej twarz. Wyglądała na przerażoną tym, że ktoś ją nakrył.

Miała na sobie czarną suknię, która idealnie stapiała się z ciemnością, przez co gdy wyświetlacz komórki Jonathana zgasł, zdawało się, że w powietrzu wisi jedynie jej głowa z szyją ozdobioną tuzinem srebrnych amuletów, które zabrzęczały, gdy lekko odsunęła się. W ręku trzymała szklany świecznik z jedną, bardzo cienką białą świecą.

– Ehm... – zaczęła niepewnie. – Mogę ci w czymś pomóc?

– Nie, ale... – Jonathan uznał, że najlepiej, jeśli będzie po prostu szczery. – Słyszałem głosy... To znaczy, głos, jeden głos. Pomyślałem, że mówiła pani do siebie i chciałem sprawdzić, czy... czy coś się stało.

Kobieta wydała się zakłopotana. Przez chwilę patrzyła to w prawo, to w lewo, jakby liczyła, że ktoś podpowie jej, co robić, a wreszcie uśmiechnęła się.

– Nie, nie! Wszystko w porządku. Mówiłam do tych książek. – Wymierzyła palec w stronę regału. Było tam tylko kilka książek i ledwie dało się je dostrzec. – Bo tak się tu

kurzą... Nikt nie chce ich wypożyczyć.

Skwasiła się obrażona – trudno powiedzieć, czy bardziej na książki, czy niedoszłych czytelników.

– A o czym są? Może ja je wezmę?

– Nie! – Kobieta omal nie rzuciła się na regał, by zasłonić go swoją obszerną suknią. – To znaczy... One są bardzo zakurzone i stare. Nie zrozumiałbyś ich... pobrudził sobie dłonie... – Zapadła chwila niezręcznej ciszy, którą przerwało westchnienie kobiety. – Jestem właścicielką biblioteki – oznajmiła nieco spokojniej. – Po prostu... po prostu traktuję to wszystko dość osobiście.

– Rozumiem. – Jonathan pokiwał głową. – Pracuje tu pani z Joem.

– To mój syn – odparła kobieta, po czym wyciągnęła rękę. Jonathan znów miał trudność, żeby znaleźć ją w ciemności, bo ledwie wystawała z fałdów sukni. – Nazywam się Laeticia Jenkins – przedstawiła się. Gdy Jonathan wymówił swoje imię i nazwisko, jej ręka dziwnie zeszywniała. Przez chwilę pani Jenkins nic nie mówiła, jej wzrok powędrował w bok, jakby próbowała zajrzeć nim za plecy bez obracania głowy. Odchrząknęła.

– Miło było cię poznać, Jonathanie – powiedziała. – Wpadnij do nas jeszcze – dodała takim tonem, jakby go wypraszała. Nie zdążył nic odpowiedzieć, bo pani Jenkins odeszła, ciągnąc za sobą fałdy czarnej sukni, do których ciemność zdawała się przyczepiać niczym ogon.

Tuż za tą ciemnością podążyła czyjaś sylwetka. Sylwetka stworzona ze srebrnego, ledwie widocznego światła; ludzka, ale nienamacalna. Przez chwilę Jonathan widział słaby zarys postaci, ręce, nogi i twarz, która obróciła się w jego stronę.

Odsunął się tak gwałtownie, że regał za jego plecami zatrzeszczał. Pani Jenkins zatrzymała się, zaniepokojona, ale Jonathan, potykając się o własne stopy, ruszył w przeciwnym kierunku. Wciąż przeszywał go chłód. Zdawało mu się – a w zasadzie to był pewien – że właśnie zobaczył ducha.



Kate spędziła cały wieczór, siedząc na łóżku i wpatrując się w ścianę. Nie zapaliła nawet światła, pozwalając pokojowi powoli pogrążyć się w półmroku. Chaos w jej głowie unieruchomił wreszcie myśli tak, że wpadła w odrętwienie, nie wiedząc już, na czym się skupić.

To niedobrze, że spotkała dziś Jonathana. Ostatnio i tak działo się zbyt wiele, a on tylko dodatkowo wytrącił ją z równowagi. Teraz stanowił dla niej jeszcze większą zagadkę niż kiedykolwiek wcześniej. I im bardziej chciała pozbyć się go z myśli, tym wyraźniej powracała w nich jego twarz.

Dlaczego wszystkie te rozterki musiały przytrafić się jej w tym samym czasie, i dlaczego akurat teraz?!

Ponurą atmosferę, która spowiła pokój, rozwiało nagle wejście Lilian. Chichotała pod nosem i wpatrywała się w ekran swojej komórki, jednak gdy tylko zapaliła światło i spojrzała na Kate, natychmiast spoważniała, wskazując palcem jej czoło.

– Co to jest?

Kate dotknęła znów swojego siniaka. Nadal bolało.^[P]_{SEP}– To? – odparła. – Nic takiego. Potknęłam się.

Lilian usiadła obok niej i przyłożyła dłoń do jej czoła. Po chwili Kate poczuła przyjemną, mrowiącą energię, która rozeszła się po całej głowie. Starczyło kilka sekund i ból zniknął.

– Wow, dzięki! – powiedziała. Lilian podsunęła jej lusterko. Siniak zniknął, ale niewiele to zmieniało. Kate była blada i miała podkrążone oczy. Skutki niewyspania i zmęczenia.

– Co się dzieje? – Lilian posłała jej troskliwe spojrzenie, które sprawiło, że mało brakło, a Kate zupełnie zapomniałaby o wszystkich swoich wcześniejszych podejrzeniach względem niej.

– Nic. Mówiłam ci już. Potknęłam się i...

Lilian przewróciła oczami.

– Nie to mam na myśli. Jestem empatką, pamiętasz?

Kate oprzytomniała. No tak, kto lepiej od Lilian mógł rozumieć jej problemy?

– No więc chodzi o to, że... – zaczęła, patrząc Lilian prosto w oczy. Nikt nie miał tak hipnotycznego spojrzenia jak ona. I nagle, zupełnie niespodziewanie...

– Zakochałam się – wypaliła.

Natychmiast zatkała usta. Wcale nie chciała tego powiedzieć! Miała zamiar coś wymyślić, może owijać w bawełnę, ale na pewno nie mówić wprost o czymś, co sama tak gorączkowo próbowała od siebie odrzucić. Spojrzenie Lilian w pewien sposób zmusiło ją jednak do powiedzenia prawdy, zupełnie jakby była pod wpływem uroku.

– Zakochałaś się?! – Lilian od razu się rozpromieniła, zupełnie jakby mimo swojej empatii nie widziała, że Kate przeżywa właśnie osobistą tragedię. – W kim? No, powiedz,

powiedz!

Lilian wierciła się jak kilkuletnia dziewczynka. Kate zaczęła się obawiać, że zaraz zacznie nią potrząsać, żeby szybciej wydobyć informacje.

– No... więc jest taki Jonathan... – przyznała nieśmiało. Teraz to wszystko wydawało jej się niepotrzebną, szkodliwą powtórką sprzed dwóch miesięcy. A tak próbowała pogrzebać tę sprawę...

Lilian zmarszczyła czoło, mrużąc pod nosem to imię, jakby próbowała przewertować w wyobraźni wszystkich Jonathanów, jakich знаła. Kate postanowiła jej przerwać:

– Nie znasz go. Choć może kojarzysz, bo on też musi być czarownikiem. Widziałam go w Merlinie. Poza tym pracował w sklepie Selene.

– A jak ma na nazwisko?

– Charmling.

Lilian wydała z siebie dziwaczny odgłos, jakby próbowała w tym samym czasie pisnąć i wciągnąć powietrze.

– Co ty! – Wytrzeszczyła oczy. – Nie gadaj! Serio?

– Ehm... No tak, a co? To jakiś niezwykły ród czy jak?

– Nie, nie ród. Ale chyba wszyscy słyszeli o sprawie Charmlinga.

– Ja nie – przyznała Kate, nie licząc, który to już raz musi zdobyć się na szczerą zdradzającą jej magiczną ignorancję.

– Co z nim?

– Anthony Charmling, tak się nazywał tamten facet. Został zamordowany.

Teraz to Kate wstrzymała oddech.

– *Zamordowany?* – wyjąkała.

– Tak, tak! – Lilian ożywiła się jeszcze bardziej, co zdaniem

Kate zaczęło robić się już nie na miejscu. – I to w dodatku tutaj, w Hagsborough, a dokładniej w Jęczącym Lesie.

– Zaraz, słyszałam o nim! Podobno w lesie straszy. Myślisz, że to ma coś wspólnego z tą sprawą?

Lilian zaczęła się zastanawiać.

– Wiesz, wokół Jęczącego Lasu narosło sporo opowieści. To dlatego, że zanim doszło do morderstwa, był jednym z ostatnich miejsc, a potem cała magia z niego wyparowała.

– Ostatnich miejsc czego? – zapytała Kate.

– Magii. Na pewno wiesz, czym było rozłączenie światów.

Kate przytaknęła. O rozłączeniu słyszała już wielokrotnie. Dawniej, choć nikt nie pamiętał już kiedy, Jaar i świat ludzi stanowiły jedność. W pewnym momencie – i tu znów nikt nie wiedział kiedy ani dlaczego – zaczęły się jednak od siebie oddzielać.

– No więc – ciągnęła Lilian – ostatnie miejsca to takie, które wiodą z naszego świata do Jaaru jak magiczny portal. Jeszcze długo po rozłączeniu ludzie widywali magiczne istoty tu, na Ziemi. Potem magia zaczęła blednąć, aż zostało tylko kilka miejsc, w których się utrzymywała, w tym Jęczący Las. Ale potem, po morderstwie Charmlinga, las się zamknął.

– Zamknął? W sensie, że nie stanowi już portalu, tak?

– Hm... To też, choć tak naprawdę do końca nie wiadomo, bo trudno się tam teraz dostać. Ale mnie chodzi o to, że las *zamknął się* dosłownie. Po prostu gałęzie drzew splotły się ze sobą, a pnie ścieśniły tak, że przedarcie się między nimi jest praktycznie niemożliwe.

Kate zamrugwała. Nie zdziwiłoby jej to, gdyby wydarzyło się w Jaarze, ale...

– To w naszym świecie coś takiego jest możliwe?

– Bardzo rzadko – przyznała Lilian. – Tom ma swoją teorię, choć pewnie gdzieś ją wyczytał, jak wszystko inne. Mówi, że z ostatnich miejsc magia ulatnia się najpóźniej i bardzo powoli, więc jest to prawie niewidoczne, ale w szczególnych wypadkach może wyparować nagle, dokonując przy tym czegoś niezwykłego. Po prostu energia kumuluje się i wybucha, a potem takie miejsce umiera magicznie, staje się całkiem puste. Niektórzy mówią, że prędzej czy później czeka to cały nasz świat, choć – Lilian swobodnie przełączyła się z faktów na domysły – są i tacy, co twierdzą, że las wcale nie umarł. Podobno wciąż słychać tam dziwne odgłosy.

Zapanowała chwila milczenia, podczas której Kate przeanalizowała wszystko, co właśnie usłyszała.

– Więc teraz wszystko jest już dla mnie jaśniejsze – stwierdziła. – Wiem już, dlaczego tak się zdenerwowałam, gdy wspomniałam mu o magii. Może ten zamordowany facet był jego bliską rodziną? Jego śmierć miała pewnie coś wspólnego z czarami. Nikt nie chciałby, żeby mu przypominać o takich przeżyciach.

– Zdenerwował się *na ciebie*? – podchwyciła Lilian. – Kiedy?

Kate przybliżyła jej w skrócie historię z Jonathanem. Lilian wydawała się poruszona. Najbardziej podobał jej się fragment z zaklęciem miłosnym i sprawiała wrażenie zawiedzionej, gdy usłyszała, jak wielkim okazało się niewypałem – na pewno nie była to reakcja, jaką można by zyskać aprobatę pani Hallander.

– Nie sądzę, że Jonathan chce unikać magii – oznajmiła. – Gdyby tak było, co robiłby w Merlinie?

– Sama nie wiem – odparła Kate. – Wyglądał na nieco zakłopotanego.

Lilian cmoknęła.

– Musimy to sprawdzić – uznała.

Zeskoczyła z łóżka i zaczęła przebierać w swoich rzeczach. Po chwili na podłodze zebrał się pokaźny stos przedmiotów, które Kate uważała za zupełnie nieprzydatne na wakacjach. Ba, sądziła, że nawet Mel mogłaby je za takie uznać. Były wśród nich kolorowe szale, ozdobne muszle i ramki na zdjęcia, kilka obrusów, a nawet – co Kate wprawiło niemal w osłupienie – wielkie, czerwone rękawice bokserskie. Wreszcie Lilian wyjęła z jednej z toreb coś okrągłego i owiniętego czarnym materiałem.

– No, wiedziałam, że nie mogłam o niej zapomnieć – powiedziała i odsłoniła przedmiot. Oczom Kate ukazała się kryształowa kula średniej wielkości. Szkło wyglądało nieskazitelnie. Kula stała na srebrnej podstawie przypominającej wykręcone różki.

– Chcesz mi powróżyc? – Kate się zawahała. Nie prosiła o wróżbę i wcale nie była pewna, czy jej chce.

– A znasz jakiś lepszy sposób sprawdzenia, co jest na rzeczy?

– Tyle że ja nigdy wcześniej nie wróżyłam ze szklanej kuli – przyznała. – Nie wiem, czy potrafię.

Widywała szklane kule w sklepach dla wiedźm i w świątyniach ferów, ale Fion nigdy nie nauczył jej ich obsługi. Uznał, że skoro tak dobrze radziła sobie z tarotem, nie było sensu próbować innych rzeczy. Kate wiedziała też, że kul używa się do komunikacji, trochę jak telefonów komórkowych.

– Nie przejmuj się – powiedziała Lilian, wracając z kulą na łóżko Kate i kładąc ją między nimi. – Ja zrobię odczyt. To nic trudnego. Będziesz musiała tylko zamknąć oczy i się skupić. To jak? Próbujemy?

Kate niechętnie przystała na propozycję. Lilian kazała jej ustawić dłonie nad kulą tak, by opuszkami palców dotykała kryształu.

– Myśl o Jonathanie – poleciła. – Skup się na nim, a ja będę patrzeć w kulę.

Twarz Jonathana ukazała się pod powiekami Kate na samo wspomnienie jego imienia. Widziała go tak, jakby stał teraz przed nią: wyraziste rysy, chuda szyja, ledwo widoczny zarost wokół warg i pod nosem. Znów uderzyło ją to, że Jonathan wcale nie był najprzystojniejszy pod słońcem, a ona wcale go za takiego nie uważała. O wiele bardziej w jej typie był Robert, a jednak to właśnie Jonathan nie chciał za nic w świecie wynieść się z jej głowy.

Kula zaczęła robić się chłodniejsza. Kryształ przyciągał palce Kate, które przywarły do niego. W dotyku przypominał zamrożoną wodę. Kate mimowolnie otworzyła oczy.

Pod kryształową powierzchnią unosił się gęsty dym, zupełnie jakby ktoś zaklął w kuli ciężkie, deszczowe chmury. Co jakiś czas wyłaniały się z nich kształty, jednak Kate nie potrafiła ich zinterpretować.

Spojrzała na Lilian. Jej widok zmroził ją bardziej niż lodowate szkło. Utkwiła w kuli puste spojrzenie, ale jej oczy nie były już zielone. Teraz i one zaszyły tą samą mgłą co kula, zupełnie jak gdyby Lilian przeniosła się do świata za szkłem.

Spróbowała się cofnąć. Obawy co do Lilian powróciły ze zdwojoną siłą. Nie mogła jednak oderwać palców od kuli.

Przyłgnęły do szkła, a ręce zdrętwiały od chłodu.

Nagle Lilian spojrzała wprost na nią. Przez krótką chwilę Kate patrzyła w jej zamglone, przerażające oczy, a potem nagle wszystko się skończyło, jak przerwany sen. Dym rozszedł się, kula znów była czysta i zwyczajna, tylko Lilian wciąż gapiła się na Kate. Mgła z jej oczu opadła, ale gdy na powrót stały się zielone, wyrażały szok. Nie strach, ale raczej głębokie zdumienie i – o ile Kate dobrze to odczytywała – również zadowolenie.

– Och, Kate – wydusiła z siebie.

– C-co jest? – Kate plątał się język. Drżała tak, jakby chłód z palców przeniósł się teraz na całe ciało. – Co takiego zobaczyłaś?

Lilian jeszcze przez chwilę trwała w osłupieniu, a potem nagle porwała kulę i zerwała się z łóżka.

– Posłuchaj, to... – mówiła, owijając kulę z powrotem. Musiała powtórzyć to kilka razy, bo fałdy materiału wysuwały się jej z rąk. – To... Jesteście... W pewnym stopniu jesteście... sobie pisani. Przeznaczeni, rozumiesz?

Rzuciła owiniętą kulę na poduszkę i pobiegła do drzwi.

– Stój! – krzyknęła Kate. – Co ty mówisz? Jak... Jak to zobaczyłaś?

Lilian spojrzała na nią nieobecny wzrokiem. Co ją tak ekscytowało?

– To... wspaniałe... Tak, Kate, jesteście... *połączeni*. Na razie nie mogę ci tego inaczej wyjaśnić.

Wybiegła z pokoju. Kate natychmiast ruszyła za nią, ale jedyne co zobaczyła, to zamykające się drzwi do pokoju Toma. Podeszła do nich i przyłożyła ucho, ale tym razem niczego nie usłyszała.



Oczekiwanie na wyjaśnienia okazało się daremne. Lilian znikła. Długo nie wracała do pokoju, a gdy Kate zaczęła szukać jej w domu, Tom powiedział, że wyszła.

– Umówiła się z Joem. Miałyście pomówić? Coś się stało?

Jakbyś nie wiedział – pomyślała Kate. W końcu Lilian nie bez powodu od razu poleciała do jego pokoju.

Tak czy inaczej z pewnym zakłopotaniem opowiedziała mu o odczycie. Tom machnął ręką.

– Pewnie w ogóle już o tym zapomniała – stwierdził tonem, który w założeniu miał być pewnie o wiele bardziej przekonujący. – Już ją trochę poznałaś. Wiesz, że ekscytuje się bez powodów.

Z zaciętego wyrazu twarzy Toma łatwo dało się wywnioskować, że nic więcej nie powie. Kate z rezygnacją wróciła do pokoju, ale słowa Lilian wciąż pobrzękiwały jej w głowie. Wątpliwości niemal rozsadały jej czaszkę.

„Połączeni” – co to niby miało znaczyć?! Brzmiało całkiem bez sensu. Ostatnią rzeczą, jaką Kate powiedziałyby o sobie i Jonathanie, było to, że są połączeni. I skoro już o tym mowa to, gdyby miała zdecydować – wyciskając z siebie zdrowy rozsądek aż do bólu – wołałyby, żeby nie było to prawdą.

Przycisnęła głowę do poduszki i zamknęła oczy.

Połączeni...

Połączeni...

Połączeni...

Głos Lilian był czasem tak wyraźny, że zdawało się, że wróciła do pokoju. Wtedy Kate zrywała się z łóżka tylko po to, by zobaczyć, że nadal jest sama, a za oknem robi się coraz ciemniej.

Co jakiś czas przysypiała, ale był to płytki sen, z którego natychmiast coś ją budziło. Marzenia senne mieszały jej się z jawą i były nieprzyjemne. Najpierw była przekonana, że po jej łóżku chodzi ogromny pająk. Chciała nawet włączyć światło, żeby to sprawdzić, nim uświadomiła sobie, że śni. Potem kołdra zaczęła wić się jak wąż, który gdy tylko otworzył paszczę, natychmiast przebudził Kate na nowo.

Wreszcie zaczęła zapadać w głębszy sen. Przypominało to schodzenie do ciemnego dołu. Szła po glinianych stopniach i czuła wilgoć w powietrzu. W dole widać było studnię. Z jakiegoś powodu Kate chciała podejść do niej i spojrzeć w taflę ciemnej wody. Była już na ostatnim stopniu, gdy powinęła jej się noga. Kate wpadła do studni, nie wydawszy z siebie ani jednego krzyku. Opadała bezszelestnie, coraz głębiej i głębiej. Nie sięgnęła jednak dna. Zamiast niego w studni znajdował się wylot, u którego końca rozlewało się jaskrawe światło.

Nie bała się upadku. Stała się całkiem obojętna, jakby straciła zdolność do myślenia lub w ogóle przestała być człowiekiem. Ktoś uczynił z niej marionetkę i pociągał za sznurki, a teraz ściągał w dół. Coraz bardziej zbliżała się do światła. Przekroczyła granicę, wypadła ze studni. Wszystko się skończyło, a ona znieruchomiała w zupełnej ciemności.

Wtedy usłyszała ten głos.

– Kate.

Wzywał ją z daleka, choć rozlegał się w jej głowie, pulsując

wewnątrz czaszki.

– Kate... Kate...

Musiała za nim podążyć. Miał jej coś ważnego do powiedzenia, na pewno!

Otworzyła oczy. Mimo że nie zapalała światła, widziała pokój, wszystko było jednak zasłonięte czymś w rodzaju pomiętej, przezroczystej zasłony. Chciała przetrzeć oczy dłońmi, ale ręce odmówiły jej posłuszeństwa. Zamiast tego zdjęły z niej kołdrę i Kate wstała, choć miała wrażenie, że to ktoś inny wstał za nią. To nie ona powłóczyła nogami, które ruszyły w stronę drzwi. To ten głos, dziwnie materializujący się w przestrzeni, objął ją i prowadził.

Powoli, idąc po dywanie jakby stworzono go z chmur, Kate dotarła do drzwi i nacisnęła delikatnie klamkę.

Korytarz był pogrążony w półmroku. Przez okno u jego końca do środka sączyło się srebrne, księżycowe światło, które wiło się nad podłogą niczym eteryczny strumień.

– Kate...

Głos popychał ją w stronę łazienki. *Co się dzieje?* – myślała. Sen wdarł się w jej umysł i prowadził jej ciało, a gdy próbowała mu się oprzeć, nie była w stanie tego zrobić.

Weszła do łazienki i stanęła przed lustrem, opierając ręce o umywalkę. Dlaczego tu przyszła? Gdzie był ten, do kogo należał głos?

Jej dłonie przywarły do zimnej umywalki. Wpatrywała się w lustro, a myśli w jej głowie walczyły ze sobą. Świadomość i nieświadomość. Siła i uległość. Strach i ciekawość.

Dopiero po chwili, gdy świadomość zwyciężyła na krótką chwilę, zorientowała się, że z odbiciem w lustrze jest coś nie

tak. Nim jednak, przestraszona tą myślą, spróbowała uciec, głos, który teraz szeptał niezrozumiałe słowa, przejął całkowitą kontrolę nad jej ciałem. Musiała wpatrywać się w lustro, nie mogąc nawet na chwilę zamknąć oczu.

W odbiciu nie widziała swojej twarzy, ale czubek czyjejś głowy, jasne i oblepione brudem włosy. Nie bała się. Była raczej zdziwiona. Co to było?

Gdy tylko zadała to pytanie w myślach, głowa zaczęła bardzo powoli się podnosić. Najpierw Kate zobaczyła szare od błota czoło, a potem zamknięte powieki. Rzęsy również pokrywała ciemna maź.

Coś szarpnęło jej ciałem. Świadomość przebudziła się znowu, tym razem silniejsza. Instynkt Kate raz jeszcze kazał jej uciekać, ale nogi, ciężkie jak kłody, przywarły do podłogi.

Wreszcie w lustrze ukazała się cała twarz. Brudne, blade policzki, na których piegi odznaczały się jak czerwone plamy po dawno przebytej ospie, suche popękane wargi. A potem postać, jakby doznawszy nagłego przebudzenia, otworzyła oczy, mętne i pozbawione wyrazu, martwe. Na moment oczodoły zakryła czerń, zupełna pustka. Teraz to one zamieniły się w dwie wciągające studnie, ale te nie miały dna ani światła u wylotu.

Poczuła jak krew w jej żyłach zaczyna wrzeć. Cały świat zaciskał się wokół Kate niczym dusząca obręcz.

Dobrze znała ten nos, te usta, te włosy!

W lustrze widziała swoją twarz. Swoją martwą twarz.

Nagle wizja zniknęła. Kate – teraz już w pełni świadoma – przebudziła się i wybiegła na korytarz. Jeszcze nigdy nie krzyczała tak, jak teraz.



Rozdział 15

POWIEDZ MU

– Do dna, Kate.

Ciotka podstawiała jej pod nos kubek z jakimś naparem. Kate tak bardzo trzęsły się dłonie, że sama nie byłaby w stanie utrzymać naczynia. Siedziała na krześle w kuchni. Jej krzyk obudził wszystkich w domu i teraz pięć par oczu wpatrywało się w nią z oczekiwaniem. A ona wciąż była zbyt oszołomiona, by mówić. Dopiero gdy ciotka odstawiła pustą już filiżankę, zdołała wykrztusić:

– To... był... duch.

Nie wiedziała, czy ma rację. Właściwie niczego nie była już pewna. Coś ją wołało. To *mógł* być duch. Ale ona widziała swoją twarz, co mogłoby wskazywać, że tak naprawdę miała... Nie, nie chciała o tym myśleć ani mówić. Słowo „wizja” przeszywało ją niewyobrażalnym chłodem, wracało

tym szybciej, im dalej je od siebie odrzucała. Staczała z nim bój w nierównej walce. Bo jeśli miała wizję, mogła ona oznaczać tylko jedno.

– Coś mi się zdaje, że nic więcej nam dziś nie powie – mruknęła zirytowana Diana. – Proponuję pójść spać.

Za te słowa Kate znienawidziła ją jeszcze bardziej.

– Spokojnie, zioła niedługo zaczną działać – powiedziała ciotka Hillena.

Lilian nie była równie dyplomatyczna.

– Ty też byś się bała na jej miejscu – zachnęła się, obrzucając Dianę krytycznym spojrzeniem. – Trzęsłabyś tymi sznurkami we włosach jak...

– Lilian! – warknął Tom.

– Ja?! – odparła oburzona Diana. – Byłam w o wiele gorszych sytuacjach. Ja...

– Cisza! – przerwała im Selene. – Hillena ma rację. Dajmy działać ziołom. A wy przestańcie się sprzeczać, bo przez was tylko poczuje się jeszcze gorzej.

Ale Kate wcale ich nie słuchała. Wpatrywała się w oczy ciotki, ale wciąż widziała przed sobą tamtą straszną, koszmarną twarz. *Ducha, nie wizję* – powtarzała w myślach.

Bo to wcale nie musiała być wizja. To mogły być jej obawy, strach, może nawet rezultat jakiejś klątwy... Cokolwiek. Musiała się tego dowiedzieć, ale nie tutaj, nie z nimi.

– Co ona właściwie widziała? – zastanawiała się dalej Selene.

– Może ghula albo strzygę? – zasugerowała obrażona Diana. – Kiedy ostatnio oczyszczałaś dom? Trzeba było posypać ściany tym nowym proszkiem, o którym mówił Tom... No, jak on się nazywał?

– Ghulanabeo – odparł Tom i szybko pokręcił głową. – Nieee – stwierdził. – Strzyga zaczęłaby ją dusić, a gdyby to był ghul, Kate na pewno by się go nie bała. Żadna wiedźma nie boi się ghuli, prawda?

Spojrzał na panią Hallander, jakby prosił, by rozwiała wszelkie wątpliwości i powiedziała, że Kate wie już, jak walczyć z ghulami. Ona jednak machnęła tylko ręką, co w gruncie rzeczy nie było żadną odpowiedzią.

– To był duch – powtórzyła pewniej Kate, gdy już trochę się uspokoiła. Zioła zaczęły działać wcześniej, ale musiała pomyśleć, co ma powiedzieć. Nie mogła mówić całej prawdy. Jedynymi osobami, którym teraz ufała, byli Fion i ciotka Hillena. Tyle że ciotka nie знаła historii kamienia, a Kate miała pewność, że to wszystko jakoś się z nim wiązało.

– Duch? – zapytała pani Hallander. – Jak wyglądał?

Musiała upewnić się, że Kate wie, o czym mówi. Nigdy wcześniej nie widziała ducha, więc mogła wziąć za niego szereg innych istot.

Kate, pomijając pewne szczegóły, opowiedziała im o głosie, który ją wzywał. Z oporem powiedziała też o tym, jak szła korytarzem, pogrążona w dziwnym transie. Z oporem, bo wiedziała, że to coś nieodpowiedniego. Coś, co nie powinno się jej przytrafić.

– Inkub – zawyrokowała nagle Selene.

– Co? – Kate spojrzała na nią z zaciekawieniem. Pani Hallander wciągnęła powietrze tak gwałtownie, że omal się nie zakrztusiła.

– To klasyczny przykład uwodzenia przez inkuba – powiedziała Selene.

– Nie sądzę – odparła Lilian. – Inkub nie zaciągnąłby jej do

łazienki.

Diana teatralnie uniosła rękę.

– Słuchajcie jej – powiedziała. – Lilian to znawczyni tego tematu.

– O co ci chodzi? Mówię tylko, że inkuby atakują głównie w łóżkach.

– Selene może mieć rację – stwierdził Tom po chwili zastanowienia. – To mógł być inkub. Może chciał zaciągnąć Kate do łazienki dlatego, że byłaś już wtedy w waszej sypialni... Bo byłaś, prawda? – Spojrzał uważnie na Lilian.

– Byłam. Ale co to ma do rzeczy? Nie sądzę, żeby moja obecność przeszkadzała inkubom!

– Ani ja – dodała cicho Diana. Zanim Lilian zdążyła porazić ją wzrokiem, Kate odezwała się znowu:

– Zaraz... czy ktoś mi wyjaśni, co to jest ten inkub?

Ciotka Hillena zrobiła zakłopotaną minę.

– No... to taki... jakby namhajt – zaczęła tłumaczyć. – Wysysa z ludzi energię w... łóżku...

– W sensie, że...?

– Tak, dokładnie w tym sensie – warknęła Lilian, przeszywając podśmiewającą się Dianę wściekłym spojrzeniem.

– W takim razie być może to był inkub, ale do niczego nie doszło – powiedziała Kate na odczepnego. Dlaczego nie mogli po prostu zaakceptować wersji, jaką im podała? Duch i tyle.

– Zaczekajcie, zaraz wracam – powiedział nagle Tom i zanim ktokolwiek zdążył choćby spojrzeć w jego stronę, gdzieś się teleportował.

– Jak go znam, to pewnie zaraz wróci z tuzinem książek – rzuciła Lilian.

Diana prychnęła.

– Jasne, bo słowo pisane może nam teraz najbardziej pomóc... Nieważne, pójdę lepiej na nowo oczyścić swój pokój i dla pewności posypię ścianę tym proszkiem.

– A my powinniśmy chyba zajrzeć do łazienki – uznała Selene, spojrzawszy na panią Hallander. – Może uda nam się coś wyczuć.

Lilian próbowała wymknąć się z kuchni za pozostałymi, ale Kate, która nie miała sił, by wstać z krzesła, zatrzymała ją. W końcu nadarzyła się okazja, żeby zmusić ją do rozmowy na temat tego, co zobaczyła w szklanej kuli. Mimo ducha, inkubów i omamów, Kate nadal o tym pamiętała, co – zważywszy na sytuację, w jakiej się właśnie znajdowała – wydało jej się dość niepokojące.

– O co chodzi, Kate? – Lilian usilnie starała się udawać, że nie ma pojęcia, o czym Kate chce z nią rozmawiać.

– Wiesz, o co chodzi – zniecierpliwiła się Kate, a ponieważ odpowiedziało jej milczenie ze strony Lilian, z naciskiem dodała: – O twoją szklaną kulę.

– Ach, wciąż zaprzęta ci to głowę?

Kate przewróciła oczami. Nie miała zamiaru dać Lilian spokoju, dopóki nie odpowie na wszystkie jej pytania. Była nawet gotowa zagrozić kuchenne drzwi, co zresztą byłoby na nic, skoro Lilian bez trudu mogłaby się przenieść. Ona sama chyba jednak wcale o tym nie pomyślała, bo zaczęła się tłumaczyć:

– Och, Kate, kiedy ja naprawdę... To było nic... Wiesz, jak często się ekscytuję.

– Powiedz mi tylko, co zobaczyłaś – naciskała Kate, starając się zachować przy tym chłodny ton.

Lilian odwróciła się w stronę niewielkiego piecyka, oparła o niego i wbiła wzrok w garnek, w którym zalegały jeszcze resztki zupy z poprzedniego dnia. Patrzyła na pokrywkę, jakby próbowała odczytać z niej odpowiedzi na wątpliwości, które najwyraźniej nie dawały jej spokoju.

– No dobrze – powiedziała wreszcie i spojrzała znów na Kate. – Właściwie mogłabym ci powiedzieć, bo czemu nie? Jestem pewna, że to, co zobaczyłam, jest prawdą... Lepiej byłoby, żeby Tom i Diana byli tu teraz z nami... No, właściwie Jonathan też powinien tego wysłuchać.

Kate uniosła brwi.

– Chcesz powiedzieć, że to dotyczy nas *wszystkich*?

– Tak! – Lilian energicznie pokiwała głową. – Bo widzisz...

I tu musiała skończyć, bo przerwało jej ponowne pojawienie się Toma. Nie był sam. Przeprowadził ze sobą matkę Joego, której wygląd sprawił, że Kate na moment zapomniała o całym zawodzie, który poczuła, gdy Lilian musiała przerwać wyjaśnienia. Kate poznała kobietę już wcześniej, w bibliotece, ale wtedy nie wyglądała aż tak dziwnie.

Pani Jenkins miała na sobie długą, ciemnogrnatową suknię, przypominającą ogromną, bezkształtną zasłonę, spod której nie widać było nawet jej stóp. Jej dłonie zdobiły lśniące, kolorowe pierścionki, których było tak dużo, że na niektórych palcach znalazły się nawet po dwa, trzy. Na głowę włożyła wielkie, srebrne... coś. Wyglądała to trochę jak lustro laryngologiczne, ale było zwieńczone czymś w rodzaju antenki z powykrzywianymi drutami, przez co sprawiało wrażenie korony, która ucierpiała w wyniku zamachu stanu.

– Podobno macie tu ducha – powiedziała konspiracyjnym tonem, po czym postawiła na stole drewnianą walizkę. Widniało na niej kilka ułożonych alfabetycznie liter i słowo TAK.

Pani Hallander i Selene wróciły do kuchni.

– Laeticia! – ucieszyła się Selene. – Jak to dobrze, że jesteś! Całe szczęście, że Tom jako jedyny z nas wszystkich zachował dość rozsądku, żeby się z tobą skontaktować.

Tom uśmiechnął się nieznacznie, połączony komplementem. Lilian nachyliła się do ucha Kate i szepnęła:

– Laeticia jest znanym w okolicy medium. No wiesz, kimś, kto potrafi rozmawiać z duchami.

Pani Jenkins usłyszała ją.

– Rozmowami z duchem zajmiemy się później – powiedziała. – Kate, najpierw musisz dokładnie opowiedzieć mi, co takiego zobaczyłaś.

Kate niechętnie zaczęła powtarzać całą historię. Pani Jenkins wlepiła w nią swoje wielkie oczy i nawet nie drgnęła, zupełnie jakby już zdążyła zapaść w trans. Dopiero kiedy Kate skończyła, poruszyła się i cmoknęła.

– Brzmi to poważnie – stwierdziła. – Zwykle duchy poruszają tylko przedmiotami, otwierają i zamykają drzwi, odkręcają krany i takie tam. Rzadko jednak są w stanie osiąść czyjś umysł. Taki wpływ wymaga silnego skupienia energii. Kto wie, może duch był kiedyś czarownicą?

– Sądysz, że Kate mogła zostać opętana? – zapytała Selene bardzo poważnie.

Lilian zrobiła głęboki i głośny wdech, ciotka Hillena zamarła, a Kate przewróciła oczami. Coś miałoby ją opętać? Już sobie wyobrażała, co by na to powiedział Fion: „No nie...

Znowu?”.

– Nie szłabym tak daleko – odparła pani Jenkins. – Zostańmy przy najprostszej diagnozie. Mamy tu duchową aktywność i musimy ją zbadać. Swoją drogą... przydałby się do tego większy stół.

Selene natychmiast zaprosiła wszystkich do jadalni, gdzie pani Jenkins otworzyła swoją walizkę i wyciągnęła jej zawartość. Były tam pęki ziół, poskręcane laleczki, dziwne metalowe przedmioty wyglądające jak narzędzia tortur i fiolki wypełnione różnokolorowymi płynami. Gdy pani Jenkins rozłożyła na stole samą walizkę, Kate zdała sobie sprawę, że to dość spora tabliczka Ouija. Widziała takie rzeczy w tanich horrorach, ale nie miała pojęcia, że czarownice naprawdę się nimi posługują.

Tabliczka wyglądała dość zwyczajnie. Litery alfabetu, jedna po drugiej, ułożone były w półkołu. Pod nimi znajdował się wskaźnik i wypisane słowa *TAK*, *NIE* i *KOŃCZĘ*. Po bokach widniały wizerunki słońca i księżyca, które sprawiały wrażenie, jakby wyłaniały się zza chmur.

– Jeśli dom jest nawiedzony, to jak właściwie pozbyć się ducha? – zapytała Kate. Miała nadzieję, że szybki rytuał załatwi sprawę. Naprawdę żałowała, że na własne życzenie musi brać udział w tym przedstawieniu.

– Są różne sposoby – odparła pani Jenkins. – Często wystarczy zwykłe SPIE...

– Herbaty?! – wrzasnęła nagle ciotka Hillena, nie wiadomo, czy bardziej przerażona słowem, które prawie tu padło, czy tym, że zapomniała zaproponować czegoś do picia od razu.

– Chętnie – odpowiedziała pani Jenkins i gdy tylko ciotka znikła w kuchni, dokończyła poprzednią wypowiedź, ku

uciesze zgromadzonych. – Ale innym razem – dodała – potrzeba silniejszych rytuałów. Duchy... – Spojrzała przed siebie, nie patrząc na nikogo konkretnego. No, chyba że już kogoś tam widziała. – Duchy unoszą się za zasłoną, w świecie innym od naszego, bardziej płynnym, sennym, a niektóre z nich tęsknią za twardą rzeczywistością. Po tamtej stronie ich wspomnienia zanikają. Być może traktują nasz świat jak teatr, w którym przyszło im zagrać rolę. Zasłona oddzielająca światy jest jak kurtyna i choć wydaje się cieńsza od najdelikatniejszego aksamitu, trudno ją zerwać. Są jednak duchy, które kierują się głodem naszej krwi, ciepła naszych ciał... Pragną nas posiadać, zdobyć najcenniejszy dar ziemskiej egzystencji.

Lilian westchnęła z zachwytem. Możliwe jednak, że udawanym. Musiała być wyjątkowo miła dla pani Jenkins. W końcu już dwa tygodnie temu wybrała ją sobie na przyszłą teściową.

Pani Hallander wróciła z herbatą. Nim pani Jenkins zaczęła pić, otworzyła jedną ze swoich fiolek i wlała zawartość do filiżanki. Kate przyglądała się herbacie z oczekiwaniem, ale nie buchnęła z niej żadna magiczna para. Pani Jenkins wzięła kolejną fiolkę i pomachała nią przed oczami pozostałych.

– Komuś rumu?

Kate otworzyła usta ze zdziwienia. A więc we fiolce był po prostu rum? Wszyscy pokręcili przecząco głowami; wszyscy za wyjątkiem Selene.

– No, może i ja zamoczę trochę usta. To było stresujące doświadczenie.

– Selene! – oburzyła się ciotka Hillena. – Musimy zachować

trzeźwość umysłu.

– Ale Lae...

– Lae robi to w celach rytualnych. Prawda, Lae?

Pani Jenkins, która akurat przełykała spory łyk herbaty, uniosła rękę.

– Ależ oczywiście – powiedziała. – Moja matka, babka i prababka były kapłankami voodoo. Rum to ważny składnik naszych rytuałów. Ofiarowuje się go duchom.

Pani Jenkins wcale nie wyglądała jednak, jakby dopełniała rytuału, a już na pewno nie miała ochoty dzielić się swoją herbatą z duchami. Piła szybko, najwyraźniej chcąc bez zwłoki przejść do rzeczy.

– Voodoo? – szepnęła Kate w stronę Lilian. – Żle mi się to kojarzy.

– Niepotrzebnie – odparła Lilian. – Voodoo to religia, która zawiera sporo dobroczynnych magicznych praktyk. Nie jest wcale zła, jak twierdzą niektórzy.

– Dobrze – powiedziała pani Jenkins, odkładając filiżankę – możemy zaczynać.

Rozstawiła wokół tabliczki cztery długie świece w kolorach żywiołów, a potem poprosiła Toma, żeby zgasił światło. Atmosfera w jadalni zrobiła się od razu spokojniejsza, sugerując, że za moment rzeczywistość dotknie jakiejś tajemnicy. Kate nie była pewna, czy się jej to spodoba.

– Pewnie większość z was używała już tabliczki Ouija – pani Jenkins mówiła teraz ściszonego głosem – ale i tak pokrótce powtórzę wam zasady.

Kate jeszcze raz powiodła wzrokiem w kierunku tabliczki. Słońce i księżyc wydały jej się teraz całkiem żywe.

– Usiądźcie tak, aby każde z nas miało mniej więcej równy

dostęp do tabliczki.

Wszyscy zaczęli się ścieśniać, intensywnie wbijając spojrzenia w tabliczkę.

– Ojc – odezwała się nagle Selene. – Czy nie lepiej byłoby zrobić to w kręgu? Mogłabym znaleźć jakiś okrągły stolik.

– Nie zawracaj sobie tym głowy. Najwyżej nasz krąg będzie trochę kwadratowy – odparła pani Jenkins, a Tom wybałuszył oczy na jej lekceważące podejście do matematyki. – Liczą się tylko skupienie i ostrożność. Nie wiemy, co to za duch, i nie mamy pojęcia, czy w ogóle będzie chciał z nami rozmawiać. Tak czy inaczej, spróbujemy. Nic nie mówcie, trzymajcie się za ręce i w miarę możliwości postarajcie się nie puszczać wzajemnie swoich dłoni. Kate, ty możesz wizualizować sobie ducha. Jesteś w końcu jedyną osobą, która go widziała.

Kate przytaknęła cicho, czując, że jej kłamstwo zaszło już za daleko, skoro siedzieli przy zimnym, kamiennym stole, oświetlonym jedynie blaskiem świec, i starali się przyzwać ducha, który być może wcale nie istniał.

Dopiero gdy chwycili się za ręce, uświadomiła sobie, że obok niej siedzi Diana, która – jakby na złość – zacisnęła mocno dłoń na jej palcach. Całe szczęście, że po drugiej stronie Kate miała Toma. Przynajmniej zapewniał jakąś równowagę.

– Wyciszcie się – powiedziała znów pani Jenkins, a Kate od razu przypomniała sobie, o co tak naprawdę chodzi w magii: zawsze i wszędzie się wyciszać, zwłaszcza w chwilach, gdy grozi ci śmierć lub trwałe uszkodzenie ciała.

Wszyscy oddychali głęboko i miarowo. Kate próbowała się do nich dostroić, ale ponieważ każde znalazło własny rytm,

nie mogła się zdecydować, kogo powinna naśladować. Uznała, że najlepiej będzie oddychać po swojemu, i kiedy była już na najlepszej drodze do wyciszenia, znów rozbrzmiał głos pani Jenkins:

– Wzywamy cię, duchu zamieszkujący ten dom. – Pani Jenkins powtarzała to zdanie coraz wyraźniej, a jej głos zdawał się wibrować w coraz chłodniejszym powietrzu. – Czy jesteś z nami?

Gdyby nie podniosła atmosfera, Kate zaczęłaby się nerwowo uśmiechać. Właśnie zdała sobie sprawę z tego, że taki seans mogłaby urządzić z Mel, ale sama myśl, że siedzi tu z ciotką Hilleną, która przed swoimi studentami udaje bardziej racjonalną od Darwina, wydawała jej się dziwaczna. Ciotka, jak prawie wszyscy pozostali, miała przymknięte oczy. Tylko Tom uważnie śledził to, co działo się na tabliczce. Czyli, jak dotąd, nic.

– Okaż nam swoją obecność – powiedziała pani Jenkins.

Kate zastanawiała się, jak długo będzie to jeszcze trwać, zanim zrozumieją, że nie ma żadnego ducha. Nagle, w momencie najbardziej wyężonego skupienia i największej ciszy, za oknem rozległ się dźwięk odpalanego silnika. Przez szybę do jadalni wdarły się światła samochodu. Kate omal nie puściła ręki Diany, chcąc odruchowo złapać się za klatkę piersiową.

– O cholera. – Selene wstała, próbując odejść od stołu, ale pani Jenkins powstrzymała ją. – To Stevie, mój samochód. Znowu się uruchomił. Pewnie myślał, że to jego przywołujemy.

– Co? – Pani Jenkins zabrzmiała, jakby nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

– Samochód jest opętany, rozumiesz – zaczęła tłumaczyć Selene. – Zapomniałam ci powiedzieć.

– Nie przerywajmy połączenia – odparła pani Jenkins, zdradzając już pewne oznaki zniecierpliwienia. – Usiądź.

Gdy tylko Selene znów zajęła miejsce, Kate, która zdążyła już na nowo zacząć się nudzić, omal nie krzyknęła. W miejscu, w którym przed chwilą stała Selene, tuż za jej plecami, wyrosła sylwetka mężczyzny – niebieska, ulepiona jakby z poświaty, która zdawała się płynąć i formować w eteryczne kształty. Patrzył w stronę tabliczki, ale jego twarz była niewyraźna, jakby lekko zamazana przez poświatę. Pochylił się obok ciotki Hilleny i wyciągnął rękę, a jego dłoń, przypominająca świetlisty, biały posąg, spoczęła na tabliczce. Palcem dotykał wskaźnika.

Kate była tym wszystkim bardziej zszokowana niż przerażona. Nie spodziewała się, że w ogóle cokolwiek zobaczy, w dodatku zdawało się, że nikt inny nie zauważył ducha. On sam też nie wydawał się zainteresowany siedzącymi wiedźmami. Mrużył oczy, próbując skupić całą swoją moc na wskaźniku. Tom wciąż wpatrywał się w tabliczkę, nawet nie spojrzął na świetlistą postać. Ciotka szczękała tylko od czasu do czasu zębami, gdy ramię ducha przenikało jej ciało.

Rozległo się szuranie. Wszyscy jak na komendę otworzyli oczy. Duch zaczął przesuwac wskaźnik po tabliczce. Kate ze zdumieniem odkryła, że nadal wszyscy zdawali się nie dostrzegać jego ręki, a wiedli wzrokiem tylko za wskaźnikiem, który wskazywał kolejne litery. Może widok duchów był dla nich zbyt naturalny, żeby jeszcze się mu dziwili?

PRZYBYŁEM – zakomunikował duch.

– Witaj – odparła pani Jenkins zaskakująco trzeźwo. – Kim jesteś?

Duch znów zaczął poruszać wskaźnikiem. Kate ani słowem nie napomknęła, że go widzi, w obawie, że mogłaby się ośmieszyć, gdyby okazało się to zbyt oczywiste. Tom sięgnął po notes, który ze sobą wziął, i zaczął notować odpowiedź ducha.

ZNASZ MNIE – brzmiała.

– Kto cię zna? – zapytała pani Jenkins. – Jest nas tu wiele. Tym razem wskaźnik zatrzymał się tylko na trzech literach. *LAE*.

– Ja? – szepnęła pani Jenkins. – Jestem medium, znam wiele duchów – dodała, patrząc kolejno po wszystkich, jakby na swoje usprawiedliwienie.

– Spróbujmy inaczej – zaproponowała pani Hallander. Duch spojrział w jej stronę. Kate zastanawiała się, czy ciotka naprawdę tego nie zauważa, czy po prostu nie zwraca uwagi. – Duchu – zapytała – czy masz dla nas jakąś wiadomość?

W odpowiedzi wskazówka najpierw zatrzymała się na słowie *TAK*, a potem zaczęła pokazywać kolejne litery. Tom i Lilian czytali je wspólnie.

– J, O, N, N, Y.

– Jonny? – zapytała Selene. – To dla niego masz wiadomość? Nie ma go wśród nas.

Ale duch zdawał się jej nie słuchać. Nadal przesuwiał wskaźnik, a z liter utworzyły się jeszcze tylko dwa słowa.

– *Powiedz mu* – przeczytał Tom.

Selene zmarszczyła czoło.

– *Jonny. Powiedz mu* – powtórzyła. – Czy ktoś z was zna

jakiegoś Jonny'ego?

Z jakiegoś powodu oczy wszystkich zatrzymały się nie na Kate, która miała być przecież główną poszkodowaną, ale na pani Jenkins. Miała nietęgą minę. Sprawiała wrażenie, jakby siłowała się ze słowami. Jednak zamiast mówić, bez ostrzeżenia zdmuchnęła wszystkie świece. Jadalnia pogrążyła się w mroku. Tom zapalił światło, a duch zniknął.

– Co jest? – Selene spytała panią Jenkins, która, wciąż mając przerażoną minę, zaczęła pakować swoje rzeczy.

– O co chodzi, Laeticio? – Pani Hallander wstała od stołu. Wyglądała na nie mniej przerażoną od pani Jenkins. – Kim był ten duch? Kim jest Jonny?

– I co to ma wspólnego z Kate? – dodała Lilian.

– Z Kate? – odparła pani Jenkins, patrząc zdumiona na Lilian i zatraskując swoją tabliczkę, która na powrót stała się walizką. – Nic. Nie chodzi o Kate. To po prostu taki... duch. Duch, który wciąż nie daje mi spokoju. Muszę go wreszcie odegnąć.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak groźba, dlatego też pani Jenkins wygłosiła je w stronę sufitu, po czym ruszyła ku drzwiom. Pani Hallander i Selene podążyły za nią.

– Szałwia! – zawołała, stojąc już w progu. – Trzeba okadzić cały dom szalwią. – Zrobiła zamaszysty ruch ręką. – Ona wygryzie wszystko, co się tu załęgło, a jak nie, to z duchami pogadamy sobie inaczej. Odwagi, Kate – rzuciła. W ustach osoby, która wyglądała teraz na całkiem roztrzęsioną, nie brzmiało to zbyt przekonująco.

Pani Jenkins pocałowała Selene i ciotkę Hillenę na do widzenia. Ani razu nie dała im już dojść do słowa. Ledwo otworzyła zegar w przedpokoju, od razu przeniosła się do

biblioteki. Albo do innego miejsca, w którym mogła czuć się bezpiecznie.

– O czym ona mówiła? – zastanawiała się pani Hallander, gdy razem z Selene wróciły do jadalni. – O co mogło jej chodzić?

Kate poczuła niemiły skurcz w żołądku, myśląc o duchu. Z drugiej strony doznała też ulgi, bo wszystko wskazywało na to, że przynajmniej w tej jednej kwestii nie chodziło o nią. Naturalnie ulga minęła od razu, gdy tylko przypomniała sobie o tym, co zobaczyła w łazience i co dotyczyło jej bardziej niż kogokolwiek innego.

– Ciekawe... – Westchnęła Lilian, patrząc w okno. Stevie stał już zaparkowany jak zwyczajny samochód. – Ciekawe, co to za Jonny i co chce mu powiedzieć ten duch...



Rozdział 16

Czterogłowy smok

– Dlaczego o niczym mi nie powiedziałaś?!

Była już noc, gdy Jonathan wparował do pokoju hotelowego. Był tak wzburzony, że nawet wsadzenie klucza w zamek przychodziło mu z trudem. Nie odpisał na żadną z wiadomości, którymi zasypała go matka. Swoją złość mógł wyrazić tylko słowami. Przez cały czas go oszukiwała. Początkowo łudził się, że rzucono na nią czar, że naprawdę wierzyła w wypadek. Ale ona wiedziała.

„Nie będę niczego komentować” – powiedziała wiedźmiarskiej prasie. „Proszę zostawić mnie w spokoju”.

Teraz siedziała na łóżku. Na jej twarzy odmalowywał się udawany spokój.

– O czym ci nie powiedziałam?

Jonathan rzucił na łóżko *Wiedźmik* z obszernym

artykułem o ojcu. Dopiero wtedy się przeraziła.

– Skąd to masz? – syknęła.

– Mam więcej. I przeczytałem więcej. Teraz wiem już o wszystkim, o czym nie chciałaś mi powiedzieć.

Matka wzięła gazetę do ręki, ale nawet na nią nie spojrzała. Wściekłym ruchem zrzuciła ją na podłogę.

– Nie rozumiesz! – krzyknęła.

– Przeciwnie. Teraz już rozumiem. Jesteś oszustką i manipulatką. Jesteś zakłamana i podła. Przez całe życie bałaś się czarownic, wmawiałaś mi, że są złe. Ale to nie one takie są. To właśnie ty! To ty jesteś zła!

Matka otworzyła usta ze zdumieniem. Nigdy do tej pory nie usłyszała od Jonathana tylu gorzkich słów. W sąsiednim pokoju ktoś kilka razy walnął w ścianę.

– Ciszej tam! – zawołał nieznajomy. To tylko jeszcze bardziej rozwścieczyło Jonathana. On również uderzył w ścianę, tylko raz, ale na tyle mocno, że prawie wybił w niej dziurę. Nie przejąłby się, gdyby to zrobił. Musiał się na czymś wyżyć.

– Wariaci, pomyleńcy – odezwał się znów głos zza ściany.

– Uspokój się – rzuciła matka. – Chcesz, żeby jacyś obcy ludzie słyszeli, jak gadasz o wiedźmach, i wzięli cię za szaleńca?

– Nie obchodzi mnie to! Nie znam ani ich, ani ciebie! Jesteś dla mnie równie obca, co oni!

– Tak? – Wbiła w niego wściekły wzrok. – To może czarownice są dla ciebie bliższe, co? Może stały się twoją nową rodziną po tych bzdurach, które nakładły ci do głowy?

Jonathan schylił się po gazetę, otworzył ją na stronach z artykułem o ojcu i podstawił go matce pod nos.

– Bzdury? – powiedział. – To nazywasz bzdurami?

Odwróciła głowę od zdjęcia z rozbitym samochodem. Podeszła do lustra i zaczęła układać sobie fryzurę. Wróciła do udawanego przez całe życie opanowania. Nie było w nim miejsca na dawne, bolesne wspomnienia.

– Niewiele ci potrzeba, żebyś odrzucił własną rodzinę – powiedziała. – Starczy pokazać ci jakieś sztuczki, omamić.

– Pokazać *prawdę!* To ty mnie mamaś. Oni wszystko mi powiedzieli.

– Wszystko?! – krzyknęła. – A czy powiedzieli ci o strachu, który czujesz, gdy prześladują cię namhajdy? Nie? A o niepewności w obliczu tego, co czeka cię jutro? Też nie? A o zmęczeniu ciągłym ukrywaniem się, odrzuceniu, gdy bliscy wybierają magię zamiast ciebie? A o bólu, który przeżywasz, gdy tracisz... jedyną... ukochaną osobę?

W tym momencie usiadła na łóżku i zalała się łzami.

– Tym razem to na mnie nie podziała – oznajmił chłodno Jonathan, mimo że mogły to być najszczerze łzy, jakie matka do tej pory wylała.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Nie otwieraj. – Zerwała się z łóżka i zaczęła wycierać oczy.

Pukanie rozległo się ponownie. Jonathan podszedł do drzwi.

– Kto tam?

– Recepcjonistka.

Nie miał wyboru, musiał jej otworzyć. W progu stała ta sama młoda dziewczyna, która przyjmowała ich do hotelu. Wyglądała na zmęczoną i złą, ale starała się zachować spokój.

– Lokatorzy z sąsiedniego pokoju skarżą się na hałas – powiedziała. – Chciałam sprawdzić, czy wszystko u państwa w porządku.

Jonathan rzucił krótkie „Tak”, ale recepcjonistka nie patrzyła na niego. Zwróciła uwagę na matkę, która znów poprawiała się przed lustrem.

– Proszę pani?

– Tak? – Matka nie spojrzała w jej stronę, ale jej poważna twarz odbiła się w lustrze.

– Dobrze się pani czuje?

– Tak, oczywiście.

Recepcjonistka zmarszczyła czoło.

– Gdyby państwo czegoś...

– Tak, wiemy, dziękujemy – uciął Jonathan i zamknął recepcjonistce drzwi przed nosem akurat w momencie, gdy znów zaczęła się rozglądać po pokoju.

– Mówiłam ci, żebyś się uspokoił! – fuknęła matka. – Chcesz mieć do czynienia z policją, a potem psychiatrą?

Jonathan z trudem powstrzymywał się przed kolejnym wybuchem.

– Jak mam się uspokoić? – zapytał. – Okazało się, że jestem kimś innym, niż sądziłem!

– Nieprawda. Co najwyżej dowiedziałeś się, że to twój ojciec był kimś innym. To nie zmienia ciebie.

– Chyba żartujesz! – Jonathan ponownie się uniósł, ale szybko ściszył głos. – Mój ojciec był *czarownikiem*. To stawia moje... moje *umiejętności* w zupełnie innym świetle.

Lustro zatrzeszczało, gdy matka oparła się o nie rękoma. Przez chwilę oddychała głęboko, a potem powoli usiadła na stojącym obok krześle. Westchnęła, wbijając wzrok

w podłogę.

– No właśnie...

– *Co no właśnie?*

– Nadal niczego nie rozumiesz? – Podniosła głowę. Wyglądała, jakby zaraz na nowo miała się rozpłakać, ale nie zrobiła tego. – Jak myślisz, dlaczego twój ojciec zginął?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Nikt tego nie wie. Sprawa nie została wyjaśniona.

Zaśmiała się gorzko.

– Możesz być pewien, że twojego ojca nie zabił żaden człowiek. Żaden *zwykły* człowiek. Twój ojciec zginął z ręki więdźmy.

Tego Jonathan akurat mógł domyślić się sam.

– Pomyśl tylko – ciągnęła matka. – *Kto* prowadził śledztwo w jego sprawie?

– Społeczność. To logiczne. Przecież wszyscy inni myśleli, że zginął w wypadku.

To nie wzbudziło w Jonathanie żadnych podejrzeń. Rozumiał, że nikt nie mógł ogłosić, że śmierć jego ojca miała związek z magią. Czytał o Społeczności i wiedział, że takie sprawy trzeba tuszować.

– Możesz mówić, że cię okłamywałam – mówiła dalej – ale to, co powiedziałam ci na temat mocy więdźm, to prawda. One wierzą, że zabijając kogoś, można zyskać jego siłę. Twój ojciec dysponował potężną mocą, co każe mi sądzić, że osoba, która go zamordowała, była kimś ważnym. To mógł być nawet ktoś ze Społeczności. Jeśli maczali w tym palce, to nic dziwnego, że sprawa pozostaje do dziś niewyjaśniona.

– Nie masz na to dowodów – zauważył Jonathan. Z jakiegoś powodu był przekonany, że matka znów próbuje

swojej gry. Od zawsze obwiniała czarownice za całe zło, szczególnie to, które przytrafiało się jej samej.

– Nie bądź naiwny – powiedziała. – Czy wiesz, jaką moc posiadają czarownice? Gdyby zależało im na prawdzie w kwestii ojca, już dawno byśmy ją znali.

– Jeśli od początku je podejrzewałaś, dlaczego milczałaś? Mogłaś coś z tym zrobić.

– Żartujesz? Nie jestem wiedźmą. Nie potrafiłabym się im przeciwstawić! – Zamilkła na chwilę, a potem cichym głosem spytała: – Teraz już rozumiesz?

Ale Jonathan twardo obstawał przy swoim:

– Nie – odpowiedział. – Ja bym tego tak nie zostawił.

– Bo nie masz dzieci! Bałam się, że i tobie zrobią krzywdę. Właśnie dlatego postanowiłam milczeć, choć wewnątrz palił mnie ból, prawda chciała się wydostać i za każdym razem, gdy jej tego odmawiałam, czułam się, jakbym wciąż na nowo chowała własnego męża. Z uwagi na twoje dobro wolałam jednak udawać, że niczego nie podejrzewam. Odcięłam się od wszystkich wiedźm i czarowników, których znałam, nawet od twojego wuja, Randolpha. A tobie nie wyznałam prawdy, bo obawiałam się, że zechcesz rozwinąć swoją moc. Mordercy ojca byłoby wtedy łatwiej cię wytropić. Wolałam, żebyś stracił wszystkie te przeklęte umiejętności i przeżył. Tyle mogłam zrobić.

Wysiłki Jonathana, by ją zrozumieć, spełzły na niczym. Nie potrafił tego zrobić. To, co mówiła, wydawało mu się wyolbrzymione, zupełnie jakby uważała, że cała Społeczność knuła przeciwko nim.

– Jestem już dorosły – powiedział Jonathan. – Dłużej nie możesz mnie chronić. Zresztą nie masz już przed czym, bo

wszystko wiem.

Matka pokręciła głową i podpierając się rękoma, jakby ta rozmowa odebrała jej siły, podniosła się z krzesła. Potem zrobiła coś nieoczekiwanego: zaczęła zakładać kurtkę.

– Co robisz? – zdziwił się Jonathan.

– Masz rację – odparła, zapinając bluzę pod samą szyję. – Teraz nie ma już sensu niczego ukrywać. Musimy iść.

– Iść? – powtórzył Jonathan. – Gdzie mamy iść?

– Do lasu. Do Jęczącego Lasu. Skoro przyjechaliśmy do Hagsborough, pora zakończyć tę historię. Chcę, żebyś wreszcie dowiedział się, o co w tym wszystkim chodzi.

Rzuciła mu płaszcz, a sama wyjęła z torby masywną latarkę. Nie wiedział, że ją zabrała, zupełnie jakby od początku planowała wyjście do lasu.

– Ubieraj się.

– Teraz?

Jonathan przyglądał się matce z najwyższym zdumieniem. Nie wyglądała na szaloną. Wręcz przeciwnie. Spokojnie położyła rękę na jego ramieniu i zaczęła tłumaczyć:

– Tamtej nocy ojciec ukrył coś w Jęczącym Lesie. Sądzę, że morderca chciał zabrać tę rzecz. Być może mu się udało, a być może to wciąż tam jest. Chcę sprawdzić. Trzeba wreszcie doprowadzić tę historię do końca.

Jonathan już nic na to nie odpowiedział. Matka mogła mieć rację. Może właśnie teraz, po tylu nieudanych próbach, nadszedł czas, żeby to wszystko zrozumieć. Założył płaszcz i razem zeszli na dół. Recepcjonistka bez słowa przyjęła klucz i podejrzliwym wzrokiem odprowadziła ich w stronę drzwi. Na zewnątrz panowała ciemna, chłodna noc.

Nie słyszeli żadnych ludzkich głosów. Okolica wydawała się

niemal wymarła. Przez ostatnie dni ludzi rozganiały ulewy, teraz porywisty, zimny wiatr unosił parasole nad stolikami przy barach. W powietrzu czuć było jesienną aurę.

Milczeli, idąc w stronę lasu. Matka szła przodem. Jej wysokie obcasy stukały o asfalt. Była ubrana całkiem na czarno i gdy przechodziła między budynkami, była niemal niewidoczna. Jonathan czuł się, jakby po raz pierwszy przeżywał żałobę po ojcu, jakby ich droga do lasu była pochodem orszaku żałobnego.

Z dala od budynków i świateł wszystko wydawało się coraz bardziej obce. Drzewa Jęczącego Lasu nie dopuszczały do siebie cywilizacji. Wyrastały nagle, niczym wartownicy. Ich wielkość przytłaczała, zwłaszcza teraz, gdy przestało już padać i cisza stawała się namacalna. Jonathan miał wrażenie, że w lesie czuwa coś, co zamarło tu dawno, dawno temu.

Matka zatrzymała się dopiero przy latarni, która wciąż oświetlała niewielką część drogi.

– To tu znajduje się przejście – oznajmiła.

– Przejście?

– Do Jęczącego Lasu nie można przedostać się tak po prostu. Drzewa by cię uwięziły. Są zaklęte.

– Czytałem, że od dawna nikt nie mógł się tutaj dostać.

– Bo nie znał klucza. Jest nim latarnia.

Mówiąc to, matka pochwyciła Jonathana za rękę i przyłożyła jego dłoń do słupa.

– Czujesz? To symbol.

Pod palcami dało się wyczuć jakiś wyryty wzór. Wydawał się jednak zbyt poplątany, by można było wyobrazić go sobie jedynie za pomocą dotyku.

– Ma wiele linii – zauważył Jonathan. – Są jakby... pokręcone. I czymś zakończone.

– To smok. Czterogłowy smok. Czwórka to liczba żywiołów, sił natury, a głowy smoka to myśli. Chodzi o to, że naturę można ujarzmić umysłem. Ale mniejsza z tym. Smok jest też mapą.

– Potrafisz ją odczytać?

– Tak. Każda z głów jest drogą wiodącą do lasu. Latarnia jest szyją, z której wyrastają.

– To znaczy, że z tego miejsca do Jęczącego Lasu prowadzą cztery drogi. I nikt o tym nie wie?

Matka przejechała ręką po latarni.

– Ja wiem – powiedziała. – Znam przynajmniej jedną z tych dróg. To ta sama, którą szedł twój ojciec. Widocznie po zamknięciu las nie był w stanie dotknąć pozostawionej na niej magii.

Jeszcze przez kilka chwil matka szukała wzrokiem ścieżki w mroku, a potem ruszyła przed siebie i przywołała Jonathana ręką.

– Chodź za mną – powiedziała.

Drzewa przypominały ogromny, gęsty żywopłot. Nie było sposobu, by przedrzeć się przez nie, idąc ramię w ramię. Jonathan szedł o krok za matką, obawiając się, że w ciemności może stracić ją z oczu. Zapaliła latarkę dopiero, gdy byli już w głębi lasu. Jonathan ledwo przeciskał się między grubymi pniami i posplatanyimi gałęziami, jednak teraz przestały go zatrzymywać. Las, być może niechętnie, ustępował. Ziemia była wyjątkowo sucha, zupełnie jakby korzenie drzew zdążyły wchłonąć każdą kroplę deszczu, jaka na nią spadła.

– Las odczuwa wielki głód – powiedziała matka, dotykając spróchniałych gałęzi. – Tkwiące w nim życie chce zostać nakarmione.

– Mówisz tak, jakby las był jakąś istotą...

– Bo jest. Każde miejsce ma swojego ducha, który je zasila. Czasami ten duch może się nawet materializować, przybierając kształt upodabniający go do miejsca, które zamieszkuje. Wątpię, że duch Jęczącego Lasu będzie w stanie to zrobić. Jest już zbyt słaby, ale wciąż gdzieś tu drzemie i kurczowo trzyma się resztek życia.

Jonathan rozglądał się dookoła. Nie dostrzegł na martwych drzewach ani jednej istoty, sowy, nawet liści, które nie byłyby uschnięte. Czuł jednak, że matka miała rację. Coś się tu czaiło, ale jeśli było zdolne wykonać oddech, to nie częściej niż raz na wiele, wiele miesięcy, i chyba tylko po to, by strzepać z gałęzi kolejne liście. Nie był to oddech życia.

Im dalej szli, tym prostsza stawała się ścieżka. Wreszcie nie musieli już przedzierać się przez drzewa. Matka nie zwalniała.

– Czy kiedy byłaś z ojcem – zapytał Jonathan – to nigdy nie chciałaś zostać wiedźmą? Nie fascynowało cię to?

Matka westchnęła przeciągle.

– Owszem – powiedziała – ale wiele rzeczy sprawiało też, że wolałam trzymać się z daleka. Magia zmienia ludzi. Przyjaciele stają się wrogami, rodziny odwracają od siebie. Jaar jest niebezpieczny, wszędzie czają się namhajdy.

Jonathan czytał o Jaarze, ferach, namhajdach, jednorożcach... Tak bardzo chciał zobaczyć to wszystko na własne oczy, że był gotów poprosić Joego, by go tam

przeniósł. Uznał jednak, że to zły pomysł. Jeśli były to istoty z krwi i kości, to czytanie o nich było o wiele bezpieczniejsze niż bezpośrednie spotkanie.

– Mielście... *problemy*? – zapytał. Starał się być delikatny, ale jeszcze nigdy nie rozmawiał z matką o ojcu tak szczerze jak teraz.

– Jak wszyscy. Tyle że magia je potęgowała. Najgorzej było po twoim urodzeniu. Ojciec był samoukiem i nie wszystkie zaklęcia mu wychodziły. Bałam się o ciebie.

– Samoukiem? – podchwycił Jonathan. – Co to właściwie znaczy? Każdy może stać się czarownikiem? Tak po prostu?

– Moc rośnie latami. Jej nośnikiem jest krew, dlatego w magicznych rodzinach rozwija się szybciej. Inni muszą znaleźć kogoś, kto ich wprowadzi. Wiem tylko tyle, że chodzi o zmieszanie krwi. Zresztą nawet gdybym wiedziała więcej, nie powiedziałabym ci. Nie mam zamiaru ułatwiać ci zostania czarownikiem. Nie będę ci też tego zabraniać, choć wolałabym, żebyś nie szedł w ślady ojca...

Jonathan rozmyślał przez chwilę nad jej słowami. Ślady ojca wydały mu się teraz czymś całkiem dosłownym.

– On... – zaczął. – On chciał mnie tutaj zaprowadzić.

Matka nagle się zatrzymała i odwróciła w jego stronę. Światło latarki ukazało emocje na jej twarzy – zaskoczenie zmieszane z przerażeniem.

– O czym ty mówisz?

– Widziałem go. Mężczyzna z moich snów to on. Teraz jestem tego pewien. Wiem, że to dziwne, ale biorąc pod uwagę istnienie wszystkich tych dziwnych istot...

– Rozmawialiście? – Matka nadal wyglądała na zdenerwowaną.

– Nie, był tylko w moich snach. Nic nie mówił.

Po tym zapewnieniu z jej twarzy znikł niepokój.

– Tak... – powiedziała. – Wszystko wskazuje na to, że czas faktycznie już nadszedł...

Szli jeszcze przez chwilę, aż stanęli przed niewielkim wzniesieniem. Gdy matka zbliżyła się do niego z latarką, Jonathan dostrzegł, że to wejście do jaskini.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła. – Sama się dziwię, że wciąż pamiętałam, jak tu dotrzeć.

– Musimy wejść do środka? – Jonathan udawał, że boi się znacznie mniej niż w rzeczywistości. Jaskinia mogła być przecież zaklęta, a jeśli tak, to jak sobie poradzą? Przecież nie znali magii.

– Anthony czekał na nas od dawna – odparła matka. – Nie zwlekajmy dłużej.

Skinęła na Jonathana, a on podszedł bliżej. Stali teraz tuż przed jaskinią. Z wnętrza dochodziły ziemisty zapach i chłód. Poza tym panował tam mrok tak gęsty, że niemal duszący.

Jonathan niepewnie zrobił krok naprzód, a wtedy z jaskini wychyliła się jakaś sylwetka. Nie zdążył jednak dokładnie jej zobaczyć, bo w tym samym momencie poczuł, jak całe jego ciało ogarnia paraliż. Upadł na ziemię, nie mogąc poruszyć nawet palcem, wciąż będąc w pełni świadomym tego, co się działo. Przed jego szeroko otwartymi oczami ukazały się gałęzie drzew Jęczącego Lasu, rozkładające się na tle ciemnego nieba.

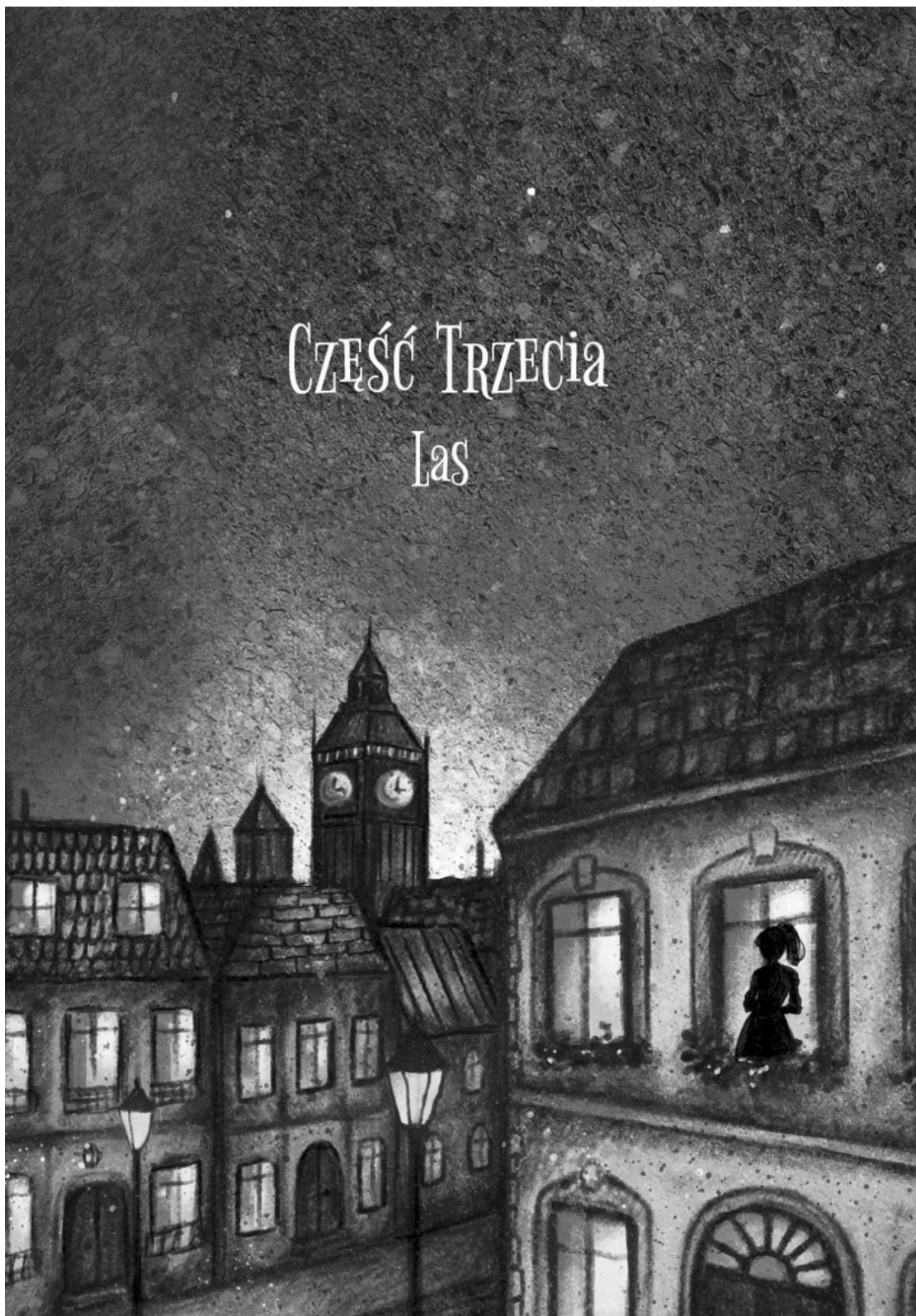
Usłyszał dwa głosy.

– Wreszcie – powiedział pierwszy z nich. – Nie wierzyłem, że w końcu ci się to uda.

– Musiałam dokończyć to, co zaczęłam piętnaście lat temu
– odparł drugi głos. – Pora dopełnić ofiary dla Wielkiego
Pana. I dla mnie.

Drugi głos należał do jego matki.

CZEŚĆ TRZECIA
Las



„– Ojcze, mój ojczy, czy służyć nie chcesz
Obietnic, jakie król elfów mi szepcze?
– Spokojnie, me dziecko, bać się nie trzeba;
To tylko pieśń wiatru i liści na drzewach”.

Johann Wolfgang von Goethe, *Król elfów*



Rozdział 17

Herbata z ferami

Kate miała tej nocy pecha.

Ciotka Hillena i Selene zarządziły wielkie oczyszczenie domu, a wszystkie doświadczone czarownice miały im w tym pomóc. Ponieważ niedoświadczona czarownica była tylko jedna, a Kate bała się zostać sama, przywołała do siebie Fiona. Ten z kolei wpadł na genialny pomysł. Tak mu się przynajmniej wydawało.

– Zwołajmy ferze zgromadzenie! – Postanowił podzielić się nim ze wszystkimi bez uprzedniej konsultacji z Kate. – No wiecie, wszyscy przywołacie swoje fery i zrobimy wokół Kate coś w rodzaju kręgu ochronnego.

Fion widział zabójcze spojrzenie Kate tylko przez moment, bo już po chwili wygrzewał się w blasku bijącym z rozpromienionej twarzy ciotki Hilleny.

– To świetny pomysł! – uznała. – Dzięki temu Kate nie tylko będzie dodatkowo chroniona, ale przy okazji może nauczyć się czegoś ciekawego o magii.

O tak – pomyślała Kate. Każdy moment jest dobry, żeby czegoś się nauczyć, zwłaszcza kiedy atakują cię duchy z luster.

Zadowolenie nagle zniknęło z twarzy Fiona.

– Tylko Hilleno – powiedział, nachylając się ku ciotce. Ale Kate i tak usłyszała, co jej szepnął: – Może jednak nie wzywaj mojego ojca. Ostatnio nie żyjemy w najlepszych stosunkach.

Pani Hallander pokiwała głową. Harold był jej ferem, a dla nikogo, kto znał rodzinę ỳl Maas, nie było tajemnicą, że Fiona i jego ojciec bez przerwy się kłóca. Harold wciąż był na niego zły za ucieczkę z domu, konszachty z podejrzaną nimfą i o to, że kilkakrotnie niemal doprowadził Kate i samego siebie do śmierci. Trzeba było przyznać, że miał trochę powodów, by się wściekać.

Po chwili w domu zaczęły zjawiać się fery. Jako pierwsza pojawiła się mała istota z długimi, srebrzystymi włosami, które opadały swobodnie na jej nagie, lśniące ciało. Miała ogromne oczy, którymi patrzyła na wszystkich tak, jakby miała zamiar ich zaczarować. Siedziała na czymś, co przypominało kwiat lotosu. Wszystko to byłoby całkiem romantyczne, gdyby nie fakt, że wylądowała na stole zaraz obok pustej filiżanki po herbacie.

– Och, Boże – jęknęła Lilian – zaraz przyniosę ci jakąś dużą miskę.

I wybiegła do kuchni.

– Tylko pamiętaj, żeby woda była letnia! – zawołała za nią

ferini. O ile to w ogóle *była* ferini. Kate nie przypominała sobie, by kiedykolwiek wcześniej widziała podobnego fera. Nie tylko jej oczy były mniej ludzkie niż u innych ferów, ale wyglądało na to, że lotos stanowi tak naprawdę część jej ciała. Nie miała też skrzydeł.

– Jestem Sundari ze Stawu Świetlistych Łabędzi – przedstawiła się, patrząc na Kate i Fiona. Głos miała piskliwy, ale starała się dodać mu jak najwięcej majestatyczności. Fion patrzył na nią jak zahipnotyzowany.

– Stawu – powiedział rozmarzonym głosem i zaczął się jąkać. – Jest... jesteś... rus... rusał... rusałką...

Kate szturchnęła go delikatnie i uśmiechnęła się do Sundari.

– Jestem Kate – powiedziała – a to mój fer, Fion.

– Tak, zgadza się, w połowie jestem wodną rusałką. – Sundari odwróciła głowę od Fiona, zadzierając podbródek, jakby chciała zawczasu zasugerować mu, że nic z tego nie będzie.

Lilian wróciła z piękną, ozdobną misą, do której włożyła Sundari, tymczasem Tom przyzwał swojego fera, Hiacinthusa. Kate spodziewała się, że będzie podobny do ferini Lilian. Wiedziała, że fery często rodzą się w tym samym czasie, co ich przyszłe wiedźmy, nie zdziwiłaby się więc, gdyby okazało się, że Hiacinthus i Sundari są bliźniętami. Była jednak w błędzie – w jadalni zjawił się szczupły, wysoki i atletycznie zbudowany fer. Miał łososiową skórę i jaskrawe motyle skrzydła, a jego czarne włosy były zmierzwione, jakby przed chwilą rozwiały je silny wiatr. Hiacinthus nosił się podobnie jak Murugan, kuzyn Fiona – czyli właściwie się nie nosił; prócz dużego złotego wisiora

i kilku pierścieni nie miał na sobie nic więcej.

– Jestem Hiacinthus – powiedział i skłonił głowę przed Kate, która, uznawszy, że tak trzeba, też wykonała coś w rodzaju ukłonu. Przyzwyczała się już do tego, że brak stroju u ferów wcale nie jest równoznaczny z brakiem manier. Czasami im mniej na sobie nosiły, tym bardziej arystokratyczne się wydawały.

Po chwili dały się słyszeć przekleństwa, wypowiedane głosem, który Kate dobrze знаła. W progu kuchni stanęła Babcia Annwynn. Chciała chyba wejść w wielkim stylu, ale nie do końca jej się to udało. Z jej olbrzymiego nakrycia głowy – które Fion nazywał tukhą, a Kate śmietniskiem – spadały jakieś nitki, przypominające brudny, rozgotowany makaron.

– Cholerne wodorosty! – przeklinała, strzepując je z siebie.
– Wpadłam do wody w Arenthaal – wytłumaczyła, gdy wszyscy wlepili w nią zaskoczone spojrzenia – a to świństwo od razu mnie oblaźło.

Wodorosty spadły na podłogę, a przerażona Kate odkryła, że się ruszały. Wrzasnęła, gdy zaczęły pełznąć w jej kierunku.

– Bez paniki – powiedziała Selene. – Są niegroźne. Choć dość obrzydliwe, fakt...

Jedyną osobą niewyglądającą na obrzydzoną widokiem wodorostów była ciotka Hillena. Co gorsza, glizdowate nitki zdawały się ją fascynować.

– *Naratomnia meleoveare!* – zawołała, co brzmiało trochę jak włoski, a trochę jak klątwa, i w mgnieniu oka znalazła się przy wodorostach. Zaczęła zbierać je z podłogi gołymi rękami, co niemal wywołało u Kate odruch wymiotny.

Babcia Annwynn też patrzyła na tę scenę z niesmakiem. Próbowwała wyplątać z włosów jeszcze jeden wijący się malutki wodorost.

– To formy pośrednie między roślinami i zwierzętami! – Ciotka Hillena cieszyła się jak dziecko. – W Jaarze wciąż jeszcze istnieje tak wiele dowodów na wielką ewolucję gatunków. Gdybyśmy tylko mieli je na Ziemi... – Westchnęła rozmarzona.

– Faj! – Kate się wzdrygnęła. Na samą myśl o tym, że coś podobnego mogłoby żyć na Ziemi, poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

– No, i w co żeś się znowu wpakowała, dziewczyno? – zapytała Babcia Annwynn, lustrując Kate swoimi żółtawymi oczami.

– Znasz Annwynn? – zdziwiła się Selene. – Jest ferinią moją i Diany.

– Och. – Kate pokręciła głową, a w duchu zaczęła się śmiać do rozpuku. Bo jeśli Babcia Annywnn była ferinią Diany, to znaczy, że wszechświat przykładowie ukarał je za ich charakter. – Nie zrobiłam niczego szczególnego.

– No, wcale bym się tego nie spodziewała – odparła Babcia Annwynn z wyższością.

Grupa oczyszczająca udała się do łazienki, a Kate i fery przeszły – Sundari została ostrożnie przeniesiona przez Hiacintusa – do sypialni. To, co miało być kręgiem ochronnym, szybko przerodziło się w spotkanie towarzyskie.

– Zakląłem kiedyś włócznię – opowiadał Hiacintus. – Działała wyśmienicie. Przypuszczam, że było tak dlatego, że łączyła w sobie różdżkę i athame, kij i grot, ogień i powietrze. Myślę, że połączona symbolika znacznie

wzmacnia magię.

– Ja wolę metody niekonwencjonalne – rzuciła Sundari. Podczas rozmowy zapominała o byciu dystyngowaną i wciąż wyrywała się, by coś powiedzieć, przez co jej głos robił się coraz bardziej piskliwy. – Wsączyłam kiedyś truciznę do bańki wodnej. Nie jakąś mocną, po prostu jad węzownika brzeźnowniczka. To wodny gad – dodała w stronę Kate ważnym, niemal profesorskim tonem. – Jego wydzieliny nie są zbyt toksyczne, raczej trochę żrące. Gdy ktoś napastuje mnie nad stawem, a to czasem się zdarza, to... trach mu po oczach! – zawołała nagle, sprawiając, że Fion, dotąd wpatrujący się w nią jak oczarowany, aż podskoczył. – Niektórzy mówią potem, że to ja jestem złośliwa! – Zachichotała.

– Ja tam zawsze uważam, że istnieją trzy rodzaje magii – powiedziała sucho Babcia Annwynn. – Pierwszy, drugi i trzeci. Pierwszy jest najlepszy, drugi przydaje się od czasu do czasu, a trzeci jest całkiem do niczego.

Sundari i Hiacinthus przyglądali się jej z zainteresowaniem, najwyraźniej oczekując dalszych wyjaśnień, a gdy uznali – całkiem słusznie – że Babcia nie pociągnie tego wątku, pokiwali głowami, udając, że ją zrozumieli.

Do sypialni weszła Diana, niosąc niewielki imbryk. Za nią, z wielką tacą pełną filiżanek, stał Robert.

– Przynieśliśmy wam herbatę – powiedział. – Jak się czujesz, Kate? Wpadłem, żeby trochę się tu rozejrzeć. Twoja ciotka mówiła, że w domu grasuje duch albo jakieś inne paskudztwo.

– Dziękuję, już mi lepiej. – Kate posłała mu kwaśny

uśmiech. – Nie wiedziałam, że jako policjant-czarownik zajmujesz się takimi sprawami.

Robert podrapał się po głowie.

– Duchami? W zasadzie to nie – powiedział – ale gdyby chodziło o trolla czy ghula, to już prędzej. Wszystko zależy od fizyczności takiej istoty, bo ducha nie da się aresztować, no nie? Z czymś bardziej cielesnym bym sobie poradził. Żeby złapać ducha, trzeba wykwalifikowanego medium, jak Laeticia.

– Ona umie łapać duchy? – zdziwiła się Kate.

– No. A myślałaś, że nosi te wszystkie pierścionki bez powodu? One wcale nie są puste.

Kate uniosła brwi. W życiu nie przypuszczałyby, że biżuterię pani Jenkins zamieszkuje duchy.

Diana bez słowa położyła filiżanki na stole. Wydawała się speszona obecnością Babci Annwynn. Ta jednak nie podzielała jej uczuć, bo gdy tylko natrafiła się ku temu sposobność, złapała ją za jeden z wplecionych we włosy sznurków.

– Młoda damo – powiedziała – przestań wreszcie wplatać we włosy tyle wisiorków, bo jak cię kiedyś złapie za nie ghul, skoro już o nich mowa, to kaput.

Mina Diany, która bez słowa wybiegła z sypialni, prawie tratując Roberta, sprawiła Kate niebywałą satysfakcję.

– Dobrze, wracam do swoich obowiązków – powiedział Robert. – Miłej pogawędki.

Babcia sięgnęła po herbatę jako pierwsza.

– Dziwnie pachnie. – Skrzywiła się. – Właściwie to śmierdzi.

– Też skosztuję – uznała Sundari i wlała trochę herbaty do

swojej miski.

Kate, nie mogąc już dłużej ich wszystkich znieść, wstała.

– Muszę iść do toalety – oświadczyła i szturchnęła lekko Fiona, sprawiając, że oderwał na chwilę wzrok od Sundari.

– Co? – zapytał.

– Ty też musisz iść.

– Nie. Ja wcale...

W spojrzeniu, jakie posłała mu Kate, szybko wyczytał, że jednak *naprawdę* musi pójść z nią do toalety.

– Tylko szybko – powiedziała Babcia Annwynn. – Jak wypiję więcej tego paskudztwa, sama będę musiała iść.

– Co się stało? – zapytał Fion, gdy tylko zamknęli za sobą drzwi sypialni. Jego ton brzmiał tak niewinnie, że Kate nagle naszała ochota, żeby zdzielić go czymś ciężkim po głowie.

– A to, że sprowadziłeś mi na głowę całą bandę ferów – odparła – podczas gdy jedynym ferem, jakiego potrzebowałam, byłeś ty. Sam.

– Nie rozumiem...

Kate zaczęła rozglądać się za jakimś miejscem, w którym mogliby porozmawiać. Chciała znaleźć się jak najdalej od reszty, więc postanowiła zejść do kuchni. Tam od razu, nie czekając na żadne pytania, ponownie opowiedziała mu o wszystkim, co się wydarzyło.

– Przez chwilę myślałam, że znów coś mnie opętało, i byłam przerażona – dodała na koniec – ale teraz sama już nie wiem. Chyba wolałabym chwilowe opętanie od tak strasznej wizji.

Fion nie był tym wszystkim równie przejęty, co ona.

– To nie była wizja – stwierdził. – Przechodzisz przez klasyczny przykład magicznego nękania.

– Czego?

– No... magiczne nękanie to... po prostu nękanie, ale przy użyciu magii. To chyba dość logiczne, nie?

– Dobra, mądralo – warknęła Kate. – Może jak jesteś takim znawcą, to powiesz mi, *kto* miałby mnie nękać? Albo lepiej, zrobimy listę i będziemy skreślać z niej nazwiska. Przydałby się spory kawałek papieru, nie sądzisz? W końcu, biorąc pod uwagę to, co w sobie noszę, pewnie jedna trzecia magicznego świata mogłaby okazać się moimi nękaczami.

– Dręczycielami – poprawił ją Fion. – Istnieją magiczne ofiary i magiczni dręczyciele.

– Obstawiam Dianę – powiedziała Kate z przekonaniem. Ale Fiona nie przekonała.

– Nieee, ona nie jest tak zła, jak ci się wydaje. Poza tym nie robiłaby niczego pod nosem Selene.

Kate zmrużyła oczy.

– Selene... – powtórzyła pod nosem i zaczęła gorączkowo myśleć.

– Chyba nie myślisz, że...? – zawahał się Fion.

– A skąd wiesz? Pamiętaj, że kamień należał do niej, i jestem pewna, że poświęciła sporo czasu, by go odszukać. Być może jakoś się dowiedziała, że jest teraz we mnie. Nie znając całej historii, może myśleć, że go ukradłam i chcieć się za to zemścić.

To dało Fionowi do myślenia, ale nie na długo. Po chwili odezwał się karcącym głosem:

– Bez przesady, Kate. Selene to szanująca się wiedźma. Nie posunęłaby się do czegoś takiego.

– Więc kto? Lilian?

Nim Fion zdążył odpowiedzieć, Kate przytoczyła mu

historię ze szklaną kulą.

– Kto wie, może jakoś ją przeklęła czy coś w tym stylu? – zapytała.

– No nie! A ta znowu swoje! Mówiłem ci już, żebyś nie popadała w magiczną hipochondrię.

– Więc sama już nie wiem. To może być każdy, nawet ciotka Hillena albo ty.

Fiona aż zatkało. Kate zaśmiała się nerwowo ze swojego żartu, tylko że wcale nie była pewna, czy do końca żartowała. Samą ją to zadziwiło, skoro jeszcze kilka godzin temu uważała, że Fion i ciotka Hillena to jedyne osoby, którym mogła bezgranicznie ufać. A teraz nie ufała już nikomu.

– No właśnie – pociągnęła temat. – Co robiłeś tej nocy, jakieś trzy godziny temu?

– Chyba nie mówisz poważnie?! – oburzył się Fion.

Kate odwróciła głowę i ciężko westchnęła.

– Nie... nie. Po prostu nie wiem już, co mam myśleć ani co robić.

– Przede wszystkim musimy wrócić do twojej sypialni, nim reszta zacznie się niepokoić. Potem proponuję porozmawiać z Babcią Annwynn.

– Po co?

– Ona zna się na magii lepiej ode mnie. Mogłaby nam pomóc.

Kate nie musiała długo się nad tym zastanawiać. Może i ufała zdolnościom Babci Annwynn, ale nie miała ochoty dać się znów zaciągnąć do jakiegoś rytuału.

– Wolę, żeby tym razem wszystko pozostało między nami – oznajmiła. – Przynajmniej dopóki nie musimy prosić nikogo

o pomoc. A potem, kto wie, może uda mi się porozmawiać z Eos?

Fion się ożywił.

– Miałaś od niej jakieś wieści? – zapytał.

– Nie, ale chyba istnieją jakieś sposoby, by ją wezwać? Ostatecznie to ona poprosiła mnie o przechowanie kamienia, więc nie powinna mnie teraz zostawiać.

Znów odezwała się w niej złość na Eos, silniejsza niż kiedykolwiek. Najgorsze, że Kate zdawała sobie sprawę, że obrażanie się na kogoś tak niezwykłego i ważnego było dość śmieszne, trochę jak wściekanie się na los albo wszechświat. Ale Eos nie powinna milczeć. Bez niej Kate czuła się jeszcze bardziej opuszczona.

– Wracajmy – poprosił Fion. – Mam zamiar napić się trochę herbaty, a potem myśleć, myśleć i myśleć. W końcu musimy na coś wpaść.

Gdy wrócili do sypialni, reszta już spała. Babcia Annwynn chrapała na łóżku Lilian. Jej tukha się przekrzywiła i na prześcieradło opadło kilka liści. Hiacinthus rozłożył się na łóżku Kate z ręką podłożoną pod głowę, a Sundari oddychała miarowo, wtulona w swój lotos.

– Szybko zasnęli – stwierdził Fion. – Dziwne...

– Ja na pewno dziś nie zasnę – odparła Kate. – Mam nadzieję, że Sundari się nie utopi – dodała, patrząc do miski z wodą.

– Przecież to wodna rusałka – przypomniał jej Fion. – Słyszałaś kiedyś, żeby wodna rusałka się utopiła?

– Bo ja wiem? Nigdy wcześniej nie spotkałam żadnej rusałki, wodnej czy nie.

– Łodyżka, która wystaje z kwiatu, i którą Sundari, wierz

mi, mogłaby cię mocno obić, służy do oddychania pod wodą.

Fion podszedł do Babci Annwynn i uniósł jej dłoń, która po chwili opadła z powrotem na poduszkę bez życia. Ale Babcia oddychała, o czym świadczyło coraz głośniejsze chrapanie. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku.

– Pewnie znudzili się tymi magicznymi historyjkami – stwierdziła Kate i sięgnęła po imbryk. – Chciałeś się napić, tak? Zobaczymy, czy jeszcze nam coś zostało.

Imbryk był mały, stanowczo za mały do napełnienia trzech filiżanek.

– Oczywiście, że zostało – prychnął Fion. – To przecież imbryczek niedopitek. Wlewasz, ile chcesz, i pijesz, ile chcesz. Jest dosyć drogi, ale jaki przydatny!

Kate nieszczerze się tym zdziwiła. Za każdym razem, gdy odwiedzała sklep Selene, przekonywała się, że wiedźmy świetnie znają się na marketingu.

Rozlała herbatę do pustych filiżanek i podała jedną Fionowi. Zapach był silny i słodkawy, ale gdy Kate upiła jeden łyk, poczuła w ustach delikatną gorycz. Fionowi nie robiło to różnicy. Nieczęsto pił herbatę, a teraz, gdy już to robił, starał się rozstawiać palce tak, jak arystokraci, o których naoglądał się filmów na BBC.

– Przypomnij mi, jaki był przekaz tego ducha? – powiedział. – *Jonny. Powiedz mu? I to wszystko?*

Kate pokręciła głową i upiła kolejny łyk herbaty.

– Tak. Poza tym widziałam jego sylwetkę, otoczoną jakby błękitną poświatą. Twarz była rozmazana, ale ręce dość wyraźne. Czy to normalne, że go widziałam?

– Normalne, choć nieczęste. Nie wszystkie czarownice widują duchy. Ty jesteś taliesinką, więc nie dziwi mnie, że

coś zobaczyłaś.

– Tak, moce psychiczne i tak dalej – wyrecytowała Kate znużonym głosem. Wolałaby chyba być choć trochę silniejsza w zwykłej magii. To, że widziała duchy, nie bardzo pomagało jej w radzeniu sobie z nimi. – Zdziwiło mnie tylko, że nikt inny go nie widział.

Fion zmarszczył czoło.

– Naprawdę? – zapytał. – Nikt oprócz ciebie nie dostrzegł ducha? Nawet pani Jenkins?

– Nawet ona. Tak to przynajmniej wyglądało. Wszyscy wydawali się zupełnie obojętni, jakby nikogo tam nie było.

– To zastanawiające... Tak czy inaczej ciekaw jestem, czego duch mógł chcieć...

– A ja nie bardzo – przyznała Kate. – Pani Jenkins powiedziała, że to ją prześladowa duch i że nie ma to z nami nic wspólnego.

Fion pokręcił głową i prawie rozlał herbatę. Ponieważ nie wyszło mu trzymanie filiżanki jak angielskiemu lordowi, chwycił ją obiema dłońmi.

– Nie byłbym taki pewien – stwierdził. – Duch pojawił się właśnie tutaj i tylko ty go widziałaś. Może ten Jonny, o którym mówił, to ktoś z naszej... przepowiedni.

Ostatnie słowo wypowiedział tak cichym szeptem, że Kate musiała wyczytać je z jego ust.

– Nie zaczynaj znowu. Nie sądzisz, że jesteś trochę szurnięty na punkcie tej przepowiedni?

– A ty podchodzisz do niej zbyt lekceważąco. Powinniśmy chyba dobrze ją zrozumieć, jeśli...

Szum, który nagle rozbrzmiał w uszach Kate, zupełnie zagłuszył kolejne słowa Fiona.

- Co mówiłeś? – zapytała, próbując odetkać uszy palcami.
- Że mamy... przepowiednię... by znać... znaczenie.

Dlaczego mówił tak niewyraźnie? Kate wypila jeszcze kilka łyków herbaty i odstawiła filiżankę na stół. Usłyszała brzęk tłuczonego szkła. Filiżanka wylądowała na podłodze. A może nie? Może to jakaś inna filiżanka rozbiła się w jakimś innym miejscu, a Kate usłyszała tylko echo jej upadku?

Chciała znów coś powiedzieć, ale urwała, patrząc na twarz Fiona. Czy może raczej powinna była powiedzieć: „*twarze*”. Bo teraz Fiona miał je trzy, a usta każdej z nich mówiły coś innego, jakby przerzucały między sobą słowa i kłóciły się, która dokończy zdanie. Nie mogły się jednak ze sobą zgrać, bo każda próbowała powiedzieć coś innego, przez co wytworzył się głośny, niezrozumiały chaos.

Czy to nie dziwne? – pomyślała Kate. Ale nie... dlaczego? W końcu Fiona znał się na magii. Coś takiego może się chyba przytrafić.

- No, w każdym razie... – zaczęła znowu, dziwiąc się, że jej głos brzmi, jakby była pijana. Nie skończyła mówić, bo nie miał już kto jej słuchać. Oczy Fiona, któremu w międzyczasie wyrosły dodatkowe cztery głowy, a szyje znacząco się wydłużyły, zrobiły się mętne i zaczęły zamykać. Po chwili wszystkie siedem głów runęło na łóżko.

Kate spojrzała na okno. Dziwne – była pewna, że wcześniej miała je za plecami, a teraz znajdowało się nad łóżkiem Lilian. Tyle że gdyby tak było, okno wychodziłoby na korytarz... ale nie, za nim rozciągało się rozległe, nocne niebo. Kate na chwiejnych nogach podeszła do szyby i spojrzała w gwiazdy. Poruszały się, tańczyły w kółko, coraz szybciej i szybciej, zamieniając się w wir. Gdyby nie była tak

zmęczona, obudziłaby Fiona, żeby też to zobaczyć.

Położyła rękę na okiennej ramie. Nie zdążyła wyczuć jej kształtu, gdy całe okno zniknęło. Zostało tylko niebo, rozciągające się na wszystkie strony świata niczym ciemny ocean. Nagle cały dom się zdematerializował, a Kate wpadła w długi tunel. Na zewnątrz niego czas płynął jak wodospad, a odmienne rzeczywistości przyklejały się do jego ścian tylko po to, by zostać wywiane w czasoprzestrzeń i zagnieździć się w innych galaktykach. Gdy Kate, minawszy wszystkie te wieczności, w kolejnej sekundzie wypadła z tunelu, zobaczyła przed sobą rzekę. Spadała do niej wprost z niebios, ale nie uderzyła w taflę. Wpadła z powrotem do swojego własnego ciała.

Była teraz na korytarzu w domu Selene. Zdawało jej się jednak, że minęły lata, gdy widziała go po raz ostatni. Wiele, wiele lat. W ścianach zdążyły znaleźć siedlisko dzikie rośliny, które przebiły tynk i rozrosły się jak bluszcz. Przez wyrwy sączyła się do środka całkowicie ciemna noc. Nic nie mogło jej rozświetlić, bo księżyc i gwiazdy umarły, a słońce już nigdy nie miało wstać. U końca korytarza paliła się latarnia, dając jedyne światło, które sunęło między liśćmi i przywoływało do siebie Kate.

Gdy tylko zrobiła pierwszy krok, usłyszała szepty. Dobiegały ze ścian i z każdą sekundą dołączały do nich kolejne głosy. Kate spojrzała na prawo i wtedy je zobaczyła – laleczki, mnóstwo szmacianych laleczek, siedzących w wyrwach. Ich ciała przypominały poskręcane korzenie roślin, twarze pozbawione były oczu, a jednak odwracały się, jedna po drugiej, jakby mimo wszystko potrafiły dostrzec Kate. Z ich ramion, serc i nóg wystawały igły, ich złowieszcze

szepty przypominały szelest liści w lesie opanowanym przez namhajdy.

Ratunek znajdował się za latarnią. Kate to czuła! Korytarz zdawał się jednak wydłużać z każdym jej krokiem, cel wędrówki był wciąż tak samo odległy.

Rozległy się kroki kogoś jeszcze. Jakaś postać wyszła z pokoju po lewej. Dziewczyna w ubraniu Kate: kraciastej spódniczce i czarnej bluzce. Jasne włosy całkiem zasłaniały jej twarz. Dziewczyna mocowała się przez chwilę z zamkiem w drzwiach, a potem, gdy już zdołała je zamknąć, rzuciła klucz na podłogę i ruszyła przed siebie.

Kate spojrzała na podłogę. Zamiast leżącego klucza, zobaczyła na niej kolejną laleczkę. Lalka uczepiła się jej nogi i próbowała wbić igłę w łydkę. Kate odrzuciła ją i z przerażeniem powiodła wzrokiem ku dziewczynie. Ta szła teraz pokracznie, rozstawiając szeroko nogi, jakby ktoś ruszał nimi za nią.

Dopiero po chwili Kate zdała sobie sprawę, że szepty ustały. Laleczki wstrzymały oddech i ze skupieniem obserwowały sytuację. Ciszę przerywał tylko miarowy, wręcz hipnotyczny stukot obcasów dziewczyny.

Nagle dziewczyna zatrzymała się, oparła rękoma o ścianę i odwróciła w stronę Kate. A Kate zamarła, bo wtedy zdała sobie sprawę z tego, co się stało: postać z lustra opuściła jego ramy i choć była martwa, poruszała się teraz po świecie żywych. Z jej ciemnych oczodołów zionęła pustka. Kate właśnie stała przed czymś niewypowiedzianym; czymś wzbudzającym strach tak ogromny, że niemal padła na kolana. Wtedy oczodoły zapłonęły, a usta dziewczyny uniosły się lekko, wykrzywione w nienaturalnym,

szyderczym uśmiechu, zupełnie jakby w jej wargi wszyto nici, za które pociągał ktoś inny, ktoś, kto wiedział, co ma się zaraz wydarzyć. Dziewczyna syknęła i zaczęła biec w stronę latarni.

A więc wyścig. Kate zrozumiała coś, czego nikt nie musiał jej mówić. Wiedziała, że jeśli to ta dziewczyna pierwsza znajdzie się przy latarni, wszystko będzie stracone. Kate zginie.

Z przeciwnej strony korytarza wyskoczył mężczyzna. Złapał dziewczynę i przygwoździł ją do ściany rękoma, które Kate dobrze знаła. Właśnie one, jeszcze niedawno, przesuwwały wskaźnik tabliczki Ouija. Ale teraz nie były już skąpane w poświacie, były całkiem ludzkie. Kate dostrzegła też twarz mężczyzny... twarz, którą...

– Jonathan? – wyszeptała, z trudem dobywając z siebie głos. To był Jonathan... A może nie? Wydawał się teraz jakby wyższy i trochę... inny.

Mężczyzna trzymał dziewczynę z całych sił, aż jej oczodoły na powrót stały się puste. Potem rzucił ją na podłogę, a ciało rozbiło się jak porcelanowa figurka.

Lalki znów zaczęły szeptać. Mężczyzna spojrzał na Kate. Uderzyło ją to, że jako jedyny nie pasował do tej wizji, wydawał się realny, wyjęty z innego miejsca. Jednym energicznym ruchem ręki rozpałił na podłodze ognisko, do którego ze wściekłością zaczął wrzucać lalki. Piszczwały i wyrywały się, ale gdy tylko liznęły je płomienie, uchodziło z nich całe życie i na powrót stawały się zwyczajnymi, łatwopalnymi kukiełkami.

Wrzuciwszy w płomienie ostatnią z nich, mężczyzna jakby na nowo zdał sobie sprawę z obecności Kate. Wyciągnął dłoń

w jej kierunku, a ona chwyciła ją bez zastanowienia. Zaczęli biec, ale już nie przez korytarz. Teraz przemierzali czas i przestrzeń, z każdym krokiem pokonując dziesiątki, setki, być może nawet tysiące mil. Latarnia wciąż stała na swoim miejscu, a gdy przebiegli obok niej, Kate zobaczyła przed sobą stare, drewniane drzwi. Mężczyzna zatrzymał się przed nimi i nie powiedziawszy ani słowa, wskazał na nie ręką.

Wtedy wizja się skończyła, Kate wróciła do swojej rzeczywistości i była zupełnie trzeźwa. Tylko że wcale nie obudziła się w sypialni Księżycowego Domu. Była teraz na zewnątrz, w ciemnym, zimnym miejscu. A drzwi były prawdziwe.



Rozdział 18

Szept lasu

Jonathan leżał na ziemi z rękami i nogami rozrzuconymi jak u szmacianej kukielki. Wydawał się martwy, martwy niczym otaczający go las. Ale Jonathan nie umarł. Oddychał powoli i z trudem, nie mógł poruszyć najmniejszym mięśniem, ale wszystko słyszał i czuł. I wszystko rozumiał.

To jego własna matka zastawiła na niego zasadzkę. Chciała go zabić. I to ona zabiła jego ojca. Im więcej strasznych prawd dochodziło teraz do Jonathana, prawd, z którymi w żaden sposób nie dało się walczyć, tym bardziej bezsilny się czuł.

Tyle lat. Tyle lat oszustw, kręctw, udawania. Wmawiał sobie zawsze, choć nigdy nie potrafił do końca w to uwierzyć, że matka była jedyną osobą, której mógł zaufać. Teraz rozumiał, że celowo odcinała go od wszystkich, bała

się świata, w którym ktokolwiek, kto ich znał, mógłby pokrzyżować jej plany. Od samego początku wszystko zmierzało do rozstrzygnięcia, które miało wydarzyć się tu, w lesie czarownic.

Jonathan nie widział twarzy mężczyzny, który dołączył do matki, i który – jak sądził – rzucił na niego ten obezwładniający czar.

– A więc jesteś pewna, że to tutaj? – zapytał mężczyzna.

– Tak – odparła matka. Jej głos był teraz zimny i całkiem opanowany. – Nie widziałam tej jaskini przez ostatnie piętnaście lat, ale jej obraz nigdy nie zszedł mi z oczu. Wyobrażasz to sobie? Przeczekałam piętnaście lat, by tu wrócić i dokończyć swoje dzieło.

– Jesteś, widać, bardzo zdeterminowana – stwierdził obojętnie mężczyzna. – Oby tylko kamienie wciąż tu były. Nie zniósłbym, gdyby okazało się, że cały plan, nad którym tak się trudziłem, poszedł na marne. Znowu... Minęło tyle czasu, że kamieni równie dobrze może tu już nie być.

– Bez obaw. Nikt oprócz nas nie znał drogi do serca Jęczącego Lasu i przypuszczam, że jeszcze długo nikt jej nie odkryje. Pomyśl tylko, ile moglibyśmy tu dokonać bez niczyjej wiedzy. – Ton matki zaczął nabierać entuzjazmu. – To najbezpieczniejsze miejsce, jakie mogliśmy sobie wybrać. Można by nawet sprowadzić tu Wielkiego Pana.

Mężczyzna szybko ostudził jej zapał.

– Tym się na razie nie kłopot – powiedział. – Wielki Pan potrzebuje tylko kamieni. Gdy je zdobędzie, na nic zdadzą mu się kryjówki. To jego wrogowie będą musieli się kryć.

Jonathan gorzko zaśmiał się w duchu. Jeszcze tydzień temu, słysząc podobną dyskusję, uznałby rozmówców za

obłąkanych. Teraz, gdy leżał tu i się jej przysłuchiwał, ogarniał go coraz większy strach. Wiedział, że nie chodzi o niego samego. Chodziło o coś więcej, dużo więcej.

– Co z dziewczyną? – zapytała matka.

– Zaklęta – odparł krótko mężczyzna. – Jeszcze tej nocy powinna przyjść do nas sama.

– Wiesz, jak wyciągnąć z niej kamień?

– Tak samo jak za pierwszym razem. Trzeba będzie ją zabić.

Mężczyzna wypowiedział te słowa bez przejęcia, zupełnie jakby zabijał już tak wiele razy, że zaczęło go to nudzić.

Zapanowało krótkie milczenie.

– Sama nie wiem, czy... – zaczęła matka – czy to rozsądne? Wciąż pamiętam, jak zginęła Erato...

– Erato była głupia! Chciała kamień dla siebie. Miała mnóstwo ambicji, ale za mało mocy, by go kontrolować. Zresztą teraz jesteśmy lepiej przygotowani. Jeśli uda nam się zdobyć pozostałe kamienie, ryzyko zmaleje właściwie do zera. Kamień, który ma w sobie dziewczyna, jest władcą ich wszystkich. Będą się nawzajem wyczuwać i przyciągać.

– A więc kamień działa podobnie jak wszystkie magiczne narzędzia – zauważyła matka. – A mówią, że rządzi nim jakaś szczególna inteligencja...

– Bo niestety rządzi – odparł mężczyzna. – Wbrew pozorom kamień nie bez powodu wybrał sobie Hallander na opiekunkę. Można by uznać to za niedorzeczność, powiedzieć, że powinien być oddać się w ręce kogoś potężnego. Ale on upatrzył sobie ją. To całkiem logiczne.

Hallander? Jonathan poczuł ucisk w żołądku. Czy oni mówili o Kate? Czy to możliwe, że właśnie ją chcieli zabić?

Ta myśl obezwładniła go na moment jeszcze bardziej niż czar, ale szybko ją od siebie odrzucił. Kate nie mogła być przecież jedyną wiedźmą o nazwisku Hallander. W Merlinie czytał trochę o magicznych rodach. Hallanderowie mogli być jednym z nich, a w takim razie wcale nie musiało chodzić o nią... Tylko dlaczego aż tak to nim wstrząsnęło? Morderstwo byłoby oczywiście straszne bez względu na to, kogo chcieli zabić, a jednak przejął się bardziej, niż gdyby miało chodzić o kogoś innego. To dziwne, bo przecież Kate nic dla niego nie znaczyła... Prawie nic.

– Po pierwsze, dziewczyna wcale nie chciała kamienia – ciągnął mężczyzna. – To uczyniło z niej idealną kandydatkę, bo moc kamienia *uwierzyła*, jeśli można tak powiedzieć, w jej nieegoistyczne zamiary. Oczywiście tak jest tylko na razie, póki dziewczyna wciąż jest niedoświadczona.

– Właśnie – podchwyciła matka. – *Niedoświadczona*. To głupota, by powierzyć jej kamień.

Mężczyzna zaśmiał się pod nosem.

– Tylko pozornie – stwierdził. – Czy gdybyśmy nie wiedzieli, że kamień jest w niej, to czy w ogóle przysłoby nam do głowy go tam szukać? – zapytał i odpowiedział sam sobie: – Nie, oczywiście, że nie. A Hallander nie zaznała jeszcze mocy czarownic, więc nie wykorzystuje kamienia dla siebie. Pomyśleć tylko, że gdyby chciała, mogłaby teraz rządzić nami wszystkimi... No, ale to najpewniej nie będzie jej już dane.

Matka Jonathana westchnęła i pochyliła się nad nim.

– Moc... Dasz wiarę? – zapytała. – Gdy zabiłam jego ojca, a moc nie przeszła na mnie, byłam gotowa uwierzyć, że stare prawa już nie obowiązują, lub że może zawsze były

kłamstwem. – Beznamiętnie, jakby z przyzwyczajenia, pogładziła Jonathana po włosach. – A potem – mówiła dalej – kiedy chłopak zaczął rosnać i magia się ujawniła, wszystko zrozumiałam. Moc przeszła z ojca na syna przez więzy krwi. Jedyne, co mi pozostawało, to zabić także syna, łącznika między mną a magią Charmlingów. Widzisz? – Teraz schyliła się jeszcze bardziej, tak, że jej oczy spotkały się z oczami Jonathana, i przemówiła do niego: – Nie musiałbyś ginąć, gdybyś tylko nie odebrał mi mocy.

Ostatnie słowa wypowiedziała ze złością. Naszyjnik na jej szyi zabłysnął nienaturalnym, czerwonym światłem. Jonathanowi trudno było zrozumieć, że w tym wszystkim chodzi tylko o jego moc, której nie zdążył nawet rozwinąć. I już nigdy nie zdoła tego zrobić.

– Chodźmy – powiedział mężczyzna. – Kate może być w lesie lada chwila.

A więc rzeczywiście chodzi im o Kate. To ją chcą zabić. Do tej pory zdawało mu się, że po wszystkim, co tu usłyszał, nie będzie już mógł i chciał żyć. Zupełnie zobojętniał. Ale teraz, nagle, wszystko się zmieniło. Nadal nie rozumiał, skąd wzięły się w nim wszystkie te uczucia. Jedyne, czego pragnął, to wstać i wzniecić ogień, największy, jaki potrafił, taki, który pochłonałby matkę, tego mężczyznę i – jeśli będzie trzeba – nawet cały las, łącznie z nim samym, byle tylko pokrzyżować ich plany. Wiedział, że Kate nie może zginąć, i chodziło tu o coś znacznie więcej niż wszystkie jego uczucia. Nie rozumiał tej wiedzy, nie miał pojęcia, skąd się brała. Wykiełkowała w nim nagle, jakby z dawno zasadzonego ziarna.

Nieważne jednak, jak bardzo by tego chciał, Jonathan

nadal nie mógł się poruszyć. Wciąż był sparaliżowany, a ogień nie nadchodził.

Matka i mężczyzna zniknęli w jaskini, zabierając ze sobą latarkę. Sylwetka mężczyzny, oświetlona jej światłem, mignęła na moment przed oczami Jonathana. Nie dostrzegł jednak zbyt wiele, jedynie ciemną bluzę z kapturem naciągniętym na głowę.

Z jaskini dobiegały strzępki ich rozmów.

– ...gdzie szukać...

– ...szczeliny... może... zbyt ciemno.

Jonathana ogarniała coraz większa desperacja. Niezliczoną ilość razy próbował poruszyć choćby palcem, ale ciało nie reagowało. Świadomość, że z każdą sekundą traci czas, dręczyła go jak niewidzialny prześladowca.

Nie mógł przestać myśleć o Kate. Zastanawiał się, czy i ona skończy podobnie jak on – sparaliżowana i bezradna. Jednak Kate Hallander była czarownicą. Może będzie umiała walczyć?

„Zaklęta” – przypomniał sobie słowa mężczyzny, cokolwiek miały znaczyć. Jeśli Kate została zaklęta, prawdopodobnie będzie równie łatwą ofiarą.

Nienawidził tamtego mężczyzny, a jeszcze bardziej nienawidził matki. Wcześniej nieraz to powtarzał, ale nigdy nie odczuł tego tak naprawdę, albo nie pozwolił sobie, by to czuć. Teraz chciał się podnieść, by ją uderzyć, pokonać, unicestwić. Stracił już jednak całą nadzieję. Wiedział, że umrze, bezwładny, niezdolny, by w swoich ostatnich chwilach wykonać nawet najmniejszy ruch.

Ale nadzieja przyszła sama. Między gałęziami potężnych drzew pojawiło się srebrzyste światło. Przypominało jasną

kulę i płynąc w powietrzu, zaczęło delikatnie opadać. Gdy znalazło się na ziemi, ruszyło w stronę Jonathana. Przestało wtedy przypominać kulę, było raczej jak aura otaczająca czyjąś sylwetkę. Jonathan wyraźnie dostrzegł ludzkie ręce, nogi i głowę, a oprócz nich – skrzydła, wielkie motyle skrzydła. Na sobie postać miała białą suknię oplecioną złotym pasem. Jonathan wiedział już, kto przed nim stanął, ale nie pamiętał, by fery na obrazkach, jakie widział w książkach, były równie piękne co ta istota.

Nagle światło zniknęło, podobnie jak ciepło, które rozlewało się po ciele Jonathana. Czerń nocy wydawała się teraz całkowicie nieprzenikniona. Gdy zaczął już myśleć, że to, co przed chwilą zobaczył, było tylko złudzeniem lub zabłąkanym ferem, który nie zwrócił na niego uwagi, zabłysła przed nim para wielkich fiołkowych oczu. Kojarzyły mu się z plamami na skrzydłach motyla. Były osadzone na pięknej, jasnej twarzy, na którą opadały srebrne włosy. Widział szczegóły, bo twarz znów zajaśniała, ale tym razem bardzo delikatnym światłem. Ferini wydawała się nieco dzika, jednak Jonathan się jej nie bał. Nachyliła się do jego ucha i szepnęła:

– Zaraz zdejmę z ciebie urok. Gdy to zrobię, nie wykonuj gwałtownych ruchów i nie odzywaj się.

Potem zaczęła przesuwając ręce wzdłuż jego ciała w taki sposób, jakby odgarniała pajęczynę. Jonathan czuł mrowienie we wszystkich kończynach. Poruszył palcami – nie był w stanie opisać słowami ulgi, jakiej uświadczył.

Ferini wyciągnęła rękę w jego stronę, prosząc, by ruszył za nią. Wstali ostrożnie. Z jaskini wciąż dochodziły głosy.

– Nigdzie... nie ma...

– Podaj latarnię... jeszcze... ściana.

Nie nakryli ich. Ferini bez zwłoki zaczęła prowadzić Jonathana za rękę. Nie szli w stronę wyjścia z lasu, lecz w jego głąb. Jonathan milczał. Dopiero po jakichś piętnastu minutach marszu, który stawał się coraz szybszy, ferini się zatrzymała. Stanęli między dwoma potężnymi i spróchniałymi drzewami.

– Wiesz, kim jestem? – zapytała ferini.

Jonathan przytaknął.

– Jesteś ferem... ferinią – poprawił się.

– Tak, jestem *twoją* ferinią. Nazywam się Fione.

– Moją...? – zdziwił się Jonathan.

– Dokładnie. Mam nadzieję, że rozumiesz, co to oznacza.

Ton Fione był bardzo rzeczowy. Jonathan się zamyślił.

– No, to by oznaczało, że jestem czarownikiem – odparł powoli.

– Tak. Co więcej, właśnie nadszedł czas, by przebudzić twą moc. Pojawiłam się, bo wyczułam, że coś ci grozi. Niestety nie mam dość sił, by towarzyszyć ci przez cały czas. Las jest zamknięty i magia w nim szybko się wyczerpuje. Będę musiała zniknąć, a ty poradzić sobie beze mnie.

Jonathan pokiwał głową. Bał się zostać sam, ale wyglądało na to, że nie było innego wyjścia.

– Zaraz rozbudzę twoją moc, jednak będzie to ostatnia rzecz, którą będę mogła dla ciebie teraz zrobić – powiedziała Fione. – Po wszystkim będziesz musiał iść prosto. Nie zbaczaj z drogi. Dopóki idziesz przed siebie, wrogowie zawsze są z tyłu. Oprócz nich nic ci tutaj nie grozi. Dojdiesz do starego, drewnianego budynku. Gdy go zobaczysz, nie wchodź do środka. Poszukaj okna, zapukaj w nie trzy razy

i czekaj, aż ci otworzą.

Jonathan słuchał uważnie, zapamiętując wszystkie instrukcje.

– Kto ma mi otworzyć? I co mam zrobić, kiedy już dostanę się do środka?

Fione zmarszczyła czoło i zaczęła przyglądać się Jonathanowi tak, jakby to w nim kryła się odpowiedź.

– Tego nie wiem – przyznała wreszcie. – Najwyraźniej musi być w tym jakaś tajemnica. Po prostu zdaj się na swoją moc. Magia i instynkt podpowiedzą ci, co masz robić. Jesteś gotowy?

Jonathan patrzył w jej błyszczące oczy. Jej spojrzenie wydawało się spokojne, choć w środku pewnie denerwowała się równie mocno, co on. Nie był pewien, czy w tej chwili może być niegotowy. Teraz była to już kwestia życia lub śmierci.

– Tak.

– Podaj mi lewą rękę – odparła ferini. Gdy to zrobił, chwyciła go za nadgarstek. Z pochwy przy pasie wyjęła sztylet. Ostrze zaśniło.

– Ale... co ty...?! – przeraził się Jonathan. – Au!

Fione, nie zważając na protesty, przejechała ostrzem po spodzie jego dłoni. Z rany zaczęła się sączyć gorąca, gęsta krew. W ten sam sposób Fione zraniła swoją rękę, tyle że prawą.

– A teraz chwyć mnie i nie puszczaj – poleciła.

Mimo że Jonathan nie rozumiał, co się dzieje, posłuchał. Ich dłonie połączyły się, rany nałożyły na siebie, a krew zmieszała.

Poraził go prąd, stary prąd, który od zawsze płynął

w powietrzu, ale którego Jonathan do tej pory nie był świadom. Teraz za to czuł każdą swoją żyłę, przepływ magicznej energii, która wdzierała się w jego ciało i niczym gwałtowna fala niszczyła każdą znajdującą się w nim tamę. Jego myśli nie błąkały się już po głowie, opanowały go całego, krążąc wszędzie jak chmara rozumnych owadów. Trząśł się, na przemian czując uderzenia zimna i gorąca. Energia całego świata wpłynęła w jego ciało, wykorzystując każdy pojedynczy por. A potem odeszła, ale zostawiła po sobie pulsujące, ani bolesne, ani przyjemne uczucie w żołądku, zupełnie jakby tańczyło tam wschodzące słońce.

Po kilku chwilach, gdy Jonathan zaczął wracać do siebie – choć zdawało mu się, że dopiero co wrócił *od* siebie, ze swojego własnego wnętrza – uświadomił sobie, że przechylał się do tyłu. Nie upadł, bo Fione wciąż trzymała jego dłoń z siłą, jakiej by się po niej nie spodziewał.

– Chciałabym z tobą zostać, zwłaszcza w takiej chwili – powiedziała, a jej głos brzmiał dla Jonathana wyjątkowo wyraźnie – ale nie mogę. Pamiętaj, aby zdać się na swoją moc. Ja tymczasem postaram się skontaktować ze swoim bratem i jak najszybciej sprowadzić pomoc. W porządku?

– T-tak – odparł wciąż oszołomiony Jonathan.

– Idź – powiedziała Fione i zawiesiła na jego szyi coś świetlistego. – To świetlik – oznajmiła. – Rozproszy mrok.

Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w niego zatroskana, a potem zniknęła.

Jonathan zaczął iść, najpierw chwiejnie, potem coraz pewniej. Zimne powietrze działało na niego orzeźwiająco. To coś... Ten świetlik, który Fione zawiesiła mu na szyi, rozświetlał drogę tylko na kilka kroków, resztę lasu

pozostawiając okrytą mrokiem. Jak miał odnaleźć ten budynek w takich warunkach?

Bał się pomyśleć, co będzie, jeśli zostanie wytropiony. Nie miał szans w starciu z tamtym mężczyzną. Co z tego, że Fiona rozbudziła w nim moc, skoro nawet nie wiedział, jak jej użyć? Zresztą nie wydawała mu się już niczym szczególnym. Tańczące słońce jakby zgasło, a wszystkie niezwykle uczucia w ciele znikły wraz z nim. Być może tę nową moc dało się kontrolować tak samo jak tę, której używał do wznecania ognia? A jeśli tak, to czy nie okaże się teraz niemożliwa do kontrolowania? Jonathan zaśmiał się ze swojej wcześniejszej gotowości do spalenia lasu. Teraz, gdy – być może – stało się to realne, nie był już taki pewien, czy chciałby lub w ogóle potrafił to zrobić.

Im dalej szedł, tym większa wydawała mu się otaczająca go gęstwina. Gałęzie bezwładnie poddawały się wiatrowi, który wyginał je tak, że układały się w pokraczne, humanoidalne kształty. Przyglądał się im, czując, jak wraz z zimnem ogarnia go strach, zupełnie jakby spodziewał się, że zaraz ktoś wyłoni się zza drzew. Szedł przed siebie już tylko po to, aby nie stać w miejscu.

Nagle usłyszał świst. Coś rozjaśniło gałęzie drzewa, obok którego właśnie przechodził. Spojrzał na nie z nadzieją, że światło oznacza powrót Fione. Jedna z gałęzi płonęła błękitnym ogniem, a po chwili złamała się i zgasła. Wtedy obok ucha Jonathana przeleciał kolejny płomień.

Zrozumiał, co się dzieje. Obejrzał się – matka i mężczyzna byli tuż za nim. W dłoni mężczyzny lśnił sztylet, z którego dobywało się jaskrawe światło.

Jonathan zaczął uciekać.

– Przestań! – zawołała matka. – Nie ciskaj w niego! Ja miałam go zabić! *Ja!*

– Odsuń się! – wrzasnął mężczyzna. – Twoja historyjka z kamieniami kosztowała nas tylko cenny czas!

– Zaprowadziłam cię do nich! Skąd mogłam wiedzieć, że zniknęły?

Mężczyzna nie zwracał już na nią uwagi. Teraz całą uwagę skupił na Jonathanie, w którego stronę szybko powędrowały kolejne ogniste kule. Jedna z nich, jak do tej pory największa, przefrunęła tuż nad jego głową i uderzyła w wielkie drzewo, sprawiając, że natychmiast stanęło w płomieniach. Jonathan zdążył przebiec obok niego, nim kilka gałęzi z łoskotem upadło na ziemię.

Musiał użyć mocy. Teraz. Nie wiedział jak i jaki skutek to przyniesie, ale... co innego mu pozostawało?

Myśli powędrowały w stronę ognia. Ognia, który wytwarzał od tak wielu lat, ognia, który od zawsze mu towarzyszył i zamieniał w kogoś niezwykłego.

Energia zaczęła pulsować, ale nie tak jak zwykle. Teraz przypominała szukającą ujścia lawę. Przez moment Jonathan miał wrażenie, że go rozsadzi. W ostatniej chwili zdołał jakoś przejąć nad nią kontrolę i skierował ją do ręki.

Ręka eksplodowała bólem, jakby zagotowała się w niej krew. Jonathan, wrzeszcząc, zamachnął się i wyrzucił z siebie całą energię. Ognista kula pofrunęła pod nogi matki i mężczyzny, odrzucając ich.

– Rozbudził moc! On rozbudził moc! – wołała matka, która podniosła się jako pierwsza. Wpadła w szal.

Jonathan nie miał pojęcia, czy wciąż biegnie we właściwym kierunku. Podczas pościgu mógł zgubić drogę już wiele razy.

Ręka wciąż parzyła i bał się, że nie wytrzyma kolejnego wzniesienia mocy. Nie wiedział nawet, czy jeszcze był w stanie to zrobić. Czy moc mogła się zużyć? Czy trzeba było ją *ładować*? Sądząc po tym, że mężczyzna wypuszczał energię tylko co jakiś czas, tak właśnie musiało być.

Nagle matka powaliła go na ziemię. Zaczęli się szamotać. Złapała go za szyję i zaczęła dusić. Ani na moment nie zwalniała uścisku, a Jonathan zaczął tracić siły w rękach, którymi próbował ją odepchnąć. Szok, który poczuł w chwili, gdy poznał jej plany, wrócił, na nowo odbierając mu wszelkie chęci do życia. W jasnym blasku księżyca, który wychylił się zza drzew, widział jej oczy – szalone, inne od tych, które znał, ale to wciąż była jej twarz, twarz jego matki.

– To moja moc! – krzyczała. – Należy do mnie, rozumiesz? Do mnie!

Mężczyzna dobiegł do nich i uniósł sztylet, nim jednak energia znów zabłysła na ostrzu, stało się coś dziwnego.

W powietrzu rozległ się podmuch, przypominający głośne wypuszczenie powietrza. Odgłos był ludzki, ale wydawał się zbyt donośny jak na jednego człowieka. Brzmiał tak, jak gdyby wiele głosów zebrało się, by chóralnie wydać z siebie jeden, harmonijny dźwięk. Dopiero wtedy matka zwolniła uścisk. Mężczyzna zaczął rozglądać się wokół siebie, szukając źródła odgłosu.

Światło księżyca przybrało na sile. Między drzewami pojawiła się ogromna istota, zbudowana jakby z samego cienia. Miała nogi i ręce, a zamiast głowy coś, co przypominało stertę gałęzi i chrustu. Gdy stanęła nad Jonathanem i jego matką, oboje zamarli.

Cienista istota zatrzymała się i w ciszy, która teraz stała

się szczególnie wymowna, można było odnieść wrażenie, że z zaciekawieniem przyglądała się leżącemu na ziemi. Mężczyzna zaczął się wycofywać. Jonathan również to robił, pomagając sobie rękami – bał się wstać lub wykonywać jakiegokolwiek gwałtowne ruchy. Jedyne jego matka, na kolanach, jak zahipnotyzowana wpatrywała się w przestrzeń, w miejsce, w którym powinien stać ten, kto rzucał cień. Ale nadal nikogo tam nie było, a przynajmniej nie było tam żadnej cielesnej istoty.

Znienacka zerwał się potężny wiatr, niosąc odgłosy świerszczy, sów i lisów – całej przebudzonej leśnej zwierzyny. Każda istota, od najmniejszego robaka kopiącego tunele, po najdorodniejsze jelenie, dołączyła się do leśnego chóru, odpowiadając na wezwanie.

Matka Jonathana jęknęła, a on dopiero wtedy zdał sobie sprawę, co się z nią dzieje. Zaczął szybciej się odsuwać. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek zobaczy coś podobnego.

Kobieta klęczała, a jej nogi zaczęły oplatać korzenie, tak ciasno, że nie prześwitywał pomiędzy nimi nawet fragment ciała. Jej ręce, które wyciągała w niemym błaganiu o pomoc, poszarzały, a palce zwężyły się i wydłużyły. Jęknęła ponownie, już po raz ostatni. Po chwili w miejscu, w którym stała, zamiast niej rosło tylko niskie, wysuszone drzewo z poskręcanyimi gałęziami. Trudno było w to uwierzyć, ale wyglądało na to, że to ona się nim stała.

Jonathan, walcząc z szokiem, szybko wstał. Mężczyzny, który towarzyszył matce, już nie było. Musiał uciec lub także stało się z nim coś złego.

Zaczął biec, a z każdym jego krokiem wiatr, który teraz szemrał jeszcze w liściach swoim własnym, zaklętym

głosem, zdmuchiwał z niego strach.

Wreszcie poczuł, jak spływa na niego niewyobrażalny spokój. Najpierw go nie zrozumiał, ale po chwili wiedział już – choć nie miał pojęcia, skąd ta pewność – że wszystko to oznaczało tylko jedno: Kate Hallander pojawiła się w lesie.



Rozdział 19

Prześladowca

Kate była przerażona. Stała przed drzwiami z wizji, a jej serce wciąż waliło jak szalone. Czuła nieznośny chłód, a w jej nozdrza wdzierało się zimne powietrze, co tylko przypominało jej, że wizja się skończyła i wszystko działo się teraz naprawdę.

Nie wiedziała, dokąd trafiła. Zewsząd otaczały ją wysokie drzewa. Ich ciemne konary ledwo odznaczały się na tle niewiele jaśniejszego nieba. To by oznaczało, że znalazła się w lesie, a jeśli tak, to chyba wiedziała, o jaki las może chodzić.

Koszmarne obrazy wciąż siedziały w jej głowie, kolejne sceny odtwarzały się w kółko, jak zapętlone krótkie filmy. Laleczki, dziewczyna... Domyślała się, że wizję stworzył jej prześladowca, ale tamten mężczyzna... On był inny, całkiem

prawdziwy i samodzielny. I z całą pewnością nie przywiódł jej tu bez powodu.

Przez chwilę miała nadzieję, że mężczyzna wciąż jest obok. Nie widziała go jednak, nie słyszała nawet najpłytszego oddechu, w ogóle nie wyczuwała niczyjej obecności, zupełnie jakby las naprawdę był martwy.

– Fion – powiedziała drżącym głosem, który jej samej wydał się obcy. – Fion – powtórzyła, wiedząc, że to na nic. Fion nie mógł jej usłyszeć. Został zaklęty tak samo jak ona i pewnie wciąż był pogrążony we śnie po wypiciu tamtej dziwnej herbaty. Kate przypuszczała, że to samo stało się ze wszystkimi w Księżycowym Domu. Wszystkimi oprócz jednej osoby: jej prześladowcy...

Teraz to, co Kate jedynie podejrzewała, stało się aż nazbyt oczywiste: wróg znajdował się w domu. Lilian... Tom... Diana... *ktokolwiek*. Pytania powróciły, jakby ktoś wykrzykiwał je wprost do jej ucha. Niewiadome popychały ją w stronę drzwi, za którymi być może znajdowały się odpowiedzi.

Kate w końcu zdecydowała się na zrobienie kroku. Wyciągnęła rękę i przesunęła koniuszkami palców po drzwiach. Były szorstkie, drewniane, złożone z wielu pozbijanych desek. Na środku znajdowało się okienko, w którym Kate widziała swoje przerażone oczy. Na moment znów przypomniała sobie o tamtej dziewczynie. W końcu *jej* oczy należały do nich obu. Zamiast klamki w drzwiach po lewej stronie znajdował się niewielki otwór. Kate włożyła w niego palec i wstrzymując oddech, pociągnęła.

Drzwi otworzyły się bez większego problemu. Za nimi panowała tak gęsta ciemność, jakby w powietrzu rozlany był

atrament. Nawet jeśli pomieszczenie posiadało okna, nie prześwitywał przez nie ani skrawek szarego nieba.

Kate zaczęła macać ściany w poszukiwaniu włącznika światła. Miała nadzieję, że pomieszczenie jest wyposażone w magiczne światła awaryjne. Jeśli nie, będzie musiała znaleźć coś, co posłuży jej za różdżkę i jakoś – nie miała pojęcia, jak, skoro nigdy jej się to nie udało – rozpaść na jej czubku ogień.

Nie mogła uwierzyć we własne szczęście, gdy wreszcie znalazła włącznik. Zapaliła światło. I zdziwiła się, bo spodziewała się czegoś zdecydowanie mniej zwyczajnego.

Pomieszczenie było niewielkie i prawie całkiem puste. Na środku stał jedynie prostokątny stół z trzema krzesłami skierowanymi ku drzwiom i jednym ustawionym po przeciwnej stronie. Część ściany po lewej zajmowała wielka, bordowa szafa. Ilość kurzu zalegającego na podłodze i dużym oknie, znajdującym się naprzeciwko drzwi, sugerowała, że od dawna nikt tu nie zaglądał.

W całym wystroju jedyną dziwną rzeczą wydała jej się lampa w kształcie nieociosanego kryształu, zwisająca na cienkim, srebrnym łańcuszku. Świeciła błękitnym światłem, przypominającym świetliki z Jaaru. Światło migotało nawet podobnie do nich, wyglądając na żywe, choć nieco wyblakłe. Kate obawiała się, że łańcuszek zaraz się urwie, a kryształ rozprysnie, na nowo pograżając ją w ciemności.

Podeszła do szafy i zaczęła dokładnie ją oglądać. Była ładna, choć już nieco poobdzierana. Pod bordową farbą kryło się gładkie, jasne drewno. Nogi i obramowanie podwójnych drzwi zdobiły spiralne wzory. Uchwyty w drzwiach miały złoty kolor. Kate pociągnęła za nie. Znów

się zdziwiła, bo zamiast przestrzeni na ubrania, w środku było coś w rodzaju archiwum: kwadratowe półki oznaczone literami i ułożone w rzędach po pięć.

Z czystej ciekawości Kate wysunęła jedną z szufladek, z literą *B*. Oprócz kurzu i pająka, któremu przeszkodziła w tkaniu pokaźnej już sieci, znalazła tylko jedną, poszarzałą kartkę. Była kwadratowa, z symbolem kociołka, w którego wnętrzu wpisano litery *E*, *W* i *R*. Pod kociołkiem narysowano miotłę, a nad nim – athame, skierowane ostrzem do dołu, jakby miało się w nim zanurzyć. Część kartki była zadrukowana, a część spisana ręcznie.

Sprawa z powództwa: *Moorehead, Jocelynn*

O: *Użycie czarów w miejscu niedozwolonym*

Oskarżony: *Barley, Arthur*

Treść oskarżenia: *6 października 1994, w Westminster, pracująca dla Społeczności pani Moorhead była naocznym świadkiem, jak pan Barley, czekając na pociąg, rzucił czar rozszerzający na jedną z ławek. Zrobił to na oczach prawie dwustu nieprzynależących, z których co najmniej trzech zemdlało. Jak tłumaczy oskarżony, po prostu rozboleły go nogi i chciał usiąść, a wszystkie miejsca były już zajęte.*

Kate powiodła wzrokiem w stronę stołu i ławek. Wyglądało na to, że znalazła się w czymś, co musiało dawniej stanowić sąd dla czarownic. Treść oskarżenia trochę ją śmieszyła, choć pewnie w oczach Społeczności coś takiego uchodziło za zbrodnię.

Korzystając z okazji, Kate postanowiła upewnić się, czy jej rodzina ma czyste konto. Zaglądnęła do półki z literą *H*.

Było tu trochę więcej dokumentów, ale znalazła kogoś z nazwiskiem Hallander. Och, i to kogo!

16 maja 1990 roku Hillena Hallander wraz ze swoją przyjaciółką, Selene Williams, dokonały aktu dewastacji, pokrywając figurę Błękitnego Mędrca hasłami: „Dość elitarnego szowinizmu!” oraz „Magia dla każdego!”. Oskarżone tłumaczą, że chciały w ten sposób zaprotestować przeciw zasadom panującym w niektórych magicznych uniwersytetach, które z założenia przyjmują w swoje szeregi jedynie mężczyzn ze znanych rodów magicznych.

Gdy zniknął początkowy szok, Kate prawie zaczęła się śmiać. Skutecznie przeszkodziła jej w tym jednak pamięć o tym, po co – być może – się tu znalazła. Musiała dokładnie przeszukać półki z literami W i A. Najpierw wysunęła półkę z literą A, jednak nic nie znalazła. Wyglądało na to, że rezydujący tu sędziowie opuszczali to miejsce w pośpiechu, skoro nie zdążyli dokładnie oczyścić wszystkich półek. Pech chciał, że pierwszą z nich opróżnili do cna.

Kate chciała sięgnąć pod literę W, kiedy nagle usłyszała straszny hałas, jakby coś wielkiego zbliżało się do niej na metalowych nogach. Odruchowo skryła się za szafą, a wtedy hałas natychmiast umilkł. Dopiero gdy powoli wysunęła głowę, natychmiast zdała sobie sprawę, skąd się wziął. Półki, których zawartość oglądała, wysunęły się szerzej, tak szeroko, że prawie dotknęły przeciwległej ściany.

Las nie mógł być całkiem pozbawiony magii. Przecież to przez nią się tu dostała i z pewnością to ona sprawiła, że szafa zachowywała się w ten sposób. Kate postanowiła to

sprawdzić. Pociągnęła szafkę z literą W tak mocno, jak tylko się dało. Ta zatrzymała się na zawiasach. Kate zajrzała do środka, w ciemność, w której ginęła zawartość półki. Po chwili usłyszała coś, co przypominało trzepot skrzydeł wielu ptaków. Odskoczyła od półki w chwili, gdy ta wysunęła się tak samo gwałtownie jak poprzednie.

Przeszukała półki jeszcze raz. Jedynie w tej z literą H znalazła kolejne dwa dokumenty, ale jej nie zainteresowały. Pod A i B nic już nie było, a dokumenty z W nie dotyczyły Selene.

– Coś musi być na rzeczy – powiedziała do siebie pod nosem, a potem postanowiła zwrócić się do mężczyzny z wizji. – Jeśli mnie słyszysz – powiedziała, rozglądając się dookoła – pokaż się jeszcze raz i wytłumacz mi, o co w tym wszystkim chodzi.

I chociaż była pewna, że to na nic, w kolejnej chwili usłyszała stukot.

Wstrzymała oddech. *To nie mogło poskutkować* – pomyślała.

Stukot rozległ się ponownie, ale zdezorientowana Kate nie wiedziała, skąd dochodził. Dopiero gdy usłyszała go po raz trzeci, spojrzała w stronę okna. Niebo zaczynało się rozjaśniać, odkrywając zalegającą na szybie warstwę kurzu i pajęczyn. Coś na zewnątrz się poruszyło. Kate dostrzegła ledwie odrysowującą się na szarym tle sylwetkę. Za oknem stał ktoś wysoki i szczupły, zupełnie jak mężczyzna z wizji...

Miała wrażenie, że jej serce stanęło, gdy zaczęła zbliżać się ku oknu. Zatrzymała się przy nim i kucnęła. Nie chciała, by obcy ją zauważył. Wstrzymała też oddech w obawie, że mógłby ją zdradzić, pozostawiając parę na szybie. Spojrzała

w okno. Kurz przypominał miejscami zsiadłe mleko, ale przy ramie szyba była wystarczająco przejrzysta – na tyle, że Kate zobaczyła w niej fragment postaci. Rozpoznała czarne spodnie i niebieską bluzę.

Nie mogła w to uwierzyć – za oknem stał Jonathan. Była tego pewna, bo dokładnie to samo ubranie miał poprzedniego dnia w Merlinie.

Zaczęła siłować się z zardzewiałą klamką, aż wreszcie udało jej się otworzyć okno. Jonathan natychmiast wspiął się na parapet i wskoczył do środka.

– Kate, nie ma czasu na wyjaśnienia – powiedział szybko. – Musisz stąd jak najszybciej uciekać. Nie wiesz, co się dzieje. Posłuchaj, ten mężczyzna... moja matka... – Jonathan zaczął się jąkać, aż wreszcie gwałtownie potrząsnął rękami. – Nieważne, potem wszystko ci wytłumaczę. Teraz musimy stąd wiać!

Na chwilę zamilkł i zaczął uważnie jej się przyglądać.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, chwytając ją za ramiona. Jego dotyk był elektryzujący. I wcale nie chodziło o to, co Kate do niego czuła. Po prostu buzował magiczną energią.

– Tak – odparła Kate, odsuwając się. Jego nagłe pojawienie się mogło być pułapką. Teraz już wszystko mogło okazać się pułapką.

– Mówili, że jesteś zaklęta – wyszeptał Jonathan, nadal się jej przyglądając, jakby szukał oznak czarunku na jej twarzy.

– Kto?

– Oni... nieważne. Nie mamy czasu! – rzucił i ruszył w stronę okna. Kate stała jednak niewzruszona.

– Jak mam uciekać, skoro nawet nie wiem, przed czym?! – warknęła. – Zresztą i tak nie wiem, dokąd mielibyśmy uciec.

Jonathan westchnął zniecierpliwiony.

– Moja matka chciała mnie zabić – powiedział. To krótkie zdanie dało mu dość czasu, by skończył wyjaśnienia najszybciej, jak mógł. – Nie tylko mnie. Ona i jakiś mężczyzna, nie mam pojęcia kto, chcą też zabić ciebie. Rzucili czar, żeby sprowadzić cię do lasu. Moja ferini uwolniła mnie i kazała przyjść tutaj. Nie wiedziałem, że cię tu spotkam. Zresztą oni mówili o tobie. Podobno mieli rzucić na ciebie zaklęcie, chyba spętać tak, jak spętali mnie.

Przez kolejne kilka sekund Kate stała i wpatrywała się w niego, próbując jakoś przetrwać jego słowa.

– Jeśli tak, to im się nie powiodło – odparła wreszcie. Nie wiedziała, jak skomentować resztę, szczególnie informację o matce Jonathana. Wszystko wydawało się teraz jeszcze bardziej chaotyczne niż w jej wizji.

I w samym środku tego chaosu usłyszała trzask przy drzwiach. Nie popatrzyła jednak w ich stronę, bo w tym samym momencie musiała złapać Jonathana, który nagle bezwiednie osunął się na podłogę.

– Jonathan! – zawołała. Miał szeroko otwarte oczy, ale całkiem zeszywniał. – Jonathan!

– Kate? – Usłyszała nagle i mimo że głos był spokojny, omal nie krzyknęła.

Drzwi stały otworem. Światło lampy padło na czyjąś sylwetkę. Znajomą sylwetkę.

– Robert? – zapytała Kate. Powinna chyba czuć ulgę, ale zamiast niej pojawiła się niepewność. – Jak się tu dostałeś? Co się dzieje?

W pierwszej chwili Robert nie odpowiedział. Wszedł do pomieszczenia, spokojnie zamykając za sobą drzwi. Spojrzał

na zawiąsy, wyraźnie się nad czymś zastanawiając.

– Nie skrzypią – powiedział jakby do siebie. – Ciekawe...

– Musisz mi pomóc! Mój przyjaciel... On... Nie wiem, co z nim się stało, ani co dzieje się ze mną. Pamiętam tylko, że wypiliśmy tę herbatę, a potem... Pomóż mi, musimy jak najszybciej przenieść się z powrotem do domu.

Robert, mimo próśb Kate, nie reagował. Powoli podszedł do szafy, sunąc dłonią po ścianie, jakby badał tynk.

– Jesteśmy w starym budynku angielskiej Rady Czarownic – powiedział, ściągając palcem kurz z jednej ze spirali wyrytych na szafie. – Dawniej prowadzono tu śledztwa i zajmowano się sprawami Społeczności. W 1997, kiedy las się zamknął, Radę przeniesiono. Jak widać, nie zabrali ze sobą całej dokumentacji.

– Czy myślisz, że naprawdę mnie to teraz interesuje? – warknęła Kate, coraz bardziej spanikowana. Bała się, że jeśli zaraz czegoś nie zrobią, Jonathan umrze. – Musisz nas przenieść!

– Obawiam się, że to niemożliwe – odparł Robert, kręcąc głową.

– Dlaczego?

– Powinnaś to wiedzieć. Las jest zamknięty. Magia tu nie działa.

– Jak to nie działa? A te półki, światło w lampie, a moja wizja?

Robert uciszył ją gestem.

– Posłuchaj – powiedział, wskazując sufit. – Dobrze posłuchaj.

Kate nie usłyszała niczego poza lekkim szumem liści, który zaraz ucichł.

– Las oddycha – powiedział Robert.

– Nie rozumiem...

– Magia odzywa się tu co jakiś czas, przypomina o sobie.

Być może to zwiastun wolno budzącego się życia, a może... kto wie, ostatnie tchnienie konającego?

Romantyczna podniosłość i fascynacja w głosie Roberta nie brzmiały najlepiej. Nie wspominając już o tym, że w ogóle do niego nie pasowały.

– Naprawdę nie mamy czasu! – ponaglała Kate. – Jeśli nie możesz nas przenieść, spróbuj przynajmniej pomóc mi jakoś inaczej. Wiesz, co mu dolega? – Wskazała na Jonathana. – Nagle upadł. Ma cukrzycę, ale nie sądzę, żeby to było objawem.

– Nie jest – uciał Robert, nawet nie patrząc w ich stronę. Usiadł na stole, odwracając się plecami do Kate. – To niewątpliwie działanie magii. I to prawda, że nie mamy czasu, a twojemu przyjacielowi można pomóc jedynie magią. Nie martw się jednak, nie zginie. Na razie nie, choć później... Ale dlaczego ty nie miałabyś mu pomóc?

– Niby jak?!

– Sama pomyśl, Kate. Czy sądzisz, że magia całkiem opuści las, czy może istnieje coś, co jest zdolne ją przywrócić? Może wiesz o istnieniu jakiegoś małego, niepozornego przedmiotu, który potrafi kontrolować całą magię świata?

Kate zamarła, wpatrując się przerażona w plecy Roberta.

– Nie wiem, o czym...

– Wiesz, Kate! – wrzasnął Robert. Zeskoczył ze stołu i odwrócił się w jej stronę. Wyglądał teraz inaczej. Miał te same oczy, usta i twarz, ale jego spojrzenie, ruch warg,

nozdrza sprawiające wrażenie, jakby wdychał jakiś smród – wszystko to nadawało mu szaleńczy wyraz. Kate nigdy go takim nie widziała, nawet nie wyobrażała sobie, by kiedykolwiek mógł tak wyglądać.

– No! Powiedz mi, Kate, jak to jest nosić w sobie coś, czego od setek lat pożądają kolejne pokolenia czarownic? Jak to jest być panią czegoś, co daje ci władzę sięgającą daleko poza to, o czym marzyli najpotężniejsi królowie tego świata?

Wszystko stało się jasne. Kate podejrzewała to od początku, gdy tylko Robert tu wszedł, ale teraz była już pewna.

– A więc to ty... – wyszeptała.

– Tak, ja! – odparł dumnie Robert. – Ja, od samego początku ja. Sądzisz, że Erato sama obmyśliłaby swój plan?

Kate potrząsała głową, jakby próbując zaprzeczyć temu, co słyszała. Nie mogła uwierzyć, że ma przed sobą tego samego Roberta, który pomógł jej wydostać się z aresztu i który pracował dla Społeczności. To *jego* słyszała wtedy, gdy szpiegowała Erato. To on był jej prześladowcą – jedna z ostatnich osób, po których by się tego spodziewała.

– Erato wybrała sobie na cel Fiona, cóż za zbieg okoliczności – ciągnął. – Na początku trochę mnie to zmartwiło, ale szybko wykorzystałem to na swoją korzyść. Znajomość z twoją ciotką pozwoliła mi lepiej rozeznać się w sytuacji. To ja sterowałem Erato, gdy rzuciła na ciebie zaklęcie, sprawiając, że dostałaś kamień. Beze mnie wcale byś go nie miała. Wreszcie, to ja wykradłem różdżkę Renufera-sokara z muzeum, różdżkę zdobioną skarabeuszem, i z jej pomocą ożywiłem moc potężniejszą, niż można to sobie wyobrazić. Przynależność do

Spółeczności znacznie ułatwiła mi zadanie. Dzięki niej mogłem bez trudu zatrzeć ślady.

Przed oczami Kate mignął teraz nagłówek gazety, którą ciotka czytała kilka miesięcy temu podczas ich wspólnego śniadania. Mówił o kradzieży skarabeusza egipskiego kapłana, ale nie wspominał nic o tym, by zdołał on różdżkę. Wtedy Kate nie przywiązywała do tego żadnej wagi, a teraz żałowała, że nie przeczytała artykułu. Ale nawet gdyby to zrobiła, co by jej to dało? Nie domyśliłaby się przecież, że mogło to mieć jakikolwiek związek ze światem wiedźm, a już na pewno nie z nią.

– Twój plan się nie powiódł. – Zmusiła się, by coś z siebie wydusić. Jej głos dobiegał jakby z oddali. – Próbowaleś rzucić na mnie urok. Jak widzisz, nie zadziałał. Ciągłe żyję.

– Już niedługo, Kate – odparł wesoło Robert. – Chroni cię potężna moc, przyznaję. Laleczki wcale na ciebie nie działały. Z wielkim trudem udało mi się sprowadzić cię tutaj.

– Kamień już raz mnie ochronił – przypomniała mu Kate, nabierając odwagi.

– To prawda – przyznał Robert. – On wciąż cię chronił. Tylko widzisz, Erato była głupia. To z jej winy nasz plan nie powiódł się za pierwszym razem. Teraz jednak jestem przygotowany.

Sięgnął do kieszeni. Kate sądziła, że wyciągnie z niej athame, ale w jego ręce dostrzegła tylko łańcuszek z czerwonym kamieniem. Już go gdzieś widziała.

– Wiesz, co to jest? – zapytał Robert. – Nie... oczywiście, że nie. Jesteś zbyt nieporadna i głupia, by choć przez chwilę pomyśleć o tym, co w sobie nosisz. Pewnie myślisz sobie, że twój kamień jest jedyny w swoim rodzaju, ale mylisz się.

Oprócz niego stworzono jeszcze pięć podobnych, choć o mniejszej sile. Gdy mam go ze sobą, nic mi nie grozi.

Zawiesił łańcuszek na szyi, a Kate przypomniała sobie, gdzie widziała go po raz pierwszy. Miała go na sobie matka Jonathana, wtedy, gdy Kate odwiedziła go w domu.

Dopiero teraz Robert wyjął athame. Kate obrzuciła je niespokojnym wzrokiem.

– Nie rozumiem, dlaczego to robisz...

Robert się zaśmiał.

– A po co *wszyscy* to robimy? – odparł, a jego oczy rozbliły. Zdradzał niezdrową fascynację tym, o czym mówił, zupełnie jakby pragnienie zdobycia kamienia całkiem nim zawładnęło. – Moc, Kate! Chodzi o *moc*. Czego wszyscy szukamy? My, czarownice i czarownicy? Mocy! To ona jest najważniejsza. Czy ktoś powiedział ci, że uprawiamy magię z miłości, dla *oświecenia*, by lepiej rozumieć świat? Kłamał. Chodzi tylko o moc. To jej pragniemy, wkraczając na tę ścieżkę, to do niej sprowadzają się wszystkie nasze działania. Ona zapewnia nam władzę i sprawia, że nikt nie odważy się stanąć nam na drodze.

Kate brzydziła się jego słowami, jednak coś mówiło jej, że mógł mieć rację. Jak wiele istnień pochłonęła walka o ten mały, głupi kamień, który w sobie nosiła?

– Jeśli kamień doceni moje wysiłki – powiedział Robert – zdobędę go. Bo to ja sprawiłem, że zmienił miejsce ukrycia. Kamień należy do mnie, a ty... Cóż, ty jesteś złodziejką.

– Nie jestem złodziejką – odparła powoli Kate. – Kamień mnie wybrał, bo jestem od ciebie lepsza. I nie boję się ciebie.

Musiała bardzo się starać, żeby jej głos nie zadrżał, gdy wymawiała ostatnie słowa. Patrząc na Roberta, który

skierował w jej stronę ostrze swojego athame, musiała jeszcze raz zaufać sile kamienia i Eos, gdziekolwiek teraz była.

Robert wysoko uniósł brwi.

– Tak, Kate? Uważasz się za potężniejszą ode mnie? – Zamilkł na moment, a potem zaczął się śmiać. – Powiedz mi w takim razie – dodał, gdy skończył – jak to możliwe, że taka wiedźma jak ty tak panicznie boi się ciemności? Och, tak, Kate! Wiem o tobie znacznie więcej, niż ci się wydaje.

Ostrze athame błysnęło magiczną energią. Jednym ruchem Robert odciął żyrandol. Kryształowa lampa spadła, roztrzaskując się o blat. Kate pisnęła i zatkała uszy, gdy to się stało. W pomieszczeniu zapanowała ciemność.

– I jak się teraz czujesz? – zapytał Robert.

Kate powoli ściągnęła ręce z uszu. Teraz wszystko wydawało jej się jeszcze cichsze, przez co głos Roberta stał się donioślejszy i bardziej obezwładniający.

– Pozwól, że przypomnę ci o kilku rzeczach – powiedział. – Bo przecież nie tylko o ciemność chodzi, nie tylko jej się boisz... Powiedz, jak to jest podczas śniadania?

– C-co? – wyjąkała.

Powietrze znów przeszył lodowaty śmiech Roberta.

– Nie schodzisz na nie, prawda? Udajesz, że to przez zmęczenie, że jesteś zajęta, że nie masz ochoty jeść... Ale to przecież nieprawda. Kłamiesz, wciąż kłamiesz sama przed sobą. Dlaczego miałaś wyrzuty sumienia po kolacji pierwszego dnia tutaj? Ile razy dziennie wchodziłaś na wagę?

– Obserwowałeś mnie! – zawołała Kate. – Osaczyłeś!

– Tak, robiłem to – odparł beznamiętnie Robert. – Jestem czarownikiem. Mogłem, pozwoliła mi na to magia. Musiałem

dobrze cię poznać. Wniknąłem w twój umysł, miałem spustoszenie w snach... Och, wiem też, co myślisz o swojej twarzy. Uważasz ją za brzydką... Tak swoją drogą, to masz rację, jesteś brzydka. Ponadto jesteś beznadziejną wiedźmą. Chciałaś nosić w sobie kamień, tak ważną rzecz, a sama pałasz do siebie nienawiścią.

– Przestań! – zawołała Kate. Nie mogła tego słuchać. Targały nią ból, rozpacz i wściekłość. Chciała jedynie, by Robert zamilkł.

Ale on jeszcze nie skończył.

– Twoja Księga ma bardzo niezwykle właściwości – powiedział. – Jest, można tak powiedzieć, *czuła*. Może przenieść cię do miejsc, do których inaczej się nie dostaniesz. Trochę ją... pozmieniałem. Zamiast na polanę Yrenndall, miała przenieść cię tutaj. A mnie zostało już tylko... cóż, podać herbatę.

– Diana – szepnęła Kate. – Od początku byliście w zмовie!

– Diana? – prychnął Robert. – Nie żartuj, Kate. Widzisz wrogów w złych miejscach. A już myślałem, że czegoś się nauczysz... No cóż, jeśli ma spłynąć na ciebie światło, choćby późno, niech tak się stanie.

Czubek athame zajaśniał w jednej dłoni Roberta, ukazując coś, co trzymał w drugiej. Kate dostrzegła mały, czarny przedmiot, figurkę.

– Czy wiesz, co to? – zapytał Robert. – To żywy ogień – odpowiedział i zamachnąwszy się, rzucił figurkę na podłogę.

Kate krzyknęła, gdy z roztrzaskanej figurki wypełzły płomienie, które bezgłośnie, niczym długi, ognisty wąż, uformowały krąg wokół niej i Jonathana, odcinając im drogę ucieczki.

– Do widzenia, Kate – powiedział Robert. – Wrócę tu już tylko po kamień.

I zaśmiawszy się jeszcze raz, zatrzasnął za sobą drzwi budynku Rady.



Rozdział 20

Przez płomienie

Kate rozpaczliwie próbowała ocucić Jonathana. Wiedziała jednak, że to na nic. Żeby zdjąć z niego czar rzucony przez Roberta, musiałyby wiedzieć, co to za czar. Odciągnęła go od okna. Teraz leżał na środku pomieszczenia, w bezpiecznej – przynajmniej na razie – odległości od płomieni. Ogień sięgał jednak coraz wyżej, płomienie zdołały już osmolić część sufitu.

Spośród wszystkich rzeczy, jakie przychodziły jej do głowy, a było ich zbyt wiele, by każdą przemyśleć, Kate wiedziała tylko, czego *nie* wolno jej robić: nie panikować. Przypomniała sobie słowa, które Fion często powtarzał jej, gdy musiała się skupić: „Oko cyklonu, łagodny, niewzruszony punkt na wzburzonej powierzchni oceanu”. Wyjęła gałązkę, którą Jonathan wciąż trzymał w zaciśniętej

dłoni.

– Nie gałązkę – powiedziała sobie. – Różdżkę! – Właściwe myślenie było pierwszym krokiem do sukcesu.

Zacisnęła dłonie na różdżce tak mocno, że aż ją zaboląły. Miała wrażenie, że wraz z potem uchodzi z niej napięcie, które wnikało w gładkie drewno. Jednak stres wcale nie malał: im więcej nerwowych drgań opuszczało ciało Kate, tym więcej kolejnych pojawiało się jakby tuż pod powierzchnią skóry.

Różdżka nie reagowała, a w lesie mogło czaić się więcej wrogów, nie było więc czasu, by próbować zmusić gałąź do działania. Kate musiała znaleźć inne rozwiązanie. Zamknęła oczy i powędrowała myślami w stronę skrytego w jej sercu kamienia. Próbowała przywołać jego moc, ale nic się nie działo.

Płomienie zajęły już ściany. Osaczały Kate i Jonathana jak dzikie zwierzęta, czekające aż ofiara osłabnie. Ogień *myślał*. Nie zachowywał się normalnie. Kate zaczęła kaszleć, pewna, że zaraz zemdleje. Jej myśli krążyły już tylko wokół kamienia i Jonathana. Przestała czuć gorąco, przestała widzieć cokolwiek przez załzawione oczy. Była pewna, że zaraz zginą.

Nagle z oddali dobiegł ją odgłos czegoś, co przypominało warkot silnika. Dźwięk stawał się coraz wyraźniejszy, a po chwili zaczęły towarzyszyć mu krzyki i odgłosy bójki.

Do budynku Rady znów wpadł Robert. Walczył z kimś... z *czymś*, czego nie było nawet widać. Wymachiwał rękami i krzyczał. Kate, odzyskawszy na moment przytomność umysłu, sądziła, że to kolejne objawy jego szaleństwa. Jednak gdy tajemnicza siła uniosła Roberta i rzuciła nim o ścianę, nabrała pewności, że działo się coś innego. Ktoś tu

przybył, ktoś, kto – być może – próbował im pomóc.

Robert wyciągał ręce, chcąc najwyraźniej pochwycić tego, kto go trzymał, jednak jego dłonie natrafiały tylko na pustą przestrzeń. Czerwony kamień na jego szyi zajął się nagle ogniem. Robert krzyknął i zaczął ciągnąć łańcuszek, próbując zerwać wisior. Wrzeszczał, parząc sobie ręce o rozpalony kamień, ale wreszcie zdjął go z siebie i cisnął w stronę płomieni, po czym natychmiast wybiegł z budynku, krzycząc jeszcze głośniej. W ostatniej chwili, nim zniknął jej z oczu, Kate dostrzegła, że jego bluza również zajęła się ogniem.

Wisiorzek wylądował na jednym z krzeseł. Kate doczołgała się w jego stronę. Pamiętała słowa Roberta: czerwony kamień podlegał temu, który znajdował się w jej sercu. W takim razie nie powinien jej skrzywdzić.

Dotknęła go niepewnie. Wisiorzek był zimny, jakby przed chwilą wcale nie trawił go ogień. Zakrywając usta rękawem, Kate wróciła do Jonathana i zrobiła jedyną rzecz, jaka przychodziła jej do głowy. Jeśli kamień należał wcześniej do jego matki, teraz powinien stać się własnością Jonathana i być mu posłuszny. Kate położyła go więc na jego piersi.

– Proszę, niech zadziała – wyszeptała. Przecież musiał zadziałać teraz, gdy nie było już innego ratunku.

Wpatrywała się w Jonathana z nadzieją, którą już kiedyś, całkiem niedawno temu, odczuwała. Ale tym razem nie mogło skończyć się tak samo. Nie zniosłaby tego, gdyby Jonathan, podobnie jak Jawis... Nie, tym razem nie mogła do tego dopuścić. Była gotowa spróbować podnieść Jonathana i wyciągnąć go z budynku, przeprowadzić przez płomienie – może nie poparzą ich, może ustąpią, jeśli okaże

dość siły woli, niczym prawdziwa wiedźma.

Złapała Jonathana za ramiona, a wtedy on nagle wciągnął powietrze i poruszył się.

– Różdżka – powiedział słabo.

– Co?

– Daj mi różdżkę – powtórzył. – Muszę jej użyć.

Kate sięgnęła po przedmiot i krztusząc się coraz bardziej, podała go Jonathanowi. On pewnie pochwycił kawałek drewna i skierował go na płomień. Trudno było uwierzyć w to, co stało się potem.

Otoczający ich ognisty krąg zawirował i przełamał się. Jeden z końców uniósł się w górę i uformował w coś, co przypominało głowę smoka, drugi zamienił się w jego ogon. Smok miotał nim na wszystkie strony, ale nie mógł sięgnąć Kate i Jonathana, zupełnie jakby chroniła ich niewidzialna bariera. Jonathan wciąż celował różdżką w głowę bestii, która ryczała wściekle, obezwładniona przez magię. Wreszcie smok szarpnął w złości głową i rzucił się w stronę Jonathana. Przypominał jednak bardziej zaszczutego gada niż śmiertelnego przeciwnika. Nie był w stanie ich zaatakować. Różdżka wchłonęła go, pozostawiając jedynie dym, który jeszcze przez chwilę unosił się w powietrzu.

Płomień, które objęły ściany, zaczęły z nich spływać, jak gdyby nagle zmieniły się w strugi lawy. Opadały na podłogę i sunęły w stronę Kate i Jonathana, formując wokół nich kolejny, tym razem ciaśniejszy krąg. Skulili się i odsuwali nogi, by uniknąć poparzenia, ale i tym razem ogień nie mógł ich dotknąć. Ciasny krąg wzbił się w powietrze i wirując jak dysk, ścieśniał się przed ich oczami. Po chwili przypominał już tylko niewielką wstążkę, która zawirowała jeszcze kilka

razy, po czym wskoczyła w różdżkę Jonathana.

Przez moment panowała zupełna cisza, którą przerwała Kate:

– Jak to zrobiłeś?

– Nie wiem – przyznał szczerze. Miał całkiem nieobecny wzrok. – Po prostu poczułem, że musiałem.

Kate wstała. Opanowanie zawrotów głowy zajęło jej chwilę. Za oknem niebo było już prawie całkiem jasne, szarzyzna zaczęła ustępować kolorom, które zapowiadały od dawna nieobecny w okolicy błękit.

– Musimy się stąd wydostać – powiedziała.

– Znam drogę – odparł Jonathan.

To była dobra wiadomość, choć jedna od dłuższego czasu.

– Tylko trzymaj różdżkę – ostrzegła Kate. – Nadal nie wiemy, co nas jeszcze czeka.

Nie denerwowała się tym, że Robert czai się gdzieś w pobliżu. Bardziej martwiło ją to, że nie wiedziała, *gdzie* jest.

Drzwi budynku Rady wciąż były otwarte. Jonathan szedł przodem, trzymając przed sobą różdżkę. Nie zastanawiał się nad tym, że i tak nie wiedział, jak jej użyć. To, co stało się przed chwilą, było samoistne. Ścisnął ją po prostu i magia zadziałała bez jego udziału. Gdyby przyszło mu walczyć, nie miałby pojęcia jak. Mógłby co najwyżej zdzielić przeciwnika różdżką po głowie.

Las nie był już taki ciemny, głównie dlatego, że oświetlały go reflektory samochodu. Samochodu Selene.

– Stevie? – zdziwiła się Kate.

– Co? – Jonathan skierował różdżkę w jej stronę, gotów użyć jej po raz kolejny.

– To samochód mojej znajomej – wyjaśniła Kate.

– Uhm... Wcześniej go tu nie było, prawda?

– Bo on... Hm... – Kate zastanawiała się, jak to wytłumaczyć. Uznała jednak, że Jonathan widział już dość, żeby mogła rozmawiać z nim wprost. – On jest zamieszkanym przez ducha.

– Przez ducha?

– Moja ciotka nazywa go Stevie. Dzięki duchowi auto ma własny... rozum. Muszę przyznać, że kompletnie o tym zapomniałam, a jak widać, bardzo nam się przydał. Myślę, że to on uratował nas przed Robertem.

– Więc sądzisz, że ten duch... Ten Stevie... To on walczył z tamtym facetem?

– Wszystko na to wskazuje. – Kate westchnęła. Chciała ruszyć w stronę samochodu, ale wtedy coś nią szarpnęło. I wiedziała, że było to coś, nie osoba, ale coś z wnętrza jej samej. Przez chwilę poczuła się tak, jak kilka godzin temu, gdy zakłęcia Roberta zmusiły ją, by ruszyła do łazienki i patrzyła w lustro. Jonathan mówił coś, ale ona go nie słyszała. Jego słowa przypominały zbitkę pomieszanych dźwięków. Nogi Kate ruszyły same. Znowu słyszała ten głos.

– *Kate... Kate...* – nawoływał. Przeszła między drzewami. Zatrzymała się przed niewielką kałużą, tak ciemną, jakby wypełniono ją smarem. Pod czarną taflą jaśniało jednak zielone światło, zielone jak kamień, który miała w swoim sercu.

– *Otwórz go, dobądź jego moc, ujarzmi ją, dosiądź jej!*

Nagle Kate zobaczyła siebie taką, jaką była w królestwie Eos, z diademem na głowie i w długiej sukni. U jej stóp klęczały cztery postacie, składając jej cześć, a za plecami

ciotka Hillena otwierała usta w zdumieniu. Ale ona także musiała pochylić głowę przed potęgą, która otwierała się w sercu Kate... Kate, Strażniczki Kamienia. Teraz nie istniała już żadna moc, która mogłaby się z nią równać.

W sadzawce ukazała się postać, ta sama, którą wcześniej więziło lustro. Na jej szyi połyskiwał czarny amulet. Wyciągała ręce w stronę Kate, próbując dotknąć jej palców i spleść się z nimi w pełnym miłości geście. Jej dłonie nie wydawały się już obrzydliwe, ich chłód był kojący, a kolor kojarzył się z mrokiem lasu, nie ze zgnilizną. Chude palce dotknęły ramion Kate i sunęły po nich delikatnie. Pod opuszkami kryła się jednak gwałtowność i niecierpliwość. Te same dłonie mogłyby zacisnąć się na szyi, gdyby nie otrzymały tego, czego pragną.

Kate usłyszała Jonathana wymawiającego jej imię. Jego głos dobiegał do niej z oddali, mimo że wiedziała, że stoi tuż obok. Czuła jego niepokój i widziała jego aurę, tak różną od jej aury, w którą zakradł się mrok.

W ułamku sekundy zdała sobie sprawę z własnej odrębności. Nie była postacią z sadzawki, choć mogła zdecydować, by tak się stało. Nie chciała tego. Spojrzała w martwe oczy swojej ciemnej bliźniaczki i pozwoliwszy dreszczowi strachu pojawić się i odejść, zdecydowanym, pełnym mocy ruchem odtrąciła jej ręce. A ona, zdezorientowana, uniosła głowę i nie próbując już walczyć, jakby nagle straciła całą swoją siłę na rzecz Kate, opadła bez życia na dno. Zniknęła na zawsze.

– Coś się stało? – zapytał Jonathan, wciąż stojąc i patrząc. Kate odwróciła się w jego stronę, z trudem dochodząc do siebie. Czuła się, jakby musiała na nowo odnaleźć swoje

ciało i zagnieździć się w nim, jak w czymś nowym.

– Musiałam rzucić pewne... zaklęcie.

Nie chciała mówić Jonathanowi, co stało się naprawdę. Nie wiedziała dlaczego, ale czuła, że i tak by jej nie zrozumiał i że w swoim czasie będzie musiał przejść przez to samo.

– Idziemy – zdecydowała, zrywając się z ziemi, i ruszyła z powrotem w kierunku samochodu. – Myślisz, że wszystko z nim w porządku?

Jonathan obejrzał auto.

– Wygląda na to, że tak – odparł. – Oprócz tego, że mieszka w nim duch.

Ostatnie słowa wypowiedział ze zdumieniem, zupełnie jakby słyszał je od kogoś innego.

– Umiesz prowadzić? – zapytała Kate.

– Tak.

– Więc ruszajmy.

Wsiedli do samochodu. Kate zbadała tylne siedzenie. Wciąż obawiała się, że w każdej chwili może wrócić Robert. Jonathan odpalił samochód.

– Nie wiem, jak przebrniemy przez te wszystkie drzewa – zmartwił się. Silnik odpowiedział mu dwoma warknięciami, a potem auto ruszyło. Po chwili Jonathan wiedział już, że w zasadzie nie musi nawet kręcić kierownicą. Pozostawało tylko pytanie, dokąd zabierze ich samochód.

Jechali przez suchą ścieżkę. Gałęzie trzeszczały pod oponami. Auto przyspieszało samo. Duch, który je zamieszkiwał, musiał dobrze znać las. W napięciu wypatrywali czyichkolwiek sylwetek. Początkowo milczeli. Wreszcie Jonathan, zdjawszy już ręce z kierownicy, zapatrzył się w szybę, na otwierający się przed nimi las, i westchnął:

- Nigdy jeszcze nie zrobiłem czegoś podobnego.
- Nie używałaś magii? – zapytała Kate.
- Używałem. To znaczy... tak mi się wydaje, choć w porównaniu z tym, czego dokonałem dziś, wydaje mi się to zwykłymi sztuczkami.

Kate chciała zapytać, dlaczego udawał, że nie ma pojęcia o magii, ale uświadomiwszy sobie, że wymagałoby to od nich obojga opowiedzenia znacznie dłuższych historii, na co ona sama z pewnością nie miała teraz ochoty, postanowiła milczeć.

Samochód okrążył niemal cały las, ale znalazł wreszcie drogę przez płytką rzekę. Po chwili wyjechał na wąską dróżkę i gdy nią ruszył, Kate wiedziała już, że jadą w stronę Księżycowego Domu. Zaczęła obawiać się tego, co w nim zastanie. Środek dodany do herbaty miał ją omamić, ale co stało się z pozostałymi, którzy wypili napar? Czy ich także Robert postanowił w jakiś sposób wykorzystać?

Gdy dojechali na miejsce, okazało się, że wszystkie światła w domu są pozapalane. Prowadząc Jonathana po trzeszczących schodach, Kate nie była w stanie nawet spokojnie odetchnąć. A gdy tylko weszła do salonu, ktoś wrzasnął:

- Kate!

Głos należał do ciotki Hilleny i trudno było powiedzieć, czy bardziej wyrażał ulgę, czy oburzenie. Ona i Selene natychmiast doskoczyły do Kate i Jonathana i obejmując ich za ramiona, zaczęły prowadzić ku stołowi, przy którym siedziała reszta, pochylona nad wielką mapą Hagsborough. Jonathan, siadając, miał problem z trafieniem w krzesło. Zdezorientował go widok tak wielu ferów, w tym Fione.

– Jesteście wreszcie! – ucieszyła się Lilian. W ręku trzymała kryształowe wahadełko. – Od dwóch godzin staraliśmy się was znaleźć.

– Co się stało? – zapytała ciotka.

Kate spojrzała na Jonathana i ruchem głowy tak lekkim, że niemal wcale niezauważalnym, dała mu do zrozumienia, by milczał. Potem zaczęła opowiadać o wszystkim, co się wydarzyło, na tyle szybko, żeby nie miał ani chwili na wtrącenie czegoś od siebie. Powód był prosty: Kate pominęła najważniejszą część historii, która jak zwykle obracała się wokół kamienia. Zamiast tego skłamała, że Robert próbował złożyć ich w ofierze, by zyskać moc ducha lasu.

– A więc las się otworzył... – powiedziała Selene. Ona i ciotka Hillena wyglądały na dość przekonane tłumaczeniem Kate.

– Ale jak *ty* się tam dostałaś? – zapytała pani Hallander.

– Sądzę, że to był rodzaj halucynacji – odparła Kate, zadowolona, że tym razem nie musi kłamać. Bo przecież jej wizja przypominała halucynację.

– I pomyśleć, że my też wypiliśmy tę herbatę – powiedziała Lilian. – Nie pamiętam jednak żadnych wizji. Spałam twardo do czasu, aż obudziła mnie Fione... Nie mogę w to uwierzyć. Robert... Co my teraz zrobimy? I w dodatku twoja matka... Tak mi przykro – zwróciła się do Jonathana. – Na pewno ci pomożemy.

Spojrzała pytającym wzrokiem na Selene, która zachowywała zimną krew.

– Oczywiście – powiedziała. – Najpierw musimy jednak dać im coś do jedzenia, a potem... No cóż, nie pozostaje nam nic innego, jak skontaktować się ze Społecznością i o wszystkim

im opowiedzieć. Muszą znaleźć Roberta. Coś mi się zdaje, że czeka nas długi i wyczerpujący dzień.

Selene miała rację. Jeszcze zanim pochłonęli przygotowane jajka z bekonem i tosty, ciotka skontaktowała się ze Społecznością. Zrobiła to przy pomocy szklanej kuli, z której dobiegł kobiecy głos:

– Natychmiast zablokujemy portale stałe w państwa domu. Pozostawimy otwarty tylko jeden dla przedstawicieli Społeczności. Proszę nie opuszczać miejsca pobytu. Zjawimy się lada chwila.

I tak też się stało. Nie minęło pół minuty, jak w jadalni zjawiała się niska kobieta w czarnym płaszczu w otoczeniu dwóch funkcjonariuszy w strojach zwykłych policjantów. Na płaszczu kobiety srebrną nicią wyszyty był ten sam symbol, który Kate widziała na dokumentach w budynku Rady.

– Dorcas Cloyce, agentka Społeczności do spraw nagłych i nieoczekiwanych – przedstawiła się i spojrzała na pozostawione na stole kubki i talerze. Skwitowała je zniesmaczonym wyrazem twarzy, jakby obawiała się, że utrudnią jej prowadzenie śledztwa.

– Może zrobię coś do picia? – zapytała zakłopotana Selene.

– Nie – powiedziała oschle agentka. – Nie mamy na to czasu. Chcemy zacząć jak najszybciej. Czy ma tu pani jakieś niewielkie pomieszczenie z czystym stołem?

– Uhm... – Selene się zamyśliła. Niewielkie pomieszczenie nie było problemem, tylko ten czysty stół... – Chwileczkę.

Pobiegła do kuchni, z której po chwili doszły odgłosy przemieszczania ciężkich przedmiotów i szmatki przesuwającej się z piskiem po blacie. Potem Selene pokazała się w drzwiach z bladym uśmiechem.

– Proszę tutaj – powiedziała.

Agentka i funkcjonariusze urządzili sobie w kuchni tymczasowy pokój przesłuchań. Rozłożyli notatki na prawie czystym stole – nie licząc plam, które uparły się pozostać tam na zawsze – a drzwi obłożyli czarem zagłuszającym. Potem zaczęli wzywać wszystkich po kolei, a przesłuchania zajęły im prawie trzy godziny. Kate weszła jako pierwsza i przedstawiła im tę samą wersję wydarzeń, którą opowiedziała ciotce i reszcie.

Dorcas Cloyce wciąż miała surową minę, a policjanci kręcili głowami z niedowierzaniem, jakby nie mogli uwierzyć, że Robert zdradził Społeczność. Nikt nie miał jednak zastrzeżeń do słów Kate. Wydawali się przerażeni, co szczególnie ją dziwiło. Jeśli w instytucji, która miała chronić wiedźmy i czarowników, pracował ktoś, kto chciał nimi zawładnąć, to oznaczało chyba, że nie ma bezpiecznych miejsc.

Selene weszła jako następna, po niej ciotka. Nie przesłuchiowano ich jednak długo, bo nie miały zbyt wiele do powiedzenia. Gdy wyszły, od razu pobiegly na górę. Funkcjonariusze polecieli im odszukać wszystkie rzeczy, które miały związek z Robertem. Lilian, Dianę, Toma i wszystkie fery przesłuchano wspólnie. Babcia Annywnn co najmniej dziesięć razy narzekała na ścisk w kuchni.

Najdłużej przetrzymywali Jonathana. Kate zaczęła się martwić, że powiedział im coś o kamieniach. Ale gdy wyszedł, wcale nie wyglądał na zaniepokojonego czy wystraszonego. Wydawał się raczej skonfundowany. Podeszedł do stołu, przy którym siedzieli wszyscy, i rzucił jakby w przestrzeń:

– Powiedzieli, że mogą skontaktować mnie teraz z moim wujem i znaleźć mi nowy dom.

– No, a ty? – odparła Kate po chwili. – Co ty na to?

Jonathan spojrział na każdego po kolei, a potem skupił swój wzrok na Fione.

– Nie wiem – powiedział. – Szczerze mówiąc, chciałbym najpierw zobaczyć Jaar...



Rozdział 21

Pani Jenkins przemawia

– Ciągłe nie wiemy, jak się dowiedziałaś o Jonathanie i lesie
– powiedział Fion. On, Fione, Kate i Jonathan siedzieli teraz na płatkach kwiatu mieszkalnego i obserwowali niebo, na którym słońce pięło się coraz wyżej, sięgając już szczytów Gór Południowych. Badb, Harold i Murugan ścinał zioła na Święto Żniw, więc mogli rozmawiać swobodnie.

Kate trudno było uwierzyć, że po swoich przerażających przeżyciach Jonathan będzie w stanie tak bardzo się cieszyć. Najpierw ze zdumieniem przyglądał się wszystkim sprzętom w świątyni stojącej u stóp kwiatu, potem, gdy wybrali się na przelot motylami, śmiał się jak małe dziecko, a na polanie Yrenndall uważnie rozglądał się na wszystkie strony w poszukiwaniu prawdziwego jednorożca. Kate nie miała mu oczywiście za złe tego, że tak szybko się otrząsnął; właściwie

to wcale nie wierzyła, że to zrobił. Wiedziała, że jeszcze będzie musiał zmierzyć się z wydarzeniami z lasu, na razie jednak Elphame go uspokajało. Zresztą na nią działało tak samo. Choć w powietrzu czuć było już jesień, nigdy nie miała ona nadejść. Elphame było krainą lata, wyrwaną z cyklu następujących po sobie pór roku. Każdą chwilę tutaj można było przeżywać w nieskończoność, jakby nie istniała przed nią żadna przeszłość, a przyszłość rozgrywała się tu i teraz.

– No. – Fione westchnęła. – Trzeba przyznać, że trochę się nabiegałam. Tak naprawdę wszystko zaczęło się od mojego ślubu.

– Ślubu? – zapytał Jonathan.

– Tak, niedługo wychodzę za mąż. – Machnęła ręką. Kate uznała, że gdyby chodziło o nią, z pewnością nie wypowiadałaby się o tym tak lekkim tonem. – Chciałam zapytać Babcię Annwynn o coś, co wiązało się z ceremonią. Dostałam od niej przepowiednię, tyle że dotyczącą czegoś zupełnie innego.

Fion się poruszył.

– Naprawdę rozmawiałaś z Babcią? – zapytał z nieskrywanym zdumieniem. – Myślałem, że z całej rodziny tylko ja z nią rozmawiam. No wiesz, ze względu na ojca.

Jonathan spojrzał na Kate pytająco, ale ona wzruszyła tylko ramionami. Fion wspomniał jej kiedyś, że Babcia Annwynn nie rozmawia z resztą rodziny, ale nigdy nie wyjaśnił, o co im poszło.

– Cóż, nie musisz wiedzieć wszystkiego, prawda? – odparła Fione. – Nie poszłabym zresztą do Babci za dnia. Od razu by mnie wypytywali, po co mi przepowiednia.

– Właśnie – podchwycił Fion. – *Po co ci ona?*

– Tym też nie musisz się interesować – warknęła Fione. – I siedź cicho, jeśli chcesz, żebym w ogóle coś ci powiedziała.

Potem wróciła do swojego zwykłego, monotonnego tonu.

– No więc poprosiłam Babcinę o przepowiednię dotyczącą ślubu, a ona użyła swojej szklanej kuli i wpadła w trans, jak to Babcia. Kiedy nagle przestaje narzekać na wszystkich wokół i przeklinać świat, wiadomo, że nie jest już sobą. Zaczęła mówić zmienionym głosem, a ja wszystko sobie zapisałam.

Fione sięgnęła do swojej sakiewki. Wyjęła z niej pomiętą kartkę i zaczęła czytać.

– *To stanie się tej nocy. Krew, z którą krew połączysz, kipi ogniem. Zagubiony i zniewolony, czeka na ciebie w pustym miejscu. Jak strumień wypłynie moc tam, gdzie już jej nie ma. Trzy razy niech zapuka w szkło. Trzy razy, trzy razy.*

– I to wszystko? – zapytała Kate. – Zrozumiałas to od razu?

– To było proste, prawda? – odparła Fione. – Najpierw próbowałam połączyć przepowiednię ze ślubem, ale przecież nie miałam z nikim się łączyć tamtej nocy. Połączenie krwi skojarzyło mi się zresztą tylko z połączeniem między ferem i jego czarownicą, a ogień z mocą magiczną. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że to żywioł Jonathana. Puste miejsce też było łatwe do zrozumienia. W końcu tak nazywamy miejsca, w których magia szwankuje. Nie wiedziałam tylko, o które puste miejsce chodzi. Szybko jednak przypomniałam sobie, jak Fion opowiadał mi o Hagsborough i Jęczącym Lesie. Byłam pewna, że właśnie tam muszę się dostać.

– I jak ci się to udało? – zapytał Fion. – Jak doszło do połączenia?

– Szczerze mówiąc, trochę się bałam. – Fione chrząknęła, niepewna, czy dobrze robi, przyznając się do swoich uczuć. – Nigdy wcześniej nie przenosiłam się do świata ludzi. Wiedziałam też, że zbyt długie przebywanie w pustym miejscu może zabić istotę magiczną. Zaryzykowałam jednak, bo czułam, że połączenie już się zaczęło i że trzeba dopełnić je krwią. Rzuciłam więc zaklęcie, by przenieść się tam, gdzie znajdę swojego czarownika.

Zamilkła na chwilę i utkwiała wzrok w górach, które jaśniały, oblane światłem słońca.

– Potem wszystko poszło zadziwiająco gładko – powiedziała. – Czułam, jakby prowadziła mnie jakaś moc, coś silniejszego od instynktu czy chęci połączenia. Od razu odkryłam jaskinię i znalazłam przed nią Jonathana.

– Kiedy się zbliżałaś – przerwał jej Jonathan – widziałem światło.

– Niektóre fery mają zdolność fosforyzacji – wyjaśniła Fione. – Za dnia nasze skrzydła wciągają moc słońca, a w nocy stopniowo ją uwalniają.

– Jak lampy – dodał Fion. – Wiesz, Kate, takie, jak twoi sąsiedzi mają przy podjeździe.

Fione wyglądała na zażenowaną porównaniem jej do lampy ogrodowej.

– No – mówiła dalej, po wymownym westchnięciu – musiałam oszczędnie używać magii. Od razu po połączeniu się z Jonathanem udzieliłam mu instrukcji. Wierzyłam, że to on jest tym, który musi zapukać trzy razy w szkło, a szkło rozumiałam po prostu jako okno. Później od razu zaczęłam szukać Fiona. To nie było już tak proste, bo przeniosłam się gdzieś obok Księżycowego Domu. Oczywiście portal był dla

mnie zamknięty, więc musiałam włamać się przez okno. W środku wszyscy spali. Nie dało się was normalnie obudzić, więc wróciłam do domu i podkrađłam mamie trochę otrzeźwiajki.

– To takie zioło – wtrącił Fion.

– Użyłam go natychmiast. Fion od razu wyczuł, że coś grozi Kate, ale las był znów całkiem zamknięty. Zaczęliśmy szukać was na mapie Hagsborough, używając wahadełka. Ono także nie reagowało... No, to wszystko. Potem sami się pojawiliście, a resztę historii znacie.

Fion zmarszczył czoło, zastanawiając się nad czymś gorączkowo.

– Skoro jesteś tak dobra w rozumieniu przepowiedni – zwrócił się do Fione – to mam dla ciebie jeszcze jedną... – Posłał Kate wymowne spojrzenie, ale tym razem nie zaprotestowała.

Fion wyrecytował przepowiednię, podyktowaną im dwa miesiące temu przez Babcię Annwynn. Kate uzupełniła ją historią, która im się wtedy przydarzyła, po raz pierwszy opowiadając ją komuś innemu niż Księdze Luster, w której wszystko spisała. Przy okazji wytłumaczyła Jonathanowi, o co chodziło z kamieniami i dlaczego nie chciała mówić o nich przy ciotce.

Fione poprosiła, by Fion jeszcze kilka razy powtórzył, a potem zaczęła interpretować:

– To oczywiste, że prorokami jesteście wy – powiedziała, patrząc na Kate i Fiona. – Był nim też Jawis. Wrogowie na niebie to planety, a jeśli chodzi o podwójną siłę... myślę, że to kamień Danu. Co do mrocznych mocy... No cóż, to tłumaczą wydarzenia z Jęczącego Lasu.

– No dobrze – zaczął Fion – to pierwsza zwrotka, a...

– Poczekaj, niech pomyślę! Powtórz jeszcze raz drugą.

Fion zrobił, jak mu kazała.

– Pierwszy prorok to ty, bo ty przywołałeś Kate do Jaaru i przywiodłeś ją na magiczną ścieżkę. Otworzyłeś więc bramy. Drugim prorokiem jest Kate. W końcu to w niej zamieszkał kamień-władca.

– A te pięć potęg? – zapytała Kate. – A poza tym, jak i dlaczego łączyć je w parę?

Tym razem Fione wzruszyła ramionami.

– Tego nie wiem – przyznała. – Rozumiem tylko tyle, że trzecim prorokiem był Jawis, bo to on poniósł najwyższą ofiarę. Zginął. Co do reszty przepowiedni, rozumiem tylko jedno słowo: Ona.

– Ona? – wtrącił Jonathan. – Jaka ona?

Nikt jednak nie umiał mu tego wytłumaczyć. Kate wielokrotnie słyszała o *Niej* w Jaarze, ale przestała już wierzyć, że kiedykolwiek uzyska odpowiedź, kim jest ta istota. Fione postanowiła pokusić się o jakieś wyjaśnienie:

– Hm... Przypomnij sobie, co poczułeś, wsiadając na motyla – powiedziała. – Gdy się uniosłeś i widziałeś całe Elphame z góry. A teraz pomnóż to dziesięć tysięcy razy. Dla ferów dziesięć tysięcy to liczba nieskończoności... I to jest właśnie Ona. Ona jest tym uczuciem.

Jonathan nic na to nie odpowiedział. Teraz i on rozumiał, że nie czeka go żadne inne wytłumaczenie.

Nastało południe i słońce rozlało się równomiernie po całym Elphame. W powietrzu niósł się zapach ziół ścinanych przez fery w Lesie Wielu. Przejrzyste niebo zapowiadało, że nic nie zakłóci zbliżającego się święta. Jednak Kate poczuła

ukłucie chłodu.

– Jak myślicie, co się stało z Robertem? Co nas jeszcze czeka? Mówił straszne rzeczy. Powiedział, że zbudził potęgę, przed którą wszyscy drżą i której nic już nie powstrzyma. O co mogło mu chodzić?

Wszyscy westchnęli, odpowiedziała tylko Fione:

– Nie wiem. Pewnie to ktoś naprawdę wielki i niebezpieczny... Ale kiedy patrzę na magiczną łunę unoszącą się nad Elphame, mam wrażenie, że nie ma takiej potęgi, która mogłaby zniszczyć tę krainę. A wy?

Kate się uśmiechnęła. Uznała, że Fione ma rację. Kiedy stała przed różnymi scenariuszami przyszłości, nie miała wyboru: musiała wierzyć w ten najlepszy, robiąc wszystko, by najgorszy nigdy się nie wydarzył.

– Na nas już chyba pora – powiedziała, wstając. Rzeczywistość, w której wciąż panował bałagan, wzywała ją do siebie.

– Stworzę dla was portal – powiedział Fion i zaczął rysować w powietrzu drzwi. – Przeniesiecie się do sypialni, tej, którą dzielisz z Lilian.

Chcąc ośmielić Jonathana, przeszła przez portal jako pierwsza. Gdy oboje byli już w Księżycowym Domu, poczuła się niezręcznie.

– No, to jesteśmy z powrotem – powiedziała. – I jak ci się podobało?

Znów – wydawało jej się, że po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna – byli sami. Nie liczyła oczywiście chwil spędzonych w budynku Rady. Wtedy bardziej obchodziło ich przeżycie. Teraz jednak uczucia wróciły i choć wydarzyło się tak wiele, Kate miała wrażenie, że nic się nie zmieniło.

– Było... obłądnie – przyznał Jonathan, z zakłopotaniem drapiąc się po głowie. – Wiesz, pewnie wydało ci się to dziwne, że zamiast od razu spotkać się z wujem, chciałem najpierw zobaczyć Jaar. Ale musiałem sobie to wszystko... uświadomić, upewnić się, że to prawda. Teraz, kiedy zobaczyłem już inny świat, mogę wrócić do tego.

Kate uśmiechnęła się. Znów chciała zapytać go o mnóstwo rzeczy, jednak widząc jego zmęczoną twarz, uznała, że jeszcze nie pora. Teraz Jonathan musiał zająć się sobą.

– Chodźmy na dół – powiedziała. – Zgłodniałam.

Na dole jednak nie czekał na nich lunch, choć Selene i ciotka Hillena rozkładały już talerze. Uwagę Kate i Jonathana od razu zwrócił siedzący przy stole mężczyzna, drobny i niski. Miał na sobie błękitny płaszcz ozdobiony żółtymi gwiazdkami, a pod jego nosem rozciągał się długi, wyglądający na sztuczny, wąs. W dłoni o nieproporcjonalnie długich palcach mężczyzna trzymał spory brązowy kubek, który odstawił natychmiast, gdy tylko dostrzegł przybyłych. Wstał niepewnie od stołu i podszedł do nich. Przez chwilę z urzeczeniem przyglądał się Jonathanowi, a potem nagle go uścisnął.

– Jestem Randolph Charmling – powiedział. – Twój wuj.

– Wiem – odparł cicho Jonathan.

W oczach pana Charmlinga zalśniły łzy, które szybko otarł rękawem swojej szaty. Wyciągnął rękę w stronę Kate, która poczuła bijącą od niej ciepłą, przyjemną energię. Nie zdążyła się przedstawić, bo zrobił to za nią Jonathan:

– To Kate Hallander – oznajmił. – Zeszłej nocy omal razem nie zginęliśmy.

Kate poczerwieniała, a pan Charmling zmieszał się,

najwyraźniej nie wiedząc, co powiedzieć.

– Och... To... Eee...

– Na pewno macie sobie sporo do opowiedzenia – wtrąciła Selene. – Pan i Jonathan. Znajdę dla was jakiś pokój na górze i...

– Nie, nie chciałbym dłużej sprawiać kłopotów – odparł pan Charmling. – Pomyślałem, że, o ile oczywiście Jonathan będzie tego chciał, moglibyśmy od razu przenieść się do mnie.

Zanim padła jakakolwiek odpowiedź, ktoś zaczął dobijać się do drzwi zegara. Selene wybiegła na korytarz.

– Nie mogłam... Musiałam tu przyjść, musiałam powiedzieć – dobiegł stamtąd głos pani Jenkins, która po chwili wparowała do jadalni. Osłupiała Selene podążyła za nią.

Pani Jenkins spojrzała na Jonathana, potem na jego wuja, a potem znów na Jonathana. I zalała się łzami.



Nieważne, jak bardzo wszyscy by tego pragnęli, to nie był koniec wrażeń na dziś. Pani Jenkins niemal padła na pierwsze wolne krzesło, które odpowiedziało jej trzaskiem. Chwilę trwało, nim doszła do siebie. Wszyscy byli zbyt skonsternowani, by próbować ją uspokoić.

– Kłamałam – wyznała, z trudem opanowując szloch. Nie patrzyła nikomu w oczy, skupiła wzrok na własnych stopach, ledwo wystających spod długiej sukni. – Kłamałam wczoraj, kłamałam w bibliotece, kłamałam przez wiele lat

i od samego początku. Kłamałam, bo się bałam, ale dość tego... Powiedziałam sobie: Laeticio Jenkins, nie możesz dłużej tchórzyc. Gdybym tylko wiedziała, że może być za późno... Że tych dwoje – machnęła ręką w stronę Kate i Jonathana – omal nie zginie tej nocy, wyznałabym wszystko wczoraj.

Selene uklękła obok niej i położyła rękę na jej plecach.

– Co byś nam wyznała? – zapytała spokojnie.

– Powiedziałabym o tym, co wydarzyło się piętnaście lat temu w Jęczącym Lesie, o tym, jaki duch mnie nękał i jaki duch zamieszkuje twój samochód.

Selene rozdziawiła usta i spojrzała w stronę pani Hallander, która nie umiała jej odpowiedzieć inaczej, jak tą samą miną.

– Stevie? – zapytała Selene. – Co on może mieć wspólnego z tym, co wydarzyło się w Hagsborough piętnaście lat temu?

Pani Jenkins schowała twarz w dłoniach.

– Wszystko – wykrztusiła. – Pamiętasz, jak weszłaś w jego posiadanie?

– No... tak, byliśmy tutaj razem z Bradem i – chrząknęła – ojcem Diany. – Ostatnie dwa słowa wypowiedziała tak szybko, jakby wcale nie chciała tego robić.

– Po drodze zepsuł nam się samochód – powiedziała pani Hallander. – Wysiedliśmy, a ty zawołałaś...

– ...że przydałoby mi się nowe auto. I ono...

– ...przyjechało. Samo. Od razu wiedzieliśmy, że jest nawiedzone. Przebywający w nim duch porozumiewał się poprzez klakson. Został z nami.

– A kiedy to się stało? – zapytała pani Jenkins, patrząc na panią Hallander. – Pamiętacie datę?

– W sierpniu 1997 – odparły jednocześnie Selene i pani Hallander. A potem zamilkły i obie wytrzeszczyły oczy. Nigdy nawet nie przypuszczałyby, że te sprawy miały ze sobą coś wspólnego.

– Chcesz powiedzieć, że... – zaczęła Selene. – Że...

– Tak – odparła pani Jenkins, kiwając głową. – Duch zamieszkujący samochód Selene, ten, którego nazywacie *Steviem*, to tak naprawdę Anthony Charmling, jego brat. – Wskazała na pana Charmlinga. – I jego ojciec. – Kiwnęła głową na Jonathana.

Kate życzyłaby sobie, żeby i jej ktoś podał krzesło. Z wrażenia omal nie usiadła na podłodze. Jonathan wyglądał, jakby kompletnie odpłynął do innego miejsca, a pan Charmling rozglądał się po wszystkich, jak gdyby czekał, aż ktoś powie mu, że to żart. Kiepski, może nawet obrzydliwy, ale wciąż żart.

Szybko zdecydowali, że dalsza rozmowa nie może odbywać się w jadalni. Selene zaprosiła wszystkich do pokoju rytualnego. Kate jeszcze go nie widziała. Był wielki, dużo większy od Trzeciego Piętra, miniaturowej świątyni ciotki. Na ścianach rozwieszono czarne zasłony. Ołtarz stał przy zachodniej ścianie, przykryty brązowym materiałem. Na jego środku umieszczono czaszkę zwierzęcia, obok stała niewielka kadzielnica, a po bokach dwie czerwone świece. Oprócz tego na ołtarzu leżały magiczne narzędzia, ale Kate nie przyjrzała się im dokładniej, bo stała zbyt daleko. Na każdej z czterech ścian wisiała też tarcza ozdobiona symbolami żywiołów.

Selene zapaliła kadzidło i wyjęła spod ołtarza szklaną kulę.

– To dla nastroju – zastrzegła. – Czy tabliczka Ouija będzie

potrzebna?

– Nie – odparła pani Jenkins.

Drzwi świątyni zostały zamknięte, a pani Jenkins, odetchnąwszy nieco, zaczęła opowiadać:

– Jak większość z was wie, jestem medium. Byłam nim, odkąd pamiętam. *Zawsze* widziałam duchy i *nigdy* się ich nie bałam. Jeśli już, to przerażało mnie to, co przytrafiało się im za życia, a musicie mi wierzyć, że nierzadko ich historie są naprawdę przerażające. Tak samo było tym razem. Ostatnie Święto Zbiorów w Jęczącym Lesie było huczne. Zupełnie jak gdyby wszyscy przeczuwali jego rychłe zamknięcie się. Fery i czarownice tańczyły, fajerwerki eksplodowały. Magia chroniła nas przed nieprzynależącymi, ale w takim czasie łatwo o przeoczenia. W lesie mogło wydarzyć się wszystko, a i tak nikt nie zwróciłby na to uwagi.

– Pamiętam tamte czasy. – Selene westchnęła. – Las był jedynym miejscem na całym świecie, w którym tak otwarcie można było uprawiać magię.

– Tamtego wieczora byłam niespokojna – ciągnęła pani Jenkins. – Zostałam w domu i rozkładałam karty na wszelkie możliwe sposoby, by poznać źródło swoich obaw. Kładłam się do łóżka niepewna, bo Tarot, szklana kula ani nawet mój duchowy przewodnik, Becks, nie były w stanie powiedzieć mi, co takiego mogłam przeczuwać. Kolejnego ranka, jeszcze nim dostałam telefon od kogoś ze Społeczności, wszystko już wiedziałam. Stał przede mną on...

– Mój ojciec? – zapytał Jonathan.

– Mężczyzna. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, kim był.

Pamiętam wszystko dokładnie, nawet najbanalniejsze szczegóły. Otworzyłam drzwi lodówki, stałam tak przez chwilę, a gdy je zamknęłam i się odwróciłam, zobaczyłam go przed sobą. Był ubrany w potarganą, zakrwawioną koszulę, a jego ciało wydawało się dużo wyraźniejsze niż u większości duchów, wręcz całkiem naturalne. Nie miałam jednak złudzeń, że to duch. Jego nagłe pojawienie się, aura, odbicie stroju, w jakim zginął, wszystko wskazywało na jedno. Pamiętam, że jęknęłam i usiadłam. Duch najpierw milczał, świdrując mnie spojrzeniem, jakby chciał wy badać, jak dobre ze mnie medium. Dopiero potem zaczął mówić. Powiedział mi o wszystkim, co stało się w lesie.

– Dlaczego nie zgłosiłaś tego Społeczności? – zapytała pani Hallander. Nie była w stanie ukryć tego, jak bardzo jest wstrząśnięta.

– Bałam się... Tak, bałam się. To najprostsza odpowiedź. Za tym wszystkim kryła się potężna magia. Inaczej morderstwo nie pozostałoby tajemnicą dla Społeczności. Nawet gdybym cokolwiek powiedziała, trudno byłoby mi to udowodnić. Zanim sprawdziliby moją wiarygodność, zabójczynie mogłaby się dowiedzieć o sprawie. A wtedy co by się stało ze mną? Zrozumcie... Trudno mi o tym mówić. Skrywałam ten sekret tak długo i wstyd mi za to. Nie mam na swoje usprawiedliwienie niczego, może poza tym, że byłam wtedy samotną matką i jeszcze nigdy nie bałam się o przyszłość tak bardzo, jak wtedy. Wolałam przeczekać, aż fala minie. Powtarzałam sobie, że pewnego dnia do wszystkiego się przyznam, i wierzcie, naprawdę chciałam to zrobić. Tylko że nie mogłam, nawet z pomocą Anthony'ego.

– Z jego pomocą? – zapytał Jonathan. Patrzył surowo na

panią Jenkins. Musiał powstrzymać się, by nie obwiniać jej za to, co spotykało go przez wszystkie lata po śmierci ojca.

– Tak. Twoja matka uciekła. Próbowaliśmy ją odszukać, ale nawet Anthony nie był w stanie tego zrobić. Wkładał się do twoich snów. Czuł się winny, że to robił. Wiedział, że powoduje tym twój strach, ale to była jedyna szansa, by mógł zachować z tobą jakikolwiek kontakt. W ten sposób chciał odkryć miejsce waszego zamieszkania. Twoja matka nie pozwalała mu na to, blokowała go.

– Można zablokować ducha? – zdziwiła się Kate.

– Z duchami można robić różne rzeczy – odparła pani Jenkins, na dowód unosząc swoją dłoń, na której zaśnity liczne pierścienie. – Jeśli duch jest zbyt silny, trudno go okiełznać. Matka Jonathana nawet tego nie próbowała. Myślę, że sama bała się Anthony’ego. W końcu po jego śmierci, wbrew temu, czego oczekiwała, pozostawała bez żadnej mocy. Jej kolejne domy i mieszkania chroniły jednak silne czary. Nikt ani nic nie mogło się przez nie przedostać. Z czasem porzuciłam próby złapania jej. Anthony odwiedzał mnie coraz rzadziej. Zagnieżdżył się w twoim aucie, Selene, bo to był sposób, by nie musiał przechodzić jeszcze na drugą stronę. On nigdy nie zrezygnował z chęci zemsty, choć mówiłam mu, by dał sobie spokój. Wściekał się. Raz nawet zdemolował mi kuchnię...

– Och, dla mnie zawsze był wyjątkowo miły – wtrąciła Selene.

– A potem, przed miesiącem, pojawił się znowu. Powiedział tylko: „Las niedługo się otworzy. Czekać na mnie”. Po dwóch tygodniach wrócił, by oznajmić, że ty i twoja matka wracacie

do Hagsborough. Odezwały się we mnie stare obawy. Znów poczułam, że nie chcę się w to mieszać. Łatwiej działać, gdy nie stoi się przed bezpośrednim zagrożeniem. W dzień, gdy robiłam dla was odczyt, po tym, jak Kate zobaczyła tamtą postać w lustrze, rozmawiałam z Anthonym po raz ostatni. Powiedział, że jeśli nie chcę mu pomóc, zajmie się wszystkim sam.

– I zajął – powiedział Jonathan. – Gdyby nie on, zginęlibyśmy.

– Wybaczcie mi! Nie przypuszczałam, że to wszystko tak się skończy...

Pan Charmling wstał. Nagle wydał się znacznie większy, a jego wąs – o wiele mniej zabawny.

– Czy wiesz, co zrobiłaś, kobieto?! – huknął. – Przez ciebie nie mogłem odnaleźć mojego bratanka, przez ciebie musiał mieszkać z matką, która chciała go zabić, przez ciebie!

– Randolphie! – krzyknęła przerażona Selene, otulając ramieniem panią Jenkins, która na nowo zalała się łzami. – Nie możesz obwiniać Laeticii za to, co przytrafiło się twojemu bratu. I nie możesz mieć jej za złe tego, że się bała!

Pan Charmling spojrzał na wszystkich po kolei. Kipiał ze złości.

– Tak? – odparł. – Tak? A więc wszystko jasne. Bronicie jej, po tym, co zrobiła? To niedorzeczne! Wychodzę! Idziesz? – rzucił w stronę Jonathana.

– Ja...

– W porządku! – Wuj wyręczył go w tłumaczeniu się. – Hillena ma mój adres. Wierzę, że odeśle cię do mnie bezpiecznie. Oczekuję, że stanie się to jeszcze dziś.

Wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi. Zaraz potem dało

się słyszeć, jak zbiega ze schodów. Wszedł do zegara i wszyscy byli pewni, że zrobił to z postanowieniem, by już nigdy tu nie wracać.

Jonathan oddychał głęboko, starając się uspokoić. Stał przed panią Jenkins, wypłakującą się w ramię Selene.

– Uhm... Pani Jenkins? – powiedział. – Mógłbym mieć do pani pewną prośbę?

Pani Jenkins spojrzała na niego. Wydawało się, że niczego nie pragnie teraz bardziej niż spełnić prośbę Jonathana – jakakolwiek by ona nie była – byle tylko uspokoić wyrzuty sumienia. Przytaknęła, a reszta zrozumiała, że to czas, by opuścić świątynię.



Rozdział 22

Syn i jego ojciec

Jonathan nigdy nie sądził, że przyjdzie mu kiedyś prosić o coś podobnego. Dotąd nie wierzył w duchy, a przynajmniej się nad tym nie zastanawiał. Jednak w obliczu wszystkiego, co zobaczył w przeciągu ostatnich dni, wiara w duchy wydała mu się najmniejszym problemem. Stojąc więc przed panią Jenkins, zapytał wprost:

– Czy mogłaby pani skontaktować mnie z moim ojcem?

Nie miał pojęcia, czy zadał właściwe pytanie; czy coś takiego można w ogóle nazwać kontaktowaniem się.

Pani Jenkins nie wyglądała na zdziwioną. Pewnie w ciągu swojej wieloletniej praktyki słyszała tę prośbę tyle razy, że wystarczająco wystudiowała twarze wysuwających ją ludzi, by domyślić się, czego od niej chcą, jeszcze zanim otwierali usta.

– Tak – odparła. – Jeśli to jest właśnie ta rzecz, jaką mogę dla ciebie zrobić, bardzo chętnie. Usiądź, proszę. – Wskazała mu miejsce na podłodze.

– Nie będą potrzebne żadne rekwizyty? – zapytał Jonathan. Starał się myśleć o jak najbardziej przyziemnej stronie tego, co mieli zaraz zrobić, by oszukać własne nerwy.

Pani Jenkins się zaśmiała. Łzy na jej twarzy wyschły. Na nowo znalazła się w swoim żywiole.

– Masz na myśli narzędzia. Nie, nie będziemy ich używać. Jestem urodzonym medium, podobnie jak ty urodziłeś się z mocą kontroli ognia. Zwykle muszę po prostu odpowiednio się skupić, *dostroić*, by widzieć i słyszeć duchy. Problem z twoim ojcem polega jednak na tym, że odkąd postanowił przestać się do mnie odzywać, nie jestem w stanie go wyczuć. To oznacza, że będę potrzebować jakiejś rzeczy należącej do niego.

Jonathan sięgnął po naszyjnik z czerwonym kamieniem. Od chwili, gdy założył go po raz pierwszy nad ranem, zdjął go tylko raz, by ludzie ze Społeczności mogli mu się przyjrzeć.

Pani Jenkins położyła na kamieniu obie dłonie.

– Och! – Westchnęła, jakby poraziła ją jego moc. Oczy jej rozblęły, gdy bez słowa przyglądała się kamieniowi. Przez chwilę trwała w tym stanie zachwyty, a w końcu zapytała: – Czy wiesz, co to jest?

Jonathan pokręcił przecząco głową.

– Należał do mojej matki.

– Nie, do nikogo nie należał i nigdy nie będzie należeć. To bardzo stara rzecz. Bardzo stara. Nie wykonano jej ludzką ręką, a mimo jej wiekowości niewielu ludzi miało z nią

kontakt. To kamień żywiołu ognia. Czy kiedy przesłuchiwała cię Społeczność, ktoś zwrócił na niego uwagę?

– Hm... raczej nie. Potrzymani go tylko, a potem mi oddali. Zarekwirowali tylko figurkę. A właściwie to, co z niej zostało.

– Dobrze. Lepiej, by trzymali ją z daleka od ciebie. Jeśli chodzi o kamień, nie rozstawaj się z nim i nie mów nikomu, że go masz, za wyjątkiem osób, którym bezgranicznie ufasz.

– W tym momencie pani Jenkins zrobiła gest sznurowania ust. Jonathan przytaknął. Na razie kamień nie wzbudzał w nim większego zainteresowania. Teraz chciał tylko porozmawiać z ojcem.

– Słyszałeś już o psychometrii? – zapytała pani Jenkins i, nie czekając na odpowiedź, wyjaśniła: – To sztuka wyczuwania energii i zdarzeń poprzez przedmioty, które miały z nimi kontakt. Będę teraz łączyć się z twoim ojcem poprzez ten kamień. Poproszę, żebyś przez chwilę nic nie mówił.

Pani Jenkins zamknęła oczy. Jonathan uważnie jej się przyglądał. Trzymała czerwony kamień, marszcząc czoło. Sunęła palcami po powierzchni artefaktu, jak gdyby zdejmowała warstwy energii oddzielające ją od ojca Jonathana. Po jakiejś minucie otworzyła oczy i odezwała się znowu, tym razem jednak kierując słowa w powietrze.

– Jesteś? Nadal się gniewasz? Widzisz, wszystko jakoś wyjaśniłam... Tak, wiem, że późno, ale... Już nic na to nie poradzę.

Robiła znaczne przerwy między kolejnymi zdaniami. Prowadziła rozmowę z kimś, kogo nie było widać ani słyszać. Gdyby Jonathan posiadał odpowiednie zdolności, dostrzegłby, jak w powietrzu, tuż za jej plecami,

materializuje się sylwetka wysokiego mężczyzny. Poruszył ustami, wypowiadając prośbę, którą usłyszeć mogła tylko pani Jenkins.

– Dobrze – odpowiedziała. Próbowała też przemówić do Jonathana, ale gdy tylko otworzyła ponownie usta, coś nią wstrząsnęło. Odchyliła się do tyłu, a jej oczy zaczęły błądzić. Jednak szybko doszła do siebie i utkwiała spojrzenie w Jonathanie. Tyle że to nie było *jej* spojrzenie. Był niemal pewien, że poprzez oczy pani Jenkins spoglądał na niego ktoś inny. Głos, który wydobył się z jej ust, również nie należał do niej. Był głęboki i męski, a wypowiedział tylko jedno słowo:

– Synu...

Jonathan poczuł naraz zdziwienie, niedowierzanie, strach i radość. Wszystko zdawało się wirować, łącznie z nim i jego myślami.

– Tata? – odparł, a jego własny głos wydał mu się dziwnie piskliwy.

Istota, która przejęła ciało pani Jenkins, przybliżyła się do niego i objęła go. Jonathan wcale nie poczuł zapachu damskich perfum ani miękkiego materiału sukni pani Jenkins, lecz szorstką koszulę i woń ziemi z Jęczącego Lasu.

– Nie wierzę – wyszeptał. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Ale to ja – odpowiedział jego ojciec ustami pani Jenkins.

– Tak długo cię poszukiwałem i nie mogłem odnaleźć. Nie wiedziałem nawet, jak wyglądasz. Nosilem w pamięci twój obraz jako czteroletniego chłopca. Tak bardzo się zmieniłeś. Jesteś już innym człowiekiem.

Ojciec wypuścił go z objęć.

– Nie mamy wiele czasu – powiedział. – Pani Jenkins

udostępniła mi swoje ciało, ale nie chcę wykorzystać zbyt wiele jej energii. Chcę opowiedzieć ci o wszystkim, co się stało. Czy wiesz, dlaczego nawiedzałem twoje sny?

– Tak, pani Jenkins już mi powiedziała.

– Przede wszystkim musisz zrozumieć, że nawiedzenie nie zawsze jest czymś złym. Właściwie zwykle to całkiem normalna rzecz, choć bywa przerażająca dla tych, którzy jej nie rozumieją. Wiedziałem, że wnikając w twoje sny, być może wyrządę ci krzywdę, ale musiałem zaryzykować, bo to, co chciała zrobić twoja matka, było o wiele, wiele gorsze. Twoje sny były jedynym łącznikiem między nami. Musiałem wiedzieć, co się z tobą dzieje, i za nic w świecie nie chciałem być przerażający.

W tonie ojca Jonathan wyraźnie rozpoznał wyrzuty sumienia.

– Nie mam ci tego za złe – zapewnił szybko. – Po prostu długo nie wiedziałem, że to ty, ale teraz cieszę się, że do mnie przychodziłeś. Myślałem, że wiem, co się z tobą stało. Matka mówiła, że zginąłeś w wypadku. Znam już prawdę, ale nadal nie rozumiem... Dlaczego umarłeś? Przecież ona nie miała żadnej mocy magicznej. Jak mogła cię zabić?

– Tak, nie miała mocy. Jednak miała coś więcej. Miała moje zaufanie. Była ostatnią osobą, po której spodziewałbym się ataku. Moja czujność była uśpiona. Uznałem, że skoro powierzono mi tak ważną misję, będę chroniony.

– Misję?

– Tak. – Westchnął ojciec. – Kwestia mocy magicznej była w tym wszystkim drugorzędna. Twoja matka nie zabiła mnie tylko dla niej i nie tylko jej poszukiwała. Widzisz, w świecie

magii istnieją siły o wiele potężniejsze od naszych, takie, od których nasze moce pochodzą i które powstały, gdy kształtował się świat.

– Chodzi o tamte kamienie? – zapytał Jonathan. Sądził, że nie miały większego znaczenia. Gdy wspomniał o nich ludziom ze Społeczności, zlekceważyli jego słowa. – Mają coś wspólnego z tym, który posiadam, prawda?

– Tak. Chodziło o nie. Gdybym miał jednak przybliżyć ci ich dokładną historię, zajęłoby to zbyt wiele czasu, który chcę poświęcić tylko dla nas. Już niedługo zresztą dowiesz się o nich więcej. Na razie starczy ci wiedzieć tyle, że powierzono mi opiekę nad kamieniami. Ukryłem je w Jęczącym Lesie i choć matka wiedziała gdzie, nie zdołała ich wykraść. Nawet po tym, jak z lasu uleciała magia, jaskinia wciąż je chroniła. Próbowałem się nimi opiekować nawet po swojej śmierci, ale nie byłem już do tego potrzebny. Dostałem wybór.

– Wybór? – podchwycił Jonathan.

– Prawie każdy z nas go dostaje – oznajmił ojciec. – Po śmierci. Możemy iść dalej albo pozostać tutaj. Ja miałem rzeczy do zrobienia. Śmierć nie zmieniła faktu, że wciąż byłem twoim ojcem. Wierzyłem oczywiście w siły, które powierzyły mi kamienie. Wiedziałem dobrze, że mogły się tobą zaopiekować o wiele lepiej ode mnie, ale mimo wszystko nie chciałem cię opuszczać.

Po policzku pani Jenkins spłynęła łza Anthony'ego Charmlinga.

– Czy masz mi to za złe? – zapytał ojciec. – Że zawiodłem? Że nie widziałem, jak dorastałeś?

– Nie – odparł Jonathan. – Nawet nie przyszłoby mi to do

głowy. Poza tym... wcale nie zawiodłeś. Miałeś sprawić, by te kamienie, czymkolwiek są, nie dostały się w niepowołane ręce. I udało ci się. Matka ich nie znalazła. A ja... Tak, długo miałem w sobie coś w rodzaju... pustki? Nie wiem, jak to nazwać. Ale teraz, gdy już z tobą rozmawiam, zaczęła się wypełniać. To dziwne, ale... jestem szczęśliwy.

Jonathan wiedział, że gdyby zobaczył teraz swoją zmizerowaną twarz w lustrze, sam nie mógłby uwierzyć w to, co właśnie powiedział. A jednak nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się podobnie. To był może najdziwniejszy rodzaj szczęścia, ale przy tym najprawdziwszy. Brakujące fragmenty jego życia zaczęły zajmować odpowiednie miejsca, sprawiając, że z każdą chwilą coraz bardziej stawał się sobą.

– Nie rozumiem, co się stało z matką – powiedział. Wciąż miał przed oczami moment, gdy zamieniała się w karłowate, uschnięte drzewo. Nie sądził, że kiedykolwiek pozbędzie się tego obrazu z pamięci.

– Duch lasu się przebudził, a to zawsze wiedzie do rzeczy niezwykłych – odparł ojciec. – Wchłonął ją w siebie, stała się jego częścią.

– Ona? – oburzył się Jonathan. – Przecież ona... ona była zła!

Ojciec się roześmiał.

– Myślisz, że duch lasu umiałby to stwierdzić? Jest pierwotną, dziką siłą. Nie rozumie tego. Nie bierze stron. Ciebie ochronił, bo wyczuł gwałt, coś bardzo niezgodnego z prawami, jakie mu nadano. Działał w zgodzie z własnym instynktem.

– A potem pojawiłeś się ty... Ty, w samochodzie. I pokonałeś tego faceta... tego Roberta.

– Tak – przyznał ojciec. – Musiałem to zrobić. Ale nie mówmy już o tym. Zajmijmy się twoją przyszłością. Chcę, żebyś zamieszkał z wujkiem Randolphem. On nauczy cię magii. Mam nadzieję, że będziecie umieli wybaczyć Laeticii. Ja zrobiłem to już dawno temu.

– Nie mam jej za złe tego, że się bała – odparł Jonathan. – Dzięki niej i temu, co dla mnie dziś zrobiła, będę mógł wreszcie pójść do przodu. Ale... co stanie się z tobą? Co będzie, gdy już skończymy rozmawiać?

– Odejdę – powiedział spokojnie ojciec. – Mogę to już zrobić, teraz, gdy wiem, że nic ci nie grozi bez względu na to, co się stanie.

– I już nigdy więcej nie porozmawiamy? Nie spotkamy się?

– Nie, nie *nigdy*. Z pewnością kiedyś się spotkamy, w ten czy inny sposób, ale na razie o tym nie myśl. Pozostaw tajemnice śmierci umarłym, a życia żywym. Żyj dalej. Spełniaj swoją rolę. Ja swoją spełniłem, bez względu na to, co się wydarzyło.

– Ale jaka jest moja rola?

– Dowiesz się. Zresztą przez całe życie ona może się zmieniać, możesz wchodzić z jednej roli w drugą, i kolejne. Ważne, abyś w każdą wniósł część siebie. Ostatecznie nikt z nas nie rodzi się po nic innego, jak tylko po to, by być sobą, najprawdziwszą wersją siebie.

Ojciec spuścił nieco z tonu i zaśmiał się.

– A więc wypełniłem kolejne zadanie. W końcu wygłosiłem ci kazanie, jak przystało na ojca.

Jonathan nie umiał odpowiedzieć na to śmiechem. Po jego policzkach spłynęły łzy. Teraz to on przysunął się do ojca i przytulając go raz jeszcze, poczuł, jak jego energia słabnie.

Gdy się odsunął, znów stał przed panią Jenkins, która odpowiedziała na jego łyzy milczącym zrozumieniem.



– Jest jeszcze jedna rzecz – oznajmił Fion. Od dłuższego czasu przyglądał się Kate pakującej swoje rzeczy. Zdążyli omówić już chyba wszystko, co wiązało się z przepowiednią i wydarzeniami z Jęczącego Lasu, ale żadne z nich nie czuło się ani trochę bliżej prawdy. – Tym razem to coś przyjemniejszego.

Kate udała zdumioną.

– Serio? – powiedziała. – Ostatnio jakoś wyleciało mi z głowy, że istnieją przyjemne rzeczy.

– Mówię o Świącie Żniw – ciągnął Fion. – Wiesz, że w tym roku szykuje się u nas większa impreza. Poza tym to byłby twój pierwszy duży sabat.

Żeby domknąć ostatnią walizkę, Kate musiała na niej usiąść. Potem westchnęła ciężko i spojrzała na Fiona.

– Wiem – powiedziała – i naprawdę chciałabym przyjść, ale... Muszę się zastanowić. Znów wydaje mi się, że mam dość magii. Cieszy mnie tylko to, że ciotka postanowiła wrócić do domu wcześniej, niż planowała. Nie, żeby nie podobał mi się Księżycowy Dom, ale sam rozumiesz, że nie mam z nim najlepszym wspomnień.

Fion przytaknął. Po chwili coś wpadło mu do głowy i na nowo się ożywił.

– Jak sądzisz, o czym rozmawiają Jonathan i pani Jenkins?

– Na pewno o jego ojcu. – Głos Kate brzmiał obojętnie, ale ona sama taka nie była. Właściwie to ciekawość nie dawała jej spokoju. Wiedziała jednak, że to wszystko jest dla Jonathana zbyt osobiste, więc pewnie nigdy się tego nie dowie.

– Może pozna jakieś nowe fakty na temat tego, co się wtedy stało – zastanawiał się Fion.

– Kto wie? Na razie ciekawi mnie, gdzie znów wybyli Tom, Lilian i Diana. Nie było ich, nawet gdy pani Jenkins opowiadała nam historię ducha.

– Tylko nie mów, że ciągle ich o coś podejrzewasz!

– Nie. To znaczy... Nie podejrzewam ich już, że chcą mnie zabić czy coś w tym stylu, tylko... Sam przyznaj, jeśli ktoś zachowuje się tak jak oni, to *musi* mieć tajemnice. Zresztą Lilian obiecała, że wyzna w końcu prawdę na temat tego, co zobaczyła w kuli. Nie ruszę się z Księżycowego Domu, dopóki z nią nie porozmawiam.



Kate dotrzymała swojego postanowienia. Mimo że ciotka chciała wrócić do Londynu jeszcze przed kolacją, ona uparcie siedziała na łóżku i czekała. Trudno powiedzieć, by robiła to cierpliwie. Albo bawiła się kołdrą, albo próbowała wykrzesać coś ze swojej różdżki, albo wertowała którąś z książek o magii.

Czekanie się opłacało. Wczesnym wieczorem Lilian wróciła do domu. Próbowwała wślizgnąć się dyskretnie do sypialni, ale Kate usłyszała ją, jeszcze zanim otworzyła drzwi.

– Wreszcie – powiedziała, sprawiając, że Lilian zatrzymała się w progu. – Czekałam na ciebie.

– Och! Cześć, Kate...

– Gdzie byliście?

– Ehm... Musieliśmy się przejść, ochłonać... Te ostatnie dni były tak wyczerpujące, sama rozumiesz.

Tym razem to Kate świetnie wyczuła ukryte emocje. Lilian kłamała. Ale nie o tym miały teraz rozmawiać.

– Obiecałaś powiedzieć mi o swojej wizji, pamiętasz?

– Och... Tak, oczywiście, że pamiętam. – Lilian wypowiedziała te słowa takim tonem, jakby jej wizja była ostatnią z rzeczy, o jakich da się zapomnieć, i być może jedną z ostatnich, o jakich chce się pamiętać. – Tylko widzisz, Kate – dodała, wchodząc wreszcie w głąb pokoju, tak ostrożnie, jakby zbliżała się do klatki z namhajdami – wynikły pewne...

– A więc o niczym mi nie powiesz, tak? – przerwała jej wkurzona Kate.

– Powiem, oczywiście, że powiem! – zarzekła się Lilian. – Ale... jeszcze nie teraz. Najpierw musimy wszystko przygotować.

Kate postanowiła zagrać z nią w otwarte karty. Nadeszła już na to odpowiednia chwila i nie było nic do stracenia.

– Myślisz, że dam się nabrać na takie bzdury? – zapytała. – Jeśli to jakaś pułapka, to ostrzegam, że do tej pory nikomu...

– O czym ty mówisz, Kate? – Lilian wytrzeszczyła oczy. – To żadna pułapka! Po prostu to zbyt ważne, żeby... Zresztą sama zobaczysz.

– Zobaczę co? I kiedy?

Lilian usiadła obok niej na łóżku.

– Umówmy się, że gdy wszystko będzie już gotowe i ustalone, przyjdę po ciebie. Daj mi kilka dni.

– Kilka dni – prychnęła Kate.

– *Obiecuję*, Kate. Odezwę się do ciebie i wszystko ci wyjaśnię.

– Całą prawdę? – zapytała podejrzliwie Kate.

Lilian westchnęła i tym razem całkiem szczerze odparła:

– Całą prawdę.



Zgodnie z obietnicą daną panu Charmlingowi, pani Hallander odesłała Jonathana tuż po kolacji. Nie zabawiła zbyt długo w domu jego wuja, mimo że zapraszał na herbatę. Jonathan bał się, że nadużył gościnności Selene, ale nikt nie dał mu tego odczuć. Selene i pani Hallander bardzo starały się wdroyć go w świat magii, pokazując mu różne magiczne przedmioty i księgi. W rezultacie kilka godzin, jakie spędził w Księżycowym Domu, minęło nadzwyczaj szybko.

Dom wuja Randolpha był wielki i dziwny. Z zewnątrz wydawał się wprawdzie dość normalny, ale w środku znajdowała się wielka siatka drewnianych schodów, które rozchodziły się na wszystkie strony i pięły aż do samego sufitu. Każde z nich prowadziły do innych pomieszczeń, które – zważywszy na całkowity brak korytarzy i pięter – wyglądały jak wystające ze ścian kamienne prostopadłościany. Pokój Jonathana znajdował się prawie

na samej górze. Nad nim umieszczona była tylko jakaś okrągła platforma.

– Uważaj na schody – ostrzegł wuj, gdy zaczęli się pięć. – Czasem lubią sobie potaćzyć. Są złośliwe i nie działa na nie żadna magia. Musisz mocno trzymać się poręczy, żeby nie spaść. Chciałbym zainstalować windę, ale mam obawy, że dom się na to nie zgodzi. Jak każda magiczna budowla, mój Karmazynowy Pustelnik ma swoją dumę i charakter. Widzisz to okrągłe pomieszczenie na górze? – Wuj wskazał platformę. – To moja świątynia i magiczne obserwatorium. Zobaczysz je dopiero, gdy nauczysz się przenoszenia. Nie prowadzą do niego żadne schody, ale jeśli chcesz, już teraz mogę ci pokazać wszystkie pozostałe pokoje.

– Uhm... Chciałbym – odparł Jonathan – ale jestem trochę zmęczony.

Wuj był bardzo gadatliwy. Już po drodze na górę zdążył opowiedzieć o swoim życiu tutaj – „Sam, całkiem sam. Mieliśmy plany z twoim ojcem, by zamieszkać razem, ale rozumiesz...” – i o małżeństwach: „Trzykrotnie żonaty, tylko raz z czarownicą, ale dom za nic nie chciał jej zaakceptować”. Gdy tylko to powiedział, schody groźnie zatrzeszczały.

Wuj Randolph przeplatał opowiadanie swojej historii ciągłym pytaniem o to, czy Selene się na niego gniewa. Jemu samemu złość już przeszła. Pytał dotąd, aż Jonathan – który, zgodnie z prawdą, odpowiadał mu, że nie wie – doradził, by zapytał ją osobiście.

– Może kiedyś, może kiedyś... – odparł wuj, po czym otworzył przed nim drzwi nowego pokoju.

Pomieszczenie z całą pewnością było zaklęte. Wydawało się

znacznie większe niż z zewnątrz. W środku przypominał komnatę urządzoną w stylu sprzed jakichś stu lat. Na wielkim łóżku rozłożona była pomarańczowa kołdra. W oknach znajdowały się witraże. Przy ścianie stało spore biurko. Paliła się na nim lampa, obok której wyciągnięty był długi pergamin, jeszcze nie całkiem zapisany.

– Popracujemy jeszcze nad przemeblowaniem – oznajmił wuj. – Najpierw trzeba będzie przynieść tu twoje rzeczy. Zajmę się tym, a ty się prześpij.

Jonathan położył się natychmiast, gdy tylko wuj zamknął za sobą drzwi. Nawet się nie rozebrał. Miał wrażenie, jakby nie spał od tygodnia. Niemal zaraz po tym, jak zamknął oczy, kołdra rozciągnęła się jak rozległe morze, a powietrze wypełnił zapach bryzy. Gdy wszystko stało się zbyt wyraźne jak na sen, Jonathan uniósł powieki.

Naprawdę stał teraz nad morzem. Tyle że nie była to rzeczywistość, jaką znał. Wiedział jednak, że nie śni. Znalazł się w czymś z pogranicza jawy i snu. Ciemne niebo odbijało się w spokojnej wodzie, która leniwie raz po raz sięgała piaszczystego brzegu.

Jonathan stał przed swoim ojcem. Jego koszula nie była już zakrwawiona, ale czysta, właściwie lśniąca.

– A więc już czas, żebyś odszedł – powiedział Jonathan. W jego głosie odezwała się pewność, której pochodzenia nie znał.

– Tak. Odejdę z kolejną falą, I powrócę z następną. Jak wszystko. Fale odpływają i przyplływają, ale woda wciąż jest ta sama – powiedział. A potem zaczął opowiadać mu o wszystkim. O wszystkim, co znał i co czuł. Mówił mu to, czego nie mógł powiedzieć nigdy wcześniej. Jonathan

wiedział, że nie będzie pamiętał tego po przebudzeniu, ale wiedział też, że wszystkie te słowa wypełniły pustkę w jego duszy, ostatecznie ją lecząc.

Gdy skończyli rozmawiać, z morza wyłonił się księżyc. Był wielki, znacznie większy od tego, który Jonathan obserwował do tej pory na nocnym niebie. Morze zaszumiało i zajaśniały w nim miliony światełek.

Anthony Charmling zanurzył stopy w wodzie, a Jonathan odprowadził go wzrokiem. Teraz, gdy rozpoczął wędrówkę, nic nie mogło go zatrzymać. Wreszcie jego sylwetka znikła, zamieniając się w jedno ze światełek. Wielka, choć delikatna fala uniosła je wszystkie w stronę księżyca. A on miał przemienić tę falę i sprawić, że wróci – zmieniona, lecz wciąż wypełniona życiem.

Jonathan uśmiechnął się, bo patrząc w to nieskończone morze, wiedział, że jeśli się zegna, to tylko do czasu ponownego powitania.



Rozdział 23

Strażnicy żywiołów

Minął tydzień. Kate i ciotka wróciły już do Londynu i chociaż Kate tak długo na to czekała, teraz większość czasu spędzała w łóżku, czemu zresztą sprzyjała deszczowa pogoda. Wydarzenia z Hagsborough wracały do niej w snach, przez które budziła się w środku nocy, chcąc zapalać lampę jak wtedy, gdy była dzieckiem i światło odganiało koszmary.

Wieści o Robercie nadeszły dość szybko. Już po pierwszym dniu śledztwa ktoś ze Społeczności zadzwonił do ciotki, by poinformować ją, że znaleźli ciało. Najwyraźniej spadł ze skarpy, uciekając przed czymś. Nie dowiedzieli się jednak, co to było, i już tego nie odkryją. Być może gonił go ojciec Jonathana? A może przebudzony duch lasu? Kate bardziej zastanawiała się jednak jego motywami. Sama tego nie rozumiała,

ale nie potrafiła nagle znienawidzić Roberta za to, co jej zrobił. Być może zbyt długo uważała go za przyjaciela, a za krótko znała jako wroga? Gdyby przeżył, łatwiej byłoby jej się do tego przyzwyczać, a teraz miała wrażenie, że rany nie miały dość czasu, by się zabił.

Były jednak takie rzeczy, które Kate wolałaby przyspieszyć. Mimo swojej obietnicy, Lilian milczała w kwestii swojej wizji. Nie odzywała się aż do czasu, gdy któregoś dnia nagle pojawiła się w domu ciotki, stanęła przed Kate i powiedziała po prostu:

– Chodź.

– Gdzie mam iść? – odparła Kate, na co Lilian zaczęła ciągnąć ją za rękę. Nie dała jej czasu na przebranie się ani przygotowanie w żaden inny sposób, tylko od razu zaprowadziła do wielkiej szafy na piętrze.

– Długo to trwało, ale przyszedł czas, żebyśmy ci wszystko wyjaśnili – szepnęła. – Tom przyprowadzi Jonathana.

Po tym krótkim wyjaśnieniu Lilian przeniosła je, nawet nie uprzedziwszy Kate, gdzie się wybierają. Nic dziwnego, bo gdyby to zrobiła, Kate z pewnością by zaprotestowała – prawie zaczęła wrzeszczeć, gdy wylądowały w Jęczącym Lesie.

Ale teraz las wydawał się zupełnie inny. Kate po raz pierwszy usłyszała coś, co dobitnie świadczyło o jego przebudzeniu: śpiew ptaków, mnóstwa ptaków, które zajęły gałęzie i dawały o sobie znać tak donośnie, jakby wiedziały, że od dawna tego nie robiły i uznały, że trzeba na nowo zaznaczyć swoją obecność.

– Co tu robimy?

– Wiem, Kate, że to dla ciebie trudne – zaczęła Lilian. –

I jak pewnie wciąż pamiętasz, wiem to naprawdę, bo wyczuwam twoje emocje. Nie byłam przekonana do pomysłu, żeby spotykać się właśnie tu, ale oni powiedzieli, że tu wszystko się zaczęło.

– *Oni?* – Kate stawała się coraz bardziej podejrzliwa.

– Tom i Diana – wyjaśniła Lilian. – Nie bój się, Kate. Nic ci tu już nie grozi, nie z naszej strony. Obiecałam ci wyjaśnić, co zobaczyłam w szklanej kuli, ale tu nie chodzi tylko o to. Chodzi o coś dużo, dużo większego. Wierz mi, że gdyby to zależało ode mnie, już dawno bym ci powiedziała. Nie umiem utrzymać języka za zębami, wiesz o tym... No, a teraz chodź – naciskała – bo sama strasznie się niecierpliwię.

– Nadal nie powiedziałaś, gdzie właściwie mam iść.

– Po prostu chodź za mną.

Lilian ruszyła w głąb lasu, a Kate, niepewnie stawiając stopy, szła za nią. Zatrzymały się przed niewielką jaskinią, której ciemny otwór nie zachęcał do wejścia.

To chyba cecha wszystkich jaskiń – pomyślała Kate.

– Mam wejść tutaj?

– Tak. Wszyscy już czekają.

Na szczęście zdążyła zabrać athame i komórkę, była więc przynajmniej w pewnym stopniu zabezpieczona. W środku jaskini płonęły pochodnie. Na ziemi, na wielkim kocu, stali Tom, Diana i Jonathan. Oprócz nich zgromadziły się tu też ich fery. Kate poczuła ulgę jednak dopiero wtedy, gdy zobaczyła pośród nich Fiona.

– O nic mnie nie pytaj – powiedział, uchwyciwszy jej spojrzenie. – Wiem o celu tego spotkania tyle samo co ty. Czyli nic.

– Wszyscy są? – zapytała Lilian. Odpowiedziało jej kilka

mruknięć i potaknięć. – No to usiądźmy.

– Tu?! – oburzyła się Babcia Annwynn. – Na twardej ziemi?!

Zanurzyła rękę w czerwonej torbie Versace – aż po pachę, bo torba była zaklęta. Coś w środku zatrzeszczało i po chwili Babcia wyjęła z niej niewielkie rozkładane krzesło.

– Nie patrzcie tak – powiedziała. – Wiem, że wam głupio. Powinniście byli sami o tym pomyśleć. Zapraszać starą ferinię do zimnej jaskini i nie dać jej krzesła ani koca. I uprzedzam, że nie mam więcej krzeseł. Niech każdy sam dba o swój tyłek!

Gdy wszyscy – każdy tak, jak potrafił – zadbali o swoje tyłki i rozłożyli się na kocu, Lilian, Tom i Diana, którzy siedzieli razem, spojrzeli po sobie, po czym westchnęli jak na zawołanie.

– To kto zaczyna? – zapytał Tom, patrząc to na Lilian, to na Dianę.

– To może ja? – zaproponowała Lilian. Tom i Diana przewrócili oczami, ale Lilian nie czekała na ich aprobatę. Zapatrzyła się w tańczące na ścianie odbicie pochodni i zaczęła mówić.

– To był raczej mglisty dzień, choć słońce przebijało się od czasu do czasu przez chmury, tak że miało się wrażenie, jakby próbowało oświetlić nam drogę. Byliśmy dziećmi i...

– Nie, nie, nie – przerwał Tom. – Zacznijmy od początku. W dawnych czasach, o których pamiętają już tylko legendy...

– Bez przesady – prychnęła Diana. – Nie musimy cofać się aż tak daleko. Starczy powiedzieć, że wszyscy jak tu siedzimy, oprócz naszych ferów, jesteśmy Strażnikami Żywiołów. Każdy przecież wie, co to znaczy.

– Hej! – zawołali jednocześnie Tom i Lilian, oburzeni, że Diana psuje ich koncepcję, choć każde miało trochę inną.

Jonathan nieśmiało uniósł rękę.

– Ja nie wiem, kim są Strażnicy Żywiołów – powiedział. Kate nie zawtórowała mu tylko dlatego, że uznała to za coś, co być może powinna już wiedzieć.

– A więc jednak! – ucieszył się Tom. – Wracamy do początku. No więc, w czasach, gdy jeszcze nie zapisywano historii, być może zresztą nie istniał nikt, kto mógłby to zrobić, powstał kamień Danu.

– Danu to legendarna założycielka rodu ferów – wtrącił Hiacinthus, patrząc na Jonathana. Ten pokręcił tylko głową. To już wiedział z książki, którą przeczytał w Merlinie. Odkąd zamieszkał z wujem, codziennie tam wracał.

– Ten kamień nazywa się władcą – mówił dalej Tom. – Oprócz niego powstały jeszcze cztery inne, każdy związany z inną stroną świata i z innym żywiołem, a co za tym idzie, z którąś z naszych mocy. Kamienie stanowią ucieleśnienie czystej magicznej siły. Długo leżały nienaruszone w czterech starożytnych świątyniach Jaaru. Znalazł się jednak ktoś, kto postanowił je wykraść. Imię tej osoby, istoty, siły, kimkolwiek lub czymkolwiek była, nie zachowało się w historii. Jedyne, co wiemy, to że poniosła klęskę, ale od tamtego czasu równowaga stale musi być odnawiana. Kamienie nie były dłużej bezpieczne. Powołano więc Strażników, którym powierzono pieczę nad nimi. Zawsze, gdy Jaarowi zagraża niebezpieczeństwo, moc kamieni powołuje kilka osób, by go chroniły.

– I tym razem powołała was? – zapytała Kate.

– Nas – poprawiła ją Lilian, po czym powiodła palcem po

niej, Jonathanie i ich trójce. – Nas wszystkich.

– Ja miałbym być Strażnikiem? – odezwał się znów Jonathan.

– Tak, jesteś Strażnikiem Ognia – odparła Diana. – Wszystko na to wskazuje. Twój medalion, siła, z jaką oddziałujesz na ogień. No i to, że tylko tego Strażnika nam brakowało.

Kate przełknęła ślinę. W tym wypadku nie mogła już dłużej udawać.

– Wiem, że jestem Strażniczką – powiedziała – ale nie miałam pojęcia, że wy... Myślałam najpierw, że chcieliście mnie zabić, a przynajmniej odebrać mi kamień. – Nie czuła żadnego zażenowania, pozwalając sobie na całkowitą szczerłość.

– Dlaczego? – zapytała Lilian niemal z wyrzutem, unosząc brwi.

– Bo podsłuchałam kiedyś waszą rozmowę, a w twoich rzeczach znalazłam kartkę, na której ktoś wypisał listę moich cech.

– Och, Kate! Zrobiliśmy to, bo wciąż poszukiwaliśmy Strażnika głównego kamienia.

– Badaliśmy niemal każdą nowo poznaną wiedźmę i czarownika – dodał Tom. – Wierzyliśmy, że przeznaczenie postanowi nam w końcu Strażnika na drodze. Szukaliśmy, odkąd tylko sami staliśmy się Strażnikami.

– Jak do tego doszło?

– No! – krzyknęła Lilian. – Teraz pora na moją część historii.

Znów spojrzała w dal rozmarzonym wzrokiem.

– Jak już wspomniałam, dzień był raczej mglisty, choć raz

po raz zza chmur wychodziło słońce. Miałam dziwne wrażenie, że próbuje nas dokądś zaprowadzić, bo gdy się pojawiał, na ziemię padał tylko jeden promień, cienki i przypominający wskaźnik. Szliśmy za nim, aż zaprowadził nas do Jęczącego Lasu. Wiedzieliśmy o istnieniu magii i o tym, dlaczego las się zamknął. Selene zabraniała nam go odwiedzać. Nie miała pojęcia, że odkąd raz udało się nam do niego wślizgnąć, często tam wracaliśmy.

– I nadal o tym nie wie – wtrąciła Diana.

– Tamtego dnia – ciągnęła Lilian – dotarliśmy do miejsca, w którym nie byliśmy wcześniej. Właśnie tutaj, do tej jaskini. Otworzyła się przed nami jak paszcza jakiegoś stwora. Bałam się, że zaraz nas pożre, ale jednocześnie czułam, że wydarzy się coś niezwykłego.

– A ja myślałem, że to raczej dziwne – dodał Tom – bo skąd nagle wzięła się tam jaskinia, skoro...

– Ja za to nie pamiętam, co czułam ani co myślałam – przerwała Diana. – Pamiętam tylko fakty. Znaleźliśmy w jaskini trzy kamienie, przypominające onyks, turkus i awenturyn, ale nie były nimi, nie wyczuwałam ich jako takich. Skąd się tam wzięły? Lilian zaraz wymyśli jakąś romantyczną historię, a Tom podzieli się notatkami ze swoich dedukcji. Oczywiście prawda jest taka, że nie wiemy.

– Mój ojciec – powiedział Jonathan. Wszyscy jak na komendę spojrzeli w jego stronę. – Mój ojciec je tam zostawił.

Nagle wszystko zaczęło pasować. Kamienie, o których wspomniał mu ojciec, były kamieniami żywiołów.

– Więc zagadka rozwiązana – powiedziała Diana.

– Nie do końca – zauważył Tom. – Nadal nie wiemy, skąd

tata Jonathana miał kamienie, prawda? – zapytał, patrząc na Jonathana tak, jak gdyby miał zamiar znów się zagalopować i przeczytać jego myśli.

– Nie wiem – odparł Jonathan. – Nie mam pojęcia.

Przez chwilę chciał opowiedzieć im o rozmowie, jaką odbył z ojcem, ale się powstrzymał. Uznał ją za zbyt prywatną. Poza tym ojciec nie powiedział mu wszystkiego na temat kamieni. Większość tego, o czym rozmawiali, byłaby zupełnie nieprzydatna dla innych.

– Słuchajcie dalej! – zawołała Lilian. – Wzięliśmy sobie te kamienie. Ja wybrałam awanturyn, bo... Bo pasował mi do koloru oczu. No, ale nie! – wrzasnęła gwałtownie, gdy Diana niemal nie powaliła jej spojrzeniem. – Oczywiście wybrałam go głównie dlatego, że miał przyjazną energię. Tom wziął turkus, bo uznał, że przyda mu się do nauki. Wiecie, turkus pomaga w zachowaniu trzeźwego umysłu. A Diana zabrała...

– ...to, co zostało. To chyba logiczne – dokończyła kąśliwie Diana.

– No, właśnie tak. I w każdym razie, gdy już wzięliśmy te kamienie, stało się coś dziwnego. Nagle zajaśniała...

– Przestań już – przerwała znów Diana. – Nic nie zajaśniało. Po prostu pojawiła się Eos. Powiedziała, że staliśmy się Strażnikami Żywiołów. Naszym zadaniem było znaleźć Strażnika Ognia oraz Strażnika kamienia władcy.

Kate spojrzała na Fiona. Mimo że nic nie mówili, oboje doskonale wiedzieli, o czym każde myślało. *Drugi pięć potęg połączy w parę* – a więc znaleźli już rozwiązanie tej części przepowiedni i teraz nie ulegało żadnej wątpliwości, że to właśnie Kate była drugim Prorokiem. Skąd jednak ta „para”?

– A więc istnieje pięciu Strażników... – zaczęła Kate.

– Sześciu – poprawiła ją Lilian. – To trochę bardziej skomplikowane. Bo widzisz, Kate, cztery żywioły to te, które występują na ziemi. Strażnik głównego kamienia wiążącego się z księżycem rządzi nimi wszystkimi, łączy je w jedną energię. Oprócz niego i ziemskich mocy, istnieje jednak jeszcze jedna siła.

– Czyli?

– Słońce – odparła Sundari. – W podaniach Strażnik Słońca jest zawsze opisywany jako najpotężniejszy, ale pojawia się tylko w kluczowych momentach. Kamień Słońca jest niezwykły. Nie można go wykraść, bo spali każdego, kto spróbuje to zrobić. Podlega jedynie swojemu władcy.

– A więc musimy znaleźć i tego Strażnika?

Lilian westchnęła.

– Sęk w tym – powiedziała powoli – że my już wiemy, kto nim jest, a teraz, gdy już wszyscy się zebraliśmy, należy go wezwać.

Znów spojrzała na Toma, posyłając mu spojrzenie, którego Kate nie rozumiała. Tom odwrócił głowę.

– To jedyny sposób, by ostatecznie potwierdzić naszą moc.

– Lilian przemówiła takim tonem, jakby chciała się usprawiedliwić.

– Wiem – odparł szybko Tom. – Na co czekamy?

– Jesteście gotowi? – Lilian kierowała to pytanie głównie do Kate i Jonathana.

– No... Tyle że my nie wiemy, jak to zrobić – zauważyła Kate.

– Czar nie jest trudny – odparła Diana protekcyjnym tonem. – Musicie tylko liczyć się z konsekwencjami. Energia słońca to nie zabawa, a moc jego Strażnika może okazać się

naprawdę niebezpieczna.

– Bez przesady – prychnęła Babcia Annwynn. – Trochę światełek, zbędny magiczny blitrch, czy jak to się tam nazywa. Najwyżej zamkną sobie oczy i może nikt nie oślepie... No co? – dodała, odpierając natarczywe spojrzenie Fiona. – Nie od dziś jesteśmy ferami Strażników Żywiołów. Oprócz ciebie i tej dwójki – wskazała na Jonathana i Kate – wszyscy znamy już Darrina.

Fion i Kate wymienili ukradkowe spojrzenia. A więc zagadka Darrina, którego próbował przyzwać Tom, została rozwiązana.

– Muszę zresztą przyznać – mruknęła Babcia – że Darrin zawsze wydawał mi się najbardziej kompetentny z was wszystkich. Przynajmniej co do niego wszechświat się nie pomylił.

– Szybciej – ponaglił Hiacinthus. – Dawno go nie widziałem, a wierzę, że ja i Tom mamy z nim do pogadania.

– No dobrze – odparła Lilian. – Wszyscy gotowi? Tom?

Dopiero teraz Kate zauważyła, że Tom już z nimi nie siedział. Stał przy pochodni i bawił się ogniem, przesuając nad nim dłoń w tę i z powrotem.

– Wszystko w porządku? – zapytała Lilian.

Tom odwrócił się w ich stronę z rozkojarzoną miną.

– Tak – powiedział i zajął znów swoje miejsce. Nadal dało się zauważyć, że coś go niepokoi, ale nikt nie powiedział na ten temat nic więcej.

– Przywołanie któregoś ze Strażników nie jest trudne, jeśli wszyscy pozostali zbiorą się w jednym miejscu – mówiła dalej Lilian. – Sęk w tym, że musimy *myśleć* o sobie jako o Strażnikach, *czuć się* Strażnikami i *działać* jak Strażnicy,

a to bywa trudne, kiedy na co dzień prowadzi się inne życie. Proponuję więc, i tak sobie to wymyśliliśmy, żeby każde z nas skupiło się na swoim kamieniu.

Mówiąc to, Lilian sięgnęła po wiszący na jej szyi medalion, Diana wyjęła jeden z łańcuszków z włosów, a Tom wyciągnął kamień z kieszeni. Idąc za ich przykładem, Jonathan wziął w dłonie medalion od matki. Jedynie ręce Kate pozostały puste, co spowodowało pewną konsternację.

– Uhm... to dłuższa historia – zaczął wyjaśniać Fion. – Bo widzicie, kamień Kate... on jest jakby...

– Jest we mnie – dokończyła Kate. – W formie astralnej.

Po twarzach Diany, Lilian i Toma przebiegł podejrzliwy grymas. Wyglądało to tak, jakby przeskakiwał z jednej twarzy na drugą, aż w końcu zatrzymał się na ustach Toma, który powiedział powoli:

– Dobrze... W takim razie zacznijmy.

– Jeszcze jedna rzecz – dodała Lilian. – Uznaliśmy, że najlepiej będzie dopiąć wszystko na ostatni guzik i stworzyć figurę idealną.

– Pentagram – uzupełniła Diana.

– Tak. A więc chodzi o to, żebyśmy stanęli tak, aby każde z nas odpowiadało poszczególnym ramionom pentagramu i żywiołom. Wierzchołek górny, czyli w naszym wypadku Kate, stanie pod wejściem do jaskini, Diana obok pochodni po lewej, Jonathan naprzeciwko Diany. My z Tomem zajmiemy miejsca przy ścianach, ja po prawej, a on po lewej. Rozumiecie?

Lilian spojrzała na Jonathana, który w odpowiedzi pokręcił tylko głową. Nie rozumiał tego do końca, choć domyślał się, o co chodzi. Postanowił, że będzie po prostu podpatrywać,

co robią pozostali.

– Proponuję, by reszta stanęła za Kate, tuż przy wyjściu – powiedziała Diana. – Energia może być zbyt silna.

Wszyscy zaczęli się przemieszczać. Fion uczynnie przeniósł krzesło Babci Annwynn, a Hiacinthus zabrał Sundari.

– Mam nadzieję, że moja misa się nie rozbije – powiedziała swoim piskliwym głosem. – Nigdy nie lubiłam zbyt ostrego słońca.

– Domyślam się – odparł poważnie Fion. – Skoro tyle czasu spędzasz na bagnach... Eee, to znaczy mokradłach.

Mimo że od razu się poprawił, Sundari i tak wyglądała na obrażoną.

– Będziemy wypowiadać zakłęcie – oznajmiła Lilian, gdy wszyscy zajęli już swoje miejsca. – Jest proste. Ma tylko dwie linijki. Tom...?

Tom odetchnął głęboko i wypowiedział słowa zaklęcia.

– *Władco Światłości, co przynosisz dzień, Potęgo Słońca, wzywamy cię.*

– Powtórzcie – poleciła Lilian.

– Co za głupkowate rymy. – Kate usłyszała szepczącą za jej ramieniem Babcię Annwynn. – Za moich czasów używało się trochę krwi i wszystko działało jak trzeba.

Dopiero gdy zakłęcie zostało powtórzone chóralnie kilka razy, Lilian uznała, że można zaczynać. Ona, Tom i Diana zamknęli oczy, ściskając swoje kamienie. Jonathan najpierw spojrzał po zgromadzonych, a potem zrobił to samo. Kate westchnęła, zastanawiając się, czy tym razem uda jej się wystarczająco skupić na kamieniu. Nim jednak zdołała wytworzyć w głowie jego obraz, usłyszała Lilian, rozpoczynając zakłęcie, do którego wszyscy natychmiast się

przyłączyli. Nie myśląc już o kamieniu, a zamiast tego skupiając się po prostu na swoim sercu, Kate zaczęła wypowiadać słowa razem z nimi. Nie zamknęła oczu, więc widziała, jak energia zaczyna uwidaczniać się i wzrastać.

To było tak, jakby słowa wypływające z ich ust zamieniały się w świetliste smugi. Te Lilian miały kolor głębokiej, spokojnej zieleni, słowa Toma były błyszczące i niebieskie, zaś z ust Diany kolory wypływały powoli, a barwą przypominały piaszczyste plaże. Jonathan buchał ogniem, o czym pewnie sam nie wiedział, sądząc po tym, że wciąż zaciskał powieki. Jedynie energia Kate pozostawała niewidzialna. A jednak czuła ją i co dziwniejsze, miała wrażenie, że to ona nadaje rytm reszcie, bo za każdym razem, gdy powtórzyła zaklęcie, reszta kolorów wirowała i przyspieszała.

Mówili coraz szybciej i szybciej. Barwy łączyły się, krążyły od jednej osoby do drugiej, a potem zlewały w jeden, jasnioletowy krąg. Wreszcie w samym środku kręgu otworzyła się świetlista kula. Biły od niej ciepło i potęga. Kate musiała zamknąć oczy, obawiając się, że światło ją oślepi. Energia kuli omal nie zwała jej z nóg. Jonathan nie wytrzymał i przykucnął. Był wyczerpany. Pod powiekami widział blask tak jasny, jakby miał otwarte oczy. Otworzył je jednak dopiero, gdy światło zgasło. Pierwszym, co zobaczył, były czyjeś stopy obute w złote sandały. Uniósł głowę i zaniemówił, podobnie jak Kate.

Stał przed nimi mężczyzna w ubraniu tak dziwnym, a przy okazji wyglądający tak dostojnie, że zdawało się, że przybył z odległej epoki lub zupełnie innego świata. Miał na sobie połyskującą białą tunikę, jego umięśnione ramiona zdobiły

złote bransolety, a na głowie miał wieniec laurowy. Mężczyzna spojrzał kolejno na każdego w kręgu. Na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia i dumy.

– Wezwaliście mnie – przemówił głębokim, doniosłym głosem. – Strażnicy zostali ostatecznie przebudzeni.

Kate nie wiedziała dlaczego, ale mężczyzna skłonił się przed nią.

– Więc to ty jesteś Strażniczką kamienia władcy – powiedział. – A ty jesteś Strażnikiem Ognia – zwrócił się do Jonathana. – To zaszczyt móc was wreszcie poznać.

– Skończ te ceregiele, Darrin. – Babcia Annwynn weszła do kręgu. Przedtem i ona była oczarowana niezwykłym gościem, ale szybko odzyskała rezon. – Za długo siedziałeś ze swoim ojcem gdzieś w kosmosie, zamiast trzymać się zdroworoządkowej ziemi. Nie obrastaj w piórka. Są rzeczy do zrobienia. Mieliście chyba ratować świat, czy coś w tym stylu?

– Wybacz mi, Annwynn. – Darrin uśmiechnął się do niej. – Wierz mi, że ratowanie świata to jedyna rzecz, jaka mnie tu sprowadza.

Tom, który wyglądał coraz bardziej nieswojo, wyszedł z jaskini, mruczając coś pod nosem. Wszyscy zamilkli. Jego zachowanie zdziwiło Kate chyba jeszcze bardziej niż sposób, w jaki pojawił się Darrin. Lilian i Diana nie wyglądały za to na zdumione. Wbijały w Darrina wściekłe spojrzenia, jakby próbowały go nimi przewiercić.

– Za mną – odezwał się Hiacinthus tonem tak władczym, jakiego chyba nikt by się po nim nie spodziewał. Nikt oprócz Darrina, do którego skierowane były te słowa. I nagle uleciała z niego cała duma Strażnika Słońca. Zdawało się, że

nawet przez myśl nie przeszło mu, by sprzeciwić się Hiacynthusowi. Bez słowa podążył za nim do wyjścia.

– O co tu chodzi? – zapytała zdezorientowana Kate.

Lilian machnęła ręką.

– Oni są parą – powiedziała. – Tom i Darrin. No, a przynajmniej dawniej byli.

– Och, nie wiedziałam – odparła Kate.

Po chwili z zewnątrz dobiegły ich odgłosy kłótni, ale słyszeli tylko pojedyncze, wypowiedane głośniej słowa.

– ...jaśnie pan... na misji... wszystko w nosie!

– ...niby inteligentny... dzieciuch!

Potem ktoś kazał komuś zrobić coś niecenzuralnego i nagle wszystko ucichło. Kłótnia była skończona, a Darrin wpadł z powrotem do jaskini i nie mogąc złapać tchu, wskazywał na coś, co znajdowało się na zewnątrz. Wypowiedział tylko jedno słowo:

– Eos!



Rozdział 24

Nowe przepowiednie

Wszyscy natychmiast wybiegli z jaskini. Nawet Babcia Annwynn dostała nagłego przyspieszenia. Poskładała swoje krzesło i trzymając je w jednej ręce, a torebkę w drugiej, pognąła na przedzie. Miała otwarte usta, ale nie była w stanie nic z siebie wykrztusić, podobnie jak pozostali.

Trawa w lesie pojaśniała, a słońce zasnuła lekka mgiełka, zupełnie jakby Eos przyniosła ze sobą jaskrawe światło, jakie Kate pamiętała z odwiedzin w jej królestwie, Krainie Podwójnej Bramy. Wyglądała tak samo jak wtedy. Jej suknia, która sama wydawała się utkana ze światła, spływała ku ziemi. W jej długie włosy wplecione były kwiaty. Tutaj, w Jęczącym Lesie, postać Eos w ogóle nie pasowała do otoczenia. A jednak stała przed nimi, uśmiechając się do każdego z osobna. Zdawało się, że zna ich wszystkich, nawet

tych, którzy widzieli ją po raz pierwszy.

– Nie bójcie się, podejdźcie bliżej – poprosiła, po czym zaczęła odpowiadać na wszystkie ich pytania i wątpliwości, choć żadne z nich jeszcze się nie odezwało. – Jestem Eos, Królowa Księżycy. Ta sama, która ukazała się niedawno tobie, Kate, zaś piętnaście lat temu wam – wskazała na Dianę, Toma i Lilian – i wiele, wiele lat temu, w wizji, którą pamiętasz jak przez mgłę, tobie, Annwynn Beedlebee.

Eos zatrzymała spojrzenie na Kate. Gdy przemówiła, zdawało się, że nikt oprócz niej nie może jej usłyszeć.

– To także ja ukazałam się Jean Blackout i poprosiłam ją, by oddała ci czarny amulet. Wybacz, że trzymałam cię w niepewności. Musiałam jednak to zrobić, aby wszystko, co miało miejsce, mogło się wydarzyć. Kate Hallander, musisz wiedzieć, że obie części amuletu od zawsze należały do ciebie. Jean Blackout zdobyła czarną część w okolicznościach, o jakich nie mnie ci opowiadać. Nie mogła znieść jego ciężaru, bo bez względu na to, jak silni jesteśmy, nikt z nas nie może dźwigać ciężaru przeznaczonego dla kogoś innego.

Teraz Kate rozumiała już, dlaczego pani Blackout, oddając jej amulet, sprawiała wrażenie, jakby bardzo jej ulżyło.

– Ciemna część amuletu jest potężna i niesie ze sobą mrok, ale to nie przekleństwo. Odtąd amulet będzie cię chronił. Musiałaś przejść przez wszystkie te rzeczy, opuszczona i w cierpieniu, by odkryć światło. To samo, które uratowało cię przed Erato. Wtedy to ty uratowałaś siebie i musiałaś zrobić to znowu, ale tym razem świadomie. To tak, jakbyś sama ratowała światło. Potrzebowałaś też nauczyć się, że kamień nie słucha żądań. Jeśli chcesz go

usłyszeć, poddaj się mu i posłuchaj. Jest zdolny zaprowadzić cię do miejsc, których jeszcze nie widziałaś.

Potem Eos zwróciła się do wszystkich:

– Widzicie, co się stało. – Rozłożyła ręce, uśmiechając się.
– Las się przebudził, magia wróciła. Nadchodzą nowe czasy. Smuciliście się, sądząc, że Jaar na zawsze opuścił Ziemię, tymczasem on wraca, by znów się z wami połączyć. Pojawiło się jednak zagrożenie. – Głos Eos się zmienił. – Zagrożenie silniejsze i bardziej zawzięte niż kiedykolwiek wcześniej. Nasz odwieczny wróg powstał na nowo. Nie wiemy jeszcze, jaką przybrał formę ani pod jakim ukrył się imieniem. Przyjdzie nam stoczyć walkę, by zachować prawa nadane temu światu.

Gdy wypowiedziała te słowa, wszyscy poczuli niewytłumaczalny chłód, niemający nic wspólnego z atmosferą lasu. Eos szybko jednak ich uspokoiła.

– Strażnicy! Przebudziliście się i zostaliście wybrani przez zbieg wypadków, a teraz stoicie przede mną jako prawowici opiekunowie kamieni. To, jak już wiecie, starożytne klejnoty z początku świata. Zawarta w nich energia jest potężniejsza od wszystkiego, co powstało potem. Pozwólcie im lśnić. Ufajcie sobie nawzajem oraz swoim wspaniałym ferom. Nie myślcie wciąż o zagrożeniu, ale gdy ono nadejdzie, bądźcie gotowi stawić mu czoła. Nie jesteście sami, nigdy nie byliście i nigdy nie będziecie.

Po tych słowach Eos spojrzała jeszcze na Jonathana.

– Wiem, co przeszedłeś – powiedziała. – Tobie również przez cały czas towarzyszyłam. Teraz znajdziesz się wśród ludzi, którzy wskażą ci właściwą drogę. Twoja moc nie będzie już blokowana, a ja będę cię chronić.

Uśmiechnęła się raz jeszcze, a potem jej postać i jaskrawe światło nagle zbladły. Po chwili las wyglądał już całkiem zwyczajnie. Powoli, jakby wychodząc z transu, wszyscy zaczęli dochodzić do siebie.

– Wow... – Jako pierwsza odezwała się Fione, zazwyczaj niezbyt wylewna. – Nigdy nie widziałam tak wielkiej ferini. Myślałam, że Murugan jest najwyższy.

– I miała zielone włosy jak ja – zauważyła Sundari. – W ogóle była bardzo do mnie podobna.

– Ferini? – zdziwił się Jonathan. – Nie zauważyłem, żeby miała skrzydła...

– Eos każdemu ukazuje się inaczej – wytłumaczyła Kate. Pamiętała, że Jawis widział ją jako jednoroginię.

– Kate ma rację – powiedziała Babcia Annwynn, chyba po raz pierwszy używając jej imienia. Do tej pory mówiła do niej „dziewczyno”, „dziewucho” albo po prostu „ty”. – I przy odrobinie wiedzy magicznej – dodała – nikogo z was nie powinno to dziwić. W końcu to Królowa *Księżycy*. A jak brzmi księżycowe hasło?

– „Nic nie jest takie, jak się wydaje” – wyrecytowała Lilian. – A nam pozostaje jeszcze jedna nierozstrzygnięta kwestia. – Spojrzała trzeźwo na Kate. – Chodzi o nasze ujawnienie.

– Teraz, gdy już się zjednoczyliśmy – przejął Darrin – możemy poinformować Społeczność i cały świat więdźm, że do tego doszło. To byłoby oczywiście uczciwe, a nawet wskazane. Z drugiej strony nie mamy pojęcia, jak zostaniemy przyjęci. Nie wszyscy nam uwierzą, będą chcieli nas sprawdzić. Zainteresują się sprawą, a my przecież nie mamy im wiele do przekazania.

– Poza tym – dodała Diana – ujawnienie będzie

niebezpieczne. Nie wiemy, kim jest przebudzony wróg, o którym wspomniała Eos. Ujawniając się, możemy niechcący wystawić się na niebezpieczeństwo.

– Prędeż czy później i tak dojdzie do ujawnienia – zauważył Hiacinthus. – Musimy się na nie przygotować.

Z jakiegoś powodu wszyscy wpatrywali się w Kate.

– A więc to ja mam o tym zdecydować? – Westchnęła.

– No... Zawsze możemy głosować – odparła Lilian – ale nie sądzę, że którekolwiek z nas jest gotowe na ujawnienie. Tak czy inaczej, to ty jesteś Strażniczką kamienia władcy, więc posłuchamy tego, co chcesz zrobić.

Kate zastanawiała się przez chwilę. Nie czuła się najlepiej w swojej nowej roli. Spojrzała na Fiona. Wiele wysiłku poświęcili temu, by się ukryć. Nie tylko z powodu obaw przed zbytnim zainteresowaniem, ale głównie dla bezpieczeństwa.

– Myślę, że na razie nie powinniśmy o sobie mówić – oznajmiła. – To wywołałoby zbytnie zamieszanie. Skoro coś nam grozi, ludzie zaczną wypatrywać tego zagrożenia, a to może utrudnić nam poznanie prawdziwego wroga. Ostatecznie naszym zadaniem jest walczyć z nim.

– Musimy wiedzieć coś jeszcze – odezwał się Tom. Wciąż gniewnie marszczył czoło. Kojarzył się Kate z deszczową chmurą, z której lada chwila może lunąć. – Chodzi mi o Roberta. On wiedział o kamieniu, prawda?

– Tak – przyznała Kate. – Nie tylko on. Jest ich więcej, ale nie mam pojęcia, jak wielu.

– A więc przed nami wiele pracy...

– Eos kazała nam... – zaczęła Lilian, ale Tom jej przerwał:

– Wiem, że Eos kazała nam nie myśleć zbyt wiele o wrogu

– powiedział z naciskiem – ale to chyba nie znaczy, że mamy zostawić tę sprawę samej sobie. Nie mówię zresztą, żeby od razu nad tym debatować. Na razie pora przenieść się do domów i trochę odpocząć. Wezmę Jonathana z powrotem, Lilian odprowadzi Kate. Myślę, że reszta może wrócić już do Jaaru, a Darrin – Tom spojrzał na niego obojętnie – tam, skąd przyszedł. Gdziekolwiek to jest.

– Ale ja... – Darrin zabrzmiał, jakby próbował się tłumaczyć, ale przestał, gdy Tom posłał mu miażdżące spojrzenie.

– Jestem zbyt zmęczony i nie mam ochoty wysłuchiwać teraz kolejnych historyjek o tym, skąd się tu nagle wzięłeś, na dodatek – obrzucił go wzrokiem – w tak dziwnym stroju.

Darrin wyglądał na dotkniętego, ale szybko zadarł nos i spojrzał w górę, jakby starał się obliczyć, ile czasu będzie potrzebował, by z powrotem dostać się na słońce. Kate wiele by dała, żeby dowiedzieć się, co zaszło między tą dwójką. Mogła obwiniać o to jedynie swoją ciekawość, choć właściwie taka wiedza przydałaby się wszystkim Strażnikom.

– Niemożliwe... To jakiś sen! – doszedł ją głos Babci Annwynn. Pakowała krzeselko do torebki i bąkała sama do siebie. – Wszechświat zwariował. Te ciamajdy mają być Strażnikami? Nedorzeczne, po prostu niedorzeczne! – Zniknęła, wzdychając ciężko.

Kate odwróciła się w stronę Lilian i szepnęła jej na ucho:

– A więc to właśnie widziałaś w kuli? Mnie i Jonathana połączonych jako Strażników?

– Tak, dokładnie to – przyznała Lilian z pewnym smutkiem.

Kate wzruszyła tylko ramionami.

– W porządku.

Właściwie wcale nie myślała, że to „w porządku” – wolałaby usłyszeć od Lilian coś innego, ale może ona i Jonathan po prostu nie byli sobie pisani. I tyle.

– Mogę przenieść cię z powrotem do domu – zaproponowała Lilian

– Chwilkę – odparła Kate i zrobiła coś, czego wcale nie chciała robić, jednak była przekonana, że powinna.

Podeszła do Diany.

– A więc te laleczki... – zaczęła bez zbędnego wstępu.

– Służą uzdrawianiu. – Wszystko w zachowaniu Diany wskazywało na to, że gdyby była choć trochę wyższa od Kate, spojrzalaby na nią teraz z góry. – Robiłam je dla przyjaciółki.

– Rozumiem. – Kate pokręciła głową. Kolejne słowa przyszły jej z takim trudem, że wymagały kilkukrotnego otwarcia ust, by móc się z nich wydostać. – To co... zgoda?

Kate wyciągnęła rękę. Diana obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem, jakby chciała przeskanować jej dłonie w poszukiwaniu ukrytych uroków. Wreszcie pochwyciła ją, ale wciąż spoglądała chłodno.

– Tak, ale tylko dlatego, że jesteśmy Strażniczkami jednej sprawy. Będę cię słuchać, ale zaufam ci tylko pod warunkiem, że okażesz się godna.

Po tych słowach Diana cofnęła się i znikła. Niektóre rzeczy po prostu się nie zmieniały.



Kate nie skorzystała z zaproszenia na Święto Żniw, które wraz z ciotką otrzymały pod koniec lipca. Wolała spędzić trochę czasu w spokoju, co zresztą nie wypaliło. Po południu, stwierdziwszy, że zbyt długo się nie widziały, odwiedziła ją Mel.

– No, i co porabiałaś przez te wakacje? – zapytała raczej obojętnym tonem. Była zbyt pochłonięta rozkładaniem na łóżku Kate nowych spodni, torebek i kosmetyków, by zwrócić uwagę na odpowiedź. Kate cieszyła się, że nie musiała zbytnio się wysilać, kłamiąc.

– Uhm... Cholernie się nudziłam – odparła. – Co to jest? – zapytała, biorąc do ręki pierwszą lepszą rzecz z łóżka.

Mel obrzuciła ją spojrzeniem sugerującym, że Kate potrzebuje lekarza, najlepiej natychmiast.

– Pomadka – powiedziała. – Takie coś do malowania ust.

– Przecież wiem – zachnęła się Kate. – Pytam tylko, skąd ją masz.

Mel przewróciła oczami.

– Ze sklepu. A niby skąd mam ją mieć? Była promocja. Swoją drogą, Kate, jesteś wredna.

Ta nagła zmiana tematu mogłaby zbić z tropu nawet kogoś, kto bardzo uważnie śledziłby rozmowę. Kate była w gorszej pozycji: nie śledziła jej praktycznie wcale.

– A co robiłam? – zapytała poważnie, ze wszystkich sił starając się przypomnieć sobie, za co Mel mogłaby ją obwiniać.

– Pokazałam ci wszystkie rzeczy z wakacji, a ty nawet nie powiedziałaś, która ci się podoba! Poza tym bardzo uprzejmie i jak dobrze wychowana osoba, a już na pewno

jak przyjaciółka, zapytałam, co u ciebie słyszeć i jak ci minął czas. Ty za to wcale się mną nie interesujesz!

Kate gorączkowo szukała wymówek.

– No wiesz przecież, że wszystko bardzo mi się podoba. We wszystkim wyglądasz dobrze, nawet w tej tunice o kolorze misia koali.

– To akwamarynowy! – oburzyła się Mel i szybko chwyciła swoją nową tunikę. Jeśli to miał być akwamaryn, to już mocno wyblakły. – Tak przynajmniej mówili w sklepie... – dodała niepewnie, jakby faktycznie zaczęła zastanawiać się, czy nie będzie wyglądać w niej jak koala. – Nieważne, sęk w tym, że w ogóle nie zapytałaś, jak się czuję po wakacjach.

Kate wzruszyła ramionami.

– Pewnie spotykałaś się codziennie z Marcusem. Co innego miałaś robić?

– Z Marcusem!?! – zawołała Mel. – Widzisz, jak bardzo jesteś nieuaktualniona. Już od tygodnia nie jesteśmy parą.

– Świetnie, czyli możemy jechać pod namioty – zaproponowała mało entuzjastycznie Kate. Wolałaby raczej zostać w domu. Obawiała się, że jeśli przyjdzie jej spać w szczerym polu, zacznie budzić się w nocy i wołać rzeczy, o których Mel nie powinna słyszeć.

– Nie możemy. Umówiłam się już z Noah.

Kate zapytała o to, kim jest Noah, jedynie z obawy, że Mel zacznie znów suszyć jej głowę. Oczywiście przedstawienie nowego chłopaka wymagało przytoczenia historii o zerwaniu z poprzednim. Mel nie zdążyła jednak dojść nawet do połowy opowieści, bo gdy już zaczęła mówić o tym, jak bardzo nie podobały jej się dziury w spodniach Marcusa, ich rozmowę przerwał huk na korytarzu.

Ciotki nie było w domu, a odgłosy dobiegały z białej szafy. Kate wybiegła z pokoju szybciej, niż Mel zdążyła powiedzieć: „Zerwanie”. Ktoś dobijał się, oczywiście od środka, do drzwi szafy. Gdy Kate je otworzyła, było już za późno: Mel pojawiła się w korytarzu i z całą pewnością dostrzegła wychodzącego z szafy Jonathana.

– Hej, Kate – powiedział. – Przepraszam za te hałasy, trochę spanikowałem. To mój pierwszy raz z samotnym przenosze...

Urwał, widząc wpatrującą się w niego Mel. W jej oczach było coś więcej niż zwykle zdumienie. Była absolutnie zszokowana. Jej wzrok powędrował w stronę różdżki, którą Jonathan ścisnął w ręce. Nie musiała nic mówić. Niewypowiedziane pytanie: „Co Jonathan robił w twojej szafie?!” wypełniło atmosferę. A Kate wymyśliła najgorszą możliwą wymówkę:

– Szafa trzeszczała – powiedziała szybko. – Trzeszczy od jakiegoś czasu. Jonathan zaproponował, że ją naprawi.

Mel uniosła brwi i pokręciła głową.

– To ja już pójdę – powiedziała i wróciła do pokoju, gdzie zaczęła od razu pakować swoje rzeczy do torby. Kate pobiegła za nią, zostawiając Jonathana w korytarzu.

– Posłuchaj, to nie tak jak myślisz! – zaczęła się tłumaczyć. Czowała, jak jej twarz oblewa pot. – On naprawdę... Moja ciotka...

Mel spojrzała na nią w taki sposób, jakby próbowała przygwoździć ją do ściany.

– Dlaczego mi się tłumaczysz, Kate? Mamy po siedemnaście lat, to najwyższa pora. Sądziłam tylko, że mi się zwierzysz, jako przyjaciółce...

Ruszyła w stronę drzwi i nie obracając się w kierunku Jonathana, który wciąż stał na korytarzu, zbiegła na dół.

– Posłuchaj – mówiła dalej Kate, odprowadzając ją do wyjścia. – Jonathan i ja... Był na wakacjach w tym samym miejscu. Nie, to nie było planowane. Zaprzyjaźniliśmy się, ale nic między nami nie ma. A nawet jeśli by było, choć nie jest...

– Kate, uspokój się, dobrze? – przerwała jej Mel. – Jonathan to dla mnie stare dzieje.

Faktycznie – pomyślała Kate. *Co najmniej trzech chłopaków temu.*

– Nie jestem na ciebie zła ani nic w tym stylu – ciągnęła Mel, otwierając drzwi. – Jestem trochę zszokowana i przykro mi, że nic nie powiedziałaś. Nieważne. Do zobaczenia, Kate.

Zamknęła za sobą drzwi, nie dając Kate już ani chwili, by się wytłumaczyć.

– Wiesz, co się stało? – Usłyszała za sobą głos Jonathana.
– Nie uwierzysz...

– Właśnie widziałam, co się stało – odparła Kate. – Wypłoszyłeś Mel i omal nie ujawniłeś przed nią swojej mocy. Musisz być ostrożniejszy.

Jonathan machnął tylko ręką.

– Bez przesady. Ona jest... jest...

– No, jaka? – zapytała wyzywająco Kate.

– No... Jest raczej głupia, prawda? Niczego się nie domyśli.

Początkowo Kate chciała zganić go za te słowa, ale po pierwsze trudno było się z nimi, przynajmniej po części, nie zgodzić, a po drugie była zbyt ciekawa tego, co się wydarzyło. Jonathan wyglądał na zadowolonego, więc nie mogło to być nic strasznego.

– Wracam właśnie z Jaaru – zaczął tłumaczyć. – Dasz wiarę, za kogo wychodzi Fione?

– No, za kogo? – Kate zupełnie zapomniała o nadchodzącym ślubie.

– Za księcia! – Jonathan nie krył podekscytowania. – Rozumiesz? Księcia Elphame.

– Och... – Kate nie miała pojęcia, że w Elphame są jacyś książęta, królowie i tak dalej. Sądziła, że fery nie zwracają sobie głowy podobnymi rzeczami. – To naprawdę... niesamowite. To znaczy, tak mi się wydaje.

– Jasne! – zawołał Jonathan. – Tylko Fion nie był za bardzo zadowolony. Mówił coś o puszeniu się i o tym, że Fione jest zbyt wredna, żeby ktokolwiek chciał wziąć z nią ślub.

Kate parsknęła śmiechem.

– Domyślam się – powiedziała. – Przywykniesz do ich kłótni. Tak czy inaczej czeka nas wesele. Ciekawe, jak takie rzeczy organizuje się w Jaarze... No, ale mamy do tego jeszcze trochę czasu. Powiedz lepiej, jak mieszka ci się z wujem.

– Świetnie. Jest idealny, chociaż trochę... pokręcony.

Wuj Randolph miewał swoje dziwactwa, ale poza tym Jonathan był przekonany, że nie mógł trafić lepiej. W ciągu tych dwóch tygodni, jakie spędził w jego domu, nauczył się o magii więcej, niż o jakimkolwiek przedmiocie szkolnym przez całe półrocze. Myślał nawet o tym, żeby rzucić naukę w liceum i całkowicie poświęcić się czarom. Na razie nie rozmawiał o tym jednak z nikim oprócz wuja, który wydawał się aż zanadto zachwycony tym pomysłem.

– Trzeba tylko trochę przywyknąć do jego domu. Wszystko

się rusza... ale to i tak lepsze od mojego życia z matką.

Kate rozglądała się za czymś, co pomoże jej zmienić temat rozmowy. Nie miała ochoty na trudne tematy. Nie wiedziała, co powiedzieć Jonathanowi, żeby go pocieszyć. Jeśli jej wejście w świat magii było trudne, to jego przypominało huragan.

– Napijesz się herbaty? – zapytała, dopiero teraz uświadamiając sobie, że od dobrych pięciu minut stoją w salonie, a ona nawet nie zaproponowała, by usiadł.

– Może później – odparł Jonathan. Podszedł do stolika stojącego przy telewizorze i położył na nim swoją różdżkę. Kate przyglądała się jej przez chwilę, jakby próbowała coś sobie przypomnieć. Wreszcie zrozumiała.

– To ta sama, której...

Nie ulegało wątpliwości, że leżąca na stoliku różdżka jest tą samą, którą bronili się przed płomieniami w budynku Rady. Teraz jednak zdobiły ją runy, a z jej czubka wystawał czerwony kamień.

Jonathan pokiwał głową.

– Tak – przyznał. – Trochę ją ulepszyłem. Wiesz, miałem pewne opory z wyborem właśnie jej. Schowałem ją do szuflady, ale coś bez przerwy kazało mi ją wyjmować. Wreszcie uznałem, że skoro ta różdżka pojawiła się sama, to lepszej już nie znajdę. To chyba coś w rodzaju przeznaczenia.

– Chyba wiem, o czym mówisz – odparła Kate. Do niej też wciąż powracał temat różdżki, ale tylko ją denerwował. Była przekonana, że swojej już nie znajdzie, ale ostatecznie w końcu mogła się bez niej obyć.

– Kate? – rzucił nieśmiało Jonathan. Sądząc po jego tonie,

Kate domyśliła się, że nie będą mówić ani o jego wuju, ani o różdżkach. – Wiesz... Wtedy, gdy leżałem bez ruchu w budynku Rady, nie byłem nieprzytomny. Wszystko słyszałem... Wszystko, co mówił ci Robert...

Fala gorąca oblała Kate od stóp do głów, a gdy zeszła, pozostawiła tylko zimny pot na czole.

– To było... – zaczęła Kate.

– Naprawdę uważasz, że nie... – ciągnął Jonathan – że nie jesteś dość ładna?

– Och, co za głupoty! – bąknęła Kate. Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się równie zażenowana, co teraz. Odwracała twarz, ale Jonathan przybliżał się i wciąż znajdował sposoby, żeby patrzeć jej w oczy.

– Więc nie wierzysz w to, tak?

– Nie, nie wierzę – odparła, ze wszystkich sił pragnąc, by jej słowa były czymś więcej niż beznadziejnym kłamstwem.

Jonathan przysunął się jeszcze bliżej i położył dłoń na jej ramieniu.

– To dobrze – powiedział. – Bo to nieprawda.

I, nie mówiąc już nic więcej, pocałował ją.



Epilog

Mieszkańcy Tir-na-Nog nazywali je Drzewem Wzroku. Nie oni je zasadzili. Ktoś, kto zrobił to dawno temu, dał im je w podarku. Byli jednak i tacy, którzy twierdzili, że drzewo rosło tu od zawsze, że wykiełkowało jeszcze przed nastaniem Jaaru.

Wokół jego grubego pnia wyłożono marmurową posadzkę, a nad konarami zbudowano dach, pozostawiając jednak wyrwy, by gałęzie wciąż mogły się rozrastać. Potrzebowały dotyku wiatru. Wyłapywały z niego wieści i historie, krążące w Jaarze. Wydarzenia minionych czasów pełzały po gałęziach jak węże, wnikały w nie i wraz z sokami płynęły w dół, by poprzez korzenie zasilić pamięć Starego Plemienia, zbiorową studnię, z której już zawsze miały czerpać kolejne pokolenia ferów.

Drzewo dostarczało też wizji. Te były najbardziej tajemnicze i trudne do wychwycenia. Pojawiały się znienacka

i ukrywały między liśćmi, zostawiając symbole na korze. Odczytanie ich wymagało wzmożonej uwagi.

U samego szczytu drzewa, zasłonięty posplatanyimi gałęziami, które zapewniały mu ochronę, ukryty był niewielki klejnot. Nikt nie wiedział, skąd się tu wziął. Stara opowieść głosiła, że pewnej nocy umieściła go między liśćmi pani ze snów. Nigdy więcej się już nie pojawiła. Tajemnicę kryształu znali nieliczni. Szeptali ją sobie na ucho w pałacowych korytarzach stolicy Tir-na-Nog, Wielkiego Miasta. Raz wypowiedziana, nie mogła zostać powtórzona przez tę samą osobę nikomu innemu. Ten, kto ją znał, musiał mądrze wybierać jej spadkobierców, a potem zamilknąć o niej na zawsze.

Kryształ czasem się poruszał. Robił to jednak rzadko i z własnej woli, obojętny na wiatr poruszający drzewem, niezwiązany prawami świata, do którego nie do końca należał. Tworzące go cząstki tańczyły własny taniec, tańczyły go kiedyś i tańczyłyby nadal, nawet gdyby wszystko wokół miało zniknąć. Jeśli kryształ miałby się do kogoś odezwać, zrobiłby to na własne życzenie, a jego głos byłby w stanie wzburzyć oceany, roztopić lodowce i zgasić słońce.

Wokół gałęzi Drzewa Wzroku przewiązane były siwe wstęgi. Przeplatały się z nimi od tak dawna, że stanowiły ich nieodłączną część. Snuły się po podłodze i zmierzały wspólnie do ciała, z którego wyrastały. Bo wstęgi były w rzeczywistości pasmami brody wyrastającej z twarzy starego fera, który od wielu już lat siedział pod drzewem w tej samej pozycji. Nazywano go Mędrce i tylko w najważniejszych sytuacjach zasięgano jego porad, przez większość czasu pozwalając mu medytować. Mędrzec

potrzebował ciszy, by móc wysłuchać tajemnic, jakie szeptało mu drzewo. Za każdym razem, gdy tak się działo, jego ciało poruszało się nieznacznie.

Właśnie nadeszła ta chwila. Mędrzec zacisnął mocniej oczy, bo wizja, która do niego przyszła, była ważniejsza niż inne, niż wszystkie wizje, jakie otrzymał w całym swoim życiu.

Zobaczył cztery potężne konie o stalowych kopytach, które wybijały przeraźliwy rytm na suchej ziemi. Na ich grzbietach siedziały cztery postacie w pełnych zbrojach, ale bez ciał – pancerze spajały jedynie ich duchy. W powietrzu niósł się stary głos, niedostępny dla zwykłych uszu, nawet tych najbardziej czułych. Głos wzywał do siebie jeźdźców, a siły zaklęte w zbrojach były gotowe, by mu służyć.

Kryształ zalśnił, przebijając się przez gęstwinę liści i powieki starego mędrca, a on otworzył oczy. Z jego wysuszonego, od dawna nieużywanego gardła dobył się zachrypły głos:

– Przebudził się. Siódmy Strażnik nadchodzi.



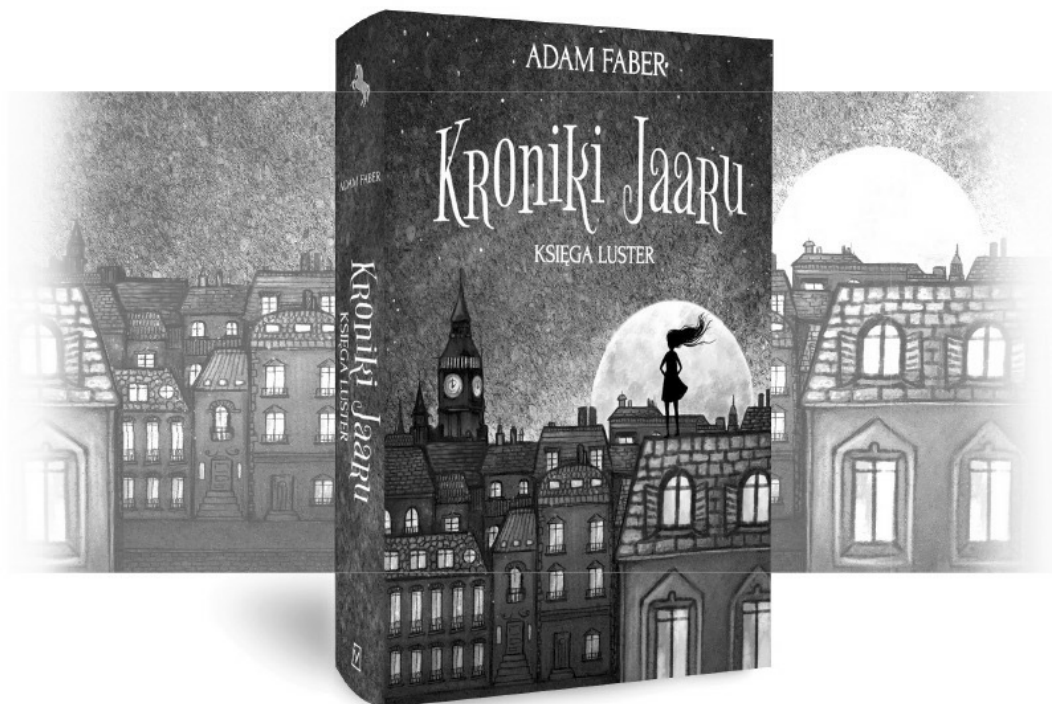
Posłowie

Pomimo że pani Jenkins powołuje się na przodków uprawiających Voodoo, prezentowane przez nią w książce rytuały – o ile mi wiadomo – nie są częścią tej religii. Voodoo jest realnie istniejącą ścieżką duchową, której wiele krzywdy wyrządziło Hollywood, ukazując jej praktyki jako złowrogie i szkodliwe. Myślę więc, że zasłużyła sobie na odczarowującą wzmiankę w książce, a także na to, by traktować ją rzetelnie i bez uprzedzeń.

Hagsborough nie istnieje – taka jest oficjalna wersja rządu brytyjskiego; Kate twierdzi natomiast, że aby doświadczyć magii miasteczka, trzeba dostać specjalne zaproszenie. Książka, którą przeczytaliście, stanowi rodzaj takiego zaproszenia, więc teraz bez krępacji możecie wskoczyć na miotły i wybrać się na wycieczkę do miasta czarownic – paszporty nie będą potrzebne, bo Hagsborough znajduje się w wiedźmiarskiej strefie Schengen.

Tłumaczenia użytych w tekście cytatów są mojego autorstwa, chyba że zaznaczono inaczej.

**GDYBY HARRY POTTER BYŁ DZIEWCZYNA,
NAZYWAŁBY SIĘ KATE HALLANDER!**

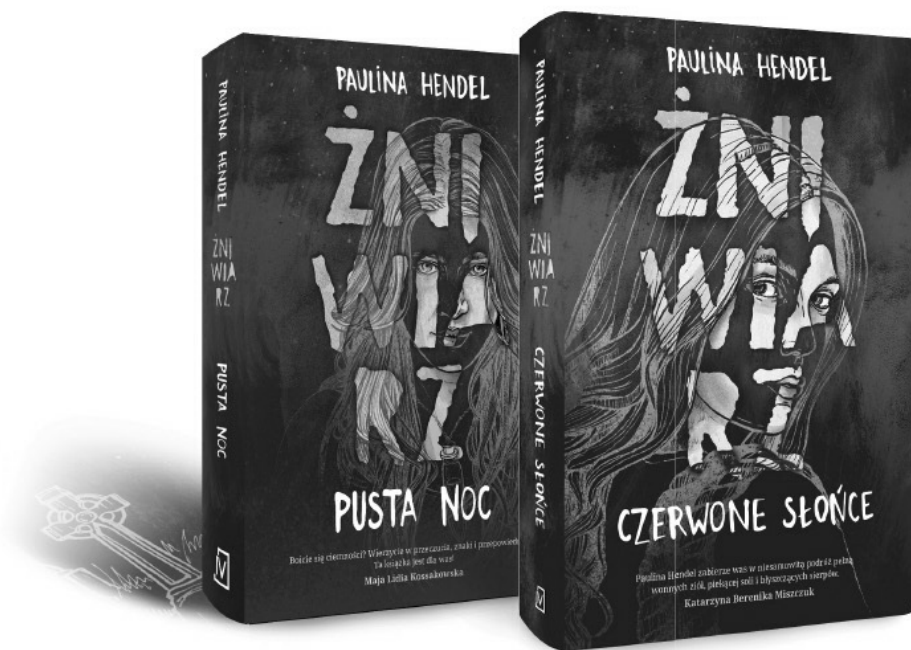


Kate jest typową nastolatką. Mieszka u swojej ciotki w Londynie i wiecie spokojne życie. Pewnego dnia staje na progu tajemniczego sklepu pełnego czarodziejskich przedmiotów, od właścicielki którego otrzymuje Księgę Luster. Dziewczyna rzuca miłosny urok na przystojnego Jonathana, lecz czar skutkuje zupełnie inaczej, niż by tego oczekiwała. Kate trafia do Jaaru, krainy zamieszkaanej przez magiczne stworzenia.

Tymczasem w Londynie ciotka dowiaduje się, że ze sklepu pani Selene zniknął magiczny kamień o potężnej mocy. Czy uda się go odnaleźć? Jak Kate, początkująca wiedźma, poradzi sobie w świecie Jaaru, mając u boku ekscentryczne fery i wyniosłego jednoroźca? I co tak naprawdę skrywa plan nikczemnej Erato?

MÓWIĄ, ŻE DEMONY, ZABOBONY I CZARY
ODESZŁY JUŻ DO PRZESZŁOŚCI.

CZY NA PEWNO?

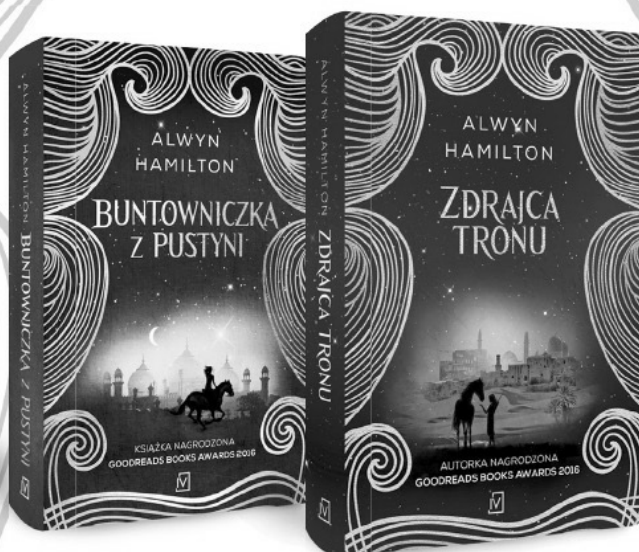


Na pierwszy rzut oka Magda jest zwykłą dwudziestolatką. Czas wypełnia jej praca w małej księgarni oraz obowiązki domowe. To jednak tylko pozory, gdyż w wolnych chwilach, zamiast spotykać się z rówieśnikami, Magda tropi upiory rodem ze słowiańskich wierzeń. Z krainy umarłych ucieka najpotężniejsza istota, z jaką żniwiarze kiedykolwiek musieli się zmierzyć.

Tymczasem między Magdą a Mateuszem, tajemniczym chłopakiem, który niedawno wprowadził się do miasteczka, zawiązuje się nić sympatii. Dziewczyna pokazuje Mateuszowi świat słowiańskich wierzeń, nie mając pojęcia, że już wkrótce ona i jej przyjaciele znajdą się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

KSIĄŻKA NAGRODZONA
GOODREADS CHOICE AWARDS 2016

**BARDZIEJ WYBUCHOWA
NIŻ PROCH STRZELNICZY!**



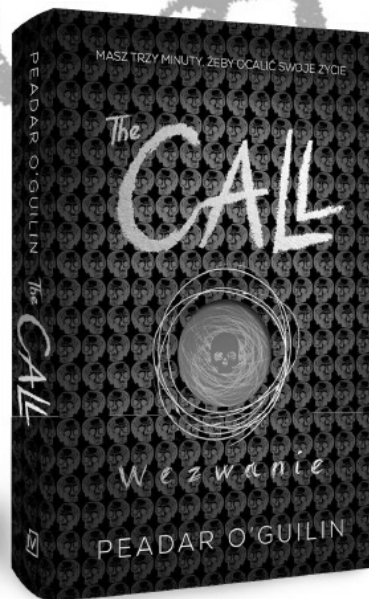
Bezkresne piaski pustyni przemierzają tajemnicze bestie, w których żyłach płynie czysty ogień. Krążą pogłoski, że istnieją jeszcze takie miejsca, w których dżiny wciąż parają się czarami. Lud Miraji coraz mocniej występuje przeciwko tyranii Sułtana. Każda noc pośród wydm pełna jest niebezpieczeństw i magii.

Los pustyni spoczywa w jej rękach.

Zapomnij o wszystkim, co wiesz o Miraji, o rebelii, o dżinach i Jinie oraz Niebieskookiej Bandytce. W Zdrajcy tronu jedyne, czego możesz być pewien, to to, że nic nie jest pewne.

ZAPOMNIJCIE O IGRZYSKACH ŚMIERCI
I WIĘŻNIU LABIRYNTU.
PORA NA:

The CALL



Co byś zrobił mając tylko chwilę, żeby uratować swoje życie, a zegar już zaczął odliczanie?

Nessa, Megan i Anto wiedzą, że pewnego dnia znajdą się w przerażającej krainie, do której zostaną Wezwani.

Na nieznanym terenie ruszą za nimi bezwzględni łowcy, którzy zrobią wszystko, by ich dopaść i zabić.

A Nessa nie może biegać. Czy mimo porażenia nóg ma szansę na przeżycie, kiedy przyjdzie pora jej Wezwania?

Trzy minuty

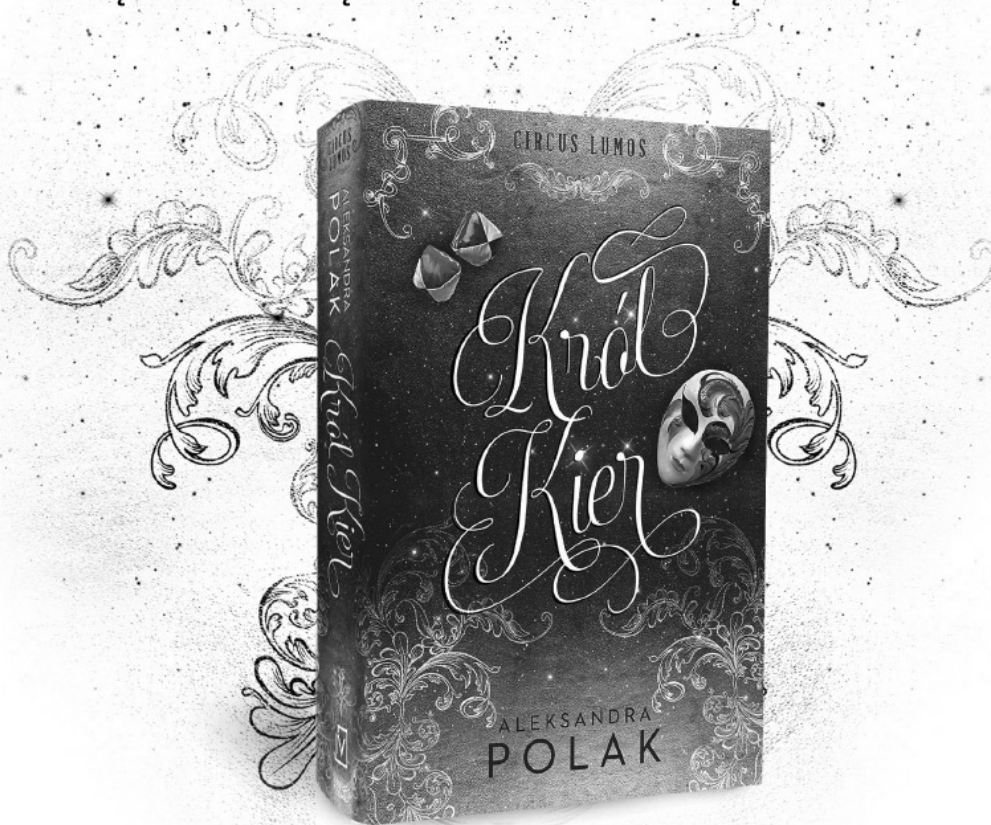
Dwie minuty

Minuta

Czas ucieka...

NOCNI ŁOWCY, SUPERNATURAL, CARAVAL
– BRZMI ZNAJOMO?

SIĘGNIJ PO SERIĘ CIRCUS LUMOS I DAJ SIĘ OCZAROWAĆ!



Alicja jest w ostatniej klasie liceum, do tej pory jej życie przebiegało spokojnie, by nie powiedzieć, że nudno. Jednak los bywa przewrotny, a seria nieprzewidzianych zdarzeń rzuca ją na głęboką wodę magii i miłości. Kiedy poznaje Hadriana z Circus Lumos, wie, że nic nie będzie takie jak dawniej.

Demony atakują waszą duszę, niszczą was od wewnątrz. Budują w ludziach zło i tak zakorzeniają się w świecie. Im więcej w ludziach ciemności, tym ciemniejszy robi się świat. Im bardziej się im poddajecie, tym są silniejsze. Pokonać je można tylko swoją własną światłością. Sercem.



Spis treści

[Prolog](#)

Część pierwsza. Hagsborough

[Rozdział 1. Kafejka czarownic](#)

[Rozdział 2. Podpalacz](#)

[Rozdział 3. Nieodwołalnie postanowione](#)

[Rozdział 4. Wycinki z gazet](#)

[Rozdział 5. Księżycowy dom](#)

[Rozdział 6. Wzloty i upadki](#)

[Rozdział 7. Echa i sny](#)

Część druga. Biblioteka

[Rozdział 8. Głód Merlina](#)

[Rozdział 9. Nieposłuszne różdżki](#)

[Rozdział 10. Dociekliwość pani Hollander](#)

[Rozdział 11. Alsea](#)

[Rozdział 12. Umarłe miejsce](#)

[Rozdział 13. Przeszłość](#)

[Rozdział 14. Cienie i odbicia](#)

[Rozdział 15. POWIEDZ MU](#)

[Rozdział 16. Czterogłowy smok](#)

Część trzecia. Las

[Rozdział 17. Herbata z ferami](#)

[Rozdział 18. Szept lasu](#)

[Rozdział 19. Prześladowca](#)

[Rozdział 20. Przez płomienie](#)

[Rozdział 21. Pani Jenkins przemawia](#)

[Rozdział 22. Syn i jego ojciec](#)

[Rozdział 23. Strażnicy żywołów](#)

[Rozdział 24. Nowe przepowiednie](#)

[Epilog](#)

[Posłowie](#)

[Polecamy również](#)